SZCZEPAN TWARDOCH

KRÓLESTWO

POWIEŚĆ

W zimnie, w ciemnościach, w nieustającej trwodze. W zimnie, w ciemnościach, w trwodze nieustającej ja, zwierzę nocne.

Ciemnymi dniami kulę się w mojej norze, szara jak ściany kryjących mnie jam, nocą ciemną wychodzę na żer, zdrapywać resztki mięsa ze szkieletu martwego miasta, obgryzać jego zmarzłe truchło. Przemykam pomiędzy betonowymi skały, w kanionach ulic, przebiegam po gruzowiskach lekko, nie pozostawiając śladu, niewidzialna prawie, bezszelestna i szara, w kieszeni mam żądło, żeruję, a potem wracam i jak matka karmię tego, którego kochałam, kulę się w legowisku, zlewam się ze ścianami, ze szmatami, kulę się obok niego, ogrzewam go resztkami ciepła, które mam jeszcze w swym ciele, ogrzewam go jak matka.

Całe życie kochałam złego człowieka.

kontynuacja bestsellerowego *Króla*

Cena: 34 zł. 90 gr.

SZCZEPAN TWARDOCH

KRÓLESTWO

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Ryfka
Dawid
Ryfka
Dawid
Ryfka
Dawid
Ryfka
Dawid
Ryfka
Dawid
Ryfka
Dawid
Emilia

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Redakcja: WOJCIECH ADAMSKI
Korekta: JACEK BŁACH, EWELINA KOROSTYŃSKA, ANNA MILEWSKA
Projekt okładki i stron tytułowych: RAFAŁ KUCHARCZUK
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Infomarket

© Copyright by Szczepan Twardoch
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2018

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-06723-9

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

O nierządne królestwo i zginienia bliskie,
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość
Ma miejsca, ale wszytko złotem kupić trzeba!

Jan Kochanowski, *Odprawa posłów greckich*

RYFKA

W zimnie, w ciemnościach, w nieustającej trwodze.

W zimnie, w ciemnościach, w trwodze nieustającej ja, zwierzę nocne.

Ciemnymi dniami kulę się w mojej norze, szara jak ściany kryjących mnie jam, nocą ciemną wychodzę na żer, zdrapywać resztki mięsa ze szkieletu martwego miasta, obgryzać jego zmarzłe truchło. Przemykam pomiędzy betonowymi skały, w kanionach ulic, przebiegam po gruzowiskach lekko, nie pozostawiając śladu, niewidzialna prawie, bezszelestna i szara, w kieszeni mam żądło, żeruję, a potem wracam i jak matka karmię tego, którego kochałam, kulę się w legowisku, zlewam się ze ścianami, ze szmatami, kulę się obok niego, ogrzewam go resztkami ciepła, które mam jeszcze w swym ciele, ogrzewam go jak matka.

Całe życie kochałam złego człowieka.

Ogrzewam go i karmię, a potem znowu wychodzę, a on zostaje, w mroku.

Pamiętam wteraz i pamiętałam wtedy, w zimnie, w ciemnościach, w trwodze, jak siedział u mnie, siedzi, kilka lat wcześniej, w innym świecie, jeszcze w moim burdelu u zbiegu Piusa XI i Koszykowej, po tym, jak jednak nie wyjechali do Palestyny w 1937, on i ta jego żona. Po tym, jak wrócili. Po tym, jak zawrócił samolot.

Więc siedział u mnie, pamiętam, siedzi nagi, siedział na łóżku, opierał łokcie na kolanach, a na dłoniach głowę. Najpierw milczał. Potem pił. Pije. Potem płakał. Potem walił pięścią w ścianę, aż połamał sobie kości prawej dłoni, okrwawił ścianę, lecz walił dalej, zbyt pijany, żeby czuć ból kości nie

po raz pierwszy i nie ostatni połamanych, skoro bolało go wszystko poza ciałem, nie wiem, czy nazwać to sercem, duszą, przecież człowiek nie ma duszy, a serce to tylko mięsień, ale coś jest w środku, coś, co nie jest ciałem, a jest człowiekiem, albo należy do człowieka, albo człowiek należy do tego, co jest w środku, i to go właśnie bolało i aby ten ból zagłuszyć, połamał sobie kości śródręcza, waląc o ścianę, ja dzwoniłam po doktora, doktor przyjechał, obejrzał rękę, trzeba było jechać do szpitala, tam doktor prześwietlał, nastawiał, gipsował, zrobił wszystko, co należało, a Jakub niedługo później wrócił i dalej pił, z ręką zagipsowaną, a potem stracił przytomność i leżał na łóżku, nagi i nieświadom niczego.

Kocham złego człowieka, pomyślałam wtedy, patrząc na jego ciało, na jego granatowosine tatuaże i mięśnie grubo sadłem obrosłe, kochałam.

Czy na przykład pani Goebbels też tak myśli o swoim mężu, że kocha złego człowieka? I czy go kocha? Czym jest miłość, jeśli kocha się kogoś tak złego?

Ja też jestem złym człowiekiem, ale on mnie nie kocha. Taka jest nasza konstelacja, dwoje złych ludzi, ja zła, on zły, ja go kocham, ale on nie kocha nikogo, nawet samego siebie nie kocha, może więc to czyni mnie jakoś lepszą, że w całym moim zepsuciu, w całym plugastwie tej mojej nie-duszy, mojego nie-serca, jednak go kocham, więc może nie jestem zła tak do końca, może zostało we mnie coś z człowieka, a w nim już nic, bo on nie kocha nikogo. Kochał kiedyś samego siebie, kochał te wszystkie swoje bibelociki, pistoleciki, scyzoryki i garniturki, kochał buciki z drogiej skóry i automobile, w które się przystrajał, bo chciał być kimś więcej niż kolejnym Żydkiem z Warszawy, Żydkiem-nikim, gównem, mierzwą ludzką, a nie miał w sobie nie-serca i nie-duszy, które mógłby oddać jakiejś idei, tak jak jego brat oddał się Palestynie i chciał za nią zginąć, a zginął nie za Palestynę, tylko za nic, za to przez Jakuba, więc może za Jakuba, może za niego życie oddał?

A Jakub chciał być czymś więcej niż mierzwą, dlatego boksował, strzelał, stroił się, rozkładał pawi ogon, płodził synów, przechadzał się, paradował, promenował z Tłomackiego na Kercelak, uchylał kapelusza, uśmiechał się, kłaniał komu trzeba, tokował, flirtował, samczyk, byczek, bydlak, a potem stało się to, co się stało, i Jakub już nie kochał samego siebie, więc nie kochał już nikogo i leży teraz tutaj, w barłogu ze szmat, kołder i płaszczy,

w barłogu pod ścianą, chudy, zarośnięty, przykryty łachmanami, od tygodnia nie wypowiedział ani jednego słowa w żadnym z ludzkich języków, chciał za to krzyczeć, wtedy zatykałam mu usta, jest taki słaby jak dziecko, a ja jestem przy nim.

Kiedy udaje, udało mi się zdobyć coś do jedzenia, to karmiłam go, czasem prawie przemocą. Otwieram mu usta, wkładam kostkę cukru, czekam, aż się rozpuści w jego ślinie, czekałam, aż ją przełknie.

Zmuszam go, żeby się wypróżnił, na szczęście wystarczy raz albo dwa razy w tygodniu, bo nie ma się z czego wypróżniać.

Pilnuję, żeby nie sikał pod siebie, żeby nie zasikał ubrań i posłania, bo wtedy zamarznie.

I przypominam go sobie, jak siedział, siedzi u mnie nagi, następnego dnia po tym, jak złamał sobie rękę, ciągle był 1937 rok, przypominam sobie te wszystkie noce, kiedy spał w moim łóżku, a ja siedziałam obok i patrzyłam na jego szerokie wytatuowane plecy, ramiona i pośladki, i kochałam jego siłę, kochałam strach, jaki budził, kochałam jego gwałtowność, kochałam smutek, który go wypełniał, kochałam nawet to, jak bardzo miał mnie w garści, kochałam go za to, że zostawił mnie dla tej paniusi, dla tej szmaty z dobrego domu, adwokackiej córuni, wypieszczonej, wychuchanej, i nawet mnie to bawiło, że poszła tak na zmarnowanie, nie, że teraz, ale wtedy, taka dziewczyneczka, która mogłaby się zasymilować i żyć sobie jak zwykła Polka, taka dziewczyneczka śliczna, się z nim związała, tak, nawet mnie to bawiło, nawet go za to też kochałam, bo myślałam bardzo źle o sobie samej, więc miałam to za kolejny jego sukces, oto ktoś taki jak ja, ktoś z najbrudniejszego żydowskiego rynsztoka, a bierze sobie taką dziewczynę, panienkę z innego świata, wszystko mu się udaje i to też.

To nieprawda. Nawet wteraz się okłamuję, chociaż trochę, nawet wteraz kłamstwami próbuję zachować trochę utraconej wtedy godności. Nienawidziłam go za to. Za to chciałam go zabić. I ją chciałam zabić, stłuc butelkę i wbić jej szkło w twarz, w brzuch, rozharatać je, oczy wydrapać, przecież umiem, wciąż bardzo dobrze pamiętam, jak to jest, gdy się sobie pozwala wybuchnąć w środku. Pamiętam to jeszcze z więzienia.

Kochałam go również wtedy, chudego, o skórze szarej i szorstkiej, słabego, drżącego, kocham go, nawet kiedy podcieram mu tyłek,

zachowując te zużyte skrawki papieru na później, na opał, kocham jego trochę już opuchnięte z głodu ogromne dłonie, po raz pierwszy od samego początku wojny spuchł z głodu, teraz, dopiero teraz, kiedy Sowieci są już na Pradze. A myślał, że wszyscy inni mogą puchnąć, tylko on nie spuchnie. Chyba że od sadła wylewającego się zza paska spodni.

Najgorsze jest to, że nie musiał spuchnąć. Głodujemy, owszem, ale dopiero od paru miesięcy, od powstania. W getcie byliśmy najedzeni, po Grossaktion, w szopie, też nie byliśmy głodni, ale wtedy już Jakub tracił powoli zainteresowanie jedzeniem, pogrążał się w apatii, jadł coraz mniej. Tak samo potem, u niej. Chudł. Miał z czego. W końcu jadł tylko to, co włożyłam mu do ust, prawie zmuszając go do przełknięcia.

Robi się już ciemno, robiło, nie będzie widać dymu, więc mogę rozpalić ogień. Umiem zresztą palić tak, żeby dymu nie było wcale, jestem nocnym zwierzęciem, nocnym potworem, gdybym nie umiała, to już bym nie żyła, więc na nocne palenie mam, miałam odłożone paliwo dymiące, a na dzienne specjalne, najsuchsze szczapki, z których dym rozchodzi się po naszej kryjówce i zanim wydostanie się na zewnątrz, to już go nie widać. Skleciłam w tym celu specjalny piecyk ze starej, zardzewiałej beczki, którą wtargałam tutaj z piwnicy, w środku poukładałam cegły, na cegłach ruszty, pilnikiem wykroiłam otwory dające dostęp do paleniska i popielnika, ze znalezionych rur zbudowałam też komin, dający ciąg i wyprowadzający dym nie na zewnątrz, to byłoby samobójstwo, lecz do korytarza obok, gdzie spokojnie może się rozejść, z zewnątrz ciągle niewidoczny.

Składam więc, złożyłam trochę podpałki z „Gazety Żydowskiej" z 1942 roku, na to dorzucam odłupanych od drzwi szafy szczap, rozpalam, czekam, aż zapłonie. Trochę go ogrzeje.

– Muszę iść, Jakub – mówię bardzo cicho. – Muszę iść. Nie ruszaj się stąd.

Już czas. Dałam mu dzisiaj ostatnią kostkę cukru z woreczka, który zabrałam jeszcze z mieszkania tej polskiej kurwy, co nas ukrywała, ale o niej nie chce mi się myśleć teraz. Wody mam dość, jeszcze przynajmniej kilka litrów w bańce po mleku, a co ważniejsze, wiem, skąd tę wodę wziąć, bo mam gotową studnię. Zamarza, ale to nie jest wielki kłopot, topię wodę nocami na moim piecyku.

Patrzę na mój wydrapany na ścianie kalendarz, spojrzałam. Wydawało mi się, że jest pierwszy grudnia, i wteraz wiem, że słusznie, że się nie myliłam. Mam na sobie dwie pary grubych rajstop, męskie wełniane spodnie, dwa swetry i o wiele na mnie za dużą, grubą męską marynarkę. Biorę worek, zabrałam, z worka przy użyciu grubego sznurka sporządziłam coś w rodzaju plecaka, zakładam i zapinam płaszcz, po czym ściskam go wojskowym pasem, buty okręcam szmatami, głowę szalem i grubą, wełnianą chustą. Mam też dwie pary wełnianych rękawiczek i na lewej rękawiczce zapinam stary zegarek Jakuba, niemiecki Glashütte, który nosił jeszcze przed wojną, na zniszczonym pasku, lecz o świecących w ciemności wskazówkach. Za pas, z tyłu, wkładam niewielki, zagięty łom, bardzo przydatne narzędzie, do kieszeni płaszcza chowam nóż, taki zwykły, kuchenny kozik, do drugiej pistolet.

Kupiłam go w lutym czterdziestego trzeciego na Twardej, chodziłam wtedy poza szczątkowe getto do pracy na placówce, oczywiście wychodziło się wyłącznie w grupach, gdyby ktoś odważył się iść samotnie, to Niemcy strzelali bez ostrzeżenia, nasze komando prowadziła gruba Niemka, nazywała się zwyczajnie, Miller.

Jakub nigdzie już nie chodził, Jakub był już wtedy w ciemnościach, miał numerek na życie, ale po styczniowej akcji okazało się, że numerek już nie gwarantuje bezpieczeństwa, kiedy tylko z naszego szopu zabrali kilkaset osób, nas nie zabrano popartym sutą łapówką cudem, Jakub prawie nie zwrócił na to uwagi, wegetował i nikł, ja chodziłam na szmugiel sama. Zwracałam uwagę za nas dwoje, na wszystko, na co trzeba było zwracać uwagę, żeby żyć.

Żyć, żyć, żyć, jedyna modlitwa, jaką odmawiałam.

Na Twardej był sklepik, właściwie w podwórku jednego z domów na rogu Pańskiej i Twardej, było to zresztą na terenie dawnego małego getta, po likwidacji odbywało się tam dużo handlu szmuglerskiego, miałam tam paru znajomych i poznałam pewnego jegomościa z Lublina, którego w końcu pytam, zapytałam, czy nie wystarałby mi się o maszynę. Zapytałam go o to, bo od dawna wiedziałam, że wpadłam mu w oko, tak zawsze łatwiej dobić interesu. Lubelski szmugler mi na to odpowiedział, mówi, że maszyny teraz bardzo drogie, każdy Żydek tylko maszyny by kupował, tacy się Żydzi nagle chętni do strzelania zrobili.

Tak rzeczywiście wtedy było, już po Grossaktion pistolet to była najlepsza waluta w tym, co zostało z getta, a jak zrobili akcję w styczniu, to sama uznałam, że żywcem mnie nie wezmą, że lepiej zabić chociaż jednego Niemca, kiedy mnie będą zabierać, niż po prostu umrzeć. Wtedy już wielu z nas tak myślało, szczególnie z Partii, ja jednak do Partii się nie garnęłam, bo nie po to walczyłam z każdym, kto się tylko nadarzył, o samą siebie, o moje bycie kimś, nie zaś nikim, nie po to poświęciłam tyle, ile poświęciłam, żeby teraz słuchać rozkazów jakiegoś zarozumiałego gnojka, bez znaczenia, czy będzie to bundysta, syjonista czy szomer.

Na pieniądzach nikomu już nie zależało, chociaż pieniądze były, jeśli ktoś szmuglował i nie dał się zastrzelić, to zysk był pewny. Najwięcej kupowała właśnie Partia, ale prywatni też, jeśli tylko mieli za co, i bojowcy z Partii przymykali na to oko, wyciskając grubsze pieniądze z bogaczy, aż się czasem o tych bogaczy do wyciskania pokłócili z bejtarowcami. Mówiło się, że Partia godzi się na to, żeby prywatni mieli broń, bo kiedy w końcu powstaniemy, to pozwoli każdemu uzbrojonemu przyłączyć się do walki o godną, machabejską śmierć.

Ja miałam jednak inne plany niż machabejska śmierć.

Brałam to pod uwagę, lepiej umrzeć, zabijając chociaż jednego z tych potworów, jednak wcale nie chciałam umierać i dlatego żyję, przeżyłam, chociaż wszyscy umarli.

Powiedziałam mu więc wtedy, temu facetowi z Lublina, że pieniądze u mnie są, ile trzeba, tyle będzie. Dwa dni później, idąc na placówkę, znowu spotkałam go tam, gdzie wcześniej. Zapytał, czy mam pieniądze, miałam, zapłaciłam siedem tysięcy, bo po co mi siedem, dziesięć, sto tysięcy, co ja z pieniędzmi zrobię, z jego pieniędzmi i z moimi, starymi, jeszcze przedwojennymi i nowymi, ze szmuglu. Pieniądze to papier, pieniądze to nic. Maszyna to dobra, godna, odważna śmierć, nie łudziłam się, że maszyna to mogłoby być nawet życie, bo jeśli życie, to nie dzięki jakiemuś pistolecikowi, pistolecikiem życia wywalczyć sobie nie sposób, żeby życie sobie wywalczyć, to trzeba mieć armię i flotę, samoloty i tanki, pistolecik się nadaje tylko do dobrego umierania, jeśli życie, to zupełnie inaczej. Ale dobre umieranie i tak lepsze niż taka śmierć.

Tak wtedy myślałam, ale wteraz już nie wiem, czy lepsze. Łudziłam się, wtedy, że śmierć, podczas której będę strzelać z pistoletu, jest lepsza, bo

umierając w walce, zachowam człowieczeństwo, które odebrano by mi w pociągu do Treblinek albo które mógłby mi odebrać każdy wydający mnie gestapo, albo zabijający na miejscu Polak, ale przecież to nieprawda, śmierć to śmierć. W śmierci człowieczeństwo się właśnie traci, niezależnie od rodzaju śmierci, bo z człowieka człowiek umierający staje się martwym ciałem, niczym.

Zapłaciłam więc i pytam, gdzie maszyna, a człowiek ów na to, że w pokoiku na górze, gdzie on ode mnie jeszcze jednego będzie potrzebował, inaczej nici z transakcji.

Chciałam mu w pierwszym odruchu odpowiedzieć, że nie jestem kurwą, ale potem pomyślałam, że po co mi spór, co za różnica, przecież i tak niedługo umrzemy, nie ma się o co kłócić, nie mam czasu, nasza grupa za godzinę ruszy z powrotem, a przecież ciało to nic, ciało się od tego nie zużywa, a jeśli się brudzi, to można je umyć, poszłam więc z nim do tego pokoiku, tam mu powiedziałam, że jeśli chce sobie pouzywać, to ja chcę miednicę z gorącą wodą, kawałek prawdziwego mydła i ręcznik. Zbiegł po schodach, po chwili wrócił ze wszystkim. Zapytał, czy umyję się przed, odpowiedziałam, że po. Był już zbyt podniecony, żeby protestować. Rozebrałam się, nie czekając na polecenie, obmacywał mnie, co było mi wstrętne, ale nie takie rzeczy znosiłam, potem zrobił, co chciał zrobić, czułam, czuję jego chuja w środku i to stało się dla mnie tak obojętne, jakby przez chwilę trafił mi się jakiś pomijalny, fizyczny dyskomfort, jakby mnie przez chwilę but cisnął, ale przecież wiem, że zaraz go zdejmę, zaraz cisnąć przestanie.

Odwróciłam głowę, patrzyłam przez okno, akurat się przejaśniło, dzień był mroźny i niebo było błękitne tym błękitem bladym, zimowym i smutnym. Na poręczy balkonu siedziała, siedzi kawka, cała nastroszona, szaroczarna, i patrzyła na mnie z przechyloną po ptasiemu główką, na mnie i na mężczyznę, który na mnie leżał, i pomyślałam sobie, że kawka mnie rozumie, chociaż przecież wiem, że to nieprawda, kawki są mądre, ale rozumieją tylko same siebie, jak my wszyscy.

Może nawet podobnie jak my przekonują same siebie oszukańczo, że są dla siebie samych tajemnicą, wszyscy tak robimy, a to przecież nieprawda.

Nie mamy sami przed sobą żadnych tajemnic, kiedy tylko odważymy się w siebie spojrzeć.

Odwróciłam więc wzrok od kawki i od zimowego nieba, odwracam. Nie chciałam patrzeć na mężczyznę, który na mnie leżał, opierając się na łokciach i robiąc swoje, ale wróciłam myślami do jego natarczywej obecności i do natarczywej obecności mężczyzn w ogóle.

Przypomniałam sobie jak przez mgłę, jak to było kiedyś, chociaż tamtego świata i tamtej mnie nie ma już tak zupełnie, jakby nigdy nie istniały ani świat, ani ja, zniknęłam tamta ja i tamten świat ze mną w nim, na długo przed wojną jeszcze. Nie pamiętam tych wszystkich mężczyzn, zlewają mi się w jedno ciało z jednym natarczywym, nachalnym chujem, szybko przecież nauczyłam się zawodowej obojętności, moje koleżanki z łódzkiej ulicy albo potem z naszego burdelu pod gołym niebem, to jest z krzaków nad Wisłą, one dawno poszły do piachu albo do Argentyny, a tam też szybko do piachu, bo taka jest kolej rzeczy, a moje życie wystrzeliło w górę, po czym spadło w dół, wraz ze wszystkimi życiami warszawskich Żydów, ale i tak żyłam lepiej niż one wszystkie. Więcej z życia miałam.

Są takie, oczywiście, które żyją lepiej niż ja i mają z życia o wiele więcej, na przykład ta jego polska kurwa, ale to nic. Sprawiedliwość jest najśmieszniejszą ze wszystkich fikcji, w jakie ludzie pragną wierzyć.

Pomyślałam, że mógłby już skończyć, przypomniałam sobie więc od razu zawodową sztuczkę, wygięłam się pod nim, sięgnęłam między jego pośladki, powiedziałam coś z zawodowym, udawanym podnieceniem, coś dla mnie machinalnego, dlań niezwykłego. Zadziałało. Zaskomlał, skomle, wyprężył się, skończył, zwalił się na łóżko obok mnie i przytulił, wsunął mi głowę pod pachę jak pies, wtulił twarz w moje piersi i zastygł tak, bez ruchu, bez słowa, nawet nie drgnął, czułam tylko na skórze jego oddech. Pozwoliłam mu, uznałam, że to część usługi, jakiej ode mnie w zamian za pistolet zażądał, więc na chwilę mu pozwoliłam i leżał tak, ze schowaną twarzą, dalej bez ruchu, aż straciłam cierpliwość.

– No, starczy tych przytulanek… – burknęłam, odrywając się od niego.

Wstałam, sięgnęłam po miskę z wodą, mydło, ręcznik, umyłam się i wytarłam. On leżał, patrzył na mnie. Nie przeszkadzało mi jego spojrzenie, dawno nauczyłam się spojrzenia lekceważyć.

– Teraz towar – powiedziałam.

Przeprosił natychmiast, przeprasza, nagle zmieszany, usiadł, sięgnął pod łóżko, podał mi niewielki, zawinięty w papier i obwiązany sznurkiem pakunek. Zdjęłam sznurek i papier, nie ubierając się, on też siedział nagi, czekał, aż rozpakuję, i nie podobała mi się ta wspólna nagość, bo sugerowała jakąś bliskość, której nie było przecież między nami, i nie chciałam, żeby była, ale towar wydawał mi się ważniejszy.

W środku były szmaty, tłuste od oleju i silnie pachnące bronią. Znam dobrze ten zapach, jeszcze sprzed wojny. Odwinęłam je, odwijam, w środku pistolet, parabelka.

– Tylko ostrożnie… – zaczął i wyciągnął łapy, żeby mi objaśniać, którędy wylatuje pocisk, ale spojrzałam na niego tak, że od razu dał spokój, cofnął się.

Wyjęłam pistolet z pakunku. Naciskając przycisk, zrzuciłam magazynek, odciągnęłam kolanko zamka, sprawdzając, czy komora pusta, nacisnęłam spust, pstryknęła iglica. Odciągnęłam kolanko jeszcze raz, zablokowałam w tylnym położeniu, zajrzałam pod światło do lufy. Gwint wyraźny, czysto, żadnej rdzy.

Broń była dobra. Jeden magazynek pełen, osiem nabojów.

– Nie ma więcej amunicji? – zapytałam, pytam.

Facet był zaskoczony. I zaniepokojony.

– No nie ma. A pani to skąd się tak zna na maszynach? Wszystkie Żydówki teraz tak potrafią?

– A chuj to pana obchodzi, skąd ja się znam – odparłam sucho.

– Podobno Żydzi broń kupują, żeby jak Niemcy uciekną, komunizm tu zbrojnie wprowadzić.

– Tak…? – zdziwiłam się, dziwię się trochę, bo zbrojnym wprowadzaniem komunizmu nigdy nie byłam zainteresowana.

– No tak na mieście mówią. Bo że getto chce broni, to wszyscy wiedzą. Na szmuglu wszyscy o maszyny pytają.

– A że ta broń na Niemców, to nikomu do głowy nie przyszło?

– Pani, kto to widział, żeby Żydzi do Niemców strzelali. Więc stąd ludzie mówią, że musi o komunizm chodzić.

– A to myślisz pan, że Sowieci się tym sami nie zajmą? Stalin i jego dywizje, tanki i samoloty? Żydów im do tego potrzeba i pięciu żydowskich rewolwerów?

Przewrócił tylko oczami. Ja machnęłam ręką. Przecież nie będę mu tłumaczyła. Polak Żyda nie zrozumie. Ani Żydówki. Nawet takiej niby-Żydówki jak ja.

Naboje obejrzałam dokładnie, oglądam, jeden po drugim, okazało się, że chociaż pistolet niemiecki, to naboje przedwojenne polskie, co mnie zasmuciło, bo im nabój starszy, tym gorszy, a polskie rzeczy trudno cenić. Ale nie było co kaprysić, skoro innych nie ma. Ubrałam się więc, po czym zawinąwszy pistolet w szmaty i papier, schowałam go w bloku miękkiego jeszcze masła, który kupiłam poprzedniego dnia, wiedząc, że jakoś będę musiała tę broń przenieść przez wachę.

Popatrzyłam jeszcze na tego szmuglera, który mi pistolet przyniósł i któremu byłam za to bardzo wdzięczna. Miał chude kończyny, płaskie, obwisłe pośladki i obwisłe, chociaż męskie piersi i wielki brzuch, jednak twardy, nabity wewnętrznym, nie zaś podskórnym sadłem, jak piłka, z wystającym pępkiem.

– Pan jesteś dobry człowiek – powiedziałam nagle, mówię.

Zdziwił się, a przecież był dobry. Lepszy niż większość Polaków, jakich spotkałam w życiu. Mógł zabrać pieniądze, a pistoletu nie dać. Mógł przyjść z jakimś gestapowcem czy innym żandarmem, jak ich wtedy niesłusznie nazywaliśmy, mógł mnie wydać, wszystko mógł mi zrobić. Jak wszyscy oni. A że zażyczył sobie mojego ciała, którego, owszem, nie dałabym mu z własnej woli, bo żadnemu bym nie dała, a jemu szczególnie nie dałabym, gdyby nie zależało mi na pistolecie, gdyby mnie nie zaszantażował, no to sobie zażyczył, to nie było dobre, ale ludzie robią gorsze rzeczy. Dużo gorsze rzeczy. A to, czy kto dobry, czy zły, to nie jest zawsze tak samo. Inaczej się jest dobrym w salonie, inaczej w Treblinkach. W innym świecie to, co zrobił, kwalifikowałoby go jako ostatniego łajdaka. Tam, wtedy, w Warszawie, na Twardej, w piekle, ten człowiek z wydętym brzuchem zachował się zwyczajnie. A biorąc po uwagę całość jego zachowania, uznałam, że mimo tej małej podłości jest dobrym człowiekiem.

Więc zdziwił się, po czym bardzo, bardzo się zawstydził.

Schylił się, sięgnął po spodnie, wciągnął je, sięgnął też po koszulę, jakby nagle zaczął się wstydzić również swojej nagości.

– Ja wiem, że to niegodne, com zrobił – powiedział nagle. – Nie godzi się tak do kobiety, pod szantażem… Ja po prostu bardzo dawno, nic, ja żem po prostu bardzo tak ciała jakiego chciał… Ale wiem, że się nie godzi.

Wzruszyłam ramionami.

– No jasne, że się nie godzi. Ale czasy są takie, że już się nic nie liczy z rzeczy, które się godzą albo nie. Wszystko się godzi i nic się nie godzi.

Pokiwał głową, podrapał się po siwej szczecinie na brodzie.

– Nazywam się Kubicki, Stanisław Kubicki – powiedział.

– W porządku – odparłam.

– Mówisz pani, żem dobry człowiek, tak? To jeśli pani przeżyje, albo raczej jeśli oboje dożyjemy czasów, że wojna się skończy, to niech pani pamięta, że tak pani o mnie pomyślałaś. Że Stanisław Kubicki z Lublina jest dobry człowiek. Że Stanisław Kubicki był dla pani dobry. Że pomógł. Może się jeszcze spotkamy. Może wszystko wtedy będzie na odwrót, nie? Los zmiennym jest.

Nie spotkaliśmy się już nigdy. Nic na to również już nie odparłam. Ubrałam się i wyszłam bez pożegnania, wychodzę. Stanisław Kubicki z Lublina nie dożył czasów, w których wojna się skończyła, zmarł wiosną 1944 roku na tyfus i nic mnie to wteraz nie obchodzi. Po prostu to wiem.

Masło dałam pani Miller, która miała do mnie dużą słabość, od kiedy się dowiedziała, że ja też z Łodzi, jak ona, dałam jej też sto złotych za tę przysługę, bo do stu złotych to w ogóle każdy ma słabość, a wiadomo, że Niemki, nawet takiej folksdojczki, wachman sprawdzał nie będzie. Oczywiście o tym, że w maśle ukryta jest broń, Frau Miller nie wiedziała, przemycać masło to jedno, broń to co innego.

Od kiedy zamiast umrzeć wyszliśmy z Jakubem na aryjską stronę, to się już z parabelką nie rozstawałam, więc teraz też biorę ją ze sobą, wzięłam, chociaż strzelać nie zamierzam. Póki nie wyszliśmy ze szczątkowego getta, w ogóle nie wystrzeliłam z niej ani razu. Naboje są zbyt cenne, żeby broń próbować, nie ma zresztą gdzie. Mam świadomość, że niedługo trzeba będzie zmienić kryjówkę, powinniśmy ją zmienić już jakiś czas temu, ale nie wiem, czy uda mi się go zmusić do ruchu, do czynu.

Ukrywamy się teraz na najwyższym piętrze Wydziału Elektrycznego, całkiem niedaleko, kilkaset metrów od miejsca, w którym stała kamienica, piękna kamienica na rogu Piusa i Koszykowej, w której spędziłam te nie takie najgorsze przecież lata, lata przed wojną, ale kamienicy tej już nie ma. Są mury, ale mury nigdy nie były ważne, tylko treść, która je wypełniała.

Najważniejszą zaletą naszej kryjówki jest to, że schody na ostatnie piętro wyglądają na zawalone. Leży na nich bezładna kupa gruzu, starych mebli, które dołożyłam sama, i prętów zbrojeniowych ze stropu, poszarpane wnętrzności zabitego budynku, w który w czasie polskiego powstania uderzył pocisk moździerzowy.

Nikt nie domyśli się, że wielka stalowa szafa na archiwa, pogięta od wybuchu, może zostać przesunięta, że może w ogóle drgnąć. I nie drgnęłaby, gdyby ją po prostu pchać. Żeby odsunąć ją z miejsca, sporządziłam wielokrążek, z jako taką pomocą Jakuba, którego zdołałam zmusić do tej pomocy już sama nie wiem, nie wiedziałam jak. W piwnicach Wydziału Elektrycznego znalazłam bloczki, które świetnie się do tego nadały, znalazłam też wiele metrów stalowej linki, zrobiłam coś, co wteraz wiem, że nazywa się zbloczem poszóstnym, i chociaż wtedy nie znałam tej nazwy, to wystarczyło odkopać ukrytą w gruzie linkę i ciągnąć, aż wyciągnie się kilka metrów, i szafa odsuwa się o kilkadziesiąt centymetrów, akurat tyle, żeby się przecisnąć.

Gdyby ktoś przed wojną powiedział mi, że będę robić bloczki, posługiwać się ręcznym świdrem, kluczami, śrubokrętami, młotem i dłutem, to roześmiałabym się szeroko i spławiła idiotę. Jako dziecko nauczyłam się posługiwać nożem i uciekać, potem posługiwałam się ciałem, cyckami i dupą, bo musiałam, potem pieniędzmi, żeby nie musieć już używać ciała.

Innych narzędzi nie dotykałam. Książeczka czekowa i pióro, tylko to. Od innych spraw miałam ludzi. Ale getto uczyło wszystkiego. Jeśli Żydówka chciała żyć, to musiała się uczyć bardzo szybko, ludzie budowali bunkry, pomagałam, uczyłam się i nauczyłam. Wiele potrafię. Zrobienie wielokrążka nie jest wcale tym, co potrafię najlepiej. Mam wiele innych cennych umiejętności.

Przy wielokrążku znajduje się też pułapka, którą uzbrajam zawsze, kiedy jesteśmy w środku. Jeśli ktoś pociągnie za stalową linkę, nie rozbrajając wcześniej starannie przeze mnie naszykowanego sowieckiego granatu, który zakleszczam między krawędzią szafy a progiem i z którego następnie delikatnie wyciągam zawleczkę, to granat ten potoczy mu się pod nogi i eksploduje.

Oczywiście, to nie jedyne wyjście z naszej kryjówki. Nie jestem głupia. Jestem nocnym potworem. Wiem, jak powinno się działać, wszystkiego się nauczyłam. Gdyby Niemcy zaczęli węszyć przy schodach, to zaraz to usłyszę, będzie głośno, specjalnie wszystko tak poustawiałam, żeby było. Gdyby więc zaczęli węszyć, to z drugiej strony budynku mam przygotowaną drabinę sznurową. Sama ją zrobiłam, za liny posłużyły mi znalezione w piwnicach Wydziału kable, szczebelki sporządziłam zaś ze wszystkiego, co się do tego nadawało, kijów od szczotek, nóg od krzeseł i tak dalej.

Mało tego, w piwnicy znalazłam też prowizoryczną studnię, którą oczyściłam, musiał ją tam ktoś po rozkuciu podłogi wykopać zaraz po powstaniu, więc mam również wodę, i to w zasadzie, ile zechcę, a o wodę w spalonym mieście jest najtrudniej. Jedzenie zawsze można jakieś znaleźć, wody nie.

Więc moja sytuacja jest niezła. Komfortowa. Jestem z niej całkiem zadowolona. Mam wodę. Niemcy mnie nie znajdą. Mam Jakuba. Żyję. W przeciwieństwie do czterystu tysięcy Żydów i Żydówek z getta, żyję. Żyłam.

Oprócz naszego Wydziału Elektrycznego przetrwały jeszcze w niezłym stanie obok chemia i kreślarnia, przy Noakowskiego, reszta zabudowań Politechniki wypalona, ale tu jest dobrze, tu jest całkiem bezpiecznie. Niedaleko jest szpital Piłsudskiego, też niewypalony, zawsze tam się można przenieść, gdyby było trzeba, cały kwartał między Niepodległości a Filtrami również się zachował, ale tam mieszkają Niemcy, przy Noakowskiego parę kamienic ciągle ma dachy, tam też można nocą przejść, gdyby coś się tutaj działo, mam tam nawet dwa mieszkania upatrzone, ale potem, aż do placu Zbawiciela i jeszcze dalej wszystko wypalone, gołe mury z dziurami po oknach, pięter nie ma nawet, tak samo

w górę, wzdłuż Marszałkowskiej i Mokotowskiej, aż do Alej Jerozolimskich, tu i ówdzie jakiś dom z dachem się ostał, poza tym szkielety.

A że Niemcy tutaj blisko, to wcale nie przeszkadza, to nawet lepiej. My jesteśmy dyskretni, jesteśmy cichutcy i mali, Niemcy nas nie znajdą, już teraz nie mają szans nas znaleźć.

Nie mam ochoty wychodzić, nie chcę wychodzić w tę straszną noc.

Nie boję się, po prostu nie chcę, nie chciałam.

Umiem się poruszać po nocnym mieście, umiałam, nauczyłam się tego dawno temu, umiem się w noc wślizgnąć tak gładko, jak trwoga wślizguje się w ludzkie nie-dusze, więc umiem się z nocą obchodzić, wiem, jak bezszelestnie iść po gruzowisku, wiem, gdzie szukać jedzenia i wody, wiem, jak się ogrzać mroźną nocą, wiem, kogo unikać, a do kogo można warunkowo się zbliżyć, wypytać o wieści, wiem, jak unikać niemieckich wach i patroli, umiałabym nawet być może wyratować się, gdybym się na patrol natknęła, a jednak nie chcę wychodzić w tę straszną, grudniową noc.

Wstyd mi, że umiem się poruszać po nocnym mieście i wślizgiwać w noc, bo za mną, za nami zostali wszyscy ci, którzy nie umieli i nie zdążyli się nauczyć.

W ciągu dnia słyszałam potworne eksplozje.

To nic nadzwyczajnego, eksplozje, huk i trzask pożarów i ten specjalny szum miotaczy ognia, szum przechodzący w huk i znowu w szum, wszystko to słychać od połowy października, ale te dzisiejsze eksplozje były najgłośniejsze, jakie słyszałam.

Gdyby na Elektrycznym zostały jakieś szyby, to pewnie wyleciałyby dzisiaj, bo poczuliśmy, jak wszystko drży, albo raczej ja poczułam, bo on przecież nie czuje już niczego, nie czuje nawet, mam wrażenie, mojej obecności ani własnego ciała.

Nie mam ochoty wychodzić, ale nie ma już zupełnie nic do jedzenia, więc muszę iść szukać, szperać, aż znajdę cokolwiek. On musi zjeść cokolwiek.

Wychodzę, wyszłam, idę najpierw powoli, długo, po schodach z naszego czwartego piętra, w końcu na dziedziniec, między drzewa, bo tutaj na przykład ostały się drzewa, bezlistne teraz i ponure, ale są, a to zawsze coś, kiedy są drzewa.

Myślałam, żeby iść w stronę Filtrów, tam gdzie właśnie są Niemcy. Niemcy, którzy również muszą jeść i mają skąd to jedzenie brać. Więc skoro ktoś im to jedzenie dostarcza, to musi się je tam niedaleko tych Niemców znaleźć. Po to staram się być niezbyt daleko od nich, licząc na to, co po nich zostanie, resztki z pańskiego stołu, na których dwa ciche, małe szczury jak my chętnie się wyżywią.

Niemcy siedzą tam, siedzieli w dawnych domach oficerskich z Funduszu Kwaterunku Wojskowego, z których miałam u siebie w dobrych czasach tak wielu dobrych, stałych klientów. Potem, kiedy pięć lat temu przyszli Niemcy, to się tam wkwaterowali, nowi żołnierze w starych żołnierskich mieszkaniach, i mieszkali niektórzy nawet z rodzinami tych polskich oficerów, a potem, po polskim powstaniu, na dziedzińcu koszar złazili się ci polscy powstańcy, bo tam im Niemcy zrobili punkt zborny i stamtąd ich wysyłali dalej.

A myśmy z Jakubem zostali. Nie mogliśmy pójść ani z cywilami, ani z powstańcami, bo ani on, ani ja nie mamy wyglądu, oboje wyglądamy tak, jakby ktoś nam na czołach słowo ŻYD czerwoną farbą wymalował. Więc zostaliśmy w pustym mieście, w głodnym i zimnym, wypalonym mieście, w którym oprócz nas zostali nieliczni nam podobni i zostali też Niemcy z miotaczami płomieni i ładunkami wybuchowymi, i zostały potwory wychodzące nocami.

Jak ja.

Albo jak Ares.

Różnimy się tym, że on podobno próbuje z nimi walczyć, mnie zaś nie interesuje walka z Niemcami, chociaż nienawidzę ich szczerze, jak każdy. Mnie interesuje przeżycie, nie walka. Chcę żyć, żeby móc dalej nienawidzić. Wtedy nie wiedziałam zresztą wcale, czy on w ogóle istnieje, czy to jedna z tych wielu historii, które ludzie opowiadają sobie z przerażenia światem, w którym przyszło im żyć.

Wteraz wiem.

Pierwszy raz opowiedziała mi o nim kobieta, której imienia ani nazwiska wtedy nie poznałam, potem słyszałam o nim jeszcze parę razy od jej podobnych. Kobieta, która powiedziała mi o nim jako pierwsza, była Żydówką, chociaż mówiła po polsku idealnie, bez cienia akcentu, a wygląd

miała taki, o, w pół drogi. Na ile było widać spod kapot i chust, którymi była otulona.

Spotkałam ją w ruinach kościoła przy Łazienkowskiej, niedaleko gimnazjum Batorego, widziałam ją na długo przed tym, zanim ona dowiedziała się, że ją obserwuję. Paliła zbyt duży ogień. Podeszłam w końcu do niej, ostrzegłam, że się zbliżam i że mam broń, ale że nie musi się bać, nie zamierzam jej obrabować. Uspokoiła się szybko. Nie miała nic, czym mogłaby handlować, więc wymieniłyśmy się tylko informacjami. Powiedziała, że zamierza przeprawić się na Pragę, mówi. Powątpiewałam, czy to możliwe, wzruszyła ramionami, oświadczyła, że może umrzeć, próbując, życie nie ma dla niej znaczenia. Nie ma broni ani nie umie walczyć – gdyby miała pistolet, jak ja, to walczyłaby z Niemcami, jak Ares.

Zapytałam wtedy kto to, ten cały Ares. Powiedziała, że nie wiadomo, ale pewnie jakiś polski powstaniec. Straceniec, któremu nie zależy na życiu, chce tylko zabić jak najwięcej Niemców, zna ruiny jak własną kieszeń, w dzień zaszywa się w jakiejś kryjówce, a w nocy zakrada się, zabija Niemców i ich własną krwią podpisuje się na ścianie, żeby wiedzieli, z kim mają do czynienia. Podpisuje się właśnie ARES, wielkimi, czerwonymi literami.

Zaśmiałam się, śmieję. Bo to bzdury przecież.

Zapytałam, pytam, czy widziała te litery, skoro tak mówi, że wielkie i czerwone. Powiedziała, że nie, ale mówił jej o tym kilka dni wcześniej człowiek z grupy, która podobno ukrywa się w jakimś bunkrze pod ruinami małego getta, gdzieś na Siennej. Powiedziałam jej, nie wiedząc, że się mylę, że pod gettem nie przetrwały żadne bunkry, że tam przecież nie da się nawet wskazać, gdzie były ulice, a gdzie domy, powiedziałam, że widziałam na własne oczy, to nie tak jak tutaj czy na Mokotowie, że stoją wypalone szkielety domów, tylko że nie ma nic, porastające zielskiem pole gruzów. Tak powiedziałam wtedy, a wteraz wiem, że nie miałam racji. Bunkry pod gettem, niektóre i nieliczne, przetrwały.

Odparła mi na to, że ona sama ukrywała się od początku po aryjskiej stronie, ale ten człowiek z bunkra powiedział jej, że Partia ma głęboko pod ziemią, w getcie, cały system bunkrów, w których jest wszystko, prąd, woda i wentylacja, mają broń i zapasy i kryje się tam kilka albo nawet kilkanaście tysięcy Żydów i gdy Sowieci będą już blisko, to wyjdą, uderzą na Niemców

i pomszczą się za pomordowanych braci i Ares będzie walczył z nimi ramię w ramię.

Wstałam wtedy i odeszłam bez pożegnania, wychodzę. Szaleństwo jest zaraźliwe, nie zawsze, ale w takich czasach jak teraz tak. Bardzo zaraźliwe. Trzeba uważać, strzec się szaleńców, ich słów i obecności. Nie dać się zarazić.

Byłam wtedy pewna, że ta kobieta długo nie pożyje. Sądziłam, że utopi się w Wiśle albo zastrzeli ją Niemiec, albo własowiec, ktoś, kto zobaczy jej zbyt duży ogień. Albo zadźga ktoś taki jak ja, tylko zły, w nadziei, że znajdzie przy niej coś do jedzenia.

Wteraz wiem, że się myliłam, przeżyła prawie do samego końca, ukrywała się w lesie, zabili ją polscy partyzanci, bo jak każdego żywego Żyda i Żydówkę chętnie uznali ją za bolszewickiego szpiega, kiedy zaczęła im opowiadać o bunkrach pod ruinami Warszawy, gdzie na sygnał czeka wielka, żydowska armia, tak im opowiadała, więc postawili ją pod drzewem i dowódca z ryngrafem na szyi z pewną przykrością strzelił jej w czoło, nie za bardzo lubił strzelać do kobiet, ale do bolszewickich szpiegów trzeba, takie czasy.

Ja nie jestem taka jak ona. Mnie nie zastrzeli żaden esesman ani Ukrainiec, ani polski partyzant z ryngrafem i nikomu z nas nie dam się podejść ani obrabować. Jestem nocnym potworem, jak Ares, co się podobno podpisuje niemiecką krwią na ścianach. Ale niewinnego człowieka nie zamorduję, aby go obrabować.

Wychodzę więc w noc. Jest cicho i jest bardzo zimno, było. Księżyc jest w nowiu, noc jest nocą doskonałą. Cienka warstwa śniegu skrzypi czasem pod nogami. Dobrze, że jest go niewiele i że wieje wiatr, bo można łaty śniegu omijać, aby nie zostawiać śladów, a nawet jeśli się na nią nadepnie, to wiatr zaraz wszystko rozwieje; nie jest to jeszcze ten ciężki, zimowy śnieg, związany z ziemią, wmarznięty w nią, na którym każdy ślad zostaje wyciśnięty jak w glinie. Niedługo taki śnieg spadnie, będę wtedy musiała ograniczyć moje wyprawy albo wymyślić jakiś sposób na zacieranie śladów.

Wychodzę na wypalony, zbombardowany gmach chemii, wyszłam, i rozważam jeszcze chwilę, czy iść do Niemców, czy podkradać się do nich, niewidzialna, cicha i baczna, ale czuję, że dzisiaj nie, dzisiaj gdzie indziej,

dzisiaj lepiej daleko od ich szarozielonych mundurów i karabinów. Tak mówi mi instynkt. Zawsze ufam instynktowi. Dzięki instynktowi żyję.

Jest ich już mniej niż jeszcze miesiąc temu. Miesiąc temu przejeżdżał tu patrol za patrolem, wybuchy słychać było bez przerwy, bez przerwy coś się paliło, ciągle strzelanina zarówno tu blisko, jak i daleko, przez Wisłę waliły działa i wiem już doskonale, jak brzmi przelatujący człowiekowi nad głową pocisk artyleryjski, i jest to dźwięk straszny i bardzo piękny.

Chowaliśmy się wtedy gdzieś indziej, nie tutaj, w dzień wtuleni w siebie, bez ruchu, zdarzało się nam słyszeć Niemców przez ścianę i nawet nie oddychać, usta i nosy wtulone w rękaw w łokciu, i słyszeliśmy ich przez tę ścianę przez kilka godzin i nawet nie drgnęliśmy, chociaż całe ciało miałam zdrętwiałe, ale nie drgnęliśmy.

Teraz jest ich już mniej. O wiele rzadziej słychać strzały, chociaż ciągle słychać. Patrole jeżdżą rzadziej.

Ruszam więc, zawinięta w ubrania i szmaty, ruszam brudna, śmierdząca, ciemna i bezszelestna, zupełnie inna niż kiedyś, mijam ruiny gmachu chemii, przemykam między drzewami, mała szara szczurzyca, mijam główny budynek Politechniki i jestem na Noakowskiego, tam wchodzę w ruiny, idę powoli, ostrożnie, zawsze blisko ścian, nigdy przez otwartą przestrzeń, gdzie moja sylwetka mogłaby odcinać się wyraźnie od tła. Przez ruiny na Noakowskiego przechodzę do wypalonego szkieletu hali targowej, przemykam tam pomiędzy pogiętymi, stalowymi prętami, sterczącymi jak wielorybie żebra, i w końcu wychodzę na zasypaną gruzami Koszykową, i staję przed ruinami mojej dawnej kamienicy, wrzynającej się kiedyś jak okręt między Koszykową a Piusa, stanęłam.

Moja kamienica. Mój interes, który dostałam, tracąc jednocześnie Jakuba, dostałam na wykupne, żeby mógł się ode mnie uwolnić.

Moja kamienica, w której miałam piękne, wielkie mieszkanie, w nim największy pokój z osobną umywalnią i garderobą był mój i tylko mój i nikt, zupełnie nikt nie miał doń dostępu, a w innych pokojach były moje dziewczyny, tam spieniężały, czyli marnowały swoją młodość i urodę, i z tego właśnie, z tego wszystkiego budowała się moja wolność, czyli pieniądze, bo jedyną miarą kobiecej wolności są pieniądze, którymi może sama w dowolny sposób dysponować. Męskiej też. Więc nie wiem, czemu

mówię, że kobiecej. Może dlatego, że kobiecie trudniej samej te pieniądze zdobyć i nimi dysponować?

Ale teraz z mojej kamienicy zostały tylko zewnętrzne, wypalone mury. Stropy, ściany, wszystko w środku zamieniło się w jedną wielką kupę gruzu. Wieżyczka ze lśniącą kopułką, balkony, dach, wszystko zniszczone. Nic nie ma. W dzień przez okno widać resztki tapety, którą sama pomagałam kleić w moim pokoju, ale w nocy nie widać nic.

Zresztą nie ma czego żałować. Wszystko, co miało dla mnie jakąkolwiek wartość, zabrałam z tego domu cztery lata temu, po tym, jak ogłosili, że zamykają getto.

Trwała wtedy w Warszawie wielka migracja, byle furman z zaprzężonym w szkapę wozem robił fortunę, wożąc żydowskie meble do zamykanego właśnie getta i z getta polskie do aryjskiej części miasta, ludzie biegali jak szaleni za jakimiś mieszkaniami, zapleśniały pokój w getcie kosztował tyle, co przed wojną mieszkanie, a ja spakowałam się do jednej walizki, nawet niezbyt ciężkiej, tak żebym sama była ją w stanie nieść, nie potrzebowałam żadnych furmanów, w ogóle nie potrzebowałam niczyjej pomocy, a pokój, i to nie byle jaki, i nie byle gdzie, bo na Siennej, miałam załatwiony już dużo wcześniej, bo przecież wiele na to wskazywało, że tak właśnie sprawy się potoczą, a ja lubię być przygotowana.

Jakub z rodziną też przeniósł się wcześniej, ale nie byliśmy wtedy przez jakiś czas w zbyt zażyłym kontakcie.

Po aryjskiej stronie zostawiłam meble, większość sukien, zabrałam przede wszystkim to, co utrzymało mnie potem przy życiu: złotówki, dolary, złote ruble, trochę biżuterii, zabrałam też całą moją nienawiść i cały mój gniew. Z gniewu i nienawiści utkana jest moja wola życia, gniew i nienawiść są ciężkie i niesie się je bardzo trudno, ale nieść je trzeba, bo bez nich za wcześnie kończy się tam, gdzie wszyscy i tak skończą.

Nawet więc nie patrzę w tamtą stronę, po co miałabym, w mieście jest ciemno i czarno, szybko i bezszelestnie przecinam to, co zostało z Koszykowej, przecinam Piusa i idę dalej, szłam, przez spalone kwartały, wzdłuż Poznańskiej, ale przez ruiny, nie ulicą, na ulicy niebezpiecznie, przechodzę na wpół po omacku przez zwały gruzów, między ostałymi się

murami kamienic przy Wilczej i przez ich rozwalone podwórza, wspinam się na ceglane pagórki i zsuwam się w kamienne wąwozy.

Został tu tylko szkielet miasta, opuszczony, zamarzły szkielet. Z miejskich kości czasem zwisają jakieś strzępy, jak resztki tkanki na objedzonym przez ptaki końskim szkielecie. Albo innym, ale jak akurat koński szkielet wygląda, wiem bardzo dobrze, dlatego miasto kojarzy mi się z końskim.

Czasem napotykam nagle resztki dawnego świata. Na jednym z podwórek w głębi kwartału, akurat na wysokości sowieckiej ambasady przy Poznańskiej 15, o dziwo nietkniętej, potykam się o książki, potknęłam, leżą na gruzach, rozsypane, wiatr przewraca kartki. Zastanawiam się chwilę, czy jakiejś nie wziąć ze sobą, ale po ciemku nie odczytam nawet tytułów, a nie chcę za dużo świecić latarką. W końcu biorę jedną, niedużego formatu, chowam do worka, idę dalej. Wiem, że tutaj nie ma czego szukać w ruinach, przeszukałam je dokładnie już ze dwa tygodnie temu. Z drugiej strony myślę nagle i zatrzymuję się, na pewno nie było tutaj wtedy tych książek. Skąd na podwórzu wzięły się nagle książki, cała rozsypana biblioteka?

Trzeba o tym pamiętać.

Przypominam sobie, przypomniałam, że na Poznańskiej, prawie na wysokości ambasady, trochę wcześniej, są dwie kamienice, zanotowałam sobie w głowie, że w niezłym stanie, a jeszcze w nich nie byłam, nie sprawdziłam, czy da się wejść i jak wyglądają w środku. A jest to coś, co muszę wiedzieć, jeśli chcę przetrwać. Zastanawiam się chwilę, czy nie spróbować właśnie tam.

Jednak nie, idę dalej, poszłam. Kilka dni wcześniej miałam tam dziwną przygodę, przechodziłam i nagle usłyszałam głosy ludzkie, śmiech, brzęk sztućców, rytmiczną muzykę, wszystko to dalekie i stłumione, ale słyszałam. I to może przez dwie, trzy sekundy. Brzmiało to nierealnie i niemożliwie i w moim wteraz wiem, że to była po prostu halucynacja, coś z innego świata przedostało się do świata mojego, bo przecież wszystko istnieje jednocześnie, to, co było, być nie przestaje i to, co będzie, już jest, wszystko istnieje naraz i czasem powstaje takie krótkie przetarcie się rzeczywistości, rzeczy oddzielone czasem dotykają się.

Ale to nieważne, nieważne. Do tych domów nie chciałam iść, bo byłam wtedy zabobonna, wteraz nie jestem, bo wteraz się nie da.

Chciałam przeszukać na razie ocalałe jeszcze domy przy Nowogrodzkiej, naprzeciwko wypalonego Urzędu Telekomunikacji, Niemcy ich na razie nie ruszyli, bo w nich mieszkali, również po powstaniu. Mam nadzieję, że już się wynieśli, i mam również nadzieję, że coś po sobie zostawili, i jest to chyba ostatnia z wątłych nadziei, na jakich opierałam swoją ogólną nadzieję na to, że dożyję końca wojny.

Przemykam się szczurzymi ścieżkami przez podwórko zakładów Orgelbranda, przebiegam szybko przez Hożą i znowu wchodzę w ruiny, tutaj słabiej znam drogę, więc muszę zapalić latarkę, zapalam na chwilę, oświetlam sobie kawałek drogi, gaszę, idę dalej, dochodzę do Wspólnej, ostrożnie wyglądam, czy ktoś gdzieś nie świeci, czy czegoś nie słychać, ale nie, ciemno, czarno.

Przebiegam więc przez Wspólną, znowu ruiny, szkielety, domy wypalone od dachu po parter, puste skorupy, przechodzę przez dawne pokoje i podwórka, aż do ulicy Świętej Barbary i znowu się przyczajam, czekam. Naprzeciwko, wiem, jest budynek liceum, jako tako zachowany, ale ja przejdę inaczej, przejdę znowu przez ruiny i wyjdę na dziedziniec wypalonego budynku Urzędu Telekomunikacji, wypalonego, ale nie tak jak reszta, w środku ciągle są stropy, schody i piętra. Niemcy siedzieli tu całe powstanie, ostrzeliwując się, powstańcy nie dali rady urzędu zdobyć.

Tutaj więc znajdę sobie dogodny punkt obserwacyjny. Wchodzę od podwórza, idę bardzo powoli, bardzo ostrożnie, badam dłońmi ściany, znajduję w końcu schody, na schodach potykam się o coś, w czym od razu rozpoznaję trupa.

Bardzo dobrze znam się na trupach. Czekam chwilę, nasłuchuję, w końcu decyduję, że mogę włączyć latarkę. Schody nie są blisko żadnego okna, więc światło nie powinno wymknąć się na zewnątrz. Włączam więc latarkę.

Trup jest stary, jeszcze z jesieni, z polskiego powstania. Zdążył się trochę rozłożyć, a potem zamarzł na kamień. Leży na brzuchu. Ma na sobie spiętą pasem bluzę w maskujące wzory, niemiecką, cywilne spodnie, wysokie niemieckie saperki, dobrze podkute, na prawym ramieniu ma opaskę biało-czerwoną z literami WP, orłem i cyframi 124.

Sprawdzam najpierw tylną kieszeń spodni, pusta, sprawdziłam. Odwracam więc trupa na plecy, co nie przychodzi mi łatwo, bo jest sztywny jak manekin, ale w końcu się udaje, odwróciłam. W sinoczarnej masie, która kiedyś stanowiła twarz, widnieją dwie dziury po kulach. Musieli go tu rozstrzelać, w trakcie powstania albo po nim.

Szukam dalej. Obmacuję najpierw klatkę piersiową, znajduję portfel, w portfelu dwieście złotych w młynarkach, jakieś zdjęcia, na zdjęciach kobieta, jakieś dzieci, nie przyglądam się, dalej legitymacja AK, strzelec, pseudonim Waza, imię Andrzej, nazwisko Jankowski. Pieniądze zabieram, zdjęcia i portfel wyrzucam. Zastanawiam się chwilę, czy może się przydać do czegokolwiek legitymacja AK strzelca Wazy, uznaję, że zapewne nie, ale z drugiej strony nie będzie mi ciążyć w kieszeni kawałek papieru, więc biorę.

Na pasie ma dwie ładownice karabinowe. Otwieram, otwarłam. Jedna pusta, w drugiej dwie łódki z karabinowymi nabojami. Waham się chwilę, wahałam, po czym biorę, chociaż nie mam karabinu ani do niczego mi karabin nie jest potrzebny. Ale może ktoś mi za nie coś da. Kiedyś.

Obmacuję jeszcze kieszenie. W jednej wymięta paczka niemieckich papierosów Juno. Biorę. Zapałki, też biorę. Łyżka. Nie biorę łyżki.

I tyle. Teraz muszę mu zdjąć buty, to jedyna rzecz, która tak naprawdę mi się przyda. Buty jednak nie chcą zejść. Giemzowa skóra jest sztywna od mrozu, buty wmarzły w gnijące wcześniej ciało. Wyciągam nóż, zaczynam dłubać nim w cholewach i nagle przychodzi mi do głowy, że kiedy Jakub te buty wzuje i rozgrzeje je ciepłem własnych nóg, to zaczną potwornie śmierdzieć trupem.

Zapewne zaczną. Lepiej mieć jednak porządne, wysokie buty śmierdzące trupem niż dziurawe, ledwie trzymające się kupy trzewiczki, bo w takich trzewiczkach Jakub został, kiedy prawie dwa lata temu wyszliśmy z getta, co samo w sobie jest jakoś zabawne, kiedy przypomnę sobie, jakie buty w tym getcie nosił, bo w całym getcie nikt nie miał prawa mieć piękniejszych wysokich butów niż Jakub Szapiro, tyle mu jeszcze wtedy zostało woli mocy, by obstalowywać sobie piękne buty, a jak tylko widział policjanta albo szmuglera w lepszych, niż on miał, to zaraz zamawiał sobie nowe.

Wysokie buty robiły z niego człowieka. Kto chodził w pantoflach, ten był słaby, miękki, żaden mensz. Mierzwa w skarpetach ubłoconych, w nogawkach błotem powalanych. Panów w butach niskich prosimy prosto na Umschlag. A w wysokich to albo policjant, albo w czasie im właściwym ktoś z Trzynastki, albo bogaty przemytnik, człowiek interesu, albo znaczny urzędnik z Judenratu, prawdziwi, mocni ludzie. Tacy, co z Niemcami interesy robią, biorąc czasem od Niemców po pysku, ale są dla nich partnerami do rozmowy i interesu, mają imiona i nazwiska, nie są tylko numerem ani szarą, rozmytą plamą, na tle której zgrywa się ostry kształt szczerbinki i muszki, ani ciałem do utylizacji, jeszcze nie.

Jakub miał więc swojego czasu tych wysokich butów sześć par, ale najwyraźniej pamiętam go w butach, które szewc z Pawiej uszył mu na wzór jeździeckich, chociaż Jakub w życiu na koniu nie siedział: z jasnej, prawie żółtej skóry, wysokie do kolan, sznurowane na całej wysokości z przodu, przy kolanie wycięte w łuk i spinane jeszcze paskiem na sprzączki. Zapłacił za nie trzy tysiące złotych, dwa razy tyle, co za normalne oficerki. Nosił do nich oczywiście bryczesy, bo żaden prawdziwy mensz nie nosił prostych, długich spodni, a kiedy tylko robiło się trochę chłodniej, to na marynarkę zakładał jasny trencz Burberry i spinał go wojskowym pasem, do tego policyjna czapka i policyjna, oprócz żydowskiej, opaska i tak się przechadzał po całym pierwszym rejonie, wystawał na placu Grzybowskim i wydawało mu się czasem, że wszyscy mu się kłaniają tak samo jak kiedyś, kiedy przechadzał się po Kercelaku.

Ale to nie było ani trochę jak kiedyś. Kłaniali mu się już zupełnie inaczej i nikt już nie szanował Jakuba. Wielu dalej się go bało, niektórym trudno odróżnić strach od szacunku, ale ja umiem, umiem odróżnić bez pudła.

Buty w końcu schodzą, zeszły. Na szczęście miał na nogach onuce, więc buty udało mi się ściągnąć bez trupiej, zgniłej, a potem zmarzłej skóry. Chowam je do worka. Będzie więc Jakub znowu miał wysokie buty.

Wchodzę, weszłam na drugie piętro, znajduję okno wychodzące na Nowogrodzką. Tutaj będzie mój posterunek, był. Kładę się przy oknie, przyzwyczajam oczy do mroku i obserwuję długo cztery kamienice w nieźle zachowanej pierzei między Poznańską a Pankiewicza, obserwowałam. Ich jasne ściany odcinają się niewyraźnie od ciemności.

Czuję, jak marzną mi stopy i dłonie, ale od zimna dotkliwsza jest myśl, że nie mam ich gdzie ogrzać, że nigdzie nie będzie mi już cieplej, że miejsce, do którego wrócę dziś, nie jest miejscem, do którego chciałoby się wracać.

Czekam dwa kwadranse, czekałam, słucham, jak zamarza mi oddech, czuję, jak we wnętrzu starego szalika, którym owinęłam sobie twarz, osadza się wilgoć i jak zamarza od zewnątrz tego szala. W żadnym oknie nie świeci się światło, żadnego ruchu. Słyszę, jak Jerozolimskimi przejeżdża ciężarówka, widzę wąskie kreski jej przysłoniętych frontowymi blendami świateł, ale to nic, to daleko, przejeżdżają, to jakby ich nie było. Jestem dla nich niewidzialna, jestem nocnym potworem.

Kamienica na rogu po prawej, potężna, kiedyś trzypiętrowa, jest spalona, była, zastanawiam się, czy nie należy, należałoby jej przeszukać. Nie ma dachu, z najwyższego piętra zostały resztki, ale myślę sobie, że wcześniej nikt jej nie tknął, skoro zaraz obok mieszkali Niemcy, ale jestem głodna, jestem zachłanna, nie chce mi się przeszukiwać wypalonych ruin, łaknę mieszkań, w których ktoś żył tydzień, dwa tygodnie, miesiąc temu. Ktoś syty i bezpieczny. Ktoś, kto mógł w szafce zostawić woreczek kaszy. Zagubioną konserwę. Wyschnięty na wiór, zmarznięty kawałek chleba, z którego zrobię zupę i wleję ją Jakubowi do ust, żeby żył, niech żyje i niesie swoje brzemię. Łaknę takich mieszkań fizycznie, moje ciało na myśli o mieszkaniach niedawno opuszczonych reaguje jak na myśli o przedwojennych restauracjach albo o tych wszystkich nieludzkich knajpach getta, o dancingu Casanova w Britanii, gdzie nawet ja brzydziłam się siedzieć, bo brzydziłam się tego, kto siedzi obok mnie, a jednak siedziałam, bo zapraszali i karmili. Nie byłam głodna, oczywiście, nie tak jak inni w getcie, ale nie byłam właśnie dlatego, że nie odmawiałam takich zaproszeń.

Pójdę więc do mieszkań niedawno opuszczonych, jakbym poszła do restauracji przed wojną. Albo do rzeźnika. Albo na targ. Jakbym kupiła trefnej kiełbasy, chleba, masła i mleka, do tego wódki i piwa butelkowanego, do tego pomidorów i kartofli, i ogórków kiszonych, jakbym to wszystko przyniosła do jakiegoś bezpiecznego miejsca, rozłożyła i jadła, i piła, i karmiła go. Tak, pójdę do mieszkań niedawno opuszczonych, tam coś znajdę. Nakarmię. Utrzymam go przy życiu.

Tak właśnie mogę go ukarać, utrzymując go przy życiu, tak mogę ukarać siebie i jednocześnie tylko tak mogę dalej go kochać. A miłość do tego złego człowieka to jedyne, co mi pozostało.

Po godzinie, mozolnie wyczekanej, pełnej ciągłego zerkania na tak powoli wędrującą wskazówkę zegarka, tak wątle lśniącą zieloną poświatą, ledwie widoczną, niby ognik świetlika, uznaję kamienice za puste, uznałam. Wychodzę na ulicę, przekraczam ją i wchodzę w bramę kamienicy Frenkentala, pod numerem 44. Latarkę przekładam do lewej dłoni, prawą wyjmuję pistolet i zaczynam ostrożne poszukiwania.

Po trzech godzinach szperania orientuję się, że na dworze robi się jasno, wychodzące na podwórze-studnię okna, wcześniej ślepe, nagle zaczynają odcinać się jaśniej od ścian.

Wszystko, co udało mi się znaleźć w opuszczonych mieszkaniach, oprócz niepotrzebnych mi portretów Hitlera, niemieckich książek i gazet, to jeden całkiem niezły koc, który się przyda, bo największe mrozy jeszcze przed nami, ale najpierw musimy tych mrozów dożyć, nie umrzeć wcześniej z głodu, do jedzenia znalazłam zaś tylko spleśniały kawałek chleba, dwa przemarznięte kartofle, które schowałam za pazuchę, aby odtajały, zeschniętą skórkę od połcia słoniny, resztkę kawy w puszce, jeszcze mniejszą odrobinę herbaty i torebkę sacharyny, którą wzięłam po prostu dla osłody, chociaż wiem, że się nią Jakub nie naje ani na niej nie odżyje. Cukier krzepi, sacharyna tylko rabina. Ale słodzi, nie wzmocni ciała, ale wzmocni wolę, a tylko dzięki woli możemy przetrwać.

Wiem, że powinnam wracać. Mam dość, miałam, by utrzymać Jakuba przy życiu przez kolejny dzień czy dwa. Kartofle nawet przemarznięte, chociaż będą słodkie i niesmaczne, bo, jak wteraz wiem, skrobia w nich rozłożyła się na cukry proste, glukozę, wpuszczą jednak w jego żyły trochę tej glukozy, trochę odżywczych substancji popłynie z krwią Jakubową. W getcie jeszcze potrafiłam ziemniaki ugotować tak, że traciły tę zmarzłą słodycz ze smaku, tutaj nie mam takiej możliwości, bo trzeba je moczyć całą dobę w zimnej wodzie, potem gotować, przelewać. Łatwiej było zresztą zrobić z nich placki i jak Niemcy kiedyś, w listopadzie 41 roku wpuścili do getta wielki transport kartofli, które im zmarzły w drodze do Rosji, to w całym getcie pachniało plackami, wszyscy smażyli.

Powinnam wracać. Myślę, że teraz też zrobię mu placki.

Jestem na najwyższym, piątym piętrze. Postanawiam wyjść na dach, postanowiłam – tak nagle, po prostu przychodzi mi to do głowy, chociaż wiem, że to nierozważne, że nie powinnam. Przede wszystkim dlatego, że muszę jak najszybciej wracać do Jakuba, na Politechnikę, zanim zrobi się zupełnie jasno.

Jestem nocnym potworem, za dnia łatwo mnie znaleźć i pokonać, nawet teraz, kiedy Niemców jest już mniej, kiedy można trochę podnieść głowę.

Powinnam więc wracać, ale tłumaczę sobie, że przylgnę, przycupnę, stanę się jak najmniejsza, a rozejrzę chociaż trochę. Zobaczę, co się dzieje. Chwilę, minutę albo dwie. Jeśli się rozejrzę, to może dowiem się czegoś, co okaże się przydatne. Wiedza ratuje życie. Wiedza to siła. Żyją ci, co wiedzą. Ci, co nie wiedzieli, zostali spaleni.

Znajduję więc wyjście na dach, klapa jest zamknięta na kłódkę, ale za pomocą łomu radzę sobie z nią bardzo szybko, nawet zbytnio nie hałasując, sobie poradziłam. Wychodzę więc i pełznę po dachu, pełzłam, aż docieram do dachu kamienicy frontem zwróconej do Jerozolimskich, pod numerem 43, i pełznę dalej, aż docieram do kalenicy niższego dachu, obok mnie jest jeszcze wyższy, nad tympanonem. Tutaj jest dobre miejsce. Wychylam się zza kalenicy i już wiem, jakie wybuchy słyszałam w ciągu dnia.

Wysadzili w powietrze Dworzec Główny. Na tle jaśniejącego powoli nieba i wypalonych do cna kamienic przy Chmielnej z góry gruzu i kłębowiska poskręcanych resztek stalowej konstrukcji wystaje jedna frontowa ściana tego, co jeszcze niedawno było regularnym, podłużnym prostopadłościanem głównej hali odremontowanego prowizorycznie po zniszczeniach z bombardowań w 1939 dworca. Od tej ściany odchodzi załamane pod kątem prostym ramię, jak ramię biblijnego potwora, który upadłszy, próbuje powstać, wspierając się na odartej z ciała, kościstej ręce, z łokciem wypchniętym ku niebu. Powstać próbuje, ale nie powstanie.

Nie wiem dlaczego, ale to, co widzę, przeraża mnie głęboko, dotyka jakoś inaczej niż wszystkie ruiny, jakie widziałam do tej pory, a widziałam, jak teraz wygląda duże getto, pustynia gruzu ze sterczącym pośrodku niej spalonym kościołem Świętego Augustyna, nic nie zostało z dzielnicy północnej, spod gruzu nie widać prawie zarysów ulic, nie ma śladu po tym, gdzie była Dzielna, a gdzie Karmelicka, a to był przecież mój świat, tym

bardziej mój, im bardziej uciekłam z niego do kamienicy przy Piusa, czy to czyni mnie złą, kiepską Żydówką, że bardziej przeraża mnie wysadzony Dworzec Główny niż miasto starte z powierzchni ziemi w sensie bynajmniej nie przenośnym, lecz dosłownie, miasto, którego mieszkańców Niemcy zawieźli do Treblinek i tam wszystkich tak po prostu zabili, tak zwyczajnie?

Czy ja w ogóle jestem Żydówką? Dla Niemców jestem, ale czy mam im pozwolić decydować o tym, kim jestem?

Kim jestem? Co mnie łączy z Izraelem, z żydowskością? Krew, jeśli krew, to czyja?

Kiedy się nad tym zastanawiam, wtedy czy wteraz, zawsze?

Zauważam ruch na drodze. Z dachu mam niezłą widoczność i zauważam szparki światła, zauważyłam, i słyszę hałas, usłyszałam, w Jerozolimskie z Towarowej skręciła, skręca ciężarówka, od razu słyszę, że półgąsienicowa, gąsienice zamiast tylnych kół hałasują o wiele głośniej niż gumowe opony.

Wycofuję się jak najostrożniej. I tak już czas na mnie, bo dnieje, a ja jestem nocnym potworem, ze świtem tracę swoją moc. Wracam na dach kamienicy przy Nowogrodzkiej i zsuwam się w dół, zamykam za sobą klapę i z pistoletem w garści jak najciszej schodzę klatką schodową, aż docieram na parter.

Do naszej kryjówki na Politechnice wracam, klucząc, trzymam się raczej ruin niż ulic, wracam pospiesznie. Mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi, więc kluczę dalej, zmieniam kierunki, zacieram ślady i w końcu wydaje mi się, że jeśli ktoś mnie śledził, to zdołałam mu uciec, więc wracam do naszej kryjówki.

Jestem dziwnie uspokojona przerażeniem, które odczułam na widok ruin dworca. Jakbym dowiedziała się, że wciąż żyję i jestem człowiekiem. Skoro coś może mnie jeszcze poruszyć po tym wszystkim, co widziałam. Szczura nie porusza widok ruin, ruiny są jego ojczyzną, nocne potwory w ruinach się kochają, skoro przeraziły mnie ruiny dworca, to znaczy, że jestem człowiekiem. Po tym wszystkim, co widziałam.

Po nagich, dziecięcych trupkach leżących na chodniku, trupkach, które przekraczałam, przekraczam, jakbym przekraczała kałużę, jak każdy

przekraczał je, póki nie zabrał ich wóz Pinkierta albo Wittenberga.

Przekraczałam dziecięce trupki, a wraz ze mną przekraczało je moje jałowe łono, które nigdy nie wydało na świat dziecka i które dziecka nigdy na świat nie wyda, i dlatego nie byłam dość dobra dla Jakuba, który musiał sprowadzić na ten świat dzieci, bo miał się za zbyt ważnego, zbyt wielkiego, zbyt pięknego, zbyt walecznego i zbyt wspaniałego, by świat mógł się obyć bez owocu jego lędźwi, bez krwi z jego krwi, bez zlepku jego nasienia.

Nie byłam dlań dość dobra, a teraz jestem wszystkim, co mu zostało, a z krwi, z jego krwi cóż zostało?

Ciągnę za stalową linkę, unoszę szafę na tyle, żeby wejść, przeciskam się, opuszczam szafę, uzbrajam moją pułapkę z sowieckim granatem.

Przyklękam przy nim. Dotykam szyi. Jest puls. Żyje. Oddycha.

– Jakub? – pytam, zapytałam bardzo cicho. – Jakub, to ja. Mam dla ciebie buty. I jedzenie.

Nie odpowiada.

– Jakub? – pytam dalej.

Budzi się nagle.

– Ktoś tu był. Kogoś widziałem. Ktoś tu był – wyrzuca z siebie, po czym z powrotem zapada się w ciemność.

Co się dzieje w jego głowie teraz, co się działo? Co on jeszcze wie, czego dotyka świadomością, co rozumie? Czasem ktoś przychodzi do niego w odwiedziny, tak, szczególnie kiedy rośnie mu gorączka. Wtedy odwiedzają go stary Kaplica, Pantaleon, Munja Weber, doktor Radziwiłek, wszyscy starzy towarzysze ze starego świata, którego już nie ma.

Kładę na podłogę ściągnięte z martwego powstańca saperki. Nakrywam Jakuba nowym, zdobycznym kocem. Za oknem już prawie dzień, mimo to postanawiam rozpalić ogień. Dym pójdzie na korytarz. Użyję najsuchszych, specjalnie na takie dzienne palenie przygotowanych szczapek, wystrugałam je z biurka, przy którym kiedyś siedział sobie jakiś profesor, ale już siedział nie będzie.

Po chwili już się pali, paliło. Sięgam po pustą puszkę po konserwie, odrywam od niej wieczko, kładę na kawałku drewna, znajduję gwóźdź

i gęsto to wieczko dziurawię, uderzając w gwóźdź drewnianym polanem, aby nie hałasować za bardzo.

W ten sposób robię tarkę. Rozdarta przez ostrze gwoździa blacha posłuży jako jej oczka. Wyciągam dwa kartofle zza pazuchy, jeden odkładam na później, a drugi obieram najcieniej, jak się da, i trę go na tej tarce, po czym trę na niej również połowę suchego chleba, starłam, oczyszczając go wpierw ze starej, zmarzniętej pleśni. Doprawiam, doprawiłam solą. Na piecyku stawiam niewielką patelnię, którą zabrałam ze sobą jeszcze z mieszkania tej kurwy, u której się kryliśmy, wysmarowuję ją skórką ze słoniny i widzę, że udało się jeszcze trochę tłuszczu z niej wytopić. Smażę więc jeden spory placek, z tej kartoflano-chlebowej brei. Rozlatuje się, ale jest. Mam też czajnik, a skoro znalazłam trochę starej, ale prawdziwej kawy, nie ersatzu, to gotuję w tym imbryku kawę, słodzę sacharyną i rozlewam do dwóch blaszanych kubków. Nie jest mocna, a jej słodycz ma gorzko-metaliczny posmak sacharyny, ale jest.

Potem siadam przy Jakubie, odwracam go ku sobie prawie przemocą, podnoszę trochę i karmię, karmiłam go, podczas kiedy on tak na wpół siedzi, siedział, a na wpół leży i patrzy na mnie oczami pełnymi nienawiści. Podaję mu rozlatujące się w palcach strzępy placka do ust, kawałek po kawałku, a on je powoli żuje i przełyka. Wkładam mu w dłonie kubek z kawą. Pije. Ja piję swoją. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz piłam prawdziwą kawę. Zjadam dwa ostatnie kawałki placka. Smakują słodkawo, ale są dobre, mączno-kartoflane, chociaż słodkie, i są też wyczuwalnie tłuste, były. Oblizuję palce. Wypijam resztkę kawy.

– Musisz założyć te buty, Jakub. Gdybyśmy musieli szybko uciekać, musisz mieć je na nogach – mówię, ponownie pokazując Jakubowi saperki, powiedziałam.

Patrzy na mnie, długo, prawie nie mrugając oczami. Jakub Szapiro, uciekać, jak to brzmi, jak to wspaniale brzmi.

Czy więc należę już do tych, co od zawsze życzyli mu klęski? Co nienawidzili go, bo wyrósł za duży jak na Żyda, bo pozwalał sobie na więcej, niż Żyd mógł sobie pozwalać, bo nie spuszczał wzroku przed nikim, bo mieszkał, gdzie mu się tylko podobało, jadał, gdzie mu się podobało, i robił, co mu się podobało, chodził po ulicach, po których nie powinien był chodzić, a jeśli już, to przynajmniej z opuszczoną głową, z pokornym

wzrokiem, a on nie był pokorny i po każdej, żydowskiej czy chrześcijańskiej ulicy chodził wypełniony pańską, a jednocześnie bandycką pychą.

Byli też tacy, którzy nienawidzili go, bo kogoś zabił, upokorzył albo uczynił nędzarzem, ale to był margines, bo Jakub był, owszem, złym, skłonnym do przemocy człowiekiem, ale sam się w tym jakoś powściągał, poruszał się zwykle w granicach tego, co uznawał sam za sprawiedliwe, wewnątrz własnych reguł.

Więcej zawsze było więc tych pierwszych.

A ja, czy zaczęłam go nienawidzić, jak oni?

Bo przecież byłam przy nim zawsze. Byłam przy nim, gdy był nikim, byłam przy nim, kiedy był na szczycie i odwrócił się ode mnie, byłam przy nim, chociaż mnie porzucił, bo pochodziłam z tego samego świata co on i nie pasowałam już do jego pięknego, nowego życia, do garniturów, samochodów i zegarków. Porzucił mnie, bo byłam taka jak on, wyrosłam z brudu i nędzy, wyrosłam w górę i nie dałam się zabić ani zgnieść, nie zgniłam, tak jak on nie zgnił, więc porzucił mnie, bo już czegoś innego od kogoś innego potrzebował, ale ja wciąż byłam przy nim, nigdy daleko.

Byłam przy nim również wtedy, kiedy wszyscy się od niego odwrócili i nikt go już nie szanował. Kiedy pogardziła nim nawet jego adwokacka, wychuchana żona, pogardziła nim mimo głodu, kiedy nawet dla niej i dla jego synów nawet stał się przeklętym, potworem, kimś gorszym niż Niemcy.

Nawet wtedy byłam z nim. Tylko ja się od niego nie odwróciłam.

A jednak cieszyła mnie jego klęska, kiedy ukrywaliśmy, ukrywamy się na Politechnice. Cieszyła to złe słowo, ale znajdowałam w niej ukojenie i satysfakcję. Może dlatego, że mam go wreszcie dla siebie.

– Jakub, musimy ci założyć te buty – mówię, powiedziałam.

W końcu kiwa głową, pokiwał. Zzuwam więc z niego rozlatujące się trzewiki, po rozmiarze widzę, że niemieckie, podkute saperki będą mu pasować, naciągam je z trudem na skostniałe, zesztywniałe stopy Jakubowe w onucach i w końcu udało się, Jakub znowu w wysokich butach.

Gaszę ogień w piecu, żeby nie marnować paliwa i żeby nie zaczął dymić, po czym kładę się obok Jakuba, przytulam się do niego, jak najmocniej

umiem, i myślę o tym, że już niedługo, że przetrwamy. W końcu przyjdą Sowieci.

Przypominam sobie o znalezionej książce, ale nie mam siły wstawać, wychodzić spod koca, nie mam też siły ani ochoty czytać, nawet gdyby to był jakiś najlepszy, a nieznany mi romans Dołęgi-Mostowicza. Po prostu więc wtulam się w to, co zostało z Jakuba, i próbuję sobie przypomnieć, jakie było w dotyku i jak pachniało jego wielkie, ciężkie ciało, kiedy było jeszcze jego wielkim i ciężkim ciałem, a nie zaledwie cieniem tego ciała.

Przypominam sobie jego szerokie barki i plecy, potężne ramiona i zachłanne ręce, smak jego potu i zapach jego perfum i kiedy myślę o przedwojennym zapachu jego perfum, to Jakub nagle się odzywa, po raz pierwszy od paru dni:

– Co tu tak śmierdzi? – mówi słabym, bardzo słabym głosem, powiedział.

Kiedy to było, kiedy to powiedział, mówi? Kiedy jest teraz? Czy jestem tu, na Politechnice, byłam, czy gdzie jestem?

Ja też nagle czuję zapach trupa, teraz czuję, wtedy czułam, wyraźny i nagle bardzo silny. Gdzie czuję, gdzie jestem? W szarości? Czyżby zaczął gnić? Wiele razy widziałam, jak ludzie z głodu i wycieńczenia zaczynają gnić za życia, od dawna martwi w sercach, żyją jeszcze niby, ale gniją im ciała, odleżyny podbiegają ropą, lęgną się w nich musze larwy, zjadające te półtrupy za życia, wszystko to widziałam, widzę, gdzie widzę, widziałam?

Zrzucam z Jakuba koc, rozpinam na nim ubrania, szukam tych gnijących odleżyn, szukałam.

Wtedy przypominam sobie o butach ściągniętych z trupa.

DAWID

Spotkałem w życiu wielu złych ludzi, ale nie spotkałem nikogo gorszego niż mój ojciec.

Znałem niemieckich żandarmów, którzy dla zabawy strzelali w tłum, tak po prostu, żeby kogoś zabić.

Znałem w ten dziwny sposób, a zatem całkiem dobrze, samego Frankensteina, jak nazywaliśmy Josefa Blöschego, dwa razy do mnie strzelał, nie trafił ani razu. To bardzo intymna relacja, znać kogoś, bo dwa razy do ciebie strzelał, ale ani razu nie trafił. Więc znałem go dobrze, coś nas łączyło, linia, na której cztery punkty, oko Blöschego, szczerbinka jego pistoletu maszynowego, następnie tegoż pistoletu maszynowego muszka, następnie sam środek moich pleców, ja jednak biegnę i w efekcie punkt na moich plecach opuszcza prostą, łączącą oko Blöschego, muszkę i szczerbinkę, i kiedy po tej prostej podążają trzy wystrzelone w krótkiej serii pociski, to napotyka nie moje plecy, lecz bruk.

Więc znałem Blöschego, który lubił strzelać do ludzi.

Znałem też żydowskiego odemana, który zaprowadził na Umschlag własną żonę i trzy córeczki, pracował zresztą w tym samym rejonie co mój ojciec. Znałem złodziei, którzy kradli głodującym ostatnie kromki chleba, choć sami nie byli głodni. Znałem kobietę, która z głodu zjadła nogę swojego dziecka, nie osobiście, ale widziałem, jak prowadzili ją po ulicy. Znałem takich, których jedyną rozkoszą było cierpienie innych. Znałem ludzi, którzy z zabijania uczynili sobie zawód. Znałem takich, którzy zdradzali przyjaciół. Znałem takich, którzy umieli wyrwać dziecko z rąk

matki i na jej oczach roztrzaskać mu głowę. Znałem takich, którzy gwałcili żony na oczach mężów i dzieci, po to tylko, by potem ich wszystkich pozabijać.

Znałem zdrajców, znałem nienawistników, znałem morderców, tchórzy, karierowiczów, katów, donosicieli, gwałcicieli.

Znałem wszystkie rodzaje zła, jakie można znaleźć w człowieku, mój ojciec jest jednak najgorszy.

Nazywam się Dawid Szapiro. Mój ojciec nazywa się Jakub Szapiro i był kiedyś bokserem, był weteranem dwóch wojen, był królem i bogiem, był aniołem śmierci i był zgorzkniałym mędrcem, ale przede wszystkim mój ojciec jest łajdakiem.

Mój ojciec winien jest wszystkiemu, co się wydarzyło.

Wszystkiemu. Winien jest całemu złu, on, jego wielka postać, jego cuchnący alkoholem oddech, jego drogie ubrania i jego ciężkie westchnienia, które słyszałem zza ściany, kiedy zmęczony siadał przy stole w jadalni.

Miałem dziesięć lat, kiedy zaczęła się wojna, i dziwnie, inaczej pamiętam życie, które było wcześniej. To nie było prawdziwe życie. Prawie jakby tego życia w ogóle nie było.

Ale ojca pamiętam. Pamiętam zapach jego papierosów. I te wszystkie przedmioty, które kochał bardziej niż ludzi i które, kiedyś nędzarz, a potem bogacz, układał przed snem pieczołowicie na nocnym stoliku, złote spinki do mankietów, pistolet o perłowych okładzinach rękojeści, nóż, pióro, złotą papierośnicę, nienawidziłem tego wszystkiego, a jednocześnie przecież mnie fascynowały te jego rzeczy, jakbym oglądając je, dotykając ich delikatnie, tak by się nie domyślił, że ich dotykałem, dotykał jakoś tego, czym albo kim był mój ojciec.

Mieszkaliśmy wtedy w dużym mieszkaniu na Nalewkach, w kamienicy pod numerem 40, zaraz przy placu Muranowskim i było to najlepsze mieszkanie na całej ulicy. Ojciec nie chciał mieszkać nigdzie indziej, dopiero potem się przenieśliśmy do wielkiej willi, którą uznał wtedy za pałac godny wielkości jego osoby.

W domu go nie było prawie nigdy, ani w tym pierwszym, na Nalewkach, ani w pałacu, ojciec miał zawsze swoje sprawy gdzieś indziej, więc to, co

pamiętam sprzed wojny najwyraźniej, to mama i jej samotność. Wiem, że byliśmy wtedy bardzo bogaci, mama zaś była ciągle sama. Kiedy go nie było, a my szliśmy już spać, mama czasem mówiła do siebie. Słyszałem zza ściany, jak siedziała w kuchni, czułem zapach jej perfumowanych papierosów i słyszałem, jak szepcze do siebie, ale nie słyszałem słów, potem słyszałem, jak cicho się śmieje albo płacze i znowu coś szepcze, ale nigdy nie słyszałem słów.

Wteraz wiem, co mówiła, ale zachowam to dla siebie.

Kiedy ojciec się pojawiał, mama nie przestawała być samotna. Pamiętam więc jego wielką, ociężałą postać, potężne barki, duże dłonie. Pamiętam jego zapach – zwykle pachniał alkoholem, tytoniem, wodą kolońską i innymi zapachami, których nie rozpoznawałem wtedy jako damskich perfum, ale i tak czułem ich obcość. Czułem, że nie należą do naszego domu.

Nas ledwie zauważał. Miał mnie i Daniela, mojego bliźniaczego brata, za część wystroju jego kolorowego życia.

Czy może jestem niesprawiedliwy? Czy kochał nas, tylko w takich dziwnych łożyskach i korytach układał się nurt jego miłości?

Może jestem niesprawiedliwy, ale czyż nie jest wobec niego sprawiedliwością nawet taka niesprawiedliwość?

Czy więc miał nas za dopełnienie tego, co uważał za życie godne prawdziwego mensza, czy za tego życia wystrój? Taką rolę odgrywała też mama z całym jej cielesnym i duchowym pięknem, mieszkanie, potem willa, w których mama siedziała sama i sama szeptała do siebie po nocach, i sama po nocach płakała, i my, jego synowie, Daniel i Dawid, nasze biblijne imiona zupełnie bez sensu, bo przecież ojciec nie wierzył ani w Boga, ani w wielką historię naszego narodu, ani w liczby, ani w święte księgi, nasz ojciec wierzył tylko w samego siebie, tylko on sam był czymś, co wyznawał i czcił, i w tym przynajmniej był szczery i prawdziwy, on, bóg, najwyższy kapłan i najgorliwszy wyznawca tegoż boga w jednej osobie.

A my, ja i Daniel? Wydaje mi się, że byliśmy dla niego nierozróżnialni, chociaż wcale nie byliśmy podobni. Ojciec jednak tego nie wiedział, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak różnymi byliśmy ludźmi.

Bo przecież byliśmy ludźmi. Nie dziećmi. Nie synkami. „Moje kochane, małe chłopaczki", mówił w jidysz, kiedy był w dobrym humorze, i tarmosił nasze czupryny. Byliśmy ludźmi, małymi ludźmi i w ogóle nie byliśmy do siebie podobni. Ani do niego.

Daniel na przykład był najlepszym człowiekiem, jakiego znałem. A znałem wielu dobrych ludzi, ale nikt nie był jak Daniel. Daniel był czystą miłością, która przybrała postać chłopca, i Daniel był moim bratem. Daniel był czystą dobrocią. Delikatnością. Empatią. Nie odkryłbyś w nim nawet odrobiny zła, chociaż wteraz wiem, że to niemożliwe, jednak byłem przy nim, blisko niego przez kilkanaście lat i nigdy tego zła w nim nie znalazłem.

Był ode mnie trochę mniejszy i trochę słabszy, i dużo mądrzejszy. Miał ciemne włosy, wielkie oczy i dość wydatny nos, jakby bardziej po ojcu, chociaż nie odziedziczył jego ciężkiej budowy ciała; ja bardziej przypominam mamę, mam włosy w kolorze jej włosów, a mama nigdy nie umiała się zdecydować, czy jest szatynką, czy raczej ciemną blondynką. W słońcu wyglądała na blondynkę, w cieniu na szatynkę, a potem w ogóle nie miała włosów, bo jej zgolili.

Przyszedł taki moment, że to nagle stało się bardzo istotne, mój i mamy kolor włosów, i Daniela, i ojca kolor włosów. Nazywało się to „mieć wygląd", więc mama i ja mieliśmy wygląd, a Daniel nie miał.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy pomyślałem o tym, że Daniel jest inny niż ja. Może kiedy poszliśmy do szkoły, do freblówki CISzO na Krochmalnej 36. Daniel uczył się lepiej, o wiele lepiej niż ja. Czytał z wielkim zapałem, głównie po polsku, i wszystko zapamiętywał, od razu, jakby wypalało mu się to w mózgu już na zawsze. Czytaliśmy Makuszyńskiego, *W pustyni i w puszczy*, czytaliśmy Verne'a, ja prenumerowałem też „Skrzydlatą Polskę", ale w czasie, w którym ja czytałem jedną książkę, Daniel pochłaniał ich cztery. Pochłaniał też kolejne tomy Trzaski, Everta i Michalskiego, studiował je od deski do deski kilkakrotnie, najpierw po kolei, potem przechodząc z interesującego go hasła do haseł, które się zeń rozwijały, i miałem wrażenie, że wszystko to zostaje w jego małej głowie.

Ojciec nawet tego nie zauważył, ale gdy mieliśmy jechać do Palestyny, Daniel mówił już nieźle po hebrajsku, nie tak dobrze jak wujek Moryc, ale

na pewno lepiej niż ojciec. Ja tymczasem, tak jak ojciec, znałem tylko parę słów.

Pamiętam, dokładnie pamiętam, jak mama rozmawiała o Danielu z wujkiem Morycem i jak wujek mówił, że Daniel będzie wielkim człowiekiem, wielkim, ale nieszczęśliwym.

Daniel nie został wielkim człowiekiem, nieszczęśliwy był tylko przez jakiś czas, a co się stało z wujkiem Morycem, nie jestem pewien.

Kogo zresztą próbuję oszukać? Samego siebie?

Wiem przecież wteraz doskonale, co stało się z wujkiem Morycem, wiem, jak leżał nagi ze swoją Zosią, też nagą, leżał w pościeli, jak przyszli źli ludzie, Polacy, wujek sięgnął po pistolet, ale zbyt późno, parę strzałów i już nie było wujka Moryca i jego Zosi, tylko dwa ciągle piękne, nagie ciała, zakrwawiona pościel.

Miał polecieć z nami do Palestyny, ale nie było go w samolocie, potem ojciec, pijany jak byle goj, zawrócił samolot i jednak nie polecieliśmy i wtedy nawet nie miałem o to do niego żalu, bo ani Daniel, ani ja wcale do Palestyny jechać nie chcieliśmy, chociaż podobało nam się to, że polecimy samolotem, ale jakoś pogardzałem ojcem za to, że tak w ostatniej chwili zmienił zdanie, baliśmy się jego pijanego gniewu i strasznie było mi wstyd przed innymi podróżnymi, kiedy ojciec robił awanturę pilotom i w końcu przez niego wylądowali, aż nie wiedziałem, gdzie się podziać, szczególnie że mama zaczęła od razu płakać, tak strasznie płakała. A mogliśmy przecież wysiąść po prostu po międzylądowaniu we Lwowie i wrócić pociągiem, obyłoby się bez tej sceny i skandalu, mama płakałaby, bo mamie bardzo na tej Palestynie zależało, ale przynajmniej nie musielibyśmy się tak wstydzić za niego przed innymi pasażerami.

– Wiadomo, Żydzi – mruknął wtedy elegancki pan w garniturze w kratę, a ja chciałem go za to uderzyć, ale nie mogłem, bo miałem tylko osiem lat, ale przecież rozumiałem doskonale, że należałoby mu za to dać w twarz, i pan w garniturze w kratę sam to chyba też zrozumiał, bo kiedy ojciec odwrócił się do nas, wielki, wściekły i straszny, to pan w garniturze w kratę nagle zaczął starannie udawać, że wcale go w tym samolocie nie ma. Bał się ojca, ojciec go jednak wtedy nie skrzywdził.

Wszyscy bali się mojego ojca.

Zawróciliśmy więc do Warszawy, ale nie zamieszkaliśmy już w naszym starym mieszkaniu na Nalewkach, z którego do szkoły mogliśmy z Danielem chodzić pieszo, tylko przenieśliśmy się do tego wielkiego domu za miastem, w którym wcześniej mieszkał wujek Kaplica. Tata kupił ten dom od wdowy po wujku Kaplicy, bo wujek wtedy właśnie jakoś umarł, i po paru tygodniach w hotelu tam właśnie zamieszkaliśmy, na rogu Puławskiej i Domaniewskiej, w wielkim domu z ogrodem, w okolicy, w której nikogo nie znałem, i wtedy rodzice powiedzieli, że wujek Moryc i ciocia Zosia zginęli w wypadku samochodowym, i ja im wierzyłem.

Było to o tyle dziwne, że wujek nie miał prawa jazdy ani samochodu. A dzieciaki w szkole mówiły, że wujka zastrzelili polscy faszyści. W porachunkach politycznych. Bo wujek był lewicowym syjonistą. Nie rozumiałem wtedy, co to znaczy być lewicowym syjonistą, ale Daniel rozumiał. Wteraz już rozumiem.

Daniel powiedział mi, że my też będziemy lewicowymi syjonistami, jak wujek Moryc, którego Daniel bardzo kochał, będziemy lewicowymi syjonistami, mimo że chodziliśmy do bundowskiej szkoły, gdzie syjonizm traktowało się z niechęcią, jako szkodliwą, niemożliwą do zrealizowania mrzonkę, podczas kiedy żydowscy socjaliści szanowali zasadę rzeczywistości i zajmowali się tym, co tu i teraz, nie zaś snuciem odległych fantazji i marzeniami o żydowskim państwie.

Nie bardzo więc rozumiałem, dlaczego faszyści mieliby zastrzelić wujka Moryca, skoro wujek Moryc chciał tego samego, co faszyści, to znaczy chciał, żeby polscy Żydzi wyjechali do Palestyny. Co innego, gdyby wujek był bundystą, no ale właśnie nie był, skończył, owszem, naszą bundowską freblówkę, ale potem został lewicowym syjonistą.

Pamiętam, że kiedy ojciec wrócił po tygodniowej nieobecności, to było niedługo po tym właśnie, jak mieliśmy lecieć do Palestyny, przypominam sobie, jak jeszcze w samochodzie mama ukrywała pieniądze w naszych misiach, jednak nie polecieliśmy, więc kiedy ojciec wrócił do apartamentu w Hotelu Europejskim, w którym chwilowo mieszkaliśmy, mama się do niego nie odzywała, ojciec miał prawą dłoń w gipsie, nie wiem dlaczego, Daniel podszedł do niego i powiedział mu, tato, ja chcę być syjonistą, jak wujek Moryc. Ojciec wzruszył ramionami i mruknął coś w jidysz, jak zawsze, kiedy był zmęczony, mruknął „daj mi spokój”, wziął z barku

butelkę koniaku i poszedł do swojej sypialni, bo mieli już wtedy z mamą osobne sypialnie, już nigdy razem nie sypiali.

Daniel zapytał go wtedy jeszcze:

– A kim ty jesteś, tata? Bundystą czy syjonistą?

– Nikim nie jestem – odparł ojciec, włożył butelkę pod prawą pachę, odkręcił lewą ręką, nalał sobie koniaku i wtedy tego nie rozumiałem, a teraz rozumiem, bo wteraz rozumiem wszystko.

Ojciec nie był syjonistą, chasydem, bejtarowcem, socjalistą, nie był asymilantem ani bundystą, ojciec mój nikim nie był. Nie dbał ani o Palestynę, ani o ludzi pracy, ani o naród żydowski, ani o Polskę, ani o kapitalizm i święte prawo własności. Mój ojciec miał w dupie sztandary czerwone, biało-czerwone, biało-niebieskie, tym, o co ojciec dbał, był on sam, jego pieniądze i jego ludzie, w tej właśnie kolejności, swój w sobie samym bóg, kapłan i wyznawca.

Daniel zaś dbał o wszystko. Daniel był czystą miłością. Daniel dbał o mamę i o mnie, Daniel dbał nawet o ojca i kochał go o wiele bardziej, niż ja mogłem go kochać, bo tak to jest, kiedy jesteś czystą miłością, kiedy cały się składasz z miłości. Daniel do końca twierdził, że tatuś jest dobrym człowiekiem, tylko zagubionym, i nigdy nie powiedział o nim inaczej niż właśnie po polsku, „tatuś".

Daniel kochał wujka Moryca i ciocię Zosię. Daniel kochał zwierzęta. Daniel nienawidził przemocy i mówił, że mu przykro, że tatuś bije się z ludźmi w ringu, mnie zaś, przeciwnie, to właśnie w ojcu imponowało, to i tylko to: jego boks, jego zwierzęca, potworna siła.

Nie, „imponowało" to złe słowo. Nie chciałem być taki jak on. Myślałem po prostu o tym, jak dobrych rzeczy mógłbym dokonać, gdybym miał to, co miał ojciec. Gdybym miał jego silne ramiona, twarde pięści. Mógłbym zaprząc je do tego, by czynić rzeczy dobre. Nie było mi to jednak dane, zyskałem potem siłę, potem, w drugim długim życiu miałem szerokie, silne ramiona mężczyzny, miałem twarde pięści, ale rzeczy, które czyniłem, nie były dobre, chociaż były konieczne.

Daniela zacząłem bronić jeszcze w szkole. Jak bardzo zatarły mi się potem w życiu tamte czasy, prawie o nich zapomniałem. Lecz wteraz pamiętam, przecież są: w naszej socjalistycznej szkole na przerwie

śniadaniowej każdy wyciągał swoje śniadanie na serwetkę rozłożoną na ławce, ale nikt nie odważył się zacząć jeść, póki nauczycielka nie przeszła między rzędami ławek i nie sprawdziła, czy wszyscy mają coś do jedzenia. Jeśli komuś brakowało, to dzieliło się śniadania innych, tak aby każdy coś miał.

I w takim dobrym, szlachetnym, socjalistycznym świecie my, synowie Jakuba Szapiry, boksera i bandyty, człowieka wujka Kaplicy… Wujek Kaplica też był socjalistą, starym pepesiakiem, ale nie takich socjalistów ceniło się w naszej freblówce. Dla nas, dla Daniela i dla mnie, był po prostu wujaszkiem, siadaliśmy mu na kolanach, on dawał nam cukierki, szczypał w policzek, czochrał po włosach.

Dla innych był strasznym Kaplicą, nemezis, ostatnim imieniem, jakie słyszeli przed śmiercią, albo tym, kto dawał tysiąc złotych w gotówce, jeśli spodobała mu się czyjaś nieletnia córka.

Nie przydawało nam to w szkole sympatii.

Z Nalewek zwykle chodziliśmy do szkoły piechotą, ale zdarzało się przecież, że ojciec polecił komuś nas odwieźć samochodem, a raz czy dwa nawet odwiózł nas sam. A naszym kolegom z ubogich rodzin to się nawet nie śniło, by mogli kiedykolwiek w samochodzie usiąść. To rodziło niechęć, którą doskonale rozumiałem i przeciwko której nawet nie miałem ochoty protestować, póki dotyczyła mnie, bo sam się za to jakoś nie lubiłem, za tę przewagę, i sam się wstydziłem tego, kim mój ojciec jest i jak zarabia na chleb, który jadam.

Potem, kiedy przenieśliśmy się do domu na rogu Domaniewskiej i Puławskiej, daleko od żydowskiej dzielnicy, zwykle odwoziła nas mama, jeździła buickiem ojca, bo ojciec przesiadł się do czerwonego chryslera, którym wcześniej jeździł wujek Kaplica, no i wtedy zrobiło się naprawdę ciężko, codziennie wysłuchiwaliśmy docinków o książątkach na przemian z docinkami o maminsynkach.

Niechęć kolegów bardziej jednak dotykała Daniela niż mnie, prostym prawem ludzkich złych emocji, które niczym woda opływają to, co stawia im opór, by zniszczyć to, co miękkie i wrażliwe. Na prześladowanie Daniela zaś zgodzić się nie mogłem, więc biłem się z każdym, kto próbował go zaczepiać, a Daniel rozdzielał nas i całą łagodnością świata prosił, byśmy przestali, tłumaczył swoimi dorosłymi słowami, że przemoc niczego

nie załatwia, w niczym nie pomaga, niczego nie wyjaśnia, nawet jeśli właśnie krwawił z rozbitego nosa.

Więc byliśmy zupełnie odmienni, Daniel i ja, i tylko z jakiegoś powodu ojcu wydawaliśmy się jednością, jednorodnym wypełnieniem bytu „moi synowie". Jeśli nas kochał, a nie jestem tego pewien wcale, to nie kochał Daniela i mnie, Dawida, kochał „swoich synów", jakbyśmy jednym bytem byli, a więc jakby żadnego z nas nie było w ogóle.

Takie właśnie rzeczy pamiętam sprzed wojny. Prawie nic więcej. Chociaż to przecież tak niedawno. Ale przed wojną byłem jeszcze dzieckiem, a od tego czasu tyle się wydarzyło, że później ten przedwojenny świat wydawał mi się zupełnie nierzeczywisty, jakby go nigdy nie było.

Ale był przecież, jak wszystko. A ja pamiętam wszystko i wiem wszystko.

Po awanturze z samolotem mama nie odezwała się do ojca ani słowem przez pół roku, ojciec zaś miał to w dupie, tak mi się wtedy zdawało, wteraz oczywiście wiem, że nie miał, ale wteraz to nie ma już znaczenia.

Po naszej przeprowadzce do willi, która poprzednio podobno należała do wujka Kaplicy, który z kolei umarł zaraz po tym, jak wypuścili go z obozu koncentracyjnego w Berezie, ojciec na początku bywał w domu jeszcze rzadziej niż wcześniej, a mama bardzo dużo płakała i tylko Daniel potrafił ją wtedy pocieszyć, nawet ja nie, tylko Daniel. Potem jednak to się zmieniło i ojciec znowu był w domu.

Ojciec nie był dla nas niedobry tak, jak ojcowie często bywają. Nigdy nie uderzył ani Daniela, ani mnie, nigdy nie podniósł też ręki na mamę. Nie próbował nas również wychowywać. Jedyną próbą wychowawczą, jaką podejmował, było to, że kilka razy powtórzył Danielowi i mnie, byśmy nigdy nie podnosili ręki na kobietę ani w ogóle na słabszych: nie wolno nam krzywdzić starców, dzieci, kalek. Sam przestrzegał tylko pierwszej z tych zasad, rzeczywiście ojciec nie stosował przemocy wobec kobiet. Kobiety krzywdził inaczej, w bardziej wyrafinowany sposób, tym mocniej, im bliżej niego się znalazły. Powiedział to więc bardzo uroczyście, potem zamknął się w swoim gabinecie i przez drzwi słyszeliśmy obaj, jak płakał, bo oczywiście był pijany. Na trzeźwo nie płakał nigdy, pijany często. Potem, kiedy się uspokoił, wyszedł i powiedział jeszcze, że nie tylko nie możemy ręki podnieść na kobietę, ale gdybyśmy widzieli, że rękę na kobietę podnosi ktoś inny, to mamy mu tę rękę połamać.

Wtedy na samą myśl o łamaniu komukolwiek rąk Daniel się rozpłakał, a ojciec, muszę mu to przyznać, nie powiedział niczego głupiego, niczego w stylu „nie płacz, bo mężczyźnie nie wypada płakać", próbował nawet Daniela przytulić, ale nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać, chwilę więc tak idiotycznie trwali w tym uścisku, zesztywniały Daniel i niezgrabny ojciec, po czym ojciec Daniela puścił, wstał, wyszedł i nie było go trzy dni.

Mama nigdy nie odpowiadała na nasze pytania o ojca, ani gdzie jest, ani co robi. Gdy nie dawaliśmy jej spokoju z pytaniami, mówiła: ojciec wytłumaczy się wam, kiedy wróci.

Któregoś dnia, na tydzień przed wybuchem wojny, ojciec przyszedł do domu i powiedział, że go mobilizują. I że jutro idzie do wojska, bo w końcu nie ma jeszcze czterdziestki.

Śmierdział wódką i papierosami. Dał mamie pieniądze i kluczyki do samochodu, dał też jakieś papiery, na wypadek gdyby chcieli jej samochód konfiskować, i kazał jej uciekać do Rumunii.

Mama zapytała go wtedy, wściekła, po żydowsku, czy już zupełnie oszalał. Czy zapomniał o pogromie w Przytyku. O obozie w Zbąszyniu. O wszystkich antyżydowskich akcjach ostatnich lat.

Ojciec odparł, że o niczym nie zapomniał, bo w ogóle nigdy nie zapomina niczego, nigdy.

– Więc czemu chcesz się za nich bić? Co ci po tej Polsce? Wyjedźmy. Teraz. Wsiądźmy do samochodu i jedźmy stąd jak najdalej. Jeszcze dziś. Mamy pieniądze. Papiery załatwisz.

Ojciec milczał. Drapał się po pokrytym dwudniową, szpakowatą szczeciną policzku i milczał.

– Jakub, nic już nie jesteśmy temu krajowi winni. Przecież oni tej wojny nie wygrają. Nie z Niemcami. Przecież wiesz to tak samo dobrze jak ja. Zapłać komu trzeba. Nie idź do wojska. Nic Polsce nie jesteś winien.

– Nie dla Polski idę… – szepnął ponuro. – W dupie mam Polskę.

– To po co?

Myślał długo nad odpowiedzią.

– Ktoś musi Warszawy bronić… – powiedział w końcu. – To jest moje miasto.

– Co ty bredzisz, Jakub, twoje miasto… Bronić Warszawy… A nas? Mnie? Chłopców? Stawiasz sobie Warszawę za punkt honoru? Sądzisz, że jeśli tak mocno uwierzysz w jakąś fikcję, jak te wszystkie łajdaki w akselbantach wierzą w honor, Boga albo ojczyznę, to staniesz się lepszym człowiekiem? Nie możesz wierzyć w to, co oni, ale chcesz wierzyć w coś równie bezsensownego, więc wymyśliłeś sobie, że dasz się zabić za Warszawę?

– To moje miasto – powtórzył ojciec.

– Co to w ogóle znaczy?!! – krzyczała mama. – Twoje miasto?! To fikcja, czysta fikcja, Jakub, idioto. Nie ma żadnego twojego miasta. Są domy, ulice i ludzie, jak wszędzie, jak w Hajfie albo w Tel Awiwie, albo Nowym Jorku, tam też są domy, ulice i ludzie, tam też może być twoje miasto, możemy je nawet nazywać Warszawą, jeśli chcesz, jeszcze nie jest za późno, idioto!

Ojciec milczał. Podrapał się znowu po brodzie, miał wyjątkowo głupi wyraz twarzy. Patrzyliśmy na niego w napięciu.

– Muszę bronić Warszawy, no… Jestem mężczyzną. Nie mam jeszcze czterdziestki.

– Bronić Warszawy?!! – krzyczała dalej. – A kto nas będzie bronił? Sama mam do Rumunii jechać? Sama nigdzie nie jadę!

Nie oponował. Milczał. Wiedział, że sama nie pojedzie. I widziałem, i pamiętam to wyraźnie, pamiętam go innego niż zawsze, pamiętam, że coś się w nim łamało.

– Muszę pójść. Jestem żołnierzem, przecież rozumiesz…

– Nie, Jakub, nie jesteś żołnierzem. Kiedyś, dawno temu, na chwilę dali ci mundur i karabin, ale nie jesteś żadnym żołnierzem. Jesteś żydowskim urką w drogich garniturach. Jesteś unterwelt. Jesteś bandyta. Apasz. Zapomniałeś już Jabłonnę? – zapytała znowu, już ciszej.

Nie wiedziałem wtedy, o co chodzi.

Mama wytłumaczyła mi później. W styczniu 1919 roku ojciec, licząc sobie wtedy lat 19, poszedł na ochotnika do wojska, do formowanego w Warszawie dwudziestego pierwszego pułku piechoty i niecały tydzień później, bez żadnego przeszkolenia, wyruszył z tą jednostką na front, na Ukrainę. Przesłużył na wojnie półtora roku, a potem nagle, kiedy bolszewicy byli już pod Warszawą, rozkazem Sosnkowskiego wszystkich żydowskiego pochodzenia żołnierzy i oficerów internowano w obozie,

w Jabłonnie właśnie. Porucznik ojca odsyłał z żalem, ale odesłał i przez trzy tygodnie ojciec zamiast walczyć, siedział na pryczy i gapił się w ścianę, i przeżuwał własne upokorzenie. Dzielny żydowski żołnierz broniący pięknej Polski przed bolszewikami.

Potem z inicjatywy Daszyńskiego obóz zlikwidowano i ojciec wrócił do pułku i zdążył jeszcze jakby w ramach przeprosin dostać Krzyż Walecznych, na który zasłużył już dużo wcześniej. No i potem przez całe życie między dwoma wojnami twierdził, że nigdy tego Polsce nie zapomni, że nadstawiał za nią karku, a Polska zamknęła go w obozie, kiedy on chciał za nią walczyć. No ale zdaje się, że jednak zapomniał, skoro pod koniec sierpnia 1939 znowu chciał się pójść za tę Polskę bić.

– Gdybym nie wrócił… – zaczął, ale mama zasłoniła mu usta dłonią i powiedziała, że ma się zamknąć, idiota, a potem, że ma wrócić z tej wojny, skoro już musi na nią iść. Wiedziała, że perswadowanie ojcu czegokolwiek nie ma sensu, że nie da mu się wyperswadować niczego. Nie uciszysz wiatru, mówiąc mu, by przestał wiać. Nie zatrzymasz powodzi, prosząc wodę, by nie wzbierała. Nie przegonisz szarańczy, mówiąc jej „idź precz", i nie zatrzymasz mojego ojca, prosząc go, by został, kiedy chce odejść. Wiedziała o tym o wiele lepiej niż ja wtedy, a tak samo dobrze, jak ja wteraz, bo znała go, mama, tak bardzo, jak tylko jeden człowiek może znać drugiego.

Skoro nie mogła go zatrzymać, to powiedziała mu po prostu, by wrócił.

Bo go potrzebujemy: Daniel i ja. O sobie nie wspomniała. Ojciec, jak zwykle, wzruszył wielkimi ramionami, a zrobił się wtedy już dość gruby, od dawna nie boksował. Mama powiedziała, że go kocha, a on odwrócił się i poszedł do swojego gabinetu, zamykając drzwi od środka, ponieważ nie był w stanie znieść emocji, które bliscy mu ludzie tak nieelegancko pozwalali sobie okazywać. Emocje działały na ojca jak żrący, bojowy gaz, gdy więc się z nimi spotykał, to chował się natychmiast i zamykał za sobą drzwi gabinetu, a jeśli akurat nie mógł, to odwracał się, wychodził, szedł w miasto, pił, łajdaczył się, bił, robił wszystko to, co pozwalało mu zagłuszyć emocje, których nie potrafił znieść.

Daniel oczywiście się rozpłakał, kiedy ojciec wyszedł, a ja, pamiętam, zrozumiałem, że mój ojciec, mój pijany, wielki ojciec jest pusty w środku, jest wydrążony, jest skorupą. Nic w nim nie ma.

Parę dni później, we wtorek, poszliśmy z mamą kopać rowy, to pamiętam doskonale. Ojca już nie było, był już z pułkiem. My w radio słyszeliśmy wcześniej odezwę prezydenta Starzyńskiego, więc kiedy mama oświadczyła, że idzie kopać rowy, powiedziałem, że idziemy z nią, nie pytając w zasadzie Daniela o zdanie.

Daniel nie chciał iść, wiedziałem. I widziałem. Bał się. Daniel bał się tłumów, nienawidził, kiedy obcy doń zagadywali, nie lubił w ogóle gości, wizyt, spacerów, podczas których matka głupim obyczajem każdej matki kazała się nam ładnie przywitać i grzecznie odpowiadać na pytania. Do szkoły przecież ledwie przywykł po wielu męczarniach, a i to z wydatną pomocą wyrozumiałych i troskliwych nauczycieli, a mimo niedobrych, dokuczających mu kolegów, przed którymi musiałem go bronić. A tutaj wielkie, publiczne, grupowe kopanie rowów. Obcy ludzie, Polacy, w wielkiej masie, bał się więc bardzo.

Wiedziałem jednak, to znaczy tak mi się wtedy wydawało, że kiedyś mi za to podziękuje, że jeśli w takiej chwili zostawimy go w domu, to kiedyś będzie miał o to do mnie żal. Nie dałem mu więc szansy wycofać się z twarzą, nie zapytałem, czy nie wolałby zostać, wzięliśmy łopaty, tramwajem pojechaliśmy do parku Ujazdowskiego, tam jakiś oficer przydzielił nas do odcinka kopania rowów, mających służyć za schronienie przechodniom na wypadek ataku lotniczego, mama więc kopała, my z Danielem pchaliśmy razem jedną taczkę, każdy z nas trzymał po jednym uchwycie, wysypywaliśmy ziemię tam, gdzie kazano, i udzielił nam się nastrój wspólnej sprawy, wspólnego, szlachetnego wysiłku. Ktoś klepnął mnie albo Daniela z uznaniem po plecach, ktoś się ucieszył, że tak ładnie chłopcy pracują, ktoś dał kubek wody, kto inny jabłko.

– Dziękuję, że jest pani po naszej stronie. Kto by pomyślał, że Żydzi będą tak dobrze i ciężko pracować – powiedziała do mamy jakaś elegancka, chociaż wybrudzona ziemią pani, kiedy mama ładowała ziemię do naszej taczki.

Mama warknęła do niej wtedy, że nie jest po niczyjej stronie, tylko po swojej, co pasowałoby lepiej do ojca niż do niej, ale rzeczywiście, Żydzi i Polacy kopali te rowy ramię w ramię i z jakiegoś powodu nikt nam nie dokuczał, nawet jeśli obok siebie pracowali żydowski tragarz i polski student, którzy jeszcze miesiąc wcześniej tłukli się w Ogrodzie Saskim.

Jakby nagle cały ocean polskiego antysemityzmu na chwilę czarodziejsko zniknął od tego wspólnego kopania rowów, w których niczym w gotowych mogiłach przechodnie będą mogli się chować przed niemieckimi bombami.

Ojca więc nie było, bo był w pułku, zajęty swoimi sprawami, jak to on, przez całe jego głupie, zepsute, złe życie. Do żadnej Rumunii oczywiście nie pojechaliśmy. Kiedy przyszli zarekwirować nam samochody na potrzeby wojska, mama ojcowskiego chryslera oddała bez protestu, chociaż ojciec wystarał się o jakieś papiery, które przed tym rekwirowaniem miały bronić. Mama jednak nie zamierzała ich używać.

– Bardzo dobrze się jeździ tramwajem – powiedziała i oddała kluczyki panom oficerom, którzy dziękowali uroczyście i dziarsko obiecywali zwrócić samochód nieuszkodzony, kiedy już przejadą się nim w defiladzie po Unter den Linden w Berlinie.

Mama wtedy kazała im iść do diabła z tym samochodem i ich defiladami. Wteraz wiem, że chrysler zamiast do Berlina pojechał do Rumunii, gdzie panowie oficerowie sprzedali go za dobre pieniądze, które wydatnie pomogły im na dalszej drodze życia. Brązowy buick ojca, którym przed wojną jeździła mama, zarejestrowany był na pewnego chłopa analfabetę z Raszyna, pewnie już go u niego szukali, ale oczywiście nie znaleźli, bo stał schowany u nas w szopie za domem, przygotowany na wszelki wypadek, gdyby trzeba było uciekać, ale więcej jakoś nie było okazji nim jeździć.

We wtorek więc kopaliśmy rowy, w środę mama oddała oficerom ojcowskiego, czerwonego chryslera, w czwartek wieczorem grałem z Danielem w szachy, Daniel oczywiście wygrał wszystkie pięć partii, potem słuchaliśmy radia, na kolację były naleśniki z dżemem, w piątek miała być szkoła, ale zaczęła się wojna.

Obudziły nas odległe wybuchy, potem się okazało, że to Niemcy zbombardowali Okęcie i Rakowiec. Mama i Daniel martwili się o ojca, a ja nie, bo ojciec nie martwił się o nas i uważałem wtedy, że nie zasługuje na to, byśmy martwili się o niego.

Mama zajęta była klejeniem papierowych pasków na oknach, żeby fale od wybuchów ich nie porozbijały, Daniel usiłował pokonać strach, czytając książkę, skorzystałem więc z ich nieuwagi, wziąłem lornetkę, wyłazem na

strychu przedostałem się na dach i patrzyłem przez tę lornetkę na ich samoloty.

Rozpoznałem niezgrabne, dwusilnikowe dorniery. Odlatywały znad Warszawy w równych kluczach. Widziałem wybuchy pocisków naszej artylerii przeciwlotniczej, nie widziałem jednak naszych myśliwców.

Bardzo kochałem samoloty. Od kiedy pamiętam.

Nie wiem dlaczego, bo nie interesowały mnie na przykład ani automobile, ani statki, ani kolej, w samolotach było za to coś niezwykle pociągającego, same ich kształty mnie jakoś cieszyły. Perspektywa oderwania od ziemi, spojrzenie z lotu ptaka były dla mnie czymś zniewalająco, uwodząco pięknym. Nigdy nie zapomnę tego naszego krótkiego lotu w 1937, widoku Warszawy pod nami i potem tych wszystkich krzyków, płaczów, i na końcu tego tak przedłużającego się i wypełnionego cierpieniem całej naszej czwórki milczenia.

Może to wtedy pokochałem samoloty? Po tym krótkim locie lockheedem electrą? Kiedy na przykład zacząłem prenumerować „Skrzydlatą Polskę"? Jesienią 1937 czy wcześniej? Nie pamiętam.

Nie chcę pamiętać.

Pamiętam, że nie miałem ostatniego przed wojną, sierpniowego numeru, pamiętam, że ostatni, jaki przyszedł pocztą, był numer z lipca, z piękną grafiką z RWD-16 na okładce. To była chyba reklama; na okładce napisano, że samolot dwumiejscowy, że silnik 60 koni, że dziesięć litrów paliwa samochodowego na sto kilometrów i, przede wszystkim, była cena: 9500 złotych.

Zapytałem wtedy ojca, czy to dużo. Bo to było trochę wcześniej, zanim zaczęła się wojna. Jeszcze w lipcu.

Siedzieliśmy w salonie naszej mokotowskiej willi, grało radio, mama czytała jakąś powieść, miała na sobie letnią sukienkę w wielkie granatowe kwiaty, Daniel rysował, ojciec leżał na kanapie, bosy, w jasnych, płóciennych spodniach i w podkoszulku, z którego dekoltu wystawały mu gęste, siwiejące już włosy na piersi, palił papierosa i patrzył w sufit. Było gorące, szabasowe popołudnie, dojrzałe lato, nasycone sobą, nabrzmiałe w upale, inne niż w czerwcu, nabrzmiałe brzęczeniem pszczół w ogrodzie, wymieszanymi zapachami, ciepłem bijącym od rozgrzanych granitowych

kostek, którymi wyłożono ogrodowe ścieżki. Był spokój, ale coś w tym spokoju gęstniało, tak jak gęstnieje powietrze przed burzą.

To ostatnie takie popołudnie, jakie pamiętam. Może potem jeszcze jakieś się zdarzyły, ale nie umiem sobie przypomnieć żadnego. Wszyscy byli więc czymś zajęci, a ja rozłożyłem nowy numer „Skrzydlatej Polski" i po dokładnym przestudiowaniu wszystkich szczegółów okładkowej grafiki zapytałem ojca, ile to jest 9500 zł, ten wzruszył ramionami, mówiąc, że zależy dla kogo. Że tyle co tanie auto. I że dla jednych to fortuna, jakiej przez całe życie nie zdobędą, a dla innych to można tyle jednej nocy wydać. I dlaczego pytam.

Odpowiedziałem, że tu piszą, że tyle kosztuje samolot, RWD-16.

– Naucz się latać, to ci kupię – powiedział ojciec.

Mama oczywiście zaprotestowała natychmiast, zapytała w jidysz, czy naprawdę tak bardzo zależy mu na tym, by nas zepsuć, ojciec znowu wzruszył ramionami, sięgnął po „Nasz Przegląd" i schował się za płachtą gazety. Ja zacząłem czytać cudowny artykuł podpisany: dr Eugeniusz Przysiecki – o tym, jak autor artykułu wraz z jeszcze jednym oficerem polecieli do Teheranu przekazać samolot RWD-13 jako prezent ślubny szachowi i jego nowo poślubionej małżonce, egipskiej księżniczce Powzieh.

Cały przelot Przysieckiego był w artykule bardzo malowniczo opisany i czułem się, jakbym prawie siedział w tym małym samolocie, jakbym widział te wszystkie lotniska, które autor w drodze do Teheranu odwiedza, jakbym sam przelatywał nad wysokimi górami i nad Morzem Czarnym, słuchając, czy silnik dobrze idzie, jakbym sam awanturował się z tureckimi urzędnikami, a potem przechadzał się uliczkami Bejrutu, przyglądając się europejskim damom mówiącym po francusku i damom arabskim ukrytym pod welonami.

Numer „Skrzydlatej" kończył się grafiką reklamującą Państwowe Zakłady Lotnicze, na której widniał piękny dwusilnikowy łoś, przechylony w nurkowym locie, z karabinem maszynowym wystającym z całkowicie przeszklonej kabiny bombardiera i strzelcem przednim na nosie. Karabiny maszynowe w łosiu nazywały się „szczeniaki" i wydawało mi się to bardzo zabawne, że można określić karabin maszynowy, a więc coś należącego do rzeczywistości zimnej, stalowej, pachnącej oliwą i prochem, mianem

szczeniaka, a więc czegoś, co jest czymś ciepłym, puszystym, zabawnym i słodkim. Karabin maszynowy przecież w ogóle nie jest ciepły ani puszysty, nie bawi się wesoło i nie kłuje tak śmiesznie małymi ząbkami, jak kłują niezdarne ukąszenia małych piesków, które jeszcze nie nauczyły się dobrze gryźć. Karabin maszynowy jest zupełnie inny.

Ale sam bombowiec Łoś całkiem mi się podobał.

Najbardziej jednak lubiłem samoloty pasażerskie i myśliwce, bo były najpiękniejsze. Nie bardzo podobały mi się polskie myśliwskie górnopłaty, bo wyglądały już bardzo archaicznie dla kogoś takiego jak ja, dla kogoś, kto naoglądał się nowoczesnych samolotów w „Skrzydlatej Polsce", więc był na bieżąco z najnowszymi trendami w projektowaniu aeroplanów, najbardziej podobały mi się brytyjskie hurricane'y i spitfire'y, podobały mi się niemieckie myśliwce, messerschmitty, przy których polskie pe wyglądały jak jakieś pokraczne łącznikowce, ale bombowiec Łoś też mógł być, w przeciwieństwie do niezgrabnych, ciężkich na łeb dornierów smukły i piękny, najbardziej jednak podobały mi się maszyny pasażerskie, jak lockheed electra, w którym w 1937 roku siedzieliśmy i z którego tak głupio, tak brzemiennie w skutkach, tak niepotrzebnie wysiedliśmy.

Długo przyglądałem się łosiowi na ostatniej stronie okładki „Skrzydlatej Polski" i potem, kiedy już się wszystko zaczęło, wiele jeszcze razy przeglądałem ten numer, zabrałem go nawet ze sobą, kiedy się z tej willi wyprowadzaliśmy.

W ostatni szabas przed wybuchem wojny ojciec wstał wcześnie rano. Pamiętam to doskonale, bo wszystko pamiętam, bardzo jasno i bardzo wyraźnie. Ojciec wstał więc bardzo wcześnie, ja jednak wstałem jeszcze wcześniej, chciałem pobyć sam, bez towarzystwa, w samotności, nawet bez Daniela. Chciałem pooglądać album z samolotami, może jakiś samolot narysować, może którąś z moich ulubionych, fantastycznych konstrukcji, które tworzyłem w wyobraźni z części oglądanych na zdjęciach samolotów i potem przekroje, rzuty i plany takich zmyślonych maszyn przelewałem na papier.

Były to zwykle ogromne samoloty pasażerskie o wielkich, przestronnych kabinach, w których znajdowały się nawet łóżka do spania, toalety i łazienki, i bawialnie. Na zewnątrz kadłubów umieszczałem półsferyczne

kabiny obserwacyjne i wieżyczki z karabinami maszynowymi do obrony niewinnych pasażerów.

Samoloty bywały nawet sześciosilnikowe, bo wyobrażałem sobie, że im więcej silników w skrzydłach, tym śmiglejsze będą. Taką właśnie wspaniałą maszynę rysowałem od piątej rano, sam w salonie, w ostatni szabas przed wojną.

Na ogonie wymalowałem mu czerwono-białą szachownicę.

Kroków ojca nie usłyszałem.

– To polski samolot? – zapytał, stanąwszy za moimi plecami.

Potwierdziłem.

– Jak się nazywa?

Zastanowiłem się chwilę. Nie nad nazwą, tę miałem wymyśloną już od dłuższego czasu, ale nad tym, czy mu ją zdradzić.

– Dawid 39b.

– Był jakiś „a", skoro ten jest „b"?

– Był. Ale go nie narysowałem. Narysowałem od razu „b". 39b. Dawid 39b.

– Polski samolot nie mógłby się nazywać „Dawid" – powiedział ojciec. – To żydowskie imię.

No więc było nazwy nie zdradzać, oczywiście. Dobrze mi się wydawało, że nie zrozumie. Wzruszyłem ramionami, nie odwracając się znad kartki papieru.

– A dlaczego „be"? – pytał dalej...

– Be jak „bojowy".

– Aha. Dobrze, Dawidzie 39b. Ja muszę już iść.

Wtedy się odwróciłem. Ojciec miał na sobie zielony, polowy mundur, spięty brązowym pasem. Pierwszy raz w życiu widziałem go w mundurze. Kiedy parę razy wzięli go na ćwiczenia, co zresztą słabo pamiętam, to wychodził z domu i wracał w cywilnych garniturach, mundur fasował na miejscu. Pułk chętnie go na te ćwiczenia brał, a ojciec chętnie się tam wybierał, jakby jechał na zasłużone wakacje – traktowany był tam po królewsku, mimo niskiego stopnia podoficerskiego, bo wyżej plutonowego nigdy go nie awansowano, ale wielkiego boksera, choć żydowskiego, a nie legionistę, w warszawskim pułku fetowano chętnie i na sierpniowych

manewrach na północnym Mazowszu organizowano nawet prowizoryczne walki bokserskie.

Teraz zielona, mundurowa bluza ciasno opinała jego potężny brzuch i szerokie ramiona. Na pagonach miał po trzy czerwone belki, na odrobinę siwiejącej już głowie furażerkę. Zdziwiłem się, bo widziałem, że inni szli do wojska w cywilnych ubraniach, dopiero na miejscu dostawali mundury. Własne mundury mieli tylko oficerowie, a mój ojciec, jak już powiedziałem, był zaledwie plutonowym.

– Już masz mundur? – zapytałem.

– Ja tam dobrze wiem, jak jest z mundurami w tym ich cyrkowym wojsku – odpowiedział. – Nie sądzę, żeby się coś przez ostatnie dwadzieścia lat zmieniło. Daliby mi mundur za ciasny i jakieś buty, w których po dwóch kilometrach nogi miałbym w pęcherzach całe. Albo i nie dali wcale. Więc kazałem sobie uszyć na cito.

– I pozwolą ci ten mundur zachować?

– Pozwolą. Mnie pozwolą.

– A dlaczego nie masz rogatywki?

Poprawił furażerkę na głowie.

– Bo mi się te ich idiotyczne rogatywki nie podobają. Wolę furażerkę, wygląda to przynajmniej po ludzku, nie jak z cyrku. W takiej się biłem dwadzieścia lat temu, to teraz też mogę. Często się jeszcze wojsko w furażerkach widzi.

– Karabin też masz swój? – pytałem dalej, pytania zadając mądrzejsze, niż sam zdawałem sobie z tego sprawę.

Roześmiał się.

– Nie, karabin, syneczku, dostanę od Rzeczpospolitej Polskiej. Jeśli karabinu dla mnie starczy. Mam za to co innego…

Sięgnął do kieszeni, pokazał mi mały pistolet, który w niej schował.

– Dla bezpieczeństwa. Gdyby mi jakie oficery za bardzo pyskowały – śmiał się, po czym spoważniał nagle, jakby coś mu tę wesołość ucięło. Matka nie pozwalała mu nigdy pokazywać nam broni, strzegł jej zresztą zawsze przed nami bardzo skutecznie.

Wyciągnął do mnie rękę, przygarnął, niezdarnie, przytulił. Pogłaskał po głowie.

Bardzo go wtedy kochałem, mimo wszystko.

– Nie budź mamy ani Daniela. Niech się wyśpią. Niech odpoczną.

– Kiedy wrócisz? Jak pokonacie Niemców?

– Nie sądzę, żebyśmy pokonali Niemców…

– Jak to…? – przestraszyłem się.

Każda gazeta pisała o tym, jak potężna jest polska armia. A teraz staje się jeszcze potężniejsza, skoro idzie do niej mój ojciec, najpotężniejszy człowiek, jakiego znam. Słuchałem przemówień marszałka Rydza i jakoś nie przekonywały mnie pełne niedowierzania miny ojca czy narzekania mamy, kiedy słuchali ich razem ze mną.

– Tak to. Ale może uda się ich na jakiś czas zatrzymać. Aż się Francuzi ruszą.

Rozpogodziłem się. Tyle mi wystarczy. Że się Francuzi ruszą.

– Mam coś dla ciebie – powiedział.

– Tak? – zapytałem głupio.

Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej małe pudełeczko zawinięte w szary papier i przewiązane sznurkiem.

– Otwórz, dopiero jak wyjadę. Należał do wujka Kaplicy. Teraz jest twój.

Pocałował mnie, wyszedł na dwór.

Wiem doskonale, co się z nim działo potem, wiem wszystko.

Wyszedł mianowicie, stanął na chodniku przy Puławskiej, rozejrzał się, poprawił furażerkę, pomacał nielegalny pistolet w kieszeni. Pod płotem na chodniku siedział jakiś polski wyrostek, ojciec kojarzył, że często pętał się po okolicy. Chłopak, wysoki jak na swój wiek, chudy i piegowaty, gapił się na ojca.

Ojciec wyciągnął z kieszeni na piersi srebrną papierośnicę i zapalniczkę, zapalił papierosa, chwilę się nad czymś zastanawiał, po czym rzucił chłopakowi papierośnicę. Ten nawet się nie zdziwił, po prostu schował ją do kieszeni, zerwał się, jakby ojciec rzucił w niego kamieniem, nie prezentem, i uciekł. Ojciec uśmiechnął się, zaklął głośno po żydowsku,

zarzucił na ramię niewielki węzełek, jaki zabrał ze sobą z domu, i ruszył przed siebie.

Wtedy jeszcze widziałem go przez okno z salonu.

Widziałem, jak szedł, paląc i – prawie jestem pewien – pogwizdując jednocześnie. Patrzyłem za nim, aż zniknęły mi zupełnie z oczu jego szerokie plecy w zielonym mundurze.

W dłoni trzymałem prezent od niego, pudełeczko wielkości dwóch pudełek zapałek. Rozwiązałem sznureczek, rozdarłem papier, otwarłem pudełko.

W środku był nieduży scyzoryk, prawdziwy gerlach od Kobylańskich, z perłowymi okładzinami i dwoma ostrzami, krótszym i dłuższym. Na dłuższym było wygrawerowane hasło „Socyalizm albo śmierć", ostrze zaś było bardzo ostre, co natychmiast sprawdziłem. Scyzoryk był piękny i strasznie mi się podobał, i bardzo się ucieszyłem, po czym natychmiast zrobiło mi się przykro: dlaczego tata nie dał żadnego prezentu Danielowi? Dlaczego dał tylko mnie? Czy powinienem teraz ukryć ten prezent przed bratem, żeby nie było mu przykro, żeby nie było mu żal, że nic nie dostał? Ale jak miałbym się nie podzielić z nim radością z prezentu?

Pokazałem więc w końcu scyzoryk Danielowi. Zapytałem fałszywie, czy nie chciałby go dostać ode mnie. Odmówił. Daniel potrafił cieszyć się z mojej radości bez cienia zawiści.

Mój ojciec poszedł zaś przed siebie. Mój ojciec, który od dawna nigdzie piechotą nie chodził, teraz jednak poszedł piechotą, nawet nie tramwajem, wiem, że nie pojechał tramwajem, tylko po prostu poszedł, chociaż do cytadeli, gdzie mieściły się koszary jego pułku, było przecież dobre osiem czy dziewięć kilometrów.

Poszedł, nawet nie spojrzawszy przez ramię na swojego czerwonego chryslera, którego tak lubił, a którego wtedy jeszcze nie zarekwirowali; stał na chodniku przed domem.

Ruszył więc piechotą. Żeby rozchodzić nowe, piechociarskie trzewiki z grubej skóry, podkute gwoździami i dobrze opatrzone owijaczami, żeby rozruszać odwykłe od chodzenia mięśnie, żeby popatrzeć na miasto z innej niż na co dzień perspektywy, żeby cieszyć się mijającym chłodem letniego poranka, pogodą, życiem. Popatrzeć na śpieszące do swych zajęć

dziewczyny, na kombinujących coś jak zwykle wyrostków, na samochody, na tramwaje.

Po dwóch godzinach z kawałkiem doszedł do Cytadeli, utykając trochę, bo na prawej nodze zrobił mu się pęcherz. Oficer, biegający po dziedzińcu z obłędem w niewyspanych oczach, sprawdził ojca, skierował go do odpowiedniego sierżanta, ten zdziwił się ojca mundurem i był z tego ojcowskiego munduru posiadania wyraźnie niezadowolony, ojciec jednak zapytał, czy pan sierżant chce Najjaśniejszą Rzeczpospolitą zubożyć o jeden niepotrzebny mundur, a niepotrzebny, bo plutonowy Szapiro mundur już własny posiada. Sierżant pogderał i machnął ręką, po czym odesłał ojca do kompanii ciężkich karabinów maszynowych w drugim batalionie, który pobrawszy przydzielone mu uzbrojenie, sprzęt, umundurowanie, zapas amunicji i żywności, wymaszerował wczoraj z Cytadeli i teraz mobilizował się dalej na Marymoncie, na skraju Lasku Bielańskiego, tak że w drogę marsz, plutonowy.

Ojciec, uśmiechając się od ucha do ucha, zaprotestował, że ma już dość chodzenia, że szedł tutaj aż z Mokotowa i jeszcze nie dostał przydziału, a już ma pęcherze na nogach. Sierżant nawet nie próbował zrozumieć tego żartu, ojciec ruszył więc w dalszą drogę, przeszedł na Marymont, ciągle w znakomitym humorze.

Sam nie rozumiał powodów tej wesołości i to tylko ów znakomity humor jakoś zmącało, właśnie humoru tegoż tajemnicze, niezrozumiałe powody.

W drodze na Marymont zatrzymał się nawet przed witryną jakiejś kawiarni, spojrzał na swoje odbicie w szybie, za którą wystawione były różne ciasta i torty, i zapytał sam siebie, nagle poważny:

– No i czego ci się żydowska morda cieszy? No czego?

Nie wiedział.

A ja wiem.

Ojciec charakterologicznie źle nadawał się na żołnierza. Ostatnie dwadzieścia lat swojego życia spędził, starając się o to, by nikt, zupełnie nikt nie mógł wydawać mu rozkazów, i w końcu, od jesieni 1937 roku już rzeczywiście nikt nie mógł mu rozkazów wydawać, ojciec odsunął się trochę od całej brudnej roboty, nie chadzał już na Kercelak, nie katował się treningami, nie boksował, wszystko się uspokoiło. Mógł żyć normalnie.

Pod koniec 1938 roku dogadał się nawet z bojówkami Bundu, pił wódkę z samym mitycznym nieomalże towarzyszem Bernardem, jak nazywano powszechnie Bernarda Goldsteina, szefa zbrojnego ramienia Bundu, pił też wódkę z Dzięgielewskim z Akcji Socjalistycznej, bojówki PPS-u zrzeszającej chrześcijańskich robotników. Jeden i drugi patrzyli na ojca oczywiście z pewną odrazą, wisiało nad nim to słowo, unterwelt, półświatek, ani Goldstein, ani Dzięgielewski nie pozwoliliby sobie na to, by widzianymi być ze znanym bandytą i bokserem Szapirą, ale niewidziani chętnie z nim rozmawiali, zapijając tę odrazę kolejnymi kieliszkami, potrzebowali go bowiem po swojej stronie, potrzebowali mojego ojca, grozy, jaką budził, ludzi, którzy słuchali go wskutek tej dziwnej, nierozplątywalnej mieszaniny strachu i szacunku, on zaś potrzebował ich, zwłaszcza że mając lat 37 i potem 38, chciał już tylko spokoju, nie chciał już podbojów, zdobyczy i triumfu, chciał siedzieć w fotelu w swojej pięknej willi, czytać gazetę, słuchać radia, popijać piwo i nie czuć tych wszystkich namiętności, jakie dudniły mu w sercu i w duszy przez całe życie. Tak mu się przynajmniej wydawało.

I znalazł ten spokój. Przesiadywał w domu, pilnował interesów, czytał gazety i dużo rozmawiał z ludźmi znającymi się na finansach, mądrze inwestował pieniądze, nie łamał prawa, martwił się zaostrzającymi się stosunkami międzynarodowymi i perspektywą nadchodzącej wojny, pił dużo mniej, nawet trochę dał sobie spokój z babami, jadł i tył.

Po czym nagle zorientował się, że dobiega czterdziestki. Że przez dwadzieścia lat walczył i w końcu wygrał, a teraz nie wie, co ma zrobić z tą wygraną. Że patrzy na swoją żonę, na swoich synów, na swoje pieniądze, na majątek, na całe swoje życie, jakby patrzył na coś, co jest już zamknięte. Kompletne. Skończone.

Może dlatego coś, co miał w środku, coś bardzo małego, bardzo głupiego i na co dzień prawie niemego, cieszyło się z tego, że wyrusza na nadchodzącą wojnę. Oto jeszcze nie umarłeś, Jakubie Szapiro, mówił mu ten głos. Oto coś się jeszcze może wydarzyć w twoim życiu, a wydawało ci się, że już nic się nie wydarzy. Oto wszystko jeszcze przed tobą, złe i dobre.

Ojciec czuł w sobie ten prawie niewidoczny cień radości i bardzo się go wstydził. Ale czuł. Dlatego zapytał o to swojego odbicia w witrynie kawiarni, zapytał ze złością, a potem poszedł dalej i znalazł swój batalion.

Zamieszanie panowało tam potworne. Zmobilizowani właśnie żołnierze tłoczyli się przy nitowanych skrzyniach tłustych kuchni polowych, przyciągniętych tutaj na szprychowych kołach przez zabiedzone konie, przy kuchniach dymiących już ochoczo, z których optymistycznie spoglądającym w przyszłość wojakom wydawano na polepszenie nastroju obfite porcje grochówki.

Na korpusach polowych kuchni żeliwne tabliczki informowały, żeby nie rozpalać przed nalaniem wody, kotły w otworach stale zmieniać, w lesie komin opuszczać, na mostach drewnianych popielnik zamknąć, poniżej zaś podawały czas, jaki od rozpalenia minie do zagotowania wody na kawę, jak również do ugotowania innych podstawowych potraw.

Było południe i był upał, wszędzie pachniało kuchennym dymem, nigdy wcześniej niefasowane mundury wprost z magazynów czuć było naftaliną, a juchtową skórą nowe trzewiki, nerwowo dopasowywane przez spodziewających się forsownych marszów piechurów, przede wszystkim zaś śmierdziało końmi, ich potem i gównem, bo koni w pułku piechoty było niewiele mniej niż w kawaleryjskim. Przeprowadzano dziesiątki tych taborowych rumaków i mierzynów z jednego miejsca na drugie, na pozór bezładnie, przeganiano, zaprzęgano do biedek, taczanek i wozów i jakoś powoli, już na oczach mojego ojca, ta bezładna masa sprzętu, ludzi, koni i materiałów układała się według organizacyjnych schematów, z ich pracowicie wyrysowanymi na papierze trójkątami, kwadracikami i kółeczkami, z krzyżykiem, bez krzyżyka, z przekreśleniem i dziesiątkami innych symboli, a w tych schematach plutony składają się w kompanie, kompanie w bataliony, bataliony w pułki, wszystko rozwija ze stanu pokojowego do wojennego, obudowuje się jeszcze pułkową infrastrukturą, szewcami i krawcami, kucharzami i weterynarzami, rymarzami i telefonistami z rolkami cienkiego drutu, kapelanem, lekarzem i zbrojmistrzem, dwukołowymi biedkami, taczankami, wozami taborowymi, bryczkami, armatami pułkowej artylerii i przeciwpancernymi boforsami, batalionowymi cekaemami i moździerzami, kompanijnymi granatnikami, radiostacjami i całą resztą.

Miejsce mojego ojca w tym powoli porządkującym się chaosie, pełnym krzyków, bieganiny, końskiego rżenia i zagubionych szeregowych bez munduru i przydziału, było określone bardzo precyzyjnie. Ojciec mój,

plutonowy Jakub Szapiro, był karabinowym trzeciego karabinu maszynowego w drugim plutonie kompanii ciężkich karabinów maszynowych i broni towarzyszącej drugiego batalionu dwudziestego pierwszego pułku piechoty Wojska Polskiego, noszącego zaszczytne miano „Dzieci Warszawy".

Jako karabinowego w stopniu plutonowego ojca mojego zadaniem nie było bynajmniej strzelać samemu z karabinu. Tym zajmował się celowniczy. Ojciec mój dowodził tym najmniejszym w wojskowej strukturze pododdziałem, który w kompanii ciężkich karabinów maszynowych każdego pułku wojska polskiego nosił miano karabinu właśnie, będąc w kompanii ciężkich karabinów maszynowych ekwiwalentem drużyny lub plutonu, jak z kolei nazywano najmniejszy pododdział w kompanii strzeleckiej albo sekcji, jak zwano ją w kawalerii.

Będąc karabinowym w stopniu plutonowego, ojciec mój dowodził zaraz po nim w hierarchii oddziału stojącym celowniczym, kapralem Andrzejem Głowackim, w cywilu praskim szewcem, którego zadaniem było strzelać z ciężkiego karabinu maszynowego wzór 30, dalej taśmowym, starszym strzelcem Jerzym Kawulskim, lat dwadzieścia cztery, w cywilu krzepkim kamieniarzem, również z Pragi, który zajmował się pilnowaniem tego, by taśma amunicyjna równo wchodziła do cekaemu, pozwalając jego mechanizmom bez pudła wyłuskiwać z niej kolejne naboje i następnie żwawo odstrzeliwać je ku chwale Ojczyzny, wrogom zaś na pohybel, a prócz tego w jego gestii leżało to, by przy ciężkim karabinie maszynowym były zawsze co najmniej dwie skrzynki amunicji, żeby właściwa była proporcja amunicji zataśmowanej do tej przenoszonej luzem i tym podobne małe starania o jak najsprawniejsze działanie tej wielce udatnej maszynki do zabijania.

To jednak nie wszyscy ludzie, którymi dowodził mój ojciec, bo całkiem liczna była pula żyć ludzkich, które Rzeczpospolita Polska powierzyła ojcu mojemu, aby używał ich ku jej pożytkowi. Po taśmowym następował pomocniczy, strzelec Jan Brzoza, lat dziewiętnaście, uzbrojony teraz w karabinek z bagnetem, ociężały robotnik z Woli, którego zadaniem była obserwacja przedpola i funkcjonowanie jako łącznik karabinowego, dalej dwaj amunicyjni, strzelec Janusz Mączewski, lat osiemnaście, i starszy strzelec Szmul Lubawer, lat trzydzieści dwa, obaj z Otwocka, obaj zbrojni

w karabinki z bagnetami, z zawodu odpowiednio maturzysta i kupiec, i na koniec woźnica, na pierwszy rzut oka tępy chłop spod Mławy, strzelec Józef Bania, który jednak pod swą powierzchowną tępotą skrywał serce wrażliwe i czułe, na plecach niósł karabinek, zaś pod swą opieką miał dwukołową biedkę, na której przewożony był wspomniany wyżej pomalowany na oliwkowozielony kolor, polskiej produkcji cekaem wzór 30, z kryjącą lufę pękatą wodną chłodnicą. Opiekował się Bania również ciągnącym biedkę mierzynem, wątłym, chuderlawym konikiem gniadej maści, niewiele większym od osła i podobnie jak osioł tępym. Mierzynek nosił imię Marchew i cała obsługa karabinu od razu Marchewę pokochała gorącą miłością.

Wszyscy spotkali się na rogu Leśnej i Gdańskiej na Marymoncie, gdzie do stanu wojennego mobilizował się drugi batalion. Mojego ojca do pododdziału przyprowadził podporucznik Jelenta, dowódca plutonu cekaemów, zaanonsował go pospiesznie, żołnierze, oto plutonowy Szapiro, o którym może słyszeliście, znany bokser, będzie karabinowym w tym karabinie.

Brzoza o Szapirze słyszał, bo był robotnikiem z Woli. Słyszał o nim, bał się go, ale podziwiał go też i szanował, i na słowa porucznika rozdziawił gębę z wrażenia. Słyszeli coś tam o Szapirze również Głowacki i Kawulski z Pragi, ale niezbyt ich ta wiadomość poruszyła, bo nie interesowali się ani boksem, ani Żydami, gazet nie czytywali, teraz zaś zajęci byli tylko martwieniem się, co też się stanie z ich warsztatami pod ich nieobecność, i żaden z nich nie wierzył, iż odpowiedniej staranności dołożą ci, w których ręce w momencie mobilizacji warsztaty przekazali.

Słyszeli o Szapirze również Szmul Lubawer i Janusz Mączewski z Otwocka. Pobożny Lubawer aż wzdrygnął się na to wstrętne mu nazwisko: Szapiro był dlań kimś gorszym nawet od najgorszego z gojów, Żydem, który wyparł się religii, tradycji i wszystkiego co święte.

W pułku prowadzona była koszerna kuchnia dla żydowskich żołnierzy: strzelec Lubawer ze zgrozą patrzył więc, jak na przywitanie plutonowy Szapiro zamiast udać się do tej kuchni, sięga po talerz grochówki, w której pływają kawałki mięsa ewidentnie świńskiego i zaczyna wcinać grochówkę bezwstydnie i ze smakiem.

Osiemnastoletniemu Mączewskiemu na widok Szapiry świat się zawalił. Właśnie zdał maturę, zamierzał rozpocząć studia na Politechnice Warszawskiej, wstąpił niedawno do Młodzieży Wszechpolskiej, w styczniu uczestniczył nawet w pogrzebie Dmowskiego, a teraz miał służyć pod rozkazami nie tylko jakiegoś tam Żyda, ale najstraszniejszego z Żydów, takiego, którego nie tylko się brzydził, ale jeszcze się bał. Wbił więc wzrok w zawartość swojej menażki, jadł dalej powoli, pełen myśli ponurych i najgorszych przeczuć.

Strzelec Józef Bania rodem z Dzierzgowa w przasnyskim powiecie nigdy nie słyszał o żadnym Szapirze i słyszeć nie chciał, bo jedyne, czego chciał, to aby go czym prędzej z tej wojny do domu puścili, żeby przynajmniej na dożynki wrócić, martwił się zaś tym, czy jego ojcowskiego konia, co to go do wojska razem z nim, Józefem, zabrali, po wojnie do gospodarstwa ojcowskiego Polska odda, czy też konik, o ileż lepszy od mierzynka Marchewy, pójdzie na zmarnowanie. Swoim ewentualnym zmarnowaniem martwił się o wiele mniej niż końskim, bo ludzi w Dzierzgowie nigdy nie brakowało.

Ojciec mój, patrząc na tych ponurych raczej wojaków, oczywiście nic o nich nie wiedział i niespecjalnie go też to, kim są, skąd pochodzą i co mogą o nim myśleć, interesowało. Od sierżanta szefa kompanii wyfasował potrzebne mu poza mundurem wyposażenie, oczywiście nie obyło się bez gderania na to, co to za żołnierz przychodzi w swoim mundurze, ale tak już z moim ojcem było. Mój ojciec robił rzeczy po swojemu. Bo mógł i chciał.

Wyfasował więc tornister, w nim koc, płaszcz, płachtę namiotową, menażkę, zapasową koszulę, onuce, ręcznik, chustkę do nosa, sznurowadła zapasowe, troki, przyrządy do czyszczenia broni, żelazną rację żywności, suchary, przybory do szycia i sztućce, chlebak, w chlebaku zaś sól, manierkę, chleb, mydło, do tego dwie podwójne ładownice na pas, bagnet z żabką, łopatkę, nieśmiertelnik, opatrunek osobisty, karabinek wz. 29 i sześćdziesiąt nabojów i oprócz tego standardowego zestawu, jako dowódca karabinu dostał jeszcze busolę.

Na swój osobisty karabinek popatrzył z zadowoleniem: był to przyzwoity, celny mauzer z Radomia, polskiej produkcji, o wiele lepszy od francuskiego berthiera, z którym przesłużył większość ostatniej wojny, nie

mówiąc już o jednostrzałowym austriackim werndlu, jaki wręczono mu razem z pięcioma nabojami, kiedy się w 1919 roku zaciągnął po raz pierwszy. Zapewne dlatego, że spodziewano się, iż tchórzliwy Żydek przy pierwszej okazji porzuci ten karabin albo przejdzie z nim na stronę bolszewików.

Teraz wrócił więc do swojego pododdziału, dojadł resztę zupy i zajął się przeglądem wyposażenia cekaemu, skontrolował wodnik, taśmy, celownik kątowy do ognia pośredniego, sprawdził podstawę i uprząż na mierzynku, o piętnastej zaś dowódca pułku, pułkownik Sosabowski zarządził pogotowie marszowe i krzątanina wcześniej już nerwowa stała się zupełnie szaleńcza.

Dowódca plutonu, podporucznik Jelenta miotał się jak oszalały, bo gdzieś zniknął jego zastępca, sierżant Zadrożny i ciągle nie było koni do biedek amunicyjnych plutonu. Porucznik zabrał więc ze sobą Szapirę, którego znał z ćwiczeń, i poszedł zrobić awanturę kwatermistrzowi.

– Czy ja sam mam te biedki ciągnąć, do kurwy niemytej? – wrzeszczał podporucznik do kwatermistrza, kapitana Adolfa Miecznickiego, który akurat załatwiał sprawy w punkcie mobilizacyjnym drugiego batalionu, nie bacząc, że wrzeszczy tak do starszego stopniem. Uznał, że skoro nie słyszy go dowódca, to łatwo użyć może tej naturalnej przewagi, jaką ma zawodowy oficer nad oficerem rezerwy, nawet wyższym stopniem.

Pułkowy kwatermistrz był łysym Żydem, równie zażywnym, co zasymilowanym, w cywilu adwokatem, teraz zaś kapitanem rezerwy właśnie, jednym z dwóch oficerów pochodzenia żydowskiego w całym pułku. Drugim był podporucznik Zelnik Rotman, dowódca plutonu moździerzy w pierwszym batalionie, który jako fanatyczny bundysta asymilantem Miecznickim gardził i w ogóle nie chciał go znać, a potem poległ.

Miecznicki w końcu na wrzaski Jelenty odpowiedział swoim wrzaskiem, mimo że był doń nieskory, i kiedy już obaj się nawrzeszczeli, to mierzyny do biedek nagle się znalazły, przyprowadził je jakiś zagubiony razem z nimi woźnica i podporucznik Jelenta odszedł z powrotem do plutonu, konie prowadząc własnoręcznie, co mogło uwłaczać jego oficerskiemu autorytetowi i uwłaczało, ale Jelencie za bardzo się spieszyło, bo zaraz mogli trąbić na wymarsz. Mojemu ojcu kazał zostać przy kwatermistrzu,

aż się znajdzie Jelenty zastępca. Ojciec więc usiadł na jaszczu artyleryjskim, którego wcale tu być nie powinno, ponieważ bezwzględnie powinien się znajdować w miejscu, w którym mobilizował się pułkowy pluton armat piechoty, nie zaś w kompanii ciężkich karabinów maszynowych i moździerzy drugiego batalionu, ale mimo że nie powinno go być, to jednak był, więc ojciec po prostu na nim usiadł i z nudów popatrywał na Miecznickiego.

Ten zaś nie wyglądał na żołnierza. Był średniego wzrostu, zażywny, ale nie przesadnie otyły, nosił okrągłe okulary, dłonie i cerę miał delikatne, a czaszkę zupełnie łysą. Rysy miał bardzo semickie, co w oczach mojego ojca śmiesznie kontrastowało z tym, że mówił po polsku jak ktoś, kto bez wątpienia nie zna ani słowa w jidysz, bo w jego polszczyźnie nie było nawet śladu, powidoku żydłaczenia, mówił po polsku jak każdy bogaty goj po studiach. Mundur miał szyty na zamówienie i na miarę, maskujący niedostatki niezbyt wojskowej figury, gwiazdki na pagonach pięknie wyszyte bajorkiem, galanterię skórzaną na sobie w pierwszym gatunku, prywatny, nieduży pistolet w kaburze też najlepszy, jaki dało się dostać, ośmiostrzałowy niemiecki walther pp z samonapinaniem.

Ojciec przyglądał się mu, oceniając go i szacując, jak robił to zawsze, kiedy spotkał kogoś wcześniej mu nieznanego.

„No i co – pomyślał sobie z niemądrą satysfakcją, widząc ewidentnie semickie rysy Miecznickiego, wydatne wargi i nos – jakbyś się nie zasymilował, może nawet wychrzcił, to i tak Żyda sobie z gęby nie wymyjesz".

Kapitan rezerwy Adolf Miecznicki, aktualnie na etacie kwatermistrza dwudziestego pierwszego pułku piechoty, człowiek spokojny, ustatkowany, zamożny, w cywilu mecenas Miecznicki, posiadający utrzymywane z udanej praktyki adwokackiej samochód, mieszkanie, żonę, trzy ładne córki i buldożka francuskiego oraz dwa kosztowne hobby, łowiectwo i młodą kochankę, teraz zaś po prostu potwornie, śmiertelnie wręcz zmęczony Adolf Miecznicki usiadł na drugim jaszczu artyleryjskim, którego być tutaj nie powinno dokładnie tak samo jak pierwszego.

Był trzecią dobę na nogach, bez minuty snu i przed oczami mieniło mu się od długich kolumn z zestawieniami pobranych i wydanych mundurów, karabinów, bagnetów, onuc i butów, od klas koni taborowych,

wierzchowych i mierzynów, od worków mąki i połci mięsa, nie pamiętał już, jakie kancelaryjne kwity podpisał, a jakich nie podpisał i dlaczego, napadało go co jakiś czas irracjonalne poczucie, że bez wątpienia złożeniem któregoś z podpisów zasłużył na sąd polowy i że zaraz go rozstrzelają, i teraz nagle poczuł, że ma już absolutnie dość tej mobilizacji, wojska, wojny, wozów taborowych, mundurów, rezerwistów, braku butów w średnim rozmiarze i niedoboru, onuc i zamykając się w bańce smutku, pogrążył się na krótką chwilę, za to jednak głęboko, w melancholijnych rozważaniach o tym, jak ciężko przez dwadzieścia lat pracował na to wszystko, co udało mu się dotychczas w życiu osiągnąć i co zapewne przyjdzie mu teraz tak łatwo stracić.

Cierpiał upokorzenia i biedę jako student, który zaraz po odzyskaniu niepodległości przeniósł się do Warszawy z rodzinnego Lwowa, potem zaharowywał się jako aplikant najpierw sądowy, potem adwokacki, powoli budował markę swojego nazwiska, które już jego ojciec zmienił z Gutlejzer na polsko i przy tym bardzo dostojnie brzmiące Miecznicki, znosił kolejne upokorzenia na aplikacji, ale by zachować szacunek dla samego siebie, opierał się pokusie wychrzczenia, chociaż żydowskich tradycji nie przestrzegał ani go one nie obchodziły. Poglądy polityczne, i owszem, miał, będąc z przekonania liberalnym demokratą, jednak nimi się nie afiszował i jednocześnie, aby nikt nie ośmielił się mu wytykać niedostatków patriotyzmu, ukończył oprócz studiów prawniczych również Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty w Tomaszowie Mazowieckim, i to ukończył ją z pierwszą lokatą, w nagrodę za co, po odbyciu praktyki dowódczej, otrzymał na promocji oficerskiej stopień porucznika, nie zaś podporucznika. Pilnie potem uczęszczał na ćwiczenia i w końcu nawet awansowano go po dziesięciu latach na kapitana rezerwy, co jak na Żyda i do tego prawnika było w polskim wojsku karierą wręcz błyskotliwą.

Jak do tej pory wszystko w życiu mecenasa Miecznickiego miało sens, bo wszystko podporządkowane było dążeniu do celu, czyli życia dobrego i godnego. I co mu z tego przyszło? Teraz przyjdzie mu jak jakiemuś chłystkowi sypiać pod gołym niebem, jeść z kotła i w końcu na dodatek mogą go jeszcze zastrzelić. I po co mu było to wszystko, skoro głupia wojna przyszła i zepsuła mu to piękne, poukładane życie, na które tak ciężko

zapracował? I nie spodziewał się przecież, jako człowiek inteligentny, dobrego tej wojny zakończenia.

Wszystko zatem na nic. I jeszcze etat kwatermistrza, najcięższe chyba, najbardziej odpowiedzialne stanowisko oficerskie w całym pułku, które przydzielono mu oczywiście dlatego, że jest Żydem, a jako Żyd na pewno świetnie potrafi, sam nie wiedział co, liczyć? handlować?

Westchnął ciężko kapitan Miecznicki i po kryjomu łyknął martella Cordon Bleu z płaskiej, metalowej butelki. W cywilu pił niewiele, głównie ze względów towarzyskich, nie czerpał z alkoholu radości, chociaż dobrze go znosił. Wychodząc jednak z mieszkania, już w mundurze, schował do kieszeni piersiówkę z koniakiem, słusznie spodziewając się, że zupełnie na trzeźwo trudno będzie mu tę mobilizację i wojnę przeżyć.

Adolfa Miecznickiego przemyślenia na temat nadchodzącej wojny różniły się więc zasadniczo od przemyśleń mojego ojca, chociaż przecież byli w podobnym momencie życia, w podobnej sytuacji, nie tylko wiekowo.

Miecznicki był od ojca trochę starszy, ale obaj znajdowali się u szczytu kariery, Miecznicki prawniczej, ojciec bandyckiej, które w opinii wielu nie różnią się od siebie jakoś znacznie. Nie spotkali się nigdy na żadnej sali sądowej, po pierwsze dlatego, że ojciec konsekwentnie unikał wymiaru sprawiedliwości. W czasie pierwszej wojny siedział w niemieckim więzieniu w Łomży i potem poprzysiągł sobie, że już nigdy do żadnego więzienia nie trafi, chociażby miał położyć głowę. I nie trafił. Drugim powodem, dla którego ścieżki kariery mecenasa Miecznickiego i mojego ojca nigdy się nie przecięły, było zaś to, że pan mecenas Miecznicki w ogóle się prawem karnym nie zajmował, prawo gospodarcze i sprawy cywilne słusznie uznając za o wiele ciekawsze i lukratywniejsze.

Reprezentował więc w sądach Winkelhausena i Akwawit SA, reprezentował również Fabrykę Czekolady „Plutos" SA, prowadził niektóre warszawskie sprawy katowickiego Giesche SA, występował regularnie jako syndyk masy upadłościowej bankrutujących w związku z kryzysem przedsiębiorstw. Na tej samej zasadzie, zgodnie z którą mój ojciec, osiągnąwszy pozycję, jaką przed nim zajmował wujek Kaplica, sam przez ostatnie dwa lata przed wybuchem wojny nie chadzał już na Kercelak, nie wyciągał już broni, nie ściągał osobiście haraczy, tak samo mecenas Miecznicki coraz rzadziej osobiście bywał na sali sądowej, od tego miał

młodszych partnerów, a często i aplikantów w noszącej jego nazwisko kancelarii adwokackiej. Sam zajmował się raczej budowaniem, utrzymywaniem i rozwijaniem sieci towarzysko-zawodowych relacji z możnymi świata, który właśnie się na oczach mecenasa Miecznickiego i mojego ojca kończył, czego oni jeszcze nie wiedzieli, ale co obaj jakoś przeczuwali jako mężczyźni inteligentni i wrażliwi na subtelne sygnały wysyłane im przez rzeczywistość.

Mecenas Miecznicki cieszył się więc przyjaźnią potentatów międzynarodowego kapitału, zapraszany był na chrzciny i bar micwy ich dzieci, był też zwykle wtajemniczany w najściślejsze sekrety ich interesów, ponieważ wspomniani tu potentaci byli doskonale świadomi tego, że im więcej mecenas Miecznicki wie, im więcej danych dostępnych jest jego bystrej, przenikliwej, nawet jeśli czasem ekscentrycznej inteligencji, tym większa szansa na błyskotliwą syntezę wiedzy z różnych źródeł, dzięki której mecenas dostrzeże otwarcie tam, gdzie sprawy wydawały się zamknięte. Jeśli spokojny, grzeczny mecenas Miecznicki będzie dobrze poinformowany, to jest szansa, że w konflikcie dostrzeże szansę na porozumienie tam, gdzie rozrośnięte ego skonfliktowanych stron dostrzec jej nie pozwala, a jego zręczność, takt i szacunek, jakim się powszechnie cieszy, pozwolą konflikt przemienić w porozumienie, w różnicach znaleźć wartość i w efekcie wszyscy skończą bogatsi i nerwowo zdrowsi.

Wiedział więc Miecznicki bardzo wiele o bardzo wielu, gospodarował zaś tą wiedzą z wielką precyzją i ostrożnością, tak że nigdy nie zdarzyło mu się nadużyć niczyjego zaufania, a jednocześnie, wiedząc tak wiele, zdarzało mu się korzystać z tej wiedzy dla dobra swoich klientów, nie wchodząc jednocześnie w konflikt interesów. Mecenas Miecznicki pijał też oczywiście wódkę z sędziami i prokuratorami, korzystając z tego, że protestancka mentalność, każąca gdzie indziej strażnikom sprawiedliwości takich kontaktów bezwzględnie unikać, nigdy się w Polsce nie przyjęła; i pił z nimi tej wódki mecenas Miecznicki dokładnie tyle, ile trzeba: na tyle dużo, żeby mu ufali, na tyle mało, żeby nie tracić kontroli ani nad sobą, ani nad sytuacją, i z tych znajomości również chętnie korzystał w interesie swoich klientów, nigdy jednak nie przekraczając tej bardzo cienkiej, a jednak wyraźnej linii, za którą znajdowało się coś, co nawet w dość pojemnym sumieniu mecenasa Miecznickiego byłoby

jednoznacznym łapownictwem czy zepsuciem. Na takie przekroczenia mecenas Miecznicki miał zbyt dobry gust.

Był zaiste mecenas Miecznicki wirtuozem operowania w tej skomplikowanej sieci, w której na wielu warstwach układają się ludzkie interesy i namiętności, władza i prawo. Dzięki tej wirtuozerii zbudował sobie życie, na które we własnym mniemaniu zasługiwał i które wyłącznie samemu sobie zawdzięczał. Zyskał szacunek, a szacunku najbardziej pragnął. Szanował go stróż w jego kamienicy i nie zwracał się doń inaczej niż „szanowny panie mecenasie", szanowali go klienci i za zaszczyt poczytywali sobie współpracę z nim koledzy, szanowali go sędziowie za integralność i skuteczność, szanowali go Żydzi i chrześcijanie, szanowali go też nieliczni w palestrze, ale liczni w przemyśle Niemcy łódzcy, poznańscy i śląscy, chociażby za skuteczność, maniery, ale i za perfekcyjny niemiecki, który Miecznicki zawdzięczał uczęszczaniu do niemieckiego K.K. zweite Staats-Gymnasium we Lwowie.

Zyskał też bliski jakoś szacunkowi, ale bynajmniej z nim nietożsamy majątek, dzięki któremu miał wygodne życie, piękny dom, dwuosobową służbę, cichą, dobrą i chrześcijańską żonę w ładnych sukniach, ochrzczone córki w dobrych szkołach dla panien, obracające się wyłącznie w polskim towarzystwie. Dzięki majątkowi miał też młodą kochankę, przybyłą do Warszawy z poleskich bagien hożą, urodziwą i uczciwą Białorusinkę, którą Miecznicki we własnym mniemaniu uratował przed stoczeniem się w nadwiślańskie krzaki, gdzie podobne do niej dziewczęta uprawiały miłość za pieniądze. Wyciągnął ją więc z nędzy, a ona co miesiąc zakładała nogę na nogę i z zaciśniętymi ustami, z chłopskiego niedostatku chciwa, oprócz opłaconego mieszkania żądała wypłacenia cotygodniowych pięćdziesięciu złotych pensji, co nawet w przemyśle byłoby płacą bardzo przyzwoitą, Adolf Miecznicki zaś wzdychał ciężko i płacił, i dopiero banknot pięćdziesięciozłotowy sprawiał, że białoruska kochanka mecenasa stawała się mu nieco przychylniejsza i ściągała jedną krągłą nóżkę z drugiej.

A teraz, jak się obawiał, mógł to wszystko stracić i bardzo go to przygnębiało. Nie lubił wojska, chociaż potrafił się w nim poruszać równie sprawnie, jak w każdej innej hierarchicznej ludzkiej strukturze, służbę w rezerwie traktował jak obowiązek, miewający też swoje przyjemne

momenty, jakieś koleżeńskie nieduże pijaństwa, sierpniowe noce na manewrach na Mazowszu i biwaki pod wygwieżdżonym niebem, lecz najczęściej przykry, bo wojna była jednak zwykle chaosem, a mecenas Miecznicki kochał porządek. Tylko gdy panował porządek, mecenas Miecznicki mógł prosperować, dzięki porządkowi stawał się silniejszy. Chaos czynił go słabym.

Mojego ojca chaos zaś wzmacniał. Tak mu się przynajmniej wydawało. Dlatego mojego ojca wojna niezbyt martwiła. Przeżył już jedną, przeżył ją, walcząc, zresztą to, co dla innych stanowiło osiemnaście lat pokoju, dla mojego ojca było ciągłym wojowaniem, dlaczegóż więc miałby się bać tej wojny, która miała nadejść?

– Ciężki dzień, panie kapitanie...? – zagadnął mój ojciec.

Miecznicki spojrzał na niego i w pierwszym momencie patrzył po prostu na wielkiego, potężnego Żyda w mundurze plutonowego, w furażerce na kędzierzawych, szpakowatych już włosach, w pełnym oporządzeniu i z karabinem na plecach, ale dwie sekundy później zrozumiał, na kogo patrzy, nie byłby bowiem tym, kim był, gdyby nie wiedział, kim był Jakub Szapiro, i gdyby nie rozpoznał go na pierwszy rzut oka.

Nie byłby też tym, kim był, gdyby w jakikolwiek sposób dał to po sobie poznać.

– Ano ciężki, plutonowy – odpowiedział więc po prostu, podając mojemu ojcu piersiówkę z koniakiem, co oczywiście było niespotykane, by oficer częstował plutonowego z własnej piersiówki, i przez ten niecodzienny gest Miecznicki komunikował mojemu ojcu, aktualnie plutonowemu Jakubowi Szapirze, że go rozpoznał, że go szanuje i uznaje za równego sobie. Nie zostałby bowiem Miecznicki tym, kim udało mu się zostać w życiu, gdyby nie potrafił sobie łatwo zjednywać ludzi potężnych.

Jakub Szapiro, zjednany, napił się koniaku, uniósł piersiówkę w górę gestem będącym zarówno toastem, jak i uznaniem jakości trunku, po czym oddał piersiówkę.

Trębacz zagrał sygnał do wymarszu, za trąbką posypały się komendy, krzyki i przekleństwa.

Dzieci Warszawy ruszały na wojnę.

RYFKA

Minęły dwa dni, odkąd zjedliśmy drugiego kartofla i resztkę chleba. Przez cztery dni nie ruszałam się z naszej kryjówki, nie ruszam się. Jakub nie wstał z barłogu. Był, jest piąty grudnia, to wiedziałam z mojego wydrapanego na ścianie kalendarza, ale nie umiałam się doliczyć dnia tygodnia. Mogłabym to jakoś porachować, ale nie rachowałam, bo to nie miało wtedy żadnego znaczenia, szczury nie mają niedziel ani śród, nie obchodzą szabasów, chanuk ani Bożych Narodzeń.

Dzień wcześniej już myślałam o tym, żeby wyjść, ale mocno było słychać Niemców przez cały dzień, sporo wybuchów, po Niepodległości jeździły ciężarówki, dzisiaj jakby ciszej, więc sądzę, że w nocy będzie bezpieczniej.

Leżę przy nim, słucham, jak oddycha, słabo, bardzo słabo. W dzień milczy, w nocy, jeśli śpi, czasem wyszepcze coś niezrozumiałego. Wygląda, jakby umierał, a ja mimo wszystko wiem, że będzie żył, że przeżyje i że ja również przeżyję. Jakkolwiek rozumiem irracjonalność tego przekonania, jakkolwiek byłoby ono absurdalne, to jednak jest bardzo mocne. Wiedziałam jakoś, że będziemy żyć, nie tak, jak wiem to teraz, ale wiedziałam. Nie wiecznie, ale też nie umrzemy jutro, nie umrzemy tutaj, w zimnie, szczurzą śmiercią. Będziemy żyli.

A jednocześnie myślę, myślałam: może mogłam go tam zostawić? Żeby umarł jak wszyscy? Lepiej może byłoby mi wyjść samej? Już zawsze będę o tym myśleć.

Po Grossaktion pracował u szczotkarzy, żeby mieć numerek, bo wtedy jeszcze tak po trochu wierzyłam tym wszystkim Schillingom, Schultzom,

Többensom, wierzyłam, że numerek może zapewnić życie, jakieś przeżycie do czasu, aż się to wszystko skończy.

Straszny to był widok, Jakub Szapiro robiący szczotki, nie chciałam go oglądać przy czymś takim, zaczęłam więc płacić żydowskiemu werkszucowi i niemieckiemu kierownikowi, płaciłam im szczodrze tylko za to, żeby Jakub nie musiał pracować.

Może to był błąd, może ta upokarzająca dla kogoś takiego jak on ręczna praca czegoś by go nauczyła, a w bezczynności tylko głębiej zapadał się w swoją duchową i psychiczną otchłań, ale nie takiego go kochałam, mogłam go kochać złamanego i pokonanego, w rozpaczy, w pustce, ale nie zgarbionego nad szczotkami.

Ja też nie zamierzałam robić szczotek, aż nas zabiją. Jakuba pieniądze szybko się kończyły, sam przestał zarabiać cokolwiek, więc zatrudniłam się na placówce, w fabryce Derma na Żelaznej 54, niedaleko murów zlikwidowanego już małego getta. Miała to być fabryka walizek, ale cała produkcja była fikcją, fabryka miała pozwolenie na zatrudnianie Żydów, tyle że roboty nie było, bo cały czas czekała na wojskowe zamówienia, więc zamiast pracy zajmowałam się handlem. W getcie szczątkowym ubrania były o wiele tańsze niż przed wojną, i o wiele tańsze niż po aryjskiej stronie. Męską koszulę można było kupić za 25 zł, tyle samo kosztowało pół kilograma białego chleba lub cały kilogram razowego. Kupiłam przyzwoity garnitur dla Jakuba za kilogram kaszy, w ogóle porządnie nas ubrałam, to był taki czas, że ludzie starali się wyglądać jak najlepiej, jakby wierząc, że młodych, pięknych i silnych Niemcy nie wywiozą do Treblinek, bo przecież zawsze zaczynali od najsłabszych i najbiedniejszych, najpierw zniknęli nędzarze, żebracy, starcy, dzieci, jakby chcieli z nas, z Żydów, wyselekcjonować to, co najlepsze, wyrafinować nas, żeby zostali tylko silni, piękni i młodzi Żydzi i niektórzy z nas na serio w to uwierzyli, wierzą, że tak mogą przetrwać, że Niemcy nas rafinują, ale ja wiedziałam, że nie, że wszyscy ci młodzi, piękni i silni Żydzi, mężczyźni nagle farbujący sobie siwe włosy na czarno, żeby nie być zwiniętym na Umschlag za siwiznę, wszyscy po prostu i tak trafią do Treblinek i koniec. Wteraz to wiem, ale i wtedy wiedziałam.

Wynosiłam więc z getta ubrania, przynosiłam jedzenie i gromadziłam pieniądze i myślałam o tym, że musimy z getta wyjść, wyjść, zanim będzie

za późno. Samo wyjście nie stanowiło zresztą żadnego kłopotu, nie stanowi. Nic prostszego, niż urwać się na placówce i nie wrócić, znałam też kilka przejść pod murem, wyjść mogłam w każdej chwili, miałam też dość pieniędzy, nawet sama nie wiem ile, co zarobiłam, dawałam Jakubowi, a on układał to starannie w skrytce, którą sobie sporządziliśmy, w gotowych do zabrania paczkach. Więc problemem nie było wyjście z getta, problemem było, co zrobić dalej.

Miałam znajomą, Tosię Klajnberg. Mądra, piękna dziewczyna, wygląd dobry, aryjski, rodzina asymilancka, więc po polsku mówiła bez akcentu, nikt by jej na ulicy za samą twarz ani za akcent nie legitymował. Chodziła ze mną na szmugiel, miała też chyba jakieś kontakty z Partią, broń dla nich nosiła, na szmuglu zarobiła sporo pieniędzy, kupiła nawet złoto i z pomocą jakichś tam kontaktów załatwiła sobie melinę na Mokotowie. W końcu nadszedł umówiony dzień, Tosia ściągnęła opaskę i bez żadnej walizki, żeby nie wzbudzać podejrzeń, tak jak stała, tylko ze złotem i pieniędzmi po kieszeniach wyszła pod murem, znanym mi przejściem przy Bonifraterskiej, zaraz naprzeciwko klasztoru, i kiedy tylko wyszła, usłyszała gwizd, w pierwszym momencie pomyślała, że to żandarm, ale nie, gwizdał polski chłopaczek może siedmioletni, stał na czatach w bramie kamienicy na rogu z Sapieżyńską i gdy ujrzał, że przejściem pod murem ktoś wychodzi, to zaczął gwizdać. Nie minęło parę minut, jak opadły ją polskie wyrostki.

Na początku było ich pięciu, chłopaczki od dziesiątego do czternastego roku życia, warszawscy gawrosze. Nie szarpali jej, nie dotykali nawet, tylko po prostu szli obok i krzyczeli: „ŻYD IDZIE, ŻYD IDZIE, ŻYD IDZIE, ŻYD IDZIE!”. Każdy wiedział, że jedynym sposobem, aby ich odgonić, było dawać. Więc Tosia dawała, a oni brali, każdy z nich brał i odchodził i wtedy pojawiali się nowi, coraz więcej, i kiedy dotarła do placu Krasińskich, była już ich cała chmara, Tosia próbowała wsiąść do dorożki, ale dostała tylko od dorożkarza batem i grubym słowem, wypierdalaj mi stąd w podskokach, Żydówo, idź gdzie indziej zdychać, więc poszła gdzie indziej zdychać i kiedy doszła do Miodowej, została już zupełnie bez pieniędzy.

Wtedy rzuciła się do ucieczki, po prostu biegła, wyrostki za nią, zgubiła ich dopiero na placu Teatralnym, i stamtąd w końcu pojechała tramwajem

na Mokotów, bez biletu, starała się wyglądać najbardziej jak Polka, stać prosto, uśmiechać się nawet, jakby nic jej nie trapiło, chociaż czuła, że ze strachu ściskają się jej wnętrzności, tak mocno, że bała się, że nie zdoła utrzymać ściśniętych zwieraczy.

Na Mokotowie właściciel umówionej meliny był na miejscu, czekał. Kiedy Tosia przyszła, zapytał o pieniądze. Tosia powiedziała, że nie ma, że ją okradli, obrabowali, jak tylko przeszła pod murem. Właściciel, sympatyczny, elegancki adwokat po pięćdziesiątce, przed wojną raczej prominentny, powiedział, że oczywiście rozumie i niech w takim razie Tosia czym prędzej stąd wypierdala, bo bez pieniędzy nie ma tutaj czego szukać.

Tosia, zrozpaczona, zapytała, czy może skorzystać tylko z toalety. Pozwolił. Tam ulżyła skręconym kiszkom, następnie, tak jak mogła, doprowadziła się do porządku, znalazła w łazience jakieś damskie kosmetyki, puder, pomadkę, więc umalowała się trochę, żeby wyglądać pięknie, wyszła z toalety, postarała się o ostatnie zalotne spojrzenie, jakie jej zostało, i zapytała, czy inaczej nie może zapłacić, a była z niej dziewczyna bardzo piękna i to stanowiło jedyny kapitał, jaki jej pozostał do tego, aby kupić zań życie. Ja przecież też tak robiłam, wiele z nas tak robiło.

Adwokat zastanowił się chwilę, spojrzał na zegarek, zaprosił ją do salonu, przyjął płatność w uzgodnionej formie, po czym powiedział, że za tyle to ma dwie godziny zapłacone i za dwie godziny ma jej tu nie być albo dzwoni po gestapo. Po czym wyszedł.

W mieszkaniu był telefon. Tosia zadzwoniła do szopu, poprosiła mnie do telefonu, zapytała, co robić. Poradziłam, żeby wracała, pieniądze zarobi znowu i wtedy wymyślimy jakiś lepszy sposób na wyjście z getta, na ominięcie Polaków.

Tosia zrobiła, jak powiedziałam, chciała wmieszać się w jakąś wracającą z placówki grupę, ale niedługo po tym, jak wyszła na ulicę, tak po prostu zatrzymał ją polski policjant i zażądał dokumentów. Dlaczego ją zatrzymał? Tosia miała niezły wygląd i dobrze mówiła po polsku, ale była przerażona jak zaszczute zwierzę, kuliła się, zwijała w sobie jak bity kijem pies. Taką skuloną postawę, to przerażenie polski policjant nauczony był już rozpoznawać bez pudła. Zażądał więc dokumentów.

Tosia miała tylko ausweis wystawiony przez kierownictwo szopu, policjant wzruszył więc ramionami, zatrzymał dorożkę i dorożką odwiózł Tosię do bramy na Nalewkach, przez całą drogę Tosia płakała, policjant nie odezwał się słowem, kiedy dojechali, kazał jej za dorożkę zapłacić, Tosia nie miała czym, policjant powiedział, że z Żydami to zawsze tak, zawsze na pieniądzach ocyganią, po czym zapłacił sam, bo dorożkarz się domagał. Następnie policjant przekazał Tosię niemieckiemu wartownikowi, a był to akurat Blösche, który Tosię przejął, kazał jej iść przed siebie, po czym strzelił jej w głowę, zanim uszła trzy kroki. Zwykle nosił pistolet maszynowy, ale wtedy miał karabin, a w nim kule dum-dum albo myśliwskie, tak potem mówiono w getcie, bo kula z karabinu wbiła się w Tosi potylicę, robiąc tylko małą dziurkę, po czym wyszła przodem, zabierając ze sobą większą część Tosinej twarzy, i tyle było Tosi wychodzenia z getta na aryjską stronę, i już nie było Tosi Klajnberg, nie ma.

Ja zaś chciałam być. Siedziałam więc w szopie, chodziłam na szmugiel na placówki, w zasadzie każdego dnia ryzykując życie, bo o ile Frau Miller chętnie z nami współpracowała, to na wasze już tak łatwo nie było: albo przejdę, albo zastrzelą na miejscu, czemu mieliby nie zastrzelić?

Szybko przywykłam do ryzyka, zresztą i do tego odurzenia, kiedy poganiane adrenaliną serce zaczynało szybciej pompować krew. I cały czas myślałam, jak wyjść, bo przecież wiedziałam, że zegar tyka i za którymś krokiem wskazówki sekundnika nastąpi ta chwila, w której jakiś wystrojony i obwieszony orderami niemiecki oficer podpisze jakiś papier i jak ten papier podpisze, to wjadą do tego, co zostało z getta, wjadą żandarmi i junacy, połowę z nas zastrzelą, a drugą połowę wywiozą, to, co działo się w styczniu, było tylko wstępem do tego, co, jak wiedziałam, musi nastąpić.

Każdy zresztą to wiedział, dlatego tak bardzo w cenie była broń, większość jednak wierzyła, że pochowa się w bunkrach, podobno niektórzy mieli takie, że mogli w nich przetrwać pół roku i dłużej, z zapasami wody, jedzenia i wszystkim. I zamaskowane świetnie. Nawet u nas, tam gdzie mieszkaliśmy, był jeden wybudowany, z włazem w sieni, obok wejścia, koło którego przechodziłam przez kilka miesięcy, nie mając pojęcia, co jest tuż-tuż, znajdował się w poszerzonej piwnicy pod naszą kamienicą, wchodziło

się doń przez klapę ukrytą pod ciężkim kredensem. Właściciele bunkra wiedzieli, że mam broń i że mam sporo pieniędzy, zaproponowali mi i Jakubowi w zamian za pieniądze i uzbrojenie udziały w tym bunkrze, a więc schronienie, dostęp do spiżarni i tak dalej, ja jednak nie chciałam, nie wierzyłam w bunkry.

Miałam świadomość, że musimy się znaleźć poza gettem, ale nie chciałam skończyć jak Tosia Klajnberg, nie miałam zresztą jej wyglądu, z moją żydowską, ciemną gębą, nie mówiąc już o Jakubie, który był nie tylko Żydem w każdym calu, ale jeszcze na dodatek Żydem przed wojną bardzo znanym.

I wtedy przydarzyła się nam ta jego polska kurwa.

To znaczy nie tak od razu. Zagadnął mnie pewnego dnia w szopie pewien facet nazwiskiem Perlman, wiedziałam, że jest w Partii. Zagadnął o Jakuba. Czy ten Szapiro, którym się opiekuję, to ten znany Szapiro, bokser. Potwierdziłam, bo po Grossaktion był to czas, kiedy przed Partią lepiej było nie mieć sekretów, to oni wtedy rządzili w tym, co zostało z getta. Wtedy Perlman powiedział, że Polacy się nim interesują. Że chcą go wyprowadzić. Polski ruch oporu.

Nie zdziwiło mnie to. Jakub miał wielu dawnych przyjaciół w PPS-ie, starych konspiratorów jeszcze z carskich czasów i oni oczywiście wszyscy do konspiracji teraz powracali, bo to im przynajmniej nieźle wychodziło, konspirowanie, w przeciwieństwie do rządzenia krajem, z którego obiecywali nie oddać ani guzika, a który przesrali w trzy tygodnie. Nie zdziwiło mnie więc, że mogą chcieć go wyciągnąć. I mnie przy okazji. Sądziłam, że o to chodzi. Że może sądzą, że jeszcze im się do czegoś przyda. Politycznie zaangażowany specjalnie nigdy nie był, przynajmniej nie osobiście, robił, co mu kazano, doświadczony podoficer, weteran dwóch wojen, do miejskiej konspiry ze względu na wygląd się nie nadaje, ale do partyzantki może?

Tak wtedy sobie myślałam, nie wiedząc jeszcze dobrze, że cała zasrana polska konspiracja od Żydów wolała trzymać się z daleka.

Za pośrednictwem Perlmana, i kogoś jeszcze, bo to nie on rozmawiał z Polakami, tylko ktoś z Partii, kto z kolei przekazywał wiadomości Perlmanowi, umówiliśmy datę i godzinę wyjścia. Wychodzić mieliśmy tym

samym przejściem przy Bonifraterskiej, którym wyszła Tosia Klajnberg, z tym że na nas miał czekać samochód.

Powiedziałam o wszystkim Jakubowi. Że wychodzimy. Że mają dla nas schowek po aryjskiej stronie. Że nas przechowają, aż się wojna skończy. Że nawet nie chcą pieniędzy, chociaż ja raczej akurat wolę za swoje utrzymanie zapłacić, pieniędzy u nas dość. Jakub wzruszył tylko ramionami. Zapytałam go, czy nie zależy mu na życiu, chociaż znałam odpowiedź. Nie był wtedy jeszcze tak ospały, nie był tak głęboko w ciemnościach jak później, ale nie był też już tym kimś, kogo pokochałam kilkanaście lat wcześniej.

Założyliśmy porządne ubrania i zdjąwszy opaski, wyszliśmy z obojętnym Jakubem z getta o godzinie ustalonej, o siódmej rano, 13 marca 1943, przez tunel przeszliśmy, nie powalawszy zbytnio ubrań, auto już na nas czekało z motorem na chodzie, czeka, mały, żółty opel olympia z płóciennym dachem, oczywiście zamkniętym. Kiedy wyszliśmy, wychodzimy, odezwały się od razu polskie gwizdy, wtedy jednak kierowca otworzył drzwi, szarpnęłam Jakuba za rękę, wsiedliśmy, kierowca nie odezwał się ani słowem, ruszył natychmiast i jechał w milczeniu.

Zajechaliśmy na Solec, zaparkował pod kamienicą numer 62, nowoczesnym raczej, wysokim budynkiem, trochę cofniętym od ulicy, w którym mieliśmy, czego jeszcze wtedy nie wiedziałam, spędzić kolejne kilkanaście miesięcy niczym w luksusowym więzieniu.

– Ostatnie, piąte piętro. Mieszkanie numer czterdzieści dwa – powiedział kierowca.

Wyciągnęłam banknot, pięćset złotych. Spojrzał, zawahał się, przyjął. Wysiedliśmy. Rozejrzałam się, wyglądało, że jest bezpiecznie. Minęliśmy sklepik przy ulicy i weszliśmy do budynku. Przy wejściu czekał już dozorca.

– Mieszkanie numer czterdzieści dwa, piąte piętro – powiedział, więc jemu też wręczyłam pięćset złotych, a po chwili dołożyłam kolejne pięćset, bo pomyślałam, że dla naszego przetrwania ważniejsze jest jego zadowolenie niż zadowolenie kierowcy.

Wspięliśmy się widną klatką na piąte piętro, więc i tam zapukałam do drzwi mieszkania numer 42. Jakub stał za mną, wielki, bezwolny, bierny

i pomyślałam, że jest jak wół albo jak koń pociągowy, silny, potężny, ale nagle pozbawiony własnej woli.

Usłyszałam, że ktoś podchodzi do drzwi, i nie były to kroki mężczyzny, drzwi następnie się otwarły, w drzwiach zaś stanęła Anna Ziembińska.

Anna Ziembińska, najgorsza z wszystkich miłości Jakuba.

Anna Ziembińska, która kiedyś dwukrotnie przyszła do mojego burdelu i za pierwszym razem jej nie zastrzeliłam, chociaż wtedy powinnam była, może wtedy Jakub po prostu wyjechałby do tej przeklętej, wyschniętej Palestyny i wszystko potoczyłoby się inaczej. Za drugim razem zaś opiekowałam się nią jak siostrą, chociaż była kolejną miłością jedynego mężczyzny, jakiego w życiu kochałam.

Więc w drzwiach stanęła, stoi Anna Ziembińska, którą uważałam za martwą. Tak powiedział Jakub, mówi, jesienią 1937, kiedy już prawie miał do tej Palestyny lecieć, ale nie poleciał i kiedy siedział u mnie, siedzi, bo żona z nim nie gadała, siedział, pił i płakał. Zapytałam wtedy o nią.

– Ziembińska nie żyje – powiedział. – Brat ją zastrzelił. Pozwoliłem mu.

Nie pytałam o to nigdy więcej. Nigdy o tym nie mówiliśmy. Dopiero wtedy, gdy stanęliśmy w drzwiach kamienicy na Solcu, pomyślałam, że w gazetach pisali o samobójstwie prokuratora Ziembińskiego, ale nikt nie wspomniał, co stało się z jego dziećmi, tym młodym, polskim hitlerkiem Andrzejem, z którym Jakub walczył na ringu i na ulicy, i z jego siostrą Anną. Annę, tak jak powiedział Jakub, uznałam za martwą, a młody Ziembiński zniknął. Machnęłam więc na to ręką. Miałam inne problemy.

I ta Anna Ziembińska otwiera nam drzwi do mieszkania numer 42, na piątym piętrze, otwarła.

I tak staliśmy. Stoimy. Nie powiedziałabym, że zaniemówiłam. Po prostu patrzyłam na nią i w zasadzie cóż miałam powiedzieć?

– O kurwa mać – powiedział zaś Jakub, a ja usłyszałam w jego głosie coś, co zupełnie, ale to zupełnie mi się nie spodobało.

– Dzień dobry, Jakubie – odpowiedziała po prostu. – Dzień dobry, pani Ryfko. Cieszę się, że zamieszkacie u mnie.

Milczałam chwilę. Nie odrywałam od niej wzroku i kalkulowałam szansę na przeżycie w sytuacji, w której się odwrócę teraz i wyjdę, tak po prostu.

Mam pieniądze. Nie mam wyglądu. Czy mam kontakty…?

Szybko przebiegałam, przebiegam w myślach przez twarze i nazwiska, pytałam sama siebie, do kogo mogłabym pójść.

Znałam tylu ludzi. Tylu ludzi winnych mi było przysługi. Ale dziś, wtedy moje bycie Żydówką, przynajmniej według ich ustaw, znosi, znosiło wszystko. Nie ma już rubryk „winien" i „ma" w tej zwykle niespisywanej księdze przysług i odwzajemnień, ponieważ w oczach Polaków nie jestem, nie byłam już człowiekiem i nie stosują, nie stosowały się do mnie normalne ludzkie przymioty. Jestem byłym człowiekiem. Jestem żywym trupem.

– Pani Ryfko, nie warto – powiedziała. – Jak to mówią Anglicy, *let bygones be bygones*. To, co było, już się zatarło.

Jakby czytała mi w myślach. Ale nawet w jej oczach widziałam, że nie jestem już człowiekiem, jestem tylko Żydówką. Więc jeśli ona mi pomaga, to zaciąga sobie tak wielką zasługę, nie zwykłą przysługę z niepisanej księgi „winien" i „ma", lecz większą, jakby pomagała komuś, kto już nie jest człowiekiem, zatem potraktowanie go w sposób ludziom przynależny to niezwykła łaska, która pomagającego uwzniośla tak, jak ona się teraz czuje uwzniośloną.

– Pani nic mi nie jest ani nie będzie winna, pani Ryfko – powiedziała, znowu jakby czytała w moich myślach. – Wejdźcie, proszę, to niegrzecznie z mojej strony i nieroztropnie tak trzymać was w sieni.

Waham się jeszcze, wahałam, mimo że już wchodziliśmy, przekraczaliśmy próg, bo też nie wypadało i nie można było dłużej czekać. Więc weszliśmy, ona zamknęła za nami drzwi, a ja czułam się tak jak wtedy, kiedy zatrzasnęły się za mną po raz pierwszy stalowe drzwi w celi, w więzieniu na Serbii. Twarze, nazwiska. Całe moje życie, ile uzbierałam?

Na przykład pułkownik, stary bojec, pepesiak, legionista, osobisty przyjaciel Piłsudskiego, potem w opozycji, blisko Sławka. Był dobry dla dziewczyn, płacił hojnie, nie wydziwiał, nie szalał, przychodził trzeźwy i umyty, wszystkie go lubiły. We wrześniu został bez przydziału, czego wtedy, stojąc w korytarzu mieszkania Ziembińskiej, nie wiedziałam, ale wiedziałam, gdzie mieszka, bo kiedy w 1938 roku zmarła mu żona, którą bardzo kochał, wolał moje dziewczyny podejmować u siebie w domu i to naprawdę podejmować kolacją, potem słuchali muzyki z patefonu albo radia, a potem wiadomo, jeśli akurat kutas mu jeszcze działał.

Więc może mogłabym spróbować, zastanawiałam się, rozważałam.

Ale czy przetrwałabym z moim wyglądem drogę na oficerski Żoliborz?

Wteraz wiem, że mieszkał tam dalej, mieszkał tam aż do ich powstania, w którym go zabili, wtedy jednak, w jej sieni, pytałam sama siebie, czy będzie w domu. I co najważniejsze: czy będę dla niego ciągle człowiekiem? Tego nie mogę wiedzieć nawet wteraz, w szarości, bo nigdy tego nie sprawdziłam, czy ja wtedy, w 1943 roku, byłabym dla niego jeszcze człowiekiem. Czy już tylko Żydówką, żywym trupem, zagrożeniem, byłym człowiekiem? Każdy Żyd w getcie wiedział, że starzy pepesiacy zachowują się najprzyzwoiciej, ale czy akurat on?

Więc stałam dalej w tej sieni, bez żadnego bagażu poza pistoletem w kieszeni płaszcza i pozaszywanymi w nim dolarami i złotem. I myślałam o innych.

Pewien adwokat, Polak, ale bardzo z racji towarzyskich i zawodowych uwarunkowań filosemita. Mieszkał na Mokotowie. Może on...? A może już mu filosemityzm przeszedł? Nie wiedziałam.

Lekarz ginekolog, też pepesiak, też na Mokotowie. Brał tylko blondynki. Kryłam go przed policją, bo skrobał panie z towarzystwa, a te z klasy robotniczej za darmo, jako socjalista. Był mi winien przysługę.

Rotmistrz szwoleżerów. Straszny cham, gruby jak świnia, ale dobry człowiek. Pijałam z nim czasem kawę w SiM-ie i strasznie go bawiło, jak się krzywo te wszystkie zasrane pańcie z towarzystwa na niego patrzyły, że kurwę żydowską przyprowadza do SiM-u, chociaż od dawna się już nie kurwiłam. Mieszkał na Żoliborzu, jak pułkownik. Nie wiedziałam wtedy, że już nie żył.

I dalej. Sędzia. Kupiec. Pewien mistrz cukierniczy, który lubił tylko tłuste i przynosił im oprócz zapłaty również ciastka i makaroniki. Dalej rejent. Urzędnik z MSZ. Policjant pewien. Pamiętałam ich adresy, nazwiska, stałam więc w sieni i analizowałam, czy dojdę. Czy mam szansę. Czy mogę ryzykować. Rozważałam to wszystko w milczeniu, patrząc na nią, bo tak bardzo nie chcę, nie chciałam zostać w tym mieszkaniu, a ona wygląda tak pięknie, jakby nie było wcale wojny, i jest taka młodsza ode mnie i aryjska, z tym prostym nosem i szeroko rozstawionymi, wielkimi oczami, i włosami związanymi na karku w luźny kok, zresztą nie wiem, nie

wiedziałam, czy aryjska, czy ugrofińska, na pewno jednak nieżydowska i o to mi właśnie chodzi, że nieżydowska.

– Naprawdę, pani Ryfko, ja rozumiem, co pani czuje – powiedziała najcieplejszym, najżyczliwszym tonem.

– Nic nie rozumiesz – odpowiedziałam. – I w zasadzie to jaką organizację reprezentujesz niby?

Spojrzała na mnie czujnie.

– Tutaj, wie pani, jest konspiracja. Tu się nie mówi o tym, jaka jest organizacja, komu nie trzeba. Ja naprawdę rozumiem, co pani czuje. Ale zapomnijmy o tym. To było dawno.

– Dawno, ale prawda – odparłam, czując, jak otwierają mi się wszystkie stare rany, jak nagle wzbierają ropą goryczy i gniewu.

– Prawdą to było w świecie, którego już nie ma. Innego niż ten za oknem nie mamy. Niech pani zostanie.

No i zostałam.

Zostaliśmy oboje, Jakub i ja, od marca 1943 roku aż do ich polskiego powstania.

Żyliśmy u niej trochę jak ludzie, a trochę jak domowe zwierzęta w klatce, potem zaś, czarną zimą 1944 roku żyliśmy jak nocne potwory, Jakub i ja, on we śnie dniem i nocą, ja zaś wychodziłam żerować.

Nie chcę iść, ale iść mi trzeba, jeśli chcę, by on żył. A chcę. Wychodzę więc znowu. Znowu tą samą drogą. Jeśli nie wyjdę, on umrze. Wychodzę wcześnie, niezbyt długo po zmierzchu.

Zawsze liczę, liczyłam kroki, co nie sprawia mi problemu, bo poruszam się bardzo powoli. Przejście tysiąca kroków, czyli jakichś siedmiuset metrów, zajmuje mi nawet pół godziny, co wiem z kolei, bo noszę zawsze zegarek Jakuba. Idę więc powoli i nie przeszłam jeszcze trzystu kroków nawet, kiedy coś zauważam. Zatrzymuję się więc, przyklękam, chowając się za załomem rozbitego muru, czekam i obserwuję.

W budynku, który kiedyś mieścił chyba jakieś laboratoria albo coś podobnego, takim nowoczesnym, bez zdobień i o prostych liniach, którego Niemcy jakoś nie wysadzili i sobie stoi, w tym budynku właśnie, obok którego przechodziłam już wiele razy, widzę światło drgającego płomyka.

Skoro ja widzę, to Niemcy też mogą zobaczyć i oczywiście nie palą go sami Niemcy, bo oni nie muszą tutaj chować się przed niczym.

Waham się chwilę, czy wejść tam i sprawdzić. Czy się boję?

Tylko chwilę się waham, nie boję się wcale. Jestem nocnym potworem. Czy już nie boję się Niemców? Już nie, już się nie boję Niemców, bo ten strach spowszedniał, stał się tłem, stał się tak zwykły, że równie dobrze mogłabym się bać, że przejedzie mnie tramwaj albo że ktoś nagle przypomni sobie, jakim skandalem jest istnienie naszego świata, i zada sobie pytanie, dlaczego jest raczej coś niż nic i całe to istnienie jednym skinieniem unieważni, i po prostu przestaniemy istnieć.

Nie spalą nas w piecach ani w płonących mieszkaniach, nie zakopią zagazowanych w jakimś dole, nie rozstrzelają, nie zbombardują, nie zagłodzą, tylko w jednej chwili jesteśmy, ja, Jakub, spalone miasto, Niemcy, Hitler w Berlinie, Stalin w Moskwie, Churchill w Londynie, wszyscy żołnierze wyrwani ze swoich domów i marznący gdzieś w okopach w różnych mundurach, wszystkie kobiety, które cierpią i na nich czekają albo ich zdradzają, i ja, znowu ja, ja sama, wszyscy w jednej chwili jesteśmy, a w następnej już nas nie ma, bo czy to nie jest skandal, że jest raczej coś niż nic?

Nie boję się Niemców. Nie boję się, że świat może przestać być.

Idę tam, szłam tam bardzo cicho w kierunku wejścia, idę, szłam, jak umiem najlepiej.

Pada drobny, rzadki śnieg, padał. Jestem ciepło ubrana, byłam, ale jest mi bardzo zimno, z głodu. Wchodzę, wnikam do budynku przez rozwalone drzwi, próbuję odtworzyć w głowie jego topografię, aby trafić do miejsca, w którym mogło się palić światło.

Mam małą, wojskową latarkę, ale nie zapalę jej. Idę, kierując się tą odrobiną światła, jaka wpada przez pozbawione szyb okna. Oczy mi nawykły. Zawsze dobrze widziałam w ciemnościach. Idę bardzo powoli, dokładnie i delikatnie badam stopami podłoże, na jakim mam je postawić, dlatego idę bezszelestnie.

Po chwili wiem już, że nie muszę się tak cicho skradać. Ktokolwiek się tu chowa, jest tak hałaśliwy, że nie usłyszałby czołgu, gdyby ten wtoczył się na dziedziniec. Podchodzę bliżej. Przyciskam się do ściany przy wejściu do

pomieszczenia, w którym się ukrywa, a które jeszcze nie tak dawno temu było zapewne jakimś biurem.

Słyszę, jak pochrząkuje, nawet coś jakby pogwizdywał pod nosem.

Czuję też słodki zapach jedzenia.

Nie stęchłej mąki, nie zmarzniętych kartofli, nie resztek cukru, wyskrobanych z jakiejś zapomnianej szuflady, nie gotowanego przez całą noc skórzanego paska, nie upieczonego nad ogniem szczura, ale prawdziwego jedzenia. Tu pachnie podgrzewane, niezepsute mięso, pachnie jakiś sos i jest to zapach tak oszałamiający, że przez chwilę zapominam, po co tu przyszłam, przywieram do ściany i sycę się tym zapachem, czuję, jak moje usta wypełniają się śliną, jak ściska mi się nagle żołądek.

Wyciągam ułamek lustra, który noszę w kieszeni, mały, mniejszy niż dłoń. Zaglądam do pomieszczenia za pomocą tego lusterka.

Ma na sobie spięty pasem, niemiecki płaszcz wojskowy, futrzaną czapkę, na nogach ruskie walonki. Pali na podłodze małe ognisko. Broni nie widzę. Jest sam. Siedzi na krześle i zajada to, co tak pięknie pachnie, wyjada to łyżką z aluminiowej puszki. W kącie leży wojskowy plecak, z klapą pokrytą rudą, cielęcą skórą z sierścią.

Wyciągam z kieszeni pistolet. Nie noszę naboju w komorze, ale nie przeładowuję, nie będę strzelać, nie chcę, żeby usłyszał szczęknięcie zamka, wchodzę z pistoletem niezdatnym do strzału.

Zauważa mnie, dopiero kiedy podnosi wzrok znad puszki, z której pracowicie wyjada jakieś mięso, zauważa i podskakuje przerażony. Jest to nieduży mężczyzna, spod otoku sowieckiej uszanki ze sztucznego futra wygląda okrągła, bardzo brudna, prawie czarna twarz, w której świecą białka dużych oczu. Nie rozgląda się po pokoju, domyślam się więc, że nie ma nigdzie schowanej broni. Po prostu patrzy na mnie, na mój pistolet.

– Essen…? – pyta. – Nicht schiessen, bitte.

To potwierdza tylko to, czego już się domyślałam. Niemiec, dezerter. Kiwam głową.

– Büchse. Essen – mówię.

Kiwa głową, podnosi ręce, ale nie tak, jakby się poddawał, lecz gestem uspokajającym, jakby mówił, że jesteśmy w tej samej sytuacji, moja

zawinięta w szmaty koleżanko – a zresztą nie wiem, czy odróżnia płeć, więc może jesteśmy w tej samej sytuacji, zawinięta w szmaty istoto z pistoletem w dłoni, ukrywamy się przed światem, na coś czekamy, ty, zawinięta w szmaty istoto, być może czekasz na Sowietów, ale na co mogę czekać ja, niemiecki dezerter?

Sięga po plecak, podnosi pokrytą cielęcą skórą klapę. Unoszę pistolet, on macha ręką, uspokaja znowu i bardzo powoli wyciąga z plecaka pudełko z szarego papieru, otwiera je, pokazuje mi zawartość i już rozumiem, co to jest, wojskowe racje, w pudełku jest konserwa i niemieckie cwibaki, czyli suchary.

Przesuwa pudełko w moją stronę, po czym sam odsuwa się od niego, żebym nie podejrzewała go, ja, zawinięta w szmaty istota, o jakieś niecne zamiary.

Ostrożnie wyciągam suchary i konserwę z pudełka, jest w nim jeszcze paczuszka opisana jako Gemüse, czyli pewnie suszone warzywa, i Kaffee-Ersatz, chowam wszystko do kieszeni płaszcza, nie spuszczając wzroku z mojego, powiedzmy, dobrodzieja.

Zastanawiam się, co dalej.

Jestem, byłam pewna, że ma tego jedzenia więcej, a ja potrzebuję jedzenia, żeby utrzymać Jakuba przy życiu. Każdej ilości jedzenia. Sowieci w końcu tu przyjdą, ale kiedy? Za miesiąc, za trzy miesiące, za rok?

Wtedy, dopiero wtedy, będziemy mogli uciec z Warszawy i zaszyć się gdzieś daleko, na jakiejś prowincji. Zresztą nieważne, byle dożyć. A żeby dożyć, trzeba jedzenia. Może powinnam go zabić i obrabować?

W końcu to Niemiec, a żaden Niemiec nie zasługuje na to, żeby żyć. Jednak boję się strzelić. Mogą usłyszeć, mogli.

– Wyście sōm Polka? Partizanen? – pyta nagle. – Mōm wiyncyj jedzynio.

Zaskakuje mnie trochę jego polszczyzna, ale wielu folksdojczów mówi przecież po polsku. Brzmi jak góral. Potem dziwi mnie to, że chociaż zna polski, to zaczął po niemiecku. Może odruchowo sięgnął po język mocy, zamiast posługiwać się językiem słabości. Myśmy w getcie też prawie przestali mówić po żydowsku przecież, każdy starał się mówić po polsku, jak tylko umiał, uciekając od żydowskiego, uciekaliśmy od śmierci.

– Jŏ niy ma Niymiec. Jŏ je Poloŏk ze Ślōnska, z niymieckiego wojska żech uciek, pociep żech karabin i sam sie chowia.

Stoję nad nim i milczę, milczałam.

– Weście mie ze sobōm, ja? Jŏ mōm jedzynie, nakrŏd żech, yno jŏ miasta niy znōm – gada dalej. – Ani papirōw niy mōm. Jak mie chycom, to zabijōm, boch uciykł ze wojska.

– Iluś Żydów zabił, co? – pytam cicho.

Patrzy na mnie, nawet w mroku widzę, jak świecą mu się oczy.

– Żŏdnego, paniczko, żŏdnegoch niy zabił. Jŏ yno przi kōniach robiył. A potym żech uciykł, jak my już we Polsce byli. Bo se żech pomyśloł, że sam, we Polsce to mie już ludzie przigarnōm, jakech sōm Polŏk, yno ze Ślōnska – powtarza jak nakręcony.

Widzę, że jest przerażony. Znam Ślązaków dobrze. Są jeszcze gorsi od Niemców. Dziwne, że języka nie poznałam od razu. Pomyślałam najpierw, że jakiś góral.

Był na przykład w getcie taki strażnik z Sicherdienst. Nazywał się Hans Blaszczok i koledzy z jednostki śmiali się z niego, że kiepsko mówi po niemiecku, i nie byli w stanie wymówić jego nazwiska. Pochodził z Katowic, był górnikiem, ale nie bardzo lubił ciężką robotę i przed wojną działał w Jungdeutsche Partei, potem uciekł na niemiecką stronę, do Beuthen, potem służył w Volksdeutscher Selbstschutz, potem w Sonderdienst, z którego przeszedł w końcu do bezpieczeństwa. Stał zwykle na bramie na Grzybowskiej, potem na schodkach, a potem, podczas Grossaktion, na Umschlagu.

Do nas odzywał się zwykle w swojej niezdarnej, śląskiej polszczyźnie. Nie strzelał do byle kogo, jak Frankenstein, nawet nie bił za byle co, tylko jeśli akurat ktoś mu dał powód. Szmuglerzy go lubili, bo był solidny w łapówkach, opłacony dotrzymywał słowa. Miał jedną słabość: żydowskich chłopców. Nawet nie, że szczególnie żydowskich, po prostu żydowskich mógł sobie brać bezkarnie, bo nikt się o nich nie upominał. Jeśli jakiś mu się spodobał, a podobali mu się tylko najpiękniejsi, to Blaszczok zaciągał go do pokoiku, który specjalnie w tym celu wynajmował, i trzymał go tam parę dni, wykorzystując na wszystkie znane ludzkości sposoby, a przecież dobrze wiem, na ile sposobów można

płciowo wykorzystać człowieka, wiele przed wojną widziałam, a w czasie wojny też. Żaden chyba z tych żydowskich chłopców nie wyszedł z tego pokoiku żywy, a było ich wielu. W Katowicach zaś Blaszczok miał pobożną żonę i dwie śliczne córeczki.

To właśnie dlatego niektórzy kochają wojnę. Wojna sprawia, że wreszcie mogą odetchnąć pełną piersią.

Gdyby nie wojna, Blaszczok zapewne nie miałby okazji zrobić niczego szczególnie złego. Gdyby nie wojna, Blaszczok po prostu mieszkałby w swoim małym mieszkaniu w czerwonej kamienicy, wiercił w ścianie węgla otwory zapałowe, wracał do domu, do żony, z którą spłodził te dwie córeczki, i w końcu zginąłby w wypadku na kopalni, a może na pylicę albo ze starości i odchodziłby z tego świata wypełniony tęsknotą nigdy niezaspokojoną, czyli pustką, i całe jego życie poszłoby na marne, a dzięki wojnie, dzięki tej pięknej, słodkiej, kochanej wojnie Blaszczok mógł brać sobie po kryjomu tych żydowskich chłopców i dzięki nim ta pustka w Blaszczoku jakoś się zapełniała, i jego życie zyskało treść i barwę.

Ktoś mógłby zapytać: skąd ja, Ryfka, mogę to wszystko o Blaszczoku wiedzieć? To bardzo głupie pytanie. Wiem, co wiem. Jestem, jaka jestem. Wteraz.

Blaszczok był więc taki, jaki był, kochał wojnę nie dla frontowych przewag, nie dla orderów, jakimi szczycili się oficerowie w pięknych mundurach, tych męskich błyskotek noszonych na piersi i pod szyją, Blaszczok tego nie potrzebował, nie potrzebował braterstwa, jakie rodzi się w okopie, i tej czystej, szlachetnej miłości między towarzyszami broni, Blaszczok był zwykłym człowiekiem i kochał wojnę tylko dlatego, że pozwoliła mu zapełnić tę ziejącą pustkę, jaką miał w środku.

Blaszczok miał szczęście, bo kiedy się wojna skończyła, to akurat był na Zachodzie, zrzucił mundur, nie dostał się do niewoli, wrócił na ten śmieszny Śląsk jako dipis, zaczął znowu pracę na kopalni, żył jak kiedyś, cicho i pokornie, chodził do roboty, chodził do kościoła, do partii się nie zapisał, chłopców nie dotykał, tylko ich wspominał, a ja piętnaście lat po wojnie spotkałam go, spotykam go na ulicy Warszawskiej w Katowicach, gdzie szedł z małą, okrągłą żoną, idzie. Poznałam go natychmiast, bo niewiele się zmienił, i nic nie zrobiłam, zupełnie nic, nie czułam lęku ani nienawiści, po prostu minęłam go, wydawało mi się, że uważnie mi się

przygląda, ale myślę, wiem, że tylko mi się wydawało, w jego głowie przeszłość oddzieliła się od teraźniejszości nieprzenikalnym murem, nieprzebijalną barierą, za którą zostali ci wszyscy żydowscy chłopcy i ich męczarnie, dające czemuś strasznemu wewnątrz Blaszczoka satysfakcję, tę część siebie Blaszczok również pozostawił za tym murem nieprzenikalnym, za nim zostały również nasze cierpienie, nasze wychudłe twarze, za tym murem zostali oszalali z głodu chaperzy, którzy wyrywali ludziom właśnie zakupione jedzenie i pożerali je w pośpiechu, nie zważając na razy, jakie spadały na ich plecy, za murem zostały dziewczęta ze szkoły pielęgniarskiej, prawie do samego końca przemierzające ulice getta w tych różowych mundurkach, z krochmalonymi kołnierzykami, w białych fartuchach i czepkach i w granatowych pelerynach, tak zupełnie nierzeczywiste, wszystkie im zazdrościły tych mundurków, ale ja nie. One również zostały za murem niepamięci, jakim Blaszczok odciął swoje poprzednie życie.

Spotkałam go po wojnie tylko raz i nic nie zrobiłam.

Inni Ślązacy, jakich poznałam, byli jeszcze zwyklejsi niż Blaszczok, prawdziwym Reichsdeutschom z całych sił udowadniali, że są bardziej niemieccy nawet od Hitlera, i z tego powodu najgorliwiej nas prześladowali. Właściwie im się nie dziwię, przecież tak samo zachowywali się ci spośród nas, którzy przed wojną wyobrazili sobie, że będą Polakami, i uznali, że najlepszą drogą do polskości jest nienawidzić Żyda w sobie. Nawet jeśli się nie wychrzcili, bo nie wszyscy przecież szli ścieżką Szeryńskiego, co z Żyda endekiem został, nawet jeśli byli na pozór normalnymi asymilantami, to przecież samo pragnienie bycia Polakiem było z żydowskością nie do pogodzenia.

Jak to brzydko brzmi, żydłaczyć. Jakby komuś z gęby śmierdziało, więc zdrapywali z siebie sztetl albo Nalewki, szorowali sobie język, aż wyszorowali Żyda z siebie.

Ale głupio wyglądali ci z Żydów wyszorowani niby-Polacy, kiedy w listopadzie 40 roku Niemcy zamknęli getto. Stali, wychrzczeni czy nie, stoją na nieznanych im ulicach, którymi się brzydzili, brzydzą, na ulicach, gdzie jeszcze niedawno rozbrzmiewał język, którego nie rozumieli i nie chcieli rozumieć, prędzej nauczyliby się suahili albo mandaryńskiego niż żydowskiego. Na ich szczęście w getcie, kto tylko znał polski jako tako,

starał się mówić po polsku, żydowskiego wszyscy jak mogli unikali. Stali się w każdym razie nagle ci totalni asymilanci tym, co z siebie wyszorowali. Znałam dwunastolatkę, która dopiero w listopadzie 40 roku dowiedziała się, że nie tak do końca, niezupełnie jest Polką, i stała w swoim pięknym, drogim, zielonym paletku, razem ze swoimi eleganckimi rodzicami, stała za bramą na Twardej, ściskając mamę za rękę, na której po raz pierwszy matka jej nosiła opaskę, podczas kiedy jej ojciec, również po raz pierwszy w opasce, rozglądał się po okolicy, jakby właśnie wysiadł z pociągu w mieście, w którym nigdy wcześniej nie był, i dopiero ponaglony przez wozaka transportującego ich doczesny dobytek zdecydowanie ruszył przed siebie, do jakiegoś pokoiku, na który zamienili tutaj swoje piękne mieszkanie na Mokotowie.

Nienawidziłam ich wtedy odrobinę, że dopiero hitlerowskiego barbarzyństwa było trzeba, by zechcieli połączyć swój los z naszym. Nienawidziłam, ale rozumiałam, tak samo jak rozumiałam folksdojczów, usilnie starających się zetrzeć z siebie wszystko, co nie jest niemieckie, którzy pewnie nocami płakali, nie potrafiąc pozbyć się dźwięcznego „er", tak jak nasi bili dzieci po łapach, jeśli mówiąc po polsku, z żydowska nadużywały zaimków.

Sam Frankenstein, dla nas Niemiec absolutny, kwintesencja niemieckości z palcem na spuście karabinu, najstraszniejszy w całym getcie Frankenstein też nie był przecież z Rzeszy, tylko z Sudetów, z dawnej Czechosłowacji, wtedy tego oczywiście nie wiedziałam, ale wteraz wiem wszystko. Niemcy z pogranicza zawsze są najgorsi, a od Niemców z pogranicza gorsi są tylko ci, którzy bardzo chcą być Niemcami i muszą swoją niemieckość udowodnić albo nawet zbudować.

Tak więc nie bardzo Ślązaków lubię, nie lubię ich niemieckich mundurów, ich przymilności do każdego, kto od nich silniejszy.

Ten tu też się przymila. Przymila się, bo stoję nad nim z pistoletem w ręce, przymila się, bo jestem silniejsza. Ale z drugiej strony jest w nim coś takiego, że nie chcę go zabijać. I nie chcę go ograbiać. Nosi ich mundur, ale uciekł z ich wojska. I wierzę mu, że nie zabił żadnego Żyda, wierzyłam.

Nie wiem, dlaczego mu wierzę, ale wierzę.

Wierzyłam.

– Zgaś to. Bierz czemadany. I chodź – mówię.
Potrzebuję tego jedzenia.

DAWID

Dzieci Warszawy z dwudziestego pierwszego pułku opuściły stolicę 26 sierpnia wieczorem.

My, dzieci Jakuba Szapiry, w Warszawie zostaliśmy, oczekiwaliśmy nieuniknionego, pełni nadziei, oni zaś maszerowali szosą na Młociny i Pomiechówek, był bardzo ciepły wieczór, wzdłuż kolumny marszowej szli liczni cywile: rodziny żołnierzy, mieszkańcy przedmieść i podmiejskich wiosek, atmosfera była wręcz piknikowa. Żołnierze śpiewali, kobiety częstowały ich wodą, maślanką i mlekiem, mężczyźni wódką, czego bezskutecznie usiłowali zabraniać dowódcy plutonów.

Pierwszy w kolumnie posuwał się trzeci batalion, następnie batalion pierwszy, potem tabory pod wodzą śmiertelnie zmęczonego i głęboko melancholijnego kwatermistrza, kapitana Adolfa Miecznickiego, dalej łączność, pluton przeciwgazowy, pluton pionierów, kompania zwiadowcza z plutonem kolarzy i plutonem zwiadowców konnych, których po opuszczeniu miasta wysunięto na szpicę kolumny i których okoliczna ludność fetowała najgoręcej, niesłusznie biorąc ich za ułanów.

Dalej posuwała się skromna pułkowa artyleria, to jest sześciokonne zaprzęgi z dwiema starymi rosyjskimi armatami na wielkich drewnianych kołach, oraz kompania przeciwpancerna z dwunastoma małymi przeciwpancernymi boforsami.

Kolumnę zamykał drugi batalion, w którym maszerował mój ojciec, obok na ciągniętej przez Marchewa biedce jechał cekaem, który pieczy mojego ojca powierzyła Rzeczpospolita, za cekaemem zaś maszerowała cekaemu

obsługa. Szli dwójkami za biedką, smarkali i kaszleli pyłem, jaki podniosły z drogi stopy całego maszerującego przed nimi pułku, czasem ktoś klął, kiedy wdepnął w końskie gówno.

– Więc sprawy tak się mają – zaczął starszy strzelec Kawulski, inteligentny i bezczelny czterdziestolatek średniego wzrostu, lecz o ciele silnym, włosach jasnych i niezwykłej smykałce do interesów, teraz, na wojnie, bezużytecznej – że w Berlinie wybuchła rewolucja. Słyszeliście?

Nikt nie podjął tematu.

– Żołnierze się zbuntowali, robotnicy przemocą do armii wcieleni. Nie chcą strzelać do innych robotników, niepotrzebna im ta pańska wojna. Hitler aresztowany. Zobaczycie, jak tylko nas zobaczą…

– Kto? – zainteresował się kapral Głowacki, celowniczy cekaemu.

– Niemcy przecież, a kto. Zobaczysz pan. Kolega szwagra mojego był w Berlinie, dobry socjalista, gadał tam z ich socjaldemokratami, i on mi to mówił. Robotnicy się zbuntowali. Więc jak tylko nas zobaczą…

– A to myślisz pan, że wojna będzie? Że zaatakują?

– No jak nie zaatakują, to jak to się rozniesie, że w Berlinie rewolucja, to my zaatakujemy przecież. Żeby tę antyfaszystowską rewolucję wspomóc. To pewne. A jak wkroczą pierwsi, to mówię, jak tylko nas zobaczą, to rzucą karabiny. Niemiecki robotnik nie będzie strzelał do polskiego robotnika – wesoło przekonywał Kawulski.

Niemiecki robotnik jednak do polskiego robotnika strzelał chętnie i na dodatek celnie i starszy strzelec Kawulski zginął 3 września pod wsią Nieborzyn, od kuli wystrzelonej przez gefrajtra nazwiskiem Zündapp, tak właśnie się nazywał, jak marka motocykli.

Wesołą rozmowę i kulę uderzającą w lewą skroń Kawulskiego, pół centymetra poniżej krawędzi hełmu, dzielił tydzień. Pułk spędził ten tydzień na forsownych marszach przez północne Mazowsze, przemierzył rodzinne okolice strzelca Bani, woźnicy biedki, co go niezwykle wzruszyło i w tym wzruszeniu pozostał aż do śmierci, która przyszła poń kilka dni później.

Trzeciego września 1939 roku mój ojciec po raz pierwszy widział niemieckiego żołnierza. W latach dwudziestych bywał co prawda w Berlinie, ale to było oczywiście coś zupełnie innego. Drugi batalion

dostał polecenie opanowania folwarku Chrostowo oraz szosy Grudusk–Przasnysz.

Na czele batalionu polną drogą maszerowała piąta kompania, do której dowódca przydzielił pluton cekaemów porucznika Jelenty, gdzie służył mój ojciec. Dostali się pod ogień artylerii, dowódca rozwinął szyk w trójkąt, a mój ojciec przypomniał sobie strach sprzed dwudziestu lat.

Przypomniał sobie, ponieważ teraz nie czuł nic. Nie była to odwaga, nie był to ferwor bojowy, po prostu nie czuł strachu, ponieważ w ogóle nic nie czuł.

Byli już spieszeni, biedka z woźnicą została przy kompanii, karabin niósł celowniczy, podstawę taśmowy, rozstawili karabin w płytkim zagłębieniu terenu na skraju lasu i zaczęli strzelać. Cele dla broni maszynowej wskazywał porucznik, ojciec nie miał lornetki, ale widział ich, Niemców, w lesie na drugim końcu pola, maleńkie sylwetki oddalone o jakieś pięćset metrów. Skoro widział, to krzyknął „Ognia!", celowniczy miał już ustawione sektory ostrzału, więc zaczął strzelać krótkimi seriami, ojciec zdjął z pleców karabinek i również zaczął strzelać, co raczej nie miało wielkiego sensu, ale po prostu chciał. Więc strzelał. Wtedy zginął Kawulski, co ojciec miał w zasadzie w dupie, był za stary, zbyt zmęczony i zbyt obojętny, zbyt wiele trupów widział już na wojnie i w czasach tak zwanego pokoju, żeby przejąć się śmiercią jednego żołnierza, pięciu żołnierzy, stu żołnierzy.

Strzelał więc sam ze swojego karabinka, obok strzelał cekaem, ojciec nie miał pojęcia, czy ich ogień wyrządza Niemcom jakieś szkody, zobaczył to dopiero później, kiedy dowódca rozkazał plutonowi mojego ojca zmienić stanowisko, by Niemców oflankować i razić ogniem bocznym, co też ojciec uczynił, zaś kompanie strzeleckie drugiego batalionu poszły do ataku na bagnety, sto metrów pod ogniem, karabin ojca strzelał prawie do samego momentu uderzenia, wpadli w niemieckie pozycje z krzykiem, wtedy podporucznik Jelenta kazał wstrzymać ogień, po kilku minutach było po walce. Potem batalion ruszył w pościg i dopiero wtedy ojciec wraz z obsługą jego karabinu przeszli przez niemieckie linie. Był jedynym w całym karabinie weteranem wojny sprzed dwudziestu lat, więc widok trupów nie był dla niego szokiem, bo się w życiu, również cywilnym, trupów naoglądał tyle, że go wcale nie wzruszały. Patrzył na nich,

podziurawionych, pokrwawionych, na ich martwe twarze, na ich szarozielone kurtki, szare spodnie, hełmy z naklejonymi orłami trzymającymi swastyki, patrzył też na zdobyczne, nowoczesne karabiny maszynowe.

Myślał o tym potem wiele razy. O tych zabitych Niemcach i o tych, których zabił później, na Grochowie. Myślał, kiedy przed żandarmami w getcie ściągał czapkę, kiedy im salutował, a potem już nie myślał wcale.

Tam, pod Chrostowem, po raz ostatni w życiu posmakował prawdziwego, nawet jeśli krótkotrwałego, zwycięstwa.

Mój ojciec bardzo lubił zwyciężać.

Być może „lubił" to złe słowo. Mój ojciec musiał zwyciężać. Przez blisko dwadzieścia lat dzielących jego dwie wojny żył w nieustannej świadomości zagrożenia, w świadomości tego, jak wielu życzy mu upadku i klęski, jak wielu chętnie pożywiłoby się na jego martwym ciele. Wiedział więc, że nie może się zatrzymać, że aby żyć, musi walczyć i zwyciężać. Całe życie mojego ojca było walką, zwycięstwo zaś było warunkiem przetrwania.

Być może to jedyna rzecz, jakiej się od niego nauczyłem.

Być może nawet nie chcę tak myśleć, a jednak myślę, być może nawet dlatego właśnie przetrwałem.

Mój ojciec, Jakub Szapiro, nie miał szacunku do pokonanych. Piętnaście lat swojego życia poświęcił sportowi, szlifował swoje ciało tak, by jak najlepiej wpasowało się w ograniczony linami kwadrat ringu, a jednak nigdy nie był sportowcem. Mój ojciec chciał po prostu wygrywać. Nawet w apogeum swojego życia, na szczytach swojej potęgi, w samochodach lepszych niż te, którymi jeździli ministrowie, w garniturach z najdroższych angielskich wełen, z najpiękniejszymi i najdroższymi w Warszawie kurwami, nawet wtedy mój ojciec pozostawał nędzarzem, pozostawał biednym Żydem, który nie znaczy nic i nie jest wart nic – chyba że wygra. Nawet wtedy ojca mojego na sekundę nie opuszczała świadomość, że porażka oznacza dlań nieistnienie, a porażki życzą mu wszyscy, ponieważ nikt tak naprawdę nie uważa mojego ojca za uprawnionego do posiadania tego, co posiada.

Dla Polaków bogaty Żyd, choćby z najlepszej rodziny, jest postacią zasadniczo podejrzaną. Źródła jego majątku zawsze wydają im się niemoralne. Co dziwne, majątek polskiego szlachcica, przez wiele pokoleń

budowany na niewolniczej pracy chłopskiej, niemoralny nikomu się nie wydawał, a majątek żydowskiego handlarza czy bankiera już tak – mówię dziwne, a przecież nie jest to wcale dziwne, skoro to właśnie Polacy ustalili normy regulujące, co jest godziwe, a co podejrzane.

Skoro więc podejrzany jest każdy bogaty Żyd, to jaką obrazą dla spajających społeczeństwo norm jest Żyd znikąd, syn nikogo, nędzarz, który się wzbogaca, który staje się potężny i swoim bogactwem i potęgą to społeczeństwo obraża.

Przegrywać więc mój ojciec nie umiał. Nie umiał, bo nie miał okazji się nauczyć, powstał, ulepił sam siebie w serii zwycięstw. Przegrywając chociaż raz, przestałby istnieć. Więc zwyciężał i czuł swój udział w zwycięstwie w potyczce pod Chrostowem.

Wieczorem świętowali. Podjechały kuchnie polowe, wydano obiad, kto coś miał, to popijał, pijanych jednak nie było. Siedzieli przy ogniskach i ojciec patrzył na twarze żołnierzy, podniecone zwycięstwem, walką, i czuł się dobrze, czuł się częścią czegoś większego, czuł, że jest na właściwym miejscu. Cieszył się, że poszedł na wojnę, bo nagle, po raz pierwszy od dwudziestu lat czuł spokój.

Po blisko dwudziestu latach napięcia, ciągłego naprężenia nerwów i mięśni, po dwudziestu latach permanentnej gotowości do obrony swojego statusu poczuł ulgę. Poczuł, że tutaj nie jest podejrzanie, niezasłużenie bogatym i bezpodstawnie potężnym warszawskim Żydem, żydkiem, parchem, gudłajem, bandytą Jakubem Szapiro, który nie może zlekceważyć żadnej obelgi, żadnego krzywego spojrzenia. Jest za to po prostu karabinowym, w stopniu plutonowego, odpowiada przed porucznikiem Jelentą, podlegają mu zaś ludzie, których zna od tygodnia i o których nie dba ani nie czuje do nich wrogości.

Siedzą razem przy ognisku, w trzecim dniu wojny walczyli po raz pierwszy i zwyciężyli. W okopach leżą trupy Niemców, a oni żyją, poza tymi, co zginęli, ale o tych ojciec nie myślał, żyją więc, śmieją się, jedzą i piją, i policzki im płoną. Noc była ciepła, żołnierze już po tygodniu nawykli do biwakowania, szli spać szczęśliwi i przekonani o własnej sile i tylko kapitan Miecznicki nie mógł sycić się zwycięstwem, bo zajęty był przeliczaniem racji żywnościowych.

Mój ojciec też nie od razu się kładł, długo siedział przy ognisku, miał butelkę wódki, popijał z niej powoli, małymi łyczkami, patrzył w ogień i nie myślał o nas.

Nie myślał o mamie. Nie myślał o Danielu ani nie myślał o mnie.

Tamtej nocy, tam pod Chrostowem, mój ojciec był przez chwilę spokojny i szczęśliwy, po czym wszystko się rozleciało.

Najpierw sztab pułku stracił łączność z dowództwem 8. Dywizji Piechoty, której był istotnym składnikiem, ta z kolei wchodziła w skład armii „Modlin". Pułkownik Sosabowski wysłał patrol konny do folwarku Włosty, aby tę łączność nawiązać, jednak patrol nie wrócił. Plotki na wojnie rozprzestrzeniają się jak syfilis w burdelu, tak powiedziałby mój ojciec, więc wszyscy zaczęli gadać, że pułk nie ma łączności z dywizją, i zaczęło się robić niespokojnie.

Złe przeczucia potwierdziły się bardzo szybko. O drugiej w nocy do pułku dotarł oficer operacyjny ze sztabu dywizji, kapitan nazwiskiem Szugajew, i poinformował Sosabowskiego, że 8. Dywizji Piechoty już nie ma i jego, Sosabowskiego, dwudziesty pierwszy pułk jest ostatnim zorganizowanym oddziałem w okolicy. Wszystko inne rozbite.

Sosabowski natychmiast zwołał odprawę dla dowódców batalionów i pododdziałów specjalnych, zarządził porządek odwrotu i żołnierzy trzeba było budzić, wyciągać z jam, które sobie wykopali, wszystko w ciemnościach zupełnych, rozświetlanych tylko przez nieliczne latarki elektryczne oficerów i sierżantów, ojciec już wtedy wiedział, że jest bardzo, bardzo źle.

Jak bardzo źle jest, okazało się nad ranem. Kiedy zrobiło się jasno, Dzieci Warszawy ujrzały na swojej drodze rozbite tabory 8. Dywizji Piechoty. Porozbijane wozy i biedki, kuchnie polowe, warsztaty, porzucone działa i karabiny maszynowe, biedki telefoniczne, radiostacje, taczanki, przy których stały ciągle do nich zaprzęgnięte konie; z tych luzem bardzo wiele błąkało się po prowadzących przez lasy ścieżkach i polnych drogach. Nic przy tym nie nosiło śladów działalności nieprzyjaciela – widać było, że w taborach wybuchła panika.

Samopoczucie żołnierzy było bardzo złe. Brakowało wody, studnie powysychały, w lasach szalały pożary, dodatkowo spodziewali się w każdej

chwili ataku lotniczego, dlatego dowódcy polecili przygotować karabiny maszynowe do strzelań przeciwlotniczych.

Ojcu chciało się śmiać, kiedy pomagał montować do kaemu kolbę, siatkę przeciwlotniczego celownika, do podstawy zaś maszt pozwalający na uniesienie lufy kaemu wysoko w górę na przeciwlotnicze strzelanie, chciało mu się więc śmiać, bo nagle zrozumiał, jak małą, pomijalną siłę ognia ma jego kaem, kiedy miałby strzelać do poruszającego się kilkaset kilometrów na godzinę, niewielkiego celu, a co za tym idzie, jak praktycznie bezbronna jest wobec samolotów ich długa, powolna, rozciągnięta na drodze kolumna człapiących zmęczonych ludzi, koni i wozów.

Jako jedynemu chyba też chciało mu się śmiać, kiedy na własne oczy zobaczył klęskę, czyli to, co zostało z rozbitych taborów dywizji. Śmiał się przede wszystkim z samego siebie, z poczucia triumfu, nasycenia zwycięstwem, jakie miał jeszcze kilka godzin wcześniej. Pułkownik Sosabowski kazał zbierać porzucone armaty, jaszcze, radiostacje, bo gdzieś zniknęły również tabory pułkowe, razem z dowodzącym nimi kapitanem Miecznickim, o którym ojciec w ogóle zbyt wiele nie myślał. Łapali więc szwendające się po okolicy konie, znaleźli jakąś pełną rozgotowanej i ostygłej już strawy kuchnię polową, więc cała kompania się pożywiła, z minami jednak nietęgimi, a ojciec ledwie powstrzymywał śmiech.

Już wiedział, że wojna jest przegrana, i to wydawało mu się najśmieszniejsze. Oto wczoraj sobie postrzelali, posiekli Niemców kulami z cekaemów, pokłuli bagnetami, a dzisiaj już jest po wszystkim. W co wierzył wczoraj, co mu się wydawało, czyżby uwierzył Rydzowi-Śmigłemu? Nie, nie wierzył. Nie wierzył ani przez sekundę w „zwartych i gotowych", był za stary, za bardzo doświadczony i zbyt nieufny przecież, bo aż nadto obyty w świecie, w którym każdy próbował oszukać każdego.

Polska przepadła, ojciec wtedy dobrze to rozumiał. Nie ma już Polski. Na Polsce mu nie zależało, ani Polski nie było mu żal, ale rozumiał również, że razem z Polską przepadł cały jego świat, jego miasto i jakoś, przeczuwał może, jego życie. Polski nie było mu żal, bo zdawał sobie sprawę, że jego relacja z nią jest cokolwiek trudna.

Polska go nie chciała, Polska odpychała go jako Żyda, który nie zamierzał dokładać wszelkich starań, by być godnym zaszczytnego miana Polaka.

Taki Żyd, który chciał być Polakiem, który marzył o polskości, który się starał być Polakiem i gotów był swej świeżej, nowej polskości zajadle bronić, oczywiście i tak pozostawał Polakiem warunkowym, pozostawał podejrzany – cóż dopiero Żyd, który uważał, że w Warszawie jest u siebie, ale bycie Polakiem go nie interesowało. Dla Żyda postawą w oczach Polaków właściwą było starać się swojej żydowskości pozbyć jak choroby, zmyć ją z siebie, jeśli nie w swoim pokoleniu, to w następnym, pokornie aspirować do tego, aby być Polakiem. Niektórzy, jak poeta Tuwim, aspirowali do polskości bezczelnie, mówiąc, że będą sobie Polakami, bo tak im się podoba, i to wielu irytowało, jednak jeszcze bardziej irytujący, o wiele bardziej irytujący był Żyd, warszawski Żyd, który w Warszawie był przecież u siebie, bo gdzieżby indziej miał u siebie być, skoro nigdy nigdzie nie był, a jednak mimo to w ogóle nawet nie próbował, nie chciał być Polakiem, przed polskością się bronił.

Tyle właśnie zrozumiałem z naszych nielicznych przedwojennych rozmów: mój ojciec w żadnym, najmniejszym nawet stopniu się do polskości nie poczuwał, polski był jego drugim językiem, chociaż do nas po polsku mówił najczęściej i zarówno ja, jak i Dawid polszczyznę traktowaliśmy jak nasz pierwszy język, w jidysz mówiliśmy dużo słabiej. Kiedyś zapytałem go o to, pamiętam, jeszcze przed wojną, dlaczego rozmawiamy w domu po polsku, skoro słyszałem, jak mówił z mamą o Polakach „oni", a nie „my". I dlaczego mówimy w domu po polsku, skoro posłał nas do żydowskiej szkoły?

Było to tuż przed wojną, na wiosnę. Jechaliśmy w czwórkę na majówkę do Otwocka czerwonym chryslerem, ojciec nie prowadził, wolał już wtedy jeździć z kierowcą, siedział z nami z tyłu. Wtedy o to zapytałem, a ojciec tylko prychnął, machnął ręką i powiedział coś takiego, że co za różnica, jakim językiem, język nie należy do nikogo.

Nie poddałem się tak łatwo, Daniel wiedział, że będę się kłócił, odwrócił się do okna, nie lubił, kiedy kłóciłem się z rodzicami, on nie kłócił się z nimi nigdy, ja zaś często i chętnie. Powiedziałem, że jeśli żadna różnica, to dlaczego nie po żydowsku, skoro on i mama rozmawiają po żydowsku i posłali nas do żydowskiej szkoły. Ojciec spoważniał wtedy i powiedział, że skoro żyjemy między Polakami, to nie zapominając swojego języka, musimy po polsku mówić nawet lepiej niż Polacy. Musimy

być od nich mądrzejsi, silniejsi i lepiej kształceni, zręczniejsi, inteligentniejsi i przebieglejsi. Każda nasza porażka jest natychmiast klęską. Każde zwycięstwo niepewne. Dlatego musimy zawsze wygrywać.

Wtedy włączyła się mama, nagle przekorna: Jakub, ty i te twoje musimy. Nic nie musimy. Nic im nie jesteśmy winni. Tata odparł, że żaden Polak nie będzie na niego patrzył z góry.

Mama złożyła wtedy przed sobą ręce w zatroskanym geście, który wykonywała zawsze nieświadomie, kiedy tłumaczyła mi coś z miłością, ale też z politowaniem, dłoń w dłoni skrzyżowane, i takim samym, pełnym miłości i politowania tonem powiedziała do ojca, pamiętam to dokładnie:

– Widzisz, Jakub, jak oni układają ci całe życie? Jak tańczysz do ich muzyki?

– Kto? – nie zrozumiał mój ojciec, jak zwykle głupszy od mamy.

– Polacy – mówiła cicho, nie podnosząc głosu nawet o ton. – Wszyscy. To, że robisz im wszystko na przekór, to, że całe twoje życie jest udowadnianiem im, że we wszystkim jesteś od nich lepszy. Wygrałeś już wszystko, co było do wygrania, Jakub, a dalej jesteś tak napięty w środku, naprężony, jak byłeś dziesięć lat temu. Ja wiem, że dzięki temu naprężeniu wygrałeś, że dzięki niemu nie kłaniasz się nikomu, ja wiem, że musiałeś być taki. Dziesięć lat temu musiałeś, ale teraz już nie musisz, Jakub. A przez to, że ciągle taki naprężony jesteś, to triumfując, tak naprawdę z nimi przegrywasz. Bo to oni są ciągle dla ciebie punktem odniesienia. A teraz mówisz chłopcom, że muszą mówić po polsku lepiej niż Polacy. Bo gdyby mówili źle, to Polacy patrzyliby na nich z góry. I co z tego, Jakub? Nikt nie będzie patrzył z góry na synów wielkiego pana Szapiry, to po pierwsze. A po drugie, ile jest warte to twoje zwycięstwo, Jakub, skoro jesteś w swoim triumfie taki nieszczęśliwy? Czy celem zwycięstwa nie powinno być to, żeby już nie musieć walczyć, żeby walki zaprzestać? Tobie się tylko wydaje, że wygrałeś, Jakub, wydaje ci się, że zwyciężyłeś. A tak naprawdę ty nie potrafisz wygrać, bo nie umiesz przestać walczyć. Na tym polega zwycięstwo, Jakub. Że się wygrało i dalej walczyć się nie musi.

Ojciec nie odpowiedział nic, zamilkł, wpatrując się w jakiś punkt za mamy plecami, jakby gdzieś w przestrzeni zawisło coś niezwykle ważnego, jak zawsze, kiedy tak gładko rozwijały się w nim wstęgi gniewu. Mama

westchnęła tylko, my z Danielem spojrzeliśmy po sobie, wiedzieliśmy już, co będzie.

I było. Ojciec warknął do szofera, żeby ten zatrzymał samochód, szofer oczywiście natychmiast zatrzymał auto, byliśmy akurat na moście Kierbedzia, ojciec wysiadł bez słowa, najdelikatniej zamknął za sobą drzwi i pomaszerował z powrotem w stronę miasta, i zrobił to co zwykle, poszedł do Ryfki pić, bo kurew wtedy już nie tykał.

Z przedwojennym piciem mojego ojca było tak, że owszem, widziałem go wiele razy na rauszu, widziałem go wstawionego, chociaż jemu wydawało się, że my, Daniel i ja, nie mamy pojęcia, że jest wcięty. Pojęcie mieliśmy, po tym, jak mówił, potrafiłem odróżnić bezbłędnie, czy coś pił, czy nie. Kiedy wypijał butelkę wina do obiadu, co było jego zwykłą dawką, robił się lepszą wersją siebie, stawał się lżejszy, uśmiechnięty szerzej, mniej zatroskany. Mama lubiła go takiego, Daniel też, ja nie. Coś mi się w nim wtedy nie zgadzało, w jego trochę szerszych gestach, w minimalnie tylko zaburzonym przez alkohol głosie tkwiło coś, co mnie przerażało.

Była w ojcu wtedy jakaś utajona zapowiedź tego, co drzemało w nim cały czas, a co alkohol w ojcu, owszem, wyzwalał, jednak tylko w wielkich dawkach, po wielkim piciu. Takiego przed wojną nie widziałem go nigdy, nigdy na to nie pozwolił.

Tamtego dnia, kiedy wysiadł z auta na moście Kierbedzia i pomaszerował piechotą z powrotem do miasta, również poszedł na wielkie picie. U Ryfki wódka, jedna butelka, na rozbieg, samotnie przy barze, w ciągu dnia w burdelu nie było klientów ani dziewczyn, ani barmana, Ryfka odpoczywała w swoim pokoju, ojciec sam sobie nalewał, gapił się w ten sam punkt w przestrzeni, w który patrzył, kiedy rozgniewały go słowa mamy, jakby ściany były przeźroczyste, jakby coś przed nim podążało, coś, co przywiązuje ojca wzrok, więc gapił się i pił, nie zagryzając ani nie zapijając, palił papierosy, pociągał wódkę ze szklanki małymi łyczkami, bardzo powoli. Potem wstał ciężko, minął się w drzwiach z Ryfką, do której nie odezwał się ani słowem, i z płaszczem pod pachą pomaszerował coś zjeść.

Zjadł obiad u Simona i Steckiego: podwójny tatar na przystawkę, potem ogromny sznycel po wiedeńsku, do tego sterta ziemniaków, cztery sałatki, melba na deser i druga butelka wódki, którą tym razem najusłużniej

obsługiwał warujący przy stoliku kelner. Parę miesięcy przed wojną ojciec ważył sto dziesięć kilogramów, dwadzieścia kilo więcej niż wtedy, kiedy ostatni raz wszedł na ring, poprzeszywał sobie wszystkie garnitury, na twarzy nawet odmłodniał trochę, bo odkładające się pod skórą sadło wygładziło ostrzejsze wcześniej rysy.

Czerpał wtedy dziwną przyjemność z jedzenia. Stracił w dużej mierze zainteresowanie cielesną miłością i kobietami, tak jakby całe libido zmieniło mu się w kulinarne łaknienie. Jadł najlepiej, jak jeść się w Warszawie dało, i jadł dużo, bardzo dużo, tak dużo, że nawet szybki metabolizm jego wytrenowanego kiedyś ciała, ciała zahartowanego przez głodówki i wojny, nie był w stanie tego spalić; odkładało się mu więc sadło nad paskiem spodni, czemu pomagał, podlewając jedzenie alkoholem.

My zaś zostaliśmy z mamą w samochodzie, kiedy on poszedł do Ryfki.

– No cóż, chłopcy, pojedziemy na majówkę bez taty – powiedziała wtedy mama.

I pojechaliśmy. Mama miała coś takiego, że potrafiła jednym zdaniem rozwiać tę chmurę strachu, żalu, przykrości, jaką on swoim milczącym gniewem z siebie wydalał, nad nami roztaczał. Mama uśmiechała się i wszystko nagle było w porządku, trudno, pojedziemy na majówkę bez taty, jechaliśmy i niczego ani nikogo nam nie brakowało. Siedzieliśmy we trójkę na kocu rozłożonym na polanie między sosnami, szofer, pan Józek, palił papierosa, opierając się o długą maskę chryslera, a my jedliśmy, mama śpiewała, potem graliśmy w piłkę z Danielem, a mama czytała sztukę Szaloma Asza *Der Got fun nekome,* pamiętam dokładnie.

Zapytałem ją wtedy, o czym to jest. Mama odpowiedziała, że to nie dla dzieci, ale że to jest o takich ludziach jak my.

Skąd to wszystko wiem? Skąd wiem, co powiedziała wtedy mama, i skąd wiem to, że w tym samym momencie, w którym my kopaliśmy piłkę z Danielem, krzycząc po polsku „na pięć zero dla Makabi Warszawa punktuje Szaaaaapirooooo!", ojciec wytaczał się od Simona i Steckiego krokiem już chwiejnym, a stali bywalcy rozstępowali się przed tym strasznym wielkim Żydem, jak przed Mojżeszem rozstępowało się Morze Czerwone, ojciec zaś wsiadł do dorożki i kazał się wieźć do najpodlejszej z podłych knajp Muranowa, do pozbawionego nawet nazwy baru niedaleko Cyrku, jak się wtedy mówiło na prowadzone przez albertynów schronisko

dla bezdomnych na rogu Dzikiej i Stawki, niedaleko miejsca, na którym potem powstał Umschlag, z którego odjechaliśmy z mamą i Danielem w jedynym kierunku, w jakim się z Umschlag odjeżdżało.

Wiem wteraz, że wtedy, w maju 1939 roku ojciec stał przy barze w tej potwornej spelunie i milcząc, wlewał w siebie kolejne mikadki taniej wódki, systematycznie, bez przyjemności i bez pośpiechu, potem zamówił potrójną porcję śledzi, podobno były tam dobre śledzie, więc zamówił je, pił wódkę i zagryzał śledziami z cebulą, wszyscy omijali go trwożliwie, a on tak trwał, zgięty nad barem, ponury Machabeusz pełen gniewu i cały czas słyszał w głowie słowa mamy, aż nagle wyprostował się i zawył, zaryczał, wszyscy w knajpie zamilkli, zastygli, nikt nie ośmielił się obrazić ojca zbyt nachalnym spojrzeniem, więc wszyscy ci robociarze, urki, drobne złodziejaszki, cwaniaki warszawskie, doliniarze, tragarze żydowscy i chrześcijańscy wpatrywali się zapamiętale w swoje szklanki, jak dzieci przy obiedzie, przy stole, w który pięścią uderzył skory do pasa ojciec. Mój ojciec zaś ryknął jeszcze raz, wypił jeszcze jedną szklankę wódki, po czym stracił równowagę, zachwiał się i upadł, plasnął niezdarnie na tyłek i siedział na podłodze. I ciągle słyszał słowa mamy: ile jest warte twoje zwycięstwo, Jakub, ile warte?

Nikt nie ośmielił się do niego podejść i nawet nie ośmielali się na niego spojrzeć, ja też go nigdy takim nie widziałem, to znaczy przed wojną, bo potem widywałem go w sytuacjach o wiele gorszych, na przykład na dancingu w hotelu Britania na Nowolipiu, gdzie pił z gnidami z Trzynastki, albo w Café Hirschfeld na rogu Siennej i Sosnowej w małym getcie, gdzie robił interesy ze szmuglerami, cień dawnego siebie, chociaż jeszcze grubszy niż przed wojną.

Pamiętam go, mimo że od dawna z nim już wtedy nie mieszkaliśmy i ani mama, ani my nie chcieliśmy mieć z nim nic wspólnego, to jednak pamiętam go, w tych jego wysokich butach i w jasnym trenczu, widywałem go często, gdy przemykałem ulicami z Lejbem Passensteinem i Helą Warm, którzy byli wtedy najbliższymi mi ludźmi, więc widywałem go, gdy załatwiałem swoje sprawy gdzieś obok, i wiedziałem, że w środku mój ojciec jest zupełnie martwy.

Wtedy jeszcze, w maju 1939 roku ojciec jakoś żył, coś jeszcze się w nim w środku paliło, dlatego wył, ryczał jak ranny bawół, siedząc na plugawej

podłodze baru bez oficjalnej nazwy, najczęściej zwanego barem koło Cyrku.

Później niektórzy prowadzeni na Umschlag wspominali ten bar, ale to przecież nie ma znaczenia, co tam sobie wspominali, kiedy ich na Umschlag prowadzono.

Więc kiedy on tak sobie siedział i ryczał, po tym jak wysiadł z auta, kiedy jechaliśmy na piknik, to my już dawno byliśmy w domu, w tej odziedziczonej po Kaplicy willi przy Puławskiej, następnego dnia była normalnie szkoła, więc szykowaliśmy się z Danielem do snu. Słyszałem z góry, że na dole mama rozmawiała przez telefon, ale nie rozpoznawałem słów.

O czym mówiła, nie słyszałem, a jednak wteraz wiem, że mama rozmawiała ze swoją kuzynką Tatianą Sznapman. Tatiana miała wyjechać do Palestyny, mówiła wprost, że spodziewa się wojny, a mama cały czas się wahała. Wiedziała, że gdyby powiedziała ojcu, że chce wyjechać, zabrać mnie i Daniela i wyjechać, to ojciec nie zrobiłby awantury, zgodziłby się, i to właśnie mówiła Tatianie.

Więc gdzie jestem, skoro wiem dokładnie, co robił ojciec, czuję ogłuszającą czerń alkoholowego zaćmienia w jego głowie i słyszę jego ryk, słyszę go uszami wszystkich zgromadzonych w spelunie złodziejaszków i słyszę też głos kuzynki Tatiany w słuchawce, czuję, jak słuchawka dotyka ucha mojej mamy, i słyszę, jak usta mojej mamy mówią do telefonu:

– Ja wiem, dziś wiem, że wszyscy mieli rację, Tania. I wiem, że wszyscy mnie ostrzegali. Ale nie chcę go zostawić. Nie wiem, w imię czego. Tak, oczywiście. Tak, kocham go, takiego jakim jest. Myślałam o tym wiele razy, Tania, tak. Ale nie chcę go zostawić.

Nie tylko słyszę jej głos. Nie tylko słyszę głos kuzynki Tani. Czuję też to wszystko, co mama czuje. To, co myśli wtedy, kiedy mówi do telefonu. Jak wymawiając te słowa, świadoma jest tego, jak poznała ojca, jak wspomina moment, kiedy pierwszy raz wziął ją w ramiona i kiedy pierwszy raz poczuła go w sobie, i nie jestem ani trochę zażenowany, gdy to czuję i gdy znam jej myśli, wiem, jak opalizują i migoczą w niej wspomnienia o nim, o innych mężczyznach, z którymi spotykała się, zanim poznała ojca.

Mama myśli też o Palestynie, myśli o niej obrazami z filmu dokumentalnego, który widziała niedawno, i mama rozważa, czy mogłoby jej się tam udać samej, samej z nami, bez ojca, jakoś żyć, jakie to byłoby życie.

Gdybym wiedział o tym wtedy, w maju 1939 roku, ja, ówczesny dziesięcioletni Dawid, to zbiegłbym ze schodów i krzyczałbym głośno, że nigdzie bez taty nie pojedziemy, nie lubiłem, kiedy go nie było w domu, a wtedy słyszałem jej przytłumiony głos, słyszałem, że rozmawia przez telefon, ale nie wiedziałem, o czym mówi, tęskniłem do ojca i byłem zły, że go nie ma w domu, więc gdybym wiedział, o czym myśli, to zbiegłbym po schodach i krzyczał wściekły, że nie, nie, nigdzie nie pojedziemy bez taty.

Ale nie wiedziałem, a wteraz wiem.

Nie wiem, kiedy jest wteraz. Nie wiem, kiedy jestem i w czym jestem, i czym jestem. Mam tylko pamięć i wiedzę, jestem w szarości, której nie widzę, bo nie mam oczu ani uszu, ani ciała, mam tylko pamięć, jestem pamięcią. Nie jest to ani ciemność, ani światło, to, co mnie otacza, i nie jest to miejsce.

Wracam więc myślami do tej chwili, w której pytałem ojca, dlaczego nie mówimy po żydowsku. Mój ojciec mówił po polsku, bo chociaż dla niego był to język drugi, to polski był jednak pierwszym językiem jego miasta, a on sam nie przeżywał również swojej żydowskości na co dzień zbyt intensywnie. Żyd w moim ojcu budził się tylko wtedy, kiedy stawał w obliczu antysemityzmu, mój ojciec Żydem stawał się zawsze, kiedy ktoś Żydów nienawidził, kiedy zaś nienawidzony nie był, to o swoim żydostwie skutecznie zapominał. Nie był dumny z tego, że jest Żydem, ani się tego nie wstydził i nie pozwalał, by ktokolwiek zmuszał go do czucia dumy, dlatego, jak pamiętam, ciągle kłócił się o to z wujkiem Morycem, ani tym bardziej do wstydu.

Nigdy nie zapominał tylko o swoim mieście, o Warszawie, czy w zasadzie o jej części, bo za nic miał Żoliborz, Saską Kępę czy Mokotów, na którym w końcu zamieszkaliśmy. Jedyną ojczyzną mojego ojca były ulice, place, domy i kwartały Woli i Śródmieścia na północ od Alei Jerozolimskich i na zachód od Marszałkowskiej. Tylko tam był u siebie i tylko tam mógł być naprawdę sobą. Warszawa to idea. Polska to idea, mój ojciec zaś nie był człowiekiem idei, lecz człowiekiem konkretu. Konkret to

Leszno, Tłomackie, knajpa czy kościół na Dzielnej, konkret to Pawia i Gęsia, konkret to Solna i Orla. Domy. Bruk. Ludzie, którzy wiedzą, kim jest mój ojciec, i ludzie, o których ojciec wie, kim są. Sklepy. Kramy. Szewcy. Krawcy. Kucharze. Żebracy. To jest ojczyzna, jaką miał mój ojciec, jedyna, jaką mógł mieć.

Polska, Palestyna, Niemcy, Erec Israel istnieją tylko w ludzkich głowach. Gdyby nagle umarli wszyscy Niemcy i każdy człowiek, który kiedykolwiek o Niemcach słyszał, i gdyby spalono każdą książkę, która traktuje o Niemczech i Niemcach, każdą, która używa tych słów, to Niemcy by zniknęły. Byłaby ziemia między Polską a Francją, ale nie byłoby już Niemiec. Niemcy istnieją w ludzkich głowach.

Dzielna, Pawia i Gęsia, krawiec, szewc i rzezak istnieją zaś naprawdę. Kiedy więc ojciec widział rozbite tabory dywizyjne, to myślał o tym, że z Polską koniec, ale wcale nie myślał, że koniec Polski oznaczać musi koniec Pawiej, Gęsiej, Solnej i Orlej, bo przecież dwadzieścia jeden lat wcześniej Polski nie było, a Pawia i Gęsia, Solna i Orla były i miały się doskonale.

Mój ojciec był przez całe prawie życie mądry i głupi jednocześnie. Nie dawał się nikomu oszukać, ostrożny i podejrzliwy. Być oszukanym to znaczyło być frajerem, mój ojciec zaś mógł być wszystkim, ale na pewno nie frajerem. Nie dawał się więc oszukać nikomu poza sobą samym. Gdy oszukujesz samego siebie, to jeszcze nie jesteś frajerem.

Tak mu się wydawało.

Wracam wteraz do niego i do września 1939 roku, wracam do tego, jak maszeruje obok biedki z ustawionym na niej karabinem maszynowym, gotowym do strzału.

Pluton mojego ojca szedł na czele kolumny razem z kompanią strzelecką. Odwrót w kierunku Modlina i Warszawy nie był łatwy. Najpierw napotkali kilkanaście niewielkich niemieckich czołgów PzKpfw II i jednocześnie dostali się pod ogień artylerii, poginęli ludzie i konie, szrapnel zabił mierzynka Marchewę, odrywając mu prawie zupełnie gniadą końską głowę, i miał jeszcze tyle impetu, że uderzył w nogę strzelca Bani i ją również urwał, na wysokości kolana, a ponieważ pod ręką nie było żadnego sanitariusza, a pułk znajdował się pod ogniem, to strzelec Bania wykrwawił się w kwadrans, strasznie przez ten kwadrans krzycząc, póki go

nie dobił z litości bagnetem pewien woźnica z pułkowych taborów, który do śmierci miał stosunek chłopski, związany mocno z ziemią i z naturalnym cyklem życia i umierania. Bania na jego miejscu zachowałby się tak samo, ale że był na miejscu swoim własnym, nie woźnicy z pułkowych taborów, to pochwycił zbrojne bagnetem ramię i próbował się bronić, na co jednak nie starczyło mu sił i umarł, kiedy z litości prowadzone ostrze przebiło mu serce.

Sosabowski był wybitnym dowódcą, rozwinął pułk jak na ćwiczeniach, celnym ogniem przeciwpancernych boforsów, wyprowadzonych galopem na czoło pułku, rozbił cztery czołgi, pozostałe wycofały się, kładąc zasłonę dymną.

Żołnierzy, w swej masie niezwykle emocjonalnie zmiennych, ponownie opanowała euforia: oto pokonaliśmy niemieckie czołgi! A więc nie wszystko stracone! Pułkowniku, prowadź na Berlin!

Mój ojciec jednak już tej euforii nie uległ, otrzeźwiony, dalej spokojny i spokojnie zrezygnowany.

Przez cztery następne dni maszerowali w stronę Modlina, zbierając po drodze maruderów, niedobitki różnych oddziałów, kuchnie polowe, działa, trafiały się nawet pozbawione paliwa tankietki, do których Sosabowski zdołał gdzieś paliwo znaleźć. Ósmego września pojechał samochodem do Warszawy, na odprawę. Do pułku wrócił 9 września, przynosząc rozkazy – oto wyłączają ich ze składu 8. Dywizji Piechoty i przeznaczają do obrony Warszawy. Dziesiątego września wymaszerowali z Modlina w kierunku Warszawy. Wiadomo było, że maszerować za dnia jest bardzo niebezpiecznie, za dnia powinni siedzieć schowani w lesie, a przemieszczać się w nocy, kiedy nie grozi atak z powietrza, co Sosabowski uczciwie przyznał w przemowie przed frontem oddziału. Niemniej takie są rozkazy. Trzeba maszerować. Nie ma chwili do stracenia. Stolica nas potrzebuje.

Szli więc powoli, zmęczeni, w rozciągniętym szyku i w bojaźni. Ojciec był pewien, że wojna jest przegrana. Maszerując, zastanawiał się, co będzie dalej, i po raz pierwszy pomyślał o tym, jak wielki błąd popełnił, zawracając samolot. Powinniśmy być teraz w Palestynie, przemknęło mu przez myśl i właśnie wtedy usłyszał dalekie brzęczenie lotniczych silników. Wszyscy podnieśli głowy. Nadlatywały trzy dwusilnikowe bombowce.

– Alarm! – wrzasnął porucznik Jelenta.

Drugi batalion otwierał kolumnę marszową pułku. Właśnie wyszli z lasu, znajdowali się około jednego kilometra przed Jabłonną, na polnej drodze, widoczni jak na dłoni, długa kolumna ludzi, koni, wozów i biedek.

Ojciec nie rozpoznał samolotów, zresztą nie próbował. Ja bym rozpoznał, ale mnie tam nie było, atakowały ich w każdym razie te niezgrabne, dwusilnikowe dorniery. Pułkowe cekaemy, w tym ten pod dowództwem mojego ojca, zaczęły strzelać, były jednak bezradne. Dorniery zrzuciły bomby z niskiego pułapu, bardzo celnie, strzelcy pokładowi razili kolumnę z dolnych i zamontowanych w przeszklonych nosach samolotów kaemów, wszystko trwało może dwadzieścia strasznych sekund.

Karabin maszynowy mojego ojca zdołał wystrzelić w niebo tylko jedną krótką serię, potem strzelać przestał, ponieważ odłamek pięćdziesięciokilogramowej bomby uderzył w głowę kaprala Głowackiego, akurat pod hełmem, i pozbawił go twarzy i życia, jego żonę uczynił wdową, dzieci półsierotami, a zakład szewski opuszczonym. Nikt z załogi karabinu nie rwał się do dalszego strzelania, póki samoloty nie odleciały, wszyscy łącznie z moim ojcem leżeli na ziemi, starając się być jak najmniejszymi, wciskali sobie hełmy jak najgłębiej na głowy, aż potniki wrzynały im się w nasady nosów, młody endek strzelec Mączewski i starszy strzelec Lubawer tuż obok siebie, ramię w ramię, Mączewski płakał ze strachu, Lubawer ze strachu krzyczał, czując, jak kapie na niego krew leżącego na biedce Głowackiego.

Ojciec zerwał się pierwszy, kiedy usłyszał, że ryk sześciu samolotowych silników cichnie, dopadł cekaemu, odepchnął ciało kaprala Głowackiego i puścił za samolotami jedną serię, zaraz drugą, i jeszcze jedną, długą, której rykiem chciał zagłuszyć swój wrzask i swój strach. Oczywiście nie trafiał, wątły ogień kaemu nie mógł wyrządzić żadnej krzywdy oddalającym się z prędkością około czterystu kilometrów na godzinę samolotom, ale ojciec strzelałby dalej, gdyby porucznik Jelenta, dopadłszy go, nie wrzasnął mu nad uchem: „Wstrzymać zasrany ogień, kurwa wasza mać, plutonowy, czyście do chuja pańskiego ogłuchli, Pana Boga chcecie tym pukaniem przestraszyć czy co, kurwa?”. Dwóch wcześniejszych komend ojciec nie usłyszał, tej usłuchał i wstrzymał zasrany ogień.

Straszenie Pana Boga nie było jego zamiarem, bo ani weń nie wierzył, ani go nie szanował.

Oprócz Głowackiego zginęło jeszcze sześćdziesięciu ośmiu ludzi. Do tego grubo ponad setka rannych. Zajęła się nimi kolumna sanitarna, pułkowy lekarz, doktor kapitan Syrocki miał pełne ręce roboty, mój ojciec zaś zdołał chyłkiem zorganizować sobie lornetkę, zdejmując ją z szyi jednego z zabitych oficerów. Pułk pomaszerował dalej. Dzieci Warszawy wracały do stolicy ze złamanymi sercami.

RYFKA

Prowadzę, prowadziłam tego głupiego Niemca, dezertera, jakbym prowadziła dziecko albo idiotę, on idzie jak idiota, niezdarnie, hałaśliwie jak głupiec. Umarłby tutaj beze mnie, umarłby bardzo szybko, nie zna miasta, nie zna życia, nie rozumie życia, nie zna, nie rozumie dróg, jakimi chodzą, chodziły nocne potwory. Idzie przede mną. Pada śnieg. Zostawiamy ślady. Mam nadzieję, że śnieg je zasypie.

Prowadzę go, ratuję, bo potrzebuję jedzenia, ale ratuję go też z jakiegoś poczucia wspólnoty skazanych na śmierć. To nas połączyło, to bardzo zbliża ludzi, taka egzystencjalna sytuacja, wyrok śmierci do automatycznego wykonania przez każdego niemieckiego żołnierza czy żandarma, który cię zobaczy, w mieście, w którym są tylko dwie kategorie ludzi: niemieccy żołnierze i żandarmi oraz my, skazani na śmierć.

Dlaczego najbardziej jestem tutaj, w tym miejscu? Najbardziej jestem tutaj. Najbardziej jestem taka jak teraz. Tak chuda, że chudsza nawet, niż byłam w polskim więzieniu, a byłam w więzieniu bardzo chuda, widać mi było każde żebro, wystawały mi kości miednicy, kolana miałam grubsze niż uda, teraz jestem jeszcze chudsza. Jestem brudna, głodna, z pistoletem w ręce, w butach okręconych szmatami i taka jestem najbardziej, w tym miejscu, w tym czasie, przede mną idzie ten śmieszny, żałosny, smutny Niemiec, dezerter z plecakiem pełnym jedzenia, tak sobie przynajmniej ten plecak wyobrażam, że jest pełen jedzenia.

Idziemy do Jakuba. Idziemy dać mu jeść.

Więc najbardziej jestem tutaj, ale jestem też gdzie indziej.

Jestem ulicznym dzieckiem w Łodzi i właśnie kończy się wielka wojna, a ja mam dziesięć lat i nie mam butów, moja matka nie żyje, a przed śmiercią powiedziała mi, że tak naprawdę wcale nie jestem Żydówką, przynajmniej według Halachy, chociaż ona sama Żydówką była, a i ja we wszystkich dokumentach miałam wpisane wyznanie mojżeszowe, a przez całe życie opowiadała mi, że moim ojcem jest wielki pan, niemiecki przemysłowiec i arystokrata. Co by mojej żydowskości oczywiście nie znosiło, jako że dziedziczy się ją po matce, przynajmniej w rozumieniu naszym, żydowskim. Chciałam więc ją o to wypytać, jak to nie jestem Żydówką, ale nie zdążyłam, bo umarła.

Dowiedziałam się wszystkiego dopiero wiele lat później, kiedy prowadziłam już mój interes w Warszawie. Pewnego dnia dostałam list z Ameryki. List był od brata mojej matki, o którym wiedziałam tylko, że istnieje, i poza tym nic więcej. Upewniał się w liście, czy ja to na pewno ja, córka Chai Kij z Łodzi, pisał, że do tej pory nie wiedział, że żyję, dowiedział się przypadkiem od znajomego, który wyjechał z Warszawy do Nowego Jorku, a który najwyraźniej był klientem w moim burdelu, że znana jest w Warszawie pewna Ryfka Kij. Dalej pytał, czy ja to ja, Ryfka Kij, córka Chai Kij z Łodzi, bo jeśli tak, to on jest moim ojcem, a matką moją była nie Chaja, tylko chrześcijańska służąca, Stanisława Kowalska, którą on, Mordechaj Kij, uwiódł.

Kowalska straciła posadę, kiedy ciąża stała się widoczna, do siebie na wieś nie mogła wrócić, a wyskrobać mnie się bała, Mordechaj więc, dysponując pewnym kapitałem, opłacił Kowalskiej pokój na czas ciąży i połogu i umówili się, że po porodzie Kowalska odda dziecko siostrze Mordechaja, Chai.

Sam Mordechaj wziąć mnie nie mógł, ponieważ dobrze się ożenił z córką rabina i bogaty teść nie powinien się dowiedzieć o jego pozamałżeńskich przygodach.

Przygarnęła więc mnie moja matka, Chaja Kij. Kowalska, jak pisał mój ojciec, zmarła podobno rok później, zachorowawszy na gruźlicę, on sam zaś, korzystając z kapitału teścia, wyjechał do Ameryki i otworzył piekarnię w Williamsburgu. Z moją matką utracił kontakt, listy przestały dochodzić. Zapytywał więc, co się z nią działo i co działo się ze mną, zasyłał

pozdrowienia, zapytywał, czy nie trzeba mi pieniędzy, bo zawsze można dwadzieścia dolarów przesłać.

List spaliłam razem z kopertą, na której widniał adres zwrotny. Nie odpisałam mu nigdy ani słowem, nie napisałam o tym, jak moja matka stoczyła się za sprawą wódki i eteru i jak wylądowałam na ulicy, nie zasługiwał na to, żeby o tym wiedzieć ani żeby mnie znać, a dwudziestodolarówką to ja sobie mogłam podpalić papierosa, gdybym była głupia. Nie myślałam też nigdy o tej chrześcijańskiej kobiecie, która nosiła mnie w brzuchu, nie zasługiwała na moje myśli.

Taka więc byłam, pół taka, pół taka, dla Hitlera Żydówka, dla jednego rabina owszem też, a dla innego wcale nie, bo nie z żydowskiej matki, a dla siebie samej po prostu Ryfka Kij, warszawianka, wyznania mojżeszowego, dobre sobie.

Wtedy też więc jestem, kiedy na rok przed wybuchem wojny palę jedyny list od mojego ojca, Mordechaja Kija, który wojnę spędził sobie spokojnie, piekąc chleb i macę w Williamsburgu, o czym oczywiście wiem dopiero wteraz, tak jak i o tym, że umarł później pobożny, bogaty i spełniony, otoczony liczną, żydowską rodziną, i gdzieś głęboko w nim tkwiła mała paląca rana, ja.

Jestem też, kiedy z łódzkiej ulicy zabiera mnie Kum. Mam, miałam czternaście lat, siedzę po raz pierwszy w życiu w samochodzie, byłam. Jestem dziewczynką Kuma w pokoiku na Kole.

Dwa lata później mieszkam w barakach dla bezdomnych na Żoliborzu, mieszkam, mieszkałam w jednym pokoju z madame Jewgeniją von Regel, białą Rosjanką z Dyneburga, która mówiła równie dobrze po polsku co po rosyjsku, niemiecku i francusku i z nudów uczyła mnie manier. Tam też jestem. Siedzę na mojej pryczy, bosa, brudna i zmęczona, z zaschniętą krwią na wewnętrznej stronie ud, a madame von Regel ma pięćdziesiąt trzy lata, jest wychudłą, kostyczną damą w staroświeckiej sukni i gestykulując teatralnie, recytuje po rosyjsku Puszkinowskiego *Eugeniusza Oniegina*, a ja rozumiem każde słowo, jeszcze pamiętam wtedy rosyjski, jako dziecko mówiłam trzema językami naraz, po polsku, po rosyjsku i po żydowsku, więc rozumiem każde słowo, ale w ogóle nie rozumiem sensu, jednak słucham, tak samo, jak patrzę i słucham, kiedy madame rozkłada na stole swój jedyny majątek, komplet srebrnych rodowych sztućców, więc

rozkłada go na stole, demonstrując mi, do czego służy każdy z nich i jak je układamy, to są noże do ryb, to są widelce do ryb, to są widelczyki do cytryn, to są sztućce do ostryg, a ta duża łyżka to łyżka środka stołu, to są zaś widelczyki do małży, a to deserowe.

Jestem też, byłam tam, kiedy madame von Regel odwraca się do ściany i udaje, że jej nie ma, bo do mnie przychodzi mężczyzna, jestem, kiedy mężczyzna wychodzi, a ja, wściekła na nią za to, że tak po prostu pozwala im tu przychodzić, sprawdzam, czy madame śpi, i upewniwszy się co do tego, wyciągam po cichu pudło ze sztućcami spod jej łóżka, wtedy madame się budzi, obudziła, widzi kuferek w moich dłoniach i zaczyna krzyczeć, oddawaj, wor, oddawaj, złodziejko, ale ja odpycham ją bardzo mocno i uciekam z baraku, i sprzedaję sztućce znajomemu paserowi za ułamek ich wartości, a potem wracam do baraku, pieniądze schowawszy starannie, madame von Regel oczywiście nie donosi na mnie policji, madame von Regel siedzi odrętwiała i płacze bez łez, a następnego dnia znowu recytuje mi *Oniegina* i znowu uczy mnie dobrych manier, i rozumie już, chociaż wcale o tym nie mówimy, ale rozumie, że to cena, jaką musiała zapłacić za to, że pozwala, pozwalała tym mężczyznom tutaj do mnie przychodzić, to cena, jaką zapłaciła za odwracanie się do ściany, kiedy oni nade mną dyszeli, kiedy używali sobie mojego ciała.

Jestem też jakoś, chociaż daleko, kiedy madame von Regel klęczy, klęczała w długim szeregu kobiet klęczących jak ona, jest 4 sierpnia 1944 roku, ja z Jakubem siedzimy ciągle jeszcze cztery kilometry dalej, na Powiślu, w mieszkaniu tej jego polskiej kurwy, więc wtedy tego nie wiem, ale wteraz wiem, że madame von Regel klęczy w szeregu, a przed klęczącym szeregiem idzie czterdziestoletni oficer w radzieckich spodniach, w niemieckiej bluzie mundurowej i w niemieckiej czapce, na której naszytą ma kokardę w rosyjskich barwach narodowych, czerwono-biało-niebieską, na rękawie bluzy zaś tarczę z napisem RONA, więc idzie ten rosyjski, faszystowski oficer, w ręce ma radziecki pistolet i z radzieckiego pistoletu strzela w kolejne głowy klęczącym w szeregu kobietom, potem, po ośmiu strzałach, kończy mu się amunicja, więc odwraca się i krzyczy po rosyjsku, u mienia patronow niet!, wtedy madame von Regel krzyczy, nie ubiwaj mienia, ja ruska! Oficer uśmiecha się, mówi, że może i ruska, ale stara i szpetna, to po co ma żyć, ładuje pistolet

nabojami, które podał mu rosyjski Hilfswillige, i strzela madame von Regel w głowę.

A jednak najbardziej jestem, byłam teraz, kiedy idę, szłam z tym głupim Niemcem do Jakuba, prowadzę go jak dziecko, wchodzimy do budynku Wydziału Elektrycznego, wspinamy się po schodach, do mojej, naszej kryjówki. Nie wiem dlaczego, ale trochę wiem.

Trochę dlatego, że to czas mojego triumfu. To nieludzkie, barbarzyńskie koczowanie w ruinach, w szkielecie po spalonym mieście, jak larwy musze między żebrami padłego bydlęcia, to żywienie się resztkami ciała tego miasta, które pieczołowicie ze szkieletu zeskrobujemy, to właśnie czas mojego triumfu.

Od nikogo nie zależę. Nikogo nie potrzebuję. I mam go dla siebie, tylko dla siebie. Żyje dzięki mnie.

Jestem nocnym potworem.

Wchodzimy na samą górę, pod moje schody. Upominam go, żeby nie hałasował, on jednak i tak pyta w tym swoim dziwnym narzeczu, pyta o schody, jak tu wejdziemy, idiotycznie pyta. Burczę coś, że co cię to obchodzi, już ty się szkopie nie martw, jak tu wejdziemy.

Zapalam latarkę, wyciągam z gruzów moją linkę, ciągnę, wsparta o schody, i strop szafa się unosi, a mój mały szkop rozdziawia gębę ze zdziwienia. No, rozdziawiaj, szkopie, dziw się. Bardzo dobrze. Twoi koledzy zmusili mnie, żebym nauczyła się takich rzeczy, nikt inny. Pokazuję mu, jak się przecisnąć. Idzie pierwszy, oczywiście. Każę mu czekać na górze schodów, przechodzę sama, opuszczam szafę i idziemy do mojego domu, schronienia, do mojej nory, jamy, w której gnieździmy się jak nocne drapieżniki, i idę lekka, wesoła, oto jak udało się polowanie, idę z łupem, Jakub dostanie jeść, dostanie prawdziwe jedzenie i będzie mógł powoli odbudować swoje dawne, wielkie, ciężkie ciało. To jest mój Jakub, ja go odbuduję, będzie znowu wielki i silny i dalej będzie mój, już na zawsze mój pozostanie, ponownie silny i potężny, i jego odzyskana potęga będzie mnie strzec. Ktoś inny mógłby to zrobić inaczej, źle. Widziałam, jak zagłodzeni ludzie umierali, bo nagle znaleźli jedzenie i zjedli zbyt dużo, zbyt tłusto, ich kiszki odmówiły posłuszeństwa.

Mam więc łup, i niesie mój łup człowiek, którego obecność przy mnie, owszem, stanowi pewne ryzyko, ale może też okazać się przydatny. Troje ludzi – albo dwoje, jeśli nie liczyć Jakuba zanurzonego we własnych ciemnościach – może więcej niż dwóch albo, odpowiednio, ja sama. Gdybyśmy musieli uciekać, to ten głupi szkop pomoże mi z Jakubem, jeśli akurat Jakub będzie w tej głębokiej ciemności. Mogę też użyć go jako przynęty, by odciągnąć od nas pościg, i zrobiłabym to bez wahania w razie potrzeby.

Nie wiem jeszcze nawet, jak on się nazywa, kiedy wchodzimy do mojej nory. Każę mu siąść przy Jakubie, on siada, nie chcę, żeby widział, jak uzbrajam moją pułapkę z granatem, co też czynię zaraz, po czym wracam do nich.

– Mam jedzenie, Jakub – szepczę, po czym dodaję najgłupiej, idiotycznie, jakbym właśnie weszła do salonu naszego mieszkania, którego nigdy nie mieliśmy, jakbym słyszała, że w kuchni krząta się gosposia, jakby Jakub siedział w fotelu z gazetą, może jeszcze w papciach, może jeszcze z okularami na nosie i z fajką w zębach, a ja bym właśnie wracała z miasta, gdzie może załatwiałam sprawunki jakieś i znajomego spotkałam, zaprosiłam i wchodzę do domu, i mówię: – Mamy gościa.

Jakub podnosi głowę, odrobinę tylko, ale nawet ten mały ruch mnie cieszy. Nie reaguje oczywiście na idiotyzm mojego „mamy gościa", ale ważne, że podniósł głowę.

Nie wiem jeszcze, jak się ten mężczyzna nazywa, wtedy nie wiem, jak się nazywa, nie wiedziałam. Klęka w kącie, ostrożnie i pokornie, daleko od Jakuba.

– Trinken? – pyta grzecznie.

– Po polsku mów – odburkuję, ale rozbijam kubkiem cieniutką warstwę lodu na powierzchni mojej bańki z wodą, nabieram, podaję mu. Pije. Sięga, sięgnął do kieszeni płaszcza, a ja, widząc to, gwałtownie sięgam po pistolet, szarpię kolanko zamka, mierzę do niego, wszystko szybko, szybko, życie decyduje się szybko.

– Ani drgnij!

Podnosi ręce, opiera się o ścianę, skrzywił się w przerażonym grymasie i rozpłakał. Nie ma jeszcze trzydziestki, zauważyłam to dopiero teraz. Jest

młodszy ode mnie, bo ja mam trzydzieści sześć lat, a do tego każdy rok wojny liczył mi się jak psu, więc wyglądam pewnie na pięćdziesiąt. A on do tego jest całkiem ładnym chłopcem.

– Geszynk. Mogã?

Zgadzam się, kiwam głową, ale nie przestaję doń celować. Powoli sięga do kieszeni, wyjmuje z niej pudełko, wielkości pudełka z pastą do butów i podobnego kształtu.

– Dobre. Gut. Schokolade.

Powoli, ostrożnie podaje mi pudełko.

Zapalam na chwilę latarkę. Na wieczku metalowego pudełka jest niemiecki orzeł, napis „Scho-ka-kola" i wytłumaczenie, że to „Die stärkende Schokolade". Czekolada wzmacniająca. Już wiem, co to jest. Nigdy nie jadłam, ale czasem pojawiała się w getcie, w nieludzkich cenach, ze szmuglu, kradziona z niemieckich magazynów. Niemiecka wojskowa czekolada z kofeiną. Dla pilotów Luftwaffe, dla czołgistów, dla orzeźwienia.

Powinnam zachować ją na później, wiem, wiedziałam, ale czekoladę ostatni raz jadłam jeszcze przed Grossaktion, w czasach tej potwornej, gettowej prosperity Jakuba, i wstydziłam się wtedy każdego odgryzionego kęsa. Ta czekolada to co innego. Nie ma się czego wstydzić. Powinnam zachować ją na później, wiem, ale pokusa jest tak silna, tak nagła, czuję, jak do ust napływa mi ślina, jak żołądek ściska się w oczekiwaniu drogocennych kalorii, odkręcam więc okrągłe wieczko, wyjmuję zapakowane w czerwoną, przeźroczystą folię dwa krążki czekolady, zgodnie z instrukcją na naklejce łamię je przed rozpakowaniem folii, dzięki temu nie stracę okruchów, jakie powstaną po łamaniu. Rozpakowuję folię. Wyciągam jeden trójkątny kawałek, wkładam do ust, nie gryzę, pozwalam zimnej czekoladzie ogrzać się od ciepła moich ust, rozpuścić powoli.

Szkop patrzy łakomie na czekoladę, którą sam mi dał, jak rozumiem, w ramach opłaty wkupnej, ale nie ośmiela się prosić. Nie wie jeszcze, że ze mną to tak nie działa. Czuję, jak gorzko-słodki smak rozlewa mi się powoli w ustach, przesuwam go językiem, rozmazuję po podniebieniu. Szkop patrzy smutno.

Wyciągam folię z czekoladą w jego stronę. Szkop bierze jedną kostkę i zjada natychmiast. Resztę wkładam z powrotem do blaszanego pudełeczka, zakręcam wieczko, chowam całość do kieszeni. Pistoletem wskazuję na plecak. Szkop nie rozumie.

– Jedzenie. Essen. Jedzenie musi być wspólne.

Już rozumie. Kiwa głową. Otwiera pokrytą cielęcą skórą z futrem klapę wojskowego tornistra i opróżnia go. Rozkłada na podłodze cztery pudełka z sucharami, niewojskowy zupełnie woreczek kaszy, sześć puszek z mięsem, każda po dwieście gramów, cztery puszki francuskich sardynek, trzy pudełka suszonych warzyw, jeszcze jedno okrągłe pudełeczko z czekoladą, paczkę czarnej herbaty, dwie paczki papierosów, co jest już w ogóle niesłychane, małą butelkę wódki, ma nawet nieduże pęto zawiniętej w przetłuszczony papier kiełbasy i małe kostki paliwa do kuchenki Esbit. Bogacz, krezus, potentat. Majątek. Życie. Ma nawet sól.

I dureń, który na pewno nie potrafiłby zarządzać całym tym dobrem właściwie. Patrzy na mnie przestraszony, wiem, czego się boi, wiedziałam.

Boi się, że teraz go zabiję, żeby sobie przywłaszczyć całe jego bogactwo.

Może tak powinnam zrobić, żywić tym dobrem dwie osoby zamiast trzech. Przegnać, ograbiwszy, nie mogę, bo jak zgłodnieje, to przyjdzie w nocy odzyskać swoją własność. Być może więc powinnam zaryzykować i zastrzelić szkopa. Być może, żeby nie marnować kuli ani nie ściągnąć sobie na głowę Niemców, powinnam poczekać, aż zaśnie, i wtedy poderżnąć mu gardło, bo w otwartej walce nie dam mu rady, jest rosły i silny, widać, że nie zaznał głodu.

Być może tak powinnam zrobić, ale tak nie postąpię, ponieważ nie jestem takim człowiekiem. Wyciągam magazynek z pistoletu, szarpię zamkiem, aby opróżnić komorę, wkładam nabój z powrotem do magazynka, magazynek z powrotem do pistoletu, nigdy nie noszę broni z nabojem w komorze. Szkop przygląda się temu spokojnie, siedzi pod ścianą w kucki, ręce na kolanach. Rozumiem już, że był zagubiony i przerażony, i nagle cieszy się, że znalazł kogoś mądrzejszego od siebie, kogoś, kto się nim zajmie.

Mnie.

– Masz imię jakieś...? – pytam.

– Jorg. Jorg Konopka.

– Jorg? Co to jest za imię? Niemieckie?

– Normalne. Jorg. Po polsku Jerzy. Jurek. Pō niymiecku Georg.

– To ile ty masz tych imion, Jurek?

Uśmiecha się, ja też.

Podchodzę do Jakuba, podnoszę mu głowę, opieram na zrolowanym kocu. Oglądam jego dłonie, widzę, że opuchlizna się zmniejsza.

– Jakub, mamy co jeść, naprawdę mamy co jeść. Na długo wystarczy.

Uśmiecha się, tak trochę tylko, ale się uśmiecha. Bardzo dawno się nie uśmiechał. Zastanawiam się, zastanawiałam, czy mogę mu dać trochę czekolady, czy jego słabe ciało ją strawi, przyjmie, w końcu decyduję, że tak. Odłamuję mały kawałek, wsuwam mu do ust, po czym zaczynam gotowanie, rozpalam mały ogień, mówię szkopowi, żeby otworzył jedną z puszek, więc otwiera, a ja biorę menażkę i stawiam na piecyku, wlewam do niej trochę wody, wsypuję kaszę, czekam, aż się zagotuje, szkop w tym czasie otworzył puszkę, biorę i najpierw wącham.

Boże, jaki zapach, wołowina puszkowana, jak pachnie, jakie wspaniałe pasma mięsa zanurzone w tłuszczu, w galarecie, nagle przypominam sobie, jak bardzo jestem głodna, wiem, że nie mogę zjeść tego zbyt wiele, powoli, po trochu, więc powstrzymuję się przed tym, żeby ostrzem noża po prostu wydłubać mięso z puszki i wepchnąć sobie do ust, wrzucam do menażki, do tego po zastanowieniu wsypuję jeszcze trochę suszonych warzyw.

Mieszam. Pachnie. Jak wspaniale pachnie. Wiem, za mocno. Pewnie mała szansa, żeby z zewnątrz, z dołu ktoś mógł poczuć zapach jedzenia, jednak nawet mała szansa jest tutaj za duża. Ale trudno. Zasłużyłam na prawdziwy posiłek po tylu tygodniach jedzenia śmieci. Ostatni prawdziwy, dobry, smaczny posiłek jadłam u tej polskiej kurwy Jakuba, jeszcze przed wybuchem polskiego powstania, a z rąk tej szmaty nic mi nie smakowało, nawet najlepsze jedzenie.

Rozdzielam posiłek na trzy porcje. Podaję blaszany talerz szkopowi, ten wyciąga swoją łyżkę i zaczyna jeść. Ja też zjem najpierw sama, bo wolę ciepłe, a dla Jakuba powinno trochę przestygnąć. Nagle przypominam sobie o wódce. Sięgam po butelkę jak po moją, bo już jest moja, co szkop

zdaje się akceptować bez zastrzeżeń. Mam dwa kubki, do każdego wlewam wódki na palec. Podaję szkopowi, biorę swój. Podnoszę kubek jak do toastu, szkop się uśmiecha, podnosi kubek.

– Prosit! – mówi.

– Na zdrowie – odpowiadam.

Wypijamy, następnie karmię Jakuba. Mam nagły przypływ dobrych emocji, optymizmu, jasnego spojrzenia w przyszłość. Wiem, że to nieprawda, to moje ciało mnie oszukuje. Zawsze miałam wahnięcia nastrojów, od entuzjazmu po rozpacz, i wtedy, w grudniu 1944 roku żyłam z tym tak długo, że wiedziałam już, że ani entuzjazm, ani rozpacz nie odpowiadają rzeczywistości. Miałam trzydzieści sześć lat, wiedziałam, że to nie rzeczywistość się zmienia, lecz coś w mojej głowie się waha, pulsuje.

A teraz kładziemy się spać, chociaż zwykle sypiam w dzień. Dniem nocnych potworów jest noc, dzień jest ich nocą, tylko w ciemnościach mogę siebie i Jakuba wyżywić, ale teraz mamy jedzenie, mamy dużo jedzenia, nie muszę w noc wychodzić. Możemy siedzieć tutaj i nie ruszać się nigdzie, długo, długo. Nie ruszać się nigdzie jest bezpiecznie. Siedzieć w kryjówce, jak larwy owadzie zagrzebane przez zimę głęboko w ziemi, zahibernowane, prawie nieżywe, czekające na wiosnę tak, jak my czekamy tutaj na Sowietów.

Tylko jedzenie musi być przygotowane na sytuację, w której coś-ktoś by nas, larwy, z naszej norki, z naszej kryjówki wygonił. Wszystkie zapasy szkopa po kolacji chowam więc do mojego worka, nie zważając na jego żałosne spojrzenie. Mówię mu nawet, że będziemy się wszystkim dzielić, ale jeśli zdecyduje się uciec, odejść, to odejdzie z niczym. To jednak właśnie jest najważniejsze, to musi być pierwsza rzecz, po którą sięgnę, jeśli będzie trzeba nagle uciekać. Od tego zależy nasze przetrwanie. Moje i Jakuba, bo szkopa jakby tylko dodatkowo.

Nie mówię mu o granacie przy wejściu do naszej kryjówki. Jakby co, mam jeszcze jeden zapasowy. Znalazłam go zaraz po powstaniu przy zabitym niemieckim żołnierzu bez dystynkcji na mundurze. Ze wszystkiego był obdarty, a w kieszeniach spodni miał dwa sowieckie granaty, wyglądające jak puszka zupy z wkręconą w nią rurką, dźwignią spustu i zawleczką, w przeciwieństwie do niemieckich pozbawione drewnianego trzonka. Z niemieckich zresztą nie dałoby się zrobić takiej

pułapki, bo odpala się je pociągnięciem zakończonego porcelanową kulką sznurka ukrytego w tej wydrążonej rękojeści, a ja do mojej pułapki potrzebuję czegoś, co będzie już uzbrojone, kiedy stalowa szafa poruszona wielokrążkiem podniesie się znad progu, i tak jest w sowieckim granacie, rączka ma sprężynę i jeśli w granacie nie ma zawleczki, to wypuszczona z ręki sama odskakuje, uruchamia pierwszy, opóźniający zapalnik i dzięki temu mogę go zablokować między szafą a krawędzią stropu.

Szkop, czy tam Ślązak, cholera go wie, ma jednak parę koców, pokazuję, gdzie ma sobie pościelić. Zostawiam mały ogień w moim piecu, żeby nas ogrzał przez noc. Szkop kładzie się, gdzie miał się położyć, ja kładę się obok Jakuba, po czym nagle już wiem, co się stanie, i kiedy zdaję sobie z tego sprawę, to nie zwlekam ani chwili. Sprawdzam, czy Jakub śpi, czy też pogrążony jest w swoich ciemnościach – i tak: jest. Wtedy przechodzę do posłania szkopa, przytulam się do niego.

Potrzebuję męskiego ciała. Rzadko potrzebowałam, ale teraz potrzebuję. Jorg odwraca się do mnie, obejmuje mnie. Przestaję myśleć o nim jak o szkopie. Najśmieszniejsze jest to, że myślę o tym, jak brzydka jestem, brudna, śmierdzę, mam brudne, tłuste, posklejane włosy, ostatni raz myłam się trzy tygodnie temu, ale Jorg też jest brudny, co mnie jakoś uspokaja. Całuję go.

– Jŏ... jŏ żech... – szepcze strachliwie.

– Jo, jo, co? – odpowiadam, drwiąc zeń cicho.

– Jŏ żech jeszcze nigdy z babōm niy lygōł.

Bardziej domyślam się, niż rozumiem, co mówi. Uśmiecham się.

– Dam sobie radę, chłopczyku. Znam się na tym – szepczę.

Sięgam w dół, rozpinam guziki rozporka, wyczuwając, że jest już bardzo podniecony. Rozpinam mu rozporek do końca i biorę go w dłoń i wtedy od razu wiem, że nie kłamał, mówiąc o swoim prawictwie, bo wystarczyło, że go dotknęłam, a nagle skamle i po mojej dłoni rozlewa się mokre ciepło. Roześmiałabym się, ale nagle nie chcę go urazić, więc się nie śmieję. On coś szepcze, niezrozumiale.

Nie jestem zła. Nie przeszkadza mi to. Całuję go, prowadzę teraz jego rękę, pokazuję, co ma robić, i robi to, niewprawnie, lecz z zapałem. Zamykam oczy, myślę o dłoniach i chuju Jakubowych i po długiej, długiej

chwili, podczas której dotyk Jorga nie ustaje ani na moment, wypełnia mnie i przelewa się przeze mnie rozkosz. Słyszę, że krzyczę, lecz chłopak przytomnie zatyka mi usta dłonią.

Chwilę tak trwamy, już w bezruchu, on tuli się do mnie jeszcze mocniej, mamrocze coś pod nosem, popłakuje nawet, chciałby tak zasnąć przy mnie, ale już dość. Odpycham go delikatnie, dopinam spodnie, podnoszę się, pełznę do posłania Jakuba i kładę się przy nim, przy jego ciele, to jemu należy się moje ciepło.

Jorg leży spokojnie obok. Słyszę, że pochlipuje cicho, już drugi raz dzisiaj. Nigdy w życiu nie spotkałam mężczyzny, który by tyle płakał. Czasem płakał Jakub, ale jego płacz był inny. Jakub płakał jak zwierzę: ryczał, wył, skowyczał, Jakub nigdy nie płakał rzewnie. Ale może to tylko moja miłość do niego kazała mi tak myśleć, miłość i przesądy o tym, że mężczyzna płakać nie powinien, więc kiedy widziałam płaczącego mężczyznę, którego kochałam, to by zlikwidować dysonans, przypisywałam mu inny, w moich ówczesnych oczach bardziej męski, bo zwierzęcy rodzaj płaczu.

Nic o nim nie wiedziałam wtedy i w ogóle niewiele się o nim dowiedziałam kiedykolwiek.

Nie wiedziałam nic o świecie, z jakiego przyszedł, a w zasadzie o światach, bo mimo że był o dwanaście lat młodszy ode mnie, to znał wiele światów, może więcej niż ja.

Urodził się na śląskiej wsi, a ja przed wojną nigdy nie byłam na śląskiej wsi i nawet gdybym wiedziała, że urodził się w Pilchowitz, to nie wiedziałabym, co mam przez to rozumieć, nie wiedziałabym, że to zupełnie inny świat, z jego domkami z czerwonej cegły i mężczyznami wychodzącymi z tych domów nad ranem i maszerującymi po osiem, dziesięć, dwanaście kilometrów do pracy nie na roli, lecz pod ziemią, zupełnie inny świat niż wieś polska, którą też nie bardzo znałam, ale o której przynajmniej miałam jakieś zdanie i pojęcie, bo znałam polskich wieśniaków, przynajmniej tych, którzy przyjeżdżali do miast, do Łodzi i do Warszawy.

Więc urodził się w Pilchowitz, w domu z czerwonej cegły, w 1920 roku, miał trzech starszych braci, jego ojciec był górnikiem, podobnie jak jego dziadek i pradziadek. Jorg również był górnikiem, pierwszy raz pod ziemię

w Gleiwitzer Grube zjechał, gdy miał lat szesnaście, kiedy zaś miał lat dziewiętnaście, powołano go do niemieckiego wojska, jako jedynego z całej czwórki Konopków. Dlaczego akurat jego, nie zaś starszych Wilhelma, Oskara ani Josefa Konopków? O tym zadecydowała biurokratyczna nieoznaczoność, urzędnik w mundurze w oddziale Landwehry w Oppeln wpisał nazwisko i imię Georg Konopka na listę tych, których Gleiwitzer Grube nie reklamuje od wojska, a dlaczego tak zrobił? Dlatego że wymagano od niego pewnej liczby powołanych, kogoś więc wpisać musiał, a wybrał nic mu niemówiące imię i nazwisko Georg Konopka z powodów, które nie przedostały się do jego świadomości.

Może nie lubił imienia Georg? A może właśnie lubił? Może irytowało go tak wulgarnie słowiańskie nazwisko Konopka? Może zauważył, że braci Konopków jest czterech i byłoby skandalem, gdyby chociaż jeden z nich nie podjął zaszczytnej służby ojczyźnie i Führerowi? A może nic nie zauważył?

Georg Konopka zwany Jorgiem nie przyjął tego z odrazą. Miał dziewiętnaście lat i nigdy w życiu nie wyjechał poza powiat toszecko-gliwicki, zwany wtedy Kreis Tost-Gleiwitz. Powołanie do służby wojskowej oznaczało podróże. Jego ojciec, weteran pierwszej wojny światowej i jednego z polskich powstań, na wieść o powołaniu najmłodszego, ulubionego syna do wojska wypił butelkę wódki i przez całą niedzielę nie odezwał się ani słowem do nikogo, bo to był jedyny dostępny mu sposób radzenia sobie z potężnymi emocjami.

Stary Konopka pozostał po niemieckiej stronie powojennej granicy mimo propolskich sympatii, bo posiadał tu dom i pracę, co wydawało mu się o wiele ważniejsze od narodowości, którą uznawał za sprawę drugorzędną, za coś w rodzaju hobby (chociaż nie znał tego słowa), jak gra w skata albo hodowla gołębi, coś, czym można się zajmować po wypełnieniu obowiązków.

To przedziwne, że wszystko to wiem wteraz, chociaż wtedy nigdy nawet nie słyszałam o takiej grze karcianej jak skat, przedziwne, a jednocześnie naturalne i oczywiste. Że wteraz wiem wszystko.

To nieludzkie, wiedzieć wteraz wszystko, a jednak wiem i jednocześnie nie przestałam być mną, być tą, którą byłam wtedy, a jednak nie jestem już człowiekiem, kobietą, niczym, chociaż pozostałam Ryfką.

Pilchowitz w 1936 roku zamieniły się w Bilchengrund, a przysiółek Welepole, zwany też Wielepolem, Wieligim Polem albo Wielopolem, w którym Konopkowie zamieszkiwali od lat osiemdziesiątych XIX wieku, zmienił nazwę na Sandhöh. Po 1922 roku stary Konopka uznał, że najlepiej będzie trzymać gębę zamkniętą na kłódkę w kwestiach politycznych, potem w ogóle uznał, że nie chce mu się nic gadać w większości kwestii, nie tylko o polityce, więc po prostu milczał, nad czym ubolewała jego łaknąca rozmowy żona, czym stary Konopka się nie przejmował.

Przejął się za to tym, że mu syna wzięli do wojska, ale też nic nie powiedział, choć wypił butelkę wódki, czego zwykle nie robił. Kiedy Jorg wyjeżdżał, ojciec doradził mu tylko, żeby pilnie się słuchał rozkazów i trzymał gębę na kłódkę, Konopka młodszy zaś chętnie tego ojcowskiego przykazania słuchał.

Tego również nigdy nie wiedziałam, ani wtedy, ani później, dopiero wteraz wiem, w szarości, tak samo, jak wiem to, że plutonowy Szapiro początek wojny spędził na piaszczystych polach i w rzadkich, sosnowych lasach północnego Mazowsza, Schütze Konopka zaś w lesie pod Gleiwitz.

Dla strzelca Konopki wojna trwała jednak o wiele dłużej niż dla plutonowego Szapiry. Wzięli go wcześniej, jeszcze w czerwcu, na szkolenie. Całkiem mu się w jednostce podobało. Marsze, czołgania się, tory przeszkód, krzyki podoficerów, czyszczenie broni, pierwsze ostre strzelania, wszystko to było wyczerpujące i wieczorem na pryczę w koszarach padał prawie bez życia, ale cóż to było w porównaniu z szychtą pod ziemią, na którą musiał najpierw iść piechotą dwie i pół godziny? Po szychcie wracał wąskotorówką, ale jechać banką w obie strony ojciec nie pozwalał, bo byłaby to zbyt wielka rozrzutność. Wstawał więc o drugiej w nocy, o wpół do trzeciej wychodził, jeśli akurat miał ranną zmianę, na piątą był na grubie, robotę jako młodziök miał najgorzej płatną, bo wymagającą najmniejszych kwalifikacji, był bowiem śleprym, czyli ładowaczem, więc całą szychtę spędzał na ciężkiej, fizycznej pracy, wielką łopatą zwaną hercōwōm, ładując bryły węgla do wagoników, a od sztajgra zdarzało się w pysk zarobić za byle co, pieniądze zarobione i tak oddawał matce i ani mu się śniło zaprotestować, nie mógł więc nawet kupić sobie roweru, o którym marzył, maszerując co rano do roboty.

A tam, na szkoleniu? Owszem, śmiali się z jego nieporadnej niemczyzny i słowiańskiego, twardego „r" i czasem przezywali małym Polaczkiem, ale ćwiczenia nie trwały wcale dłużej niż jego zwykły dzień roboczy na kopalni, podoficer krzyczał, ale nie bił po pysku jak sztajger, o ileż zaś ciekawsze od morderczej monotonii ośmiu godzin ładowania urobku były poligonowe zajęcia. Do wysiłku i długich marszów był nawykły. Matka karmiła go dobrze, a fizyczna praca na kopalni stanowiła taki wydatek kaloryczny, że miał muskulaturę atlety, ćwiczenia gimnastyczne, które jego kolegom wydawały się zarezerwowane dla cyrkowców, jemu przychodziły z największą łatwością, taką, że nie rozumiał, jakim cudem komukolwiek może to sprawiać problem, był więc powszechnie chwalony za fizyczną sprawność, a odpowiedzialny za wychowanie fizyczne podoficer przed frontem całego plutonu pochwalił strzelca Konopkę, postawił go za wzór fizycznej sprawności i wspomniał, że w okopach wielkiej wojny, której był weteranem, nawykli do codziennej, ciężkiej pracy Ślązacy, zwykle cisi i skromni, chociaż słabo mówiący po niemiecku, wykazywali się odwagą, zawziętością i uporem, które nie przejawiały się w spektakularnych czynach, bo na takie zwykle w okopach miejsca nie było, lecz raczej w codziennej zaciętości i nieustępliwości. Strzelec Konopka po raz pierwszy w życiu został publicznie pochwalony i zrobiło to na nim wielkie wrażenie. Może trochę zakłuło go to, że w pochwale ukryty był przytyk do jego pochodzenia, ponieważ podoficer o tym, iż Konopka jest ze Śląska, co słychać w jego nazwisku i mowie, mówił tak jak o pewnego rodzaju ułomności, którą Konopka najwyraźniej dzięki hartowi ducha pokonał i stał się sprawnym żołnierzem, tym samym lepszym od tych kolegów z jednostki, co z takimi przeciwnościami losu borykać się nie musieli. Mimo to przyjemność pochwały była większa niż przykrość tego ukłucia, przeciw któremu oczywiście nie ośmielił się zaprotestować, zaś myśl o niej nie przybrała w nieskomplikowanym umyśle Jorga formy konkretnej, pozostając jedynie czymś, co trochę mu przyjemność z pochwały psuło.

Z pochwałami spotkał się też na szkoleniu specjalistycznym, do którego się sam zgłosił, a chodziło o pracę przy koniach. Miał do koni naturalny dryg, chociaż w domu nie miał z nimi wiele do czynienia. Rodzice posiadali, owszem, dwie małe jutrziny, czyli morgi ziemi, na których uprawiali kartofle, co dla synów starego Konopki zwykle oznaczało, że po

dniówce na kopalni trzeba było iść na pole, bo przecież matka sama wszystkiego tam nie zrobi, ale konia nie mieli, przy dwóch morgach nie opłacałoby się konia trzymać. Jorg jednak z końmi obył się w majątku hrabiego von Wengersky, gdzie jako nastolatek pomagał trochę w stajni, i radził sobie z nimi bardzo dobrze, nauczył się nawet jeździć, na co pozwalał mu masztalerz hrabiego. Z tego naturalnego drygu wyniknęło więc też to, że szkolenie specjalistyczne odbył jako woźnica i na takim etacie osadzono go, kiedy po szkoleniu został skierowany do 372. Infanterie-Regiment, przynależnego do 239. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, jako jednostka trzeciorzutowa opierającej się prawie w całości na trakcji konnej, podobnie jak pułk polskiej piechoty, w którym służył Jakub, i w ogóle wszystkie poza jedną polskie jednostki wojskowe.

Na tym etacie woźnicy znajdował się więc, kiedy wybuch wojny zastał jego pułk w lesie w Makoszowach pod Gliwicami, i powoził dwukonnym, kompanijnym wozem, przewożącym amunicję i co cięższe żołnierskie bagaże całą drogę, jaką jego pułk w składzie 239. Dywizji przebył z tego lasu aż do Katowic.

Najpierw więc zajęli Katowice, prawie bez walki. Katowickie ulice wiwatowały, szczęśliwe, że miasto wróciło tam, gdzie jego miejsce, do Niemiec, i całkiem się to strzelcowi Konopce podobało, ci wiwatujący między innymi na jego cześć ludzie. Piękna dziewczyna podała mu butelkę zimnego piwa, kiedy na koźle swojego wozu jechał ulicą Warszawską, a feldfebel gestem pozwolił wypić. Kolejna, starsza od poprzedniej, piękna kobieta koło trzydziestki wskoczyła na moment na wóz i gorąco strzelca Konopkę ucałowała, powiedziała po polsku, a dokładnie w tym dziwnym, śląskim narzeczu, że nareszcie, że czekali na to siedemnaście lat.

Wszystko to było bardzo przyjemne, strzelec Konopka jako woźnica na dodatek ani razu nie musiał wystrzelić ze swojego karabinu, co również bardzo mu odpowiadało, ponieważ strzelec Konopka wierzył w katolickiego Pana Boga nawet nieco bardziej, nieco mocniej, niż to było przyjęte w jego klasie społecznej w jego czasach, i chociaż całe wojsko i wojna bardzo mu się pod względem przygodowym podobały, pięknie było być chwalonym przez feldfebla, ale przed zabijaniem ludzi bardzo się strzelec Konopka wzdragał. Zwierzył się z tego podczas spowiedzi pułkowemu kapelanowi – ten wytłumaczył zaś strzelcowi Konopce, że

Kościół nie zabrania walczyć na wojnie sprawiedliwej i jeśli się wroga zabije, to nie jest to morderstwo, tylko uczciwa walka. Konopka oczywiście wysłuchał tego w milczeniu, bo tak został wychowany, ale przemowa księdza nie zmniejszyła jego wątpliwości i niechęci do zabijania.

Do końca wojny w Polsce nie wystrzelił z karabinu ani razu, nie było okazji, nikt też do niego nie strzelał, były tylko długie, żmudne marsze, miał dość roboty z dwójką koni, na żadne odznaczenie nie zasłużył, na naganę również nie. Parę dni po wkroczeniu do Katowic widział, jak żołnierze SS-Verfügungstruppe razem z żołnierzami z jego pułku palą synagogę w Będzinie, a w środku tej synagogi są ludzie, Żydzi, i ci ludzie bardzo krzyczą, bo się palą razem ze swoją synagogą. Nie podobało mu się to za bardzo i zdawało mu się, że tym bardziej nie podoba się to Panu Bogu, ale oczywiście zdania na ten temat nie wyraził na głos ani Pan Bóg, ani tym bardziej strzelec Konopka na etacie woźnicy w taborach kompanijnych trzeciej kompanii pierwszego batalionu 372. Infanterie-Regiment. Byli w końcu przy tym oficerowie, co miał do gadania on, Schütze Konopka. Zwłaszcza że znajdujący się o wiele wyżej niż strzelec Konopka Pan Bóg też w żaden sposób na te krzyki palonych w synagodze ludzi zareagować nie zechciał.

Z Żydami Konopka nie miał przed wojną wiele do czynienia. Na niemieckim Śląsku nie było takich Żydów jak my, jak Jakub albo ja, wszyscy byli idealnie po niemiecku zasymilowani i wydawało im się, że mogą być Niemcami. Z tej części Śląska, która przypadła Polsce po plebiscycie, bardzo wielu Żydów wyjechało na drugą stronę granicy, do Niemiec, do Gleiwitz, do Beuthen, do Breslau albo do Berlina. Pamiętam, jak przywieźli ich potem do naszego getta w listopadzie i w grudniu 1941, jak się brzydzili naszych obdartych chałaciarzy, nawet potem jeszcze w pociągu do Treblinek dalej wydawało im się, że są Niemcami i że są czymś w oczywisty sposób lepszym od nas, mówiących w jidysz wschodnich Żydów. Widziałam jednego starszego pana, który jeszcze u nas w warszawskim getcie nosił na marynarce niemiecki Żelazny Krzyż, jakby wierzył, że ten krzyżyk pomoże mu przetrwać, ale nie pomógł, bo spuchł z głodu i umarł z Żelaznym Krzyżem tak samo łatwo, błaho, niezauważalnie i nieodwracalnie, jak łatwo, błaho, niezauważalnie i nieodwracalnie inni umierali bez krzyża.

Ci śląscy Żydzi byli dla Konopki nieodróżnialni od Niemców, mówili po niemiecku, na słowiańskojęzycznych górników i robotników patrzyli z taką samą wyższością jak Niemcy, na dodatek na Górnym Śląsku aż do 1937 roku cieszyli się pełną ochroną prawną po interwencji Ligi Narodów, odmiennie niż gdzie indziej w Niemczech. Czasem spotykał Konopka Żydów przychodzących z Polski na handel, brodatych, w chałatach i tak dalej i tacy z kolei wydawali mu się czymś równie egzotycznym, odległym, azjatyckim, jak na przykład wielbłądy, które widział kiedyś w cyrku w Gleiwitz. Takich Żydów się Konopka naoglądał podczas wojny w Polsce. Nie czuł do nich odrazy, raczej obojętność, czasem trochę ciekawości, nie podobały mu się akty przemocy, jakich się wobec nich dopuszczano, i w żadnym nie uczestniczył, ale też traktował je jak coś nieuniknionego, w jego rozumieniu nieróżniącego się jakoś zasadniczo od zabijania wrogich żołnierzy na wojnie.

Kampanię wrześniową zakończyli na granicy słowacko-węgierskiej, Konopka zaś nauczył się pić sznapsa i palić papierosy. Od sznapsa wcześniej stronił, uważając jego smak za ohydny, zdarzało mu się przed wojną napić piwa, ale ojciec i matka nie pozwalali mu chodzić do szynku, nie miał też za bardzo za co, więc rzadko była okazja. Na papierosy również nie pozwalali, bo to rozrzutność. „Kurzynie cigeretōw je dlo bogoczy, a tyś niy ma bogocz!" – mawiała matka Konopki w tym ich dziwnym slangu. Tutaj jednak papierosów było pod dostatkiem, alkohol też często można było dostać i żeby powstrzymać docinki i podejrzliwości kolegów, Schütze Konopka wkrótce pił i palił jak każdy porządny żołnierz.

Przed kampanią we Francji dywizja, w której służył Konopka, pozostała w rezerwie, stacjonowali na Kaiserstuhl, niewielkich wzgórzach nad górnym Renem, potem przekroczyli Ren pod Neubreisach i pozostawali przez cały czas w rezerwie, co trochę smuciło rwących się do wojenki żołnierzyków, ale Konopkę bardzo cieszyło. Był cichy, posłuszny, lubiany przez dowódców i kolegów, końmi zajmował się świetnie i ogólnie bardzo chwalił sobie wojskowe życie, czemu dawał wyraz w pisanych po niemiecku listach do domu. Pisał, że robota o wiele lżejsza niż na grubie, karmią świetnie, nawet przytył trochę, dużo czasu na powietrzu i bardzo kocha swoje koniki, Paprikę i Klausa, z którymi miał pełne ręce roboty. Wstać musiał wcześniej niż inni, bo dwie godziny przed wymarszem konie

musiały dostać owsa albo wojskową mieszaninę owsa, ziemniaków, siana i drożdży, przygotowywaną w formie pięciokilogramowych bloków, potem jeszcze siano i trzeba było konie wyczyścić, żeby wyglądały porządnie, ale też żeby pod uprzężą nie zrobiły się otarcia. Po marszu też miał przy koniach niemało roboty, najpierw słomą wytrzeć boki, potem odczekać, kiedy wyschną i odpoczną, to znowu trzeba nakarmić, proporcjonalnie do wysiłku, i napoić świeżą wodą, bo odstanej nie lubiły. I cały czas troska: czy pęciny nie opuchły, czy zimnych potów nie ma, bo wiadomo, że tylko zdrowy koń pracuje. Wozu też musiał doglądać: sprawdzić hamulec, oliwić osie i wszystko to bardzo mu się podobało, zwłaszcza że dalej ani razu nie musiał wystrzelić z obijającego mu plecy mauzera, który swoją drogą dla laika, czyli na przykład dla mnie, byłby prawie nie do odróżnienia od mauzera produkcji polskiej, który we wrześniu 1939 roku nosił na plecach plutonowy Szapiro. Tyle że w niemieckim rączka zamka zagięta w dół, a w polskim prosta.

Ze względu na te wszystkie obowiązki Jorg sypiał przeciętnie dwie godziny krócej niż zwykli strzelcy, ale nie przeszkadzało mu to. Lubił swoją pracę, nawykły był do ciężkiej roboty, mniej też się męczył w marszu niż zwykły piechur, bo zawsze na koźle, z lejcami w dłoni.

Po francuskiej kapitulacji uczczonej w jednostce wielkim pijaństwem, na które podoficerowie obiecali spojrzeć przez palce, wrócił do Pilchowitz, zwanych teraz Bilchengrundem, na dłuższy urlop. Szkolni koledzy, dziś górnicy, patrzyli z podziwem, jak Jorg Konopka paraduje po wsi w szarym mundurze i pięknych, wysokich butach. Był już inny, doroślejszy, nie wstydził się pójść na zolyty do Giseli Tkocz, która od zawsze bardzo mu się podobała, ale wcześniej nie odważyłby się do niej zagadnąć, i kiedy z posiedzenia w towarzystwie jej rodziców wychodził, to wyszła za nim i na laubie go pocałowała i obiecała, że będzie na niego czekać i tęsknić. Ona więc czekała, Konopka wrócił do jednostki, a nam akurat wtedy właśnie zamknęli getto ludzie w mundurach takich samych prawie jak ten, który nosił strzelec Konopka. Zamknęli, otoczyli murem zwieńczonym tłuczonym szkłem, postawili strażników w bramach i postanowili zagłodzić.

W styczniu 1941 roku 239. Dywizję razem z Schütze Konopką, jego wozem i końmi Papriką oraz Klausem przeniesiono na rumuńską

Bukowinę, a potem Führer postanowił podbić Rosję i zwyciężyć Stalina, zaś awansowany tymczasem na Oberschütze Konopka, jego wóz i dwa konie byli zobowiązani w tym Führerowi pomóc ze wszystkich sił.

Tym razem na trzeciej wojnie strzelca Konopki wszystko wyglądało inaczej niż wcześniej. Tym razem strzelec Konopka musiał zdjąć z pleców karabin.

Na początku zajęty był głównie tym, aby nadążyć, tak szybko rozwijała się ofensywa, jego pułk bił się w bitwie pod Humaniem, potem okrążyli Sowietów w Kijowie i widział tam wtedy strzelec Konopka rzeczy straszne.

Dzień, w którym Jorg po raz pierwszy zdjął karabin z pleców, zaczął się, kiedy jego kompania zaległa na popas w małej ukraińskiej wiosce. Jorg właśnie rozpieszczał swoje konie zebranymi w sadzie jabłkami, kiedy do wsi wjechał motocykl z koszem. Z kosza wysiadł oficer, kapitan policji w zakurzonym, zielonym mundurze Ordnungspolizei i zażądał rozmowy z dowódcą, kapitan wyszedł do niego, porozmawiali i Jorg usłyszał na własne uszy, że oficer z motocykla żąda dwudziestu ludzi z bronią, dwóch karabinów maszynowych i ciężarówki.

Ciężarówki kompania nie posiadała, oficer z motocykla wymachiwał jakimiś papierami wyglądającymi na ważne, kapitan wyznaczył więc zamiast ciężarówki Jorga z jego dwukonnym wozem i dwudziestu strzelców pod dowództwem podoficera z pistoletem maszynowym, zbiórka za kwadrans. Jorg natychmiast zgłosił dowodzącemu taborami feldfeblowi, że konie właśnie jadły, mogą się ochwacić albo dostać skrętu kiszek, ten tylko rozłożył ręce. Wiadomo, rozkaz.

Wyruszyli po kwadransie, wyszli ze wsi na step, część żołnierzy na opróżnionym na tę okazję wozie, część na piechotę za nim, wlekli się za pełznącym na powolnym biegu motocyklem. Jorg dojechał więc wozem, żołnierze za nim doczłapali w końcu za wlokącym się motocyklem na miejsce, w które prowadził ich oficer Orpo.

Wioskę stracili już z oczu. Nic nie zakłócało równej linii stepowego krajobrazu. Jorg stanął na koźle, rozejrzał się dookoła ponad plandeką wozu; i zobaczył, że byli jak na morzu, wśród traw, wśród niezżętego zboża, z nielicznymi wyspami krzaków w oddali: jego dwa konie, wóz, motocykl i dwudziestu ludzi w mundurach, z karabinami na plecach. Wiedział, że za łagodnym wzniesieniem, które dlań stanowiło linię

horyzontu, poprzecinany polami step opada łagodnie ku rzece, nad rzeką zaś jest niewielkie miasto, którego nazwy nie znał.

Ja znam, ale nie myślę wteraz o nazwie tego miasta.

Jechali jeszcze chwilę, po czym zatrzymali się przy wykopanym w stepie rowie. Był głęboki na metr, szeroki na dwa metry i długi na dziesięć. Przy jego krawędzi pryzma świeżo wykopanej, czarnej ziemi, niezszarzałej jeszcze na słońcu, sześć porzuconych szpadli, obok motocykl, identyczny jak ten, którym jeździł kapitan z Orpo, więcej nic.

Jorg zeskoczył z kozła i z jakiegoś powodu czuł, że nie musi pytać o pozwolenie ani podoficera, który z nimi tu przyszedł, ani kapitana, i bez pytania zajrzał do rowu. Na dnie leżało sześć trupów, sześciu mężczyzn w ubraniach całych powalanych ziemią, wszyscy zastrzeleni, ich ciała przedziwnie skręcone, nogi i ręce ułożone pod dziwnymi kątami. Nad krawędzią wykopu sześć karabinowych łusek błyszczących w popołudniowym wrześniowym słońcu, mosiężna biżuteria śmierci.

Do rowu zajrzał również oddelegowany z kompanii feldfebel, po czym wzburzony podszedł do kapitana i zapytał, o co tu chodzi i do czego on zamierza użyć jego żołnierzy. Kapitan odpowiedział standardowym „Maul halten!" i na to feldfebel odpowiedział już jak należy, czyli „Jawohl!". Kapitan w pojednawczym geście wyciągnął z wózka przy motocyklu cztery litrowe butelki radzieckiej wódki i cztery pęta kiełbasy, nie zwracając uwagi na niezadowolone spojrzenie podoficera, wręczył prowiant żołnierzom i polecił pić i zakąszać, na zdrowie.

Pili więc wódkę i zagryzali kiełbasą.

Jorg też pił. Wódka nie była dobra, ale już się przyzwyczaił do tego, jak wszyscy, że oferowanej przez dowódców wódki się nie odmawia, mimo lęku, jaki ona wywołuje, tak samo jak Scho-ka-kola. Kiedy szykowało się coś niebezpiecznego, to zwykle przychodził najpierw porucznik i uśmiechnięty ogłaszał nadzwyczajny przydział: a to Scho-ka-koli, a to sznapsa, może po dwie butelki piwa i tak dalej, a potem się okazywało, że trzeba szturmować umocnione pozycje wroga albo posuwać się w szyku pod ciężkim ostrzałem. Strzeżcie się oficerów, gdy przynoszą dary, mawiał wtedy pewien młody żołnierzyk z Ulm, w cywilu student filologii klasycznej na uniwersytecie we Freiburgu, nikt, włącznie z Jorgiem nie zrozumiał nawiązania do *Eneidy*, ale wszyscy rozumieli sens. Pili więc, ponurzy,

niezadowoleni, ale pili i Jorg też pił, siedząc na koźle wozu, tylko feldfebel odmówił.

Potem czekali, ale niezbyt długo, kwadrans. Po kwadransie na horyzoncie pojawili się ludzie, długa, powoli człapiąca kolumna ludzi. Po chwili Jorg mógł już rozpoznać poszczególne postaci. Było ich wszystkich około pięćdziesięciu, kobiety, mężczyźni, dzieci, eskortowani przez czterech mężczyzn w mundurach Orpo, trzech z karabinami, jeden z pistoletem maszynowym, innym niż nosił dowódca Jorga, taki z drewnianą kolbą i magazynkiem z boku. Było z nimi też kilkunastu lokalnych cywili, Ukraińców, jak można było sądzić po ubiorze, do tego z pałkami w dłoniach.

Ludzie prowadzeni w kolumnie mieli przy sobie walizki i toboły, jakby wyruszali w podróż, odziani byli szaroburo, poza jedną kobietą w niebieskiej sukience, która na tle rudego stepu odcinała się wyraźnie, jakby na koniec września coś nagle, przed samą zimą rozkwitło. Niektóre matki i niektórzy ojcowie, widząc, że ich dzieci zmęczone są długim marszem, wzięli je na ręce i dzieci nawet zasnęły w ich ramionach, jednak strach wypełniający rodziców przenikał w dziecięce serca jakby przez osmozę, jakby kortyzol i adrenalina przesączały się z jednego krwiobiegu do drugiego, jakby matki wcale nie przerwały kiedyś pępowin. Jorg widział ten strach już z daleka. Strach kuli ludzi, przyciąga ramiona do siebie, opuszcza głowy, szeroko otwiera oczy, głowy się kręcą, kiedy strach się rozgląda, by ocenić, skąd, z którego kierunku nadejdzie zagrożenie. Więc kulą się, kulili, a Jorg patrzy na nich i rozumie, że to on jest zagrożeniem.

On, skromny, cichy strzelec Georg Konopka z Pilchowitz, O.S., Jorg Konopka, górnik i woźnica, którego przez całe jego życie nie bał się nikt poza jego o dziesięć lat młodszą kuzynką, bo ją jedną potrafił nastraszyć, robiąc straszne miny i opowiadając o beboku, co czynił z właściwą nastoletnim chłopcom lubością; kuzynka krzyczała i czasem nawet płakała, a wtedy wkraczała mama Jorga albo mama kuzynki, siostra mamy Jorga, przytulała dziewczynkę, Jorgowi zaś zmywała głowę, nazywając go najduchem.

Nikt się go nigdy nie bał, a teraz tak bardzo boją się go ci ludzie, którzy nie widzą Jorga, widzą po prostu postać w szarym mundurze, w hełmie, z karabinem.

Kapitan w mundurze Orpo wykrzykuje komendę, każe rozstawić zgrabne, lekkie kaemy o lufach skrytych w perforowanych osłonach, zupełnie inne niż cekaem z grubą rurą wodnej chłodnicy znajdujący się na wyposażeniu oddziału, którego dowódcą był dwa lata wcześniej Jakub. Żołnierze rozkładają więc dwójnogi i po dwóch kładą się z bronią we wskazanych miejscach, podnoszą pokrywy, kładą taśmy, odciągają zamki do tyłu. Twarze mają szare, oczy zmrużone, przymykają je, jakby nie chcieli patrzeć.

Celowniczowie lewymi dłońmi przyciskają kolby do ramion, prawe obejmują chwyty, palce blisko cyngli, ładowniczowie podtrzymują taśmy. Kapitan każe pozostałym załadować i zabezpieczyć, żołnierze wykonują rozkaz, też niezbyt ochoczo, szczękają zamki i bezpieczniki karabinów. Jorg siedzi na koźle i ani myśli sięgać po broń, jest przecież tylko woźnicą, jego zadaniem jest tylko powozić. Kapitan z Orpo krzyczy, rozkazuje Jorgowi dołączyć do reszty.

Jorg spogląda na feldfebla, ten nie jest zadowolony, ale potwierdza krótkim skinięciem głowy. Jorg ociąga się trochę, ale w końcu schodzi z kozła, ściąga karabin z pleców, odwodzi zamek, z ładownicy na pasie wyciąga łódkę z pięcioma nabojami, wpycha je do magazynka, ale domykając zamek kciukiem, przyciska naboje, tak że zamek przesuwa się nad nimi, komora zostaje pusta, chociaż karabin wygląda na gotowy do strzału. Potem ten karabin z pustą komorą Jorg zabezpiecza.

Kapitan z pistoletem w dłoni ustawia osiemnastu ludzi w dwuszeregu. Pierwszy szereg na rozkaz przyklękuje, jakby składali hołd nadchodzącym nieszczęśnikom, ale przecież wcale nie dla hołdu przyklękają.

Kolumna zatrzymuje się pięćdziesiąt metrów od rowu, motocykli i wozu, pod nadzorem lejkowatych mord obydwu kaemów, i jakby węże na nich patrzyły, smoki.

Kapitan podchodzi do kolumny, eskorta wydziela pierwszą grupę, każą im zostawić walizki i tłumoki i ustawić się w rzędzie nad krawędzią rowu. Żaden z nich nie wygląda tak, jak wyglądali ortodoksyjni Żydzi z Polski, Żydzi z mojego świata, których Jorg widywał czasem u siebie, gdy szli za granicę na handel albo potem podczas wojny w Polsce. Ubrani są biednie, mężczyźni w jakieś bure garnitury, ciemne spodnie, swetry, liche trzewiki, niektórzy stoją w samych koszulach, bez marynarek, na głowach mają

czapki z daszkiem, jeden starszy mężczyzna w okularach ma na głowie kapelusz. Kobiety w lichych sukienczynach, w roboczych fartuchach, jedna ma na sobie watowany kaftan, mimo że jest wrzesień i jeszcze ciepło, inna męskie, za duże spodnie, dziurawe na kolanach, w wąskiej talii ciasno spięte paskiem.

Oficer Orpo z pistoletem w dłoni staje przed dwuszeregiem żołnierzy. Wygłasza krótką przemowę: oto zgromadzono tutaj lokalnych komunistów, bolszewickich komisarzy, żydowskich sabotażystów, zakałę tej ziemi, zaś ich, niemieckich żołnierzy, rolą jest uwolnić świat od tej zakały. Pomyśleć mają o tym, że robią tu miejsce Niemcom, że kiedyś ta żyzna, czarna ziemia będzie rodzić plony dla niemieckich Wehrbauern, żołnierzy-rolników i że zasługi w zwalczaniu międzynarodowego, komunistycznego żydostwa nikomu nie pozostaną zapomniane. Zwycięstwu chwała, żołnierze.

– Sieg heil...! – odpowiada mu zbrojny dwuszereg, bynajmniej nie gromko.

Słońce zachodzi.

Dzieci na rękach rodziców płaczą, niektórzy dorośli też, ktoś się modli cicho po hebrajsku, padają też słowa po aramejsku, Jorg nie rozróżnia tych języków, ale nie pierwszy raz słyszy taką modlitwę, kilka razy w życiu przechodził obok wielkiej synagogi w Gliwicach i chociaż nigdy nie był w środku – i już nie będzie, bo w 1938 roku spalili ją gliwiccy SA-mani – to słyszał wtedy donośny śpiew kantora i słowa wydały mu się podobne.

Teraz, kiedyś, Jorg stoi w drugim szeregu, zaciska dłonie na karabinie, poci się, dłonie mu drżą. Już wie, że kaemy mają tylko szachować kolumnę mordowanych i bardzo zazdrości ich celowniczym, już wie, że to żołnierze w jego szeregu będą strzelać, nie kaemy.

– Ruhe, Männer, Ruhe... – uspokaja ich feldfebel.

Oficer wykrzykuje kolejne komendy: odbezpieczyć, cel, ognia.

Dwuszereg żołnierzy strzela, Jorg naciska spust, ale jego karabin nie strzela, nie strzela do ludzi stojących nad krawędzią rowu, iglica pstryka tylko w pustkę w komorze. Nawet mimo pustej komory Jorg celował ponad głową stojącej przed nim i odwróconej doń plecami kobiety z przerażoną dziewczynką, może pięcioletnią, na rękach. Na wszelki wypadek. Na

wypadek, gdyby się pomylił, dociskając kciukiem nabój tak, aby zamek przesunął się nad nim, nie zabrał go ze sobą do komory.

Nie on jeden strzelał w niebo. Panu Bogu w okno, a Pan Bóg stał w tym oknie i dlatego już go wcale nie ma. Kilka ciał pada do rowu, inni dalej stoją, kobieta z dziewczynką też dalej stoi i wyje, dziewczynka płacze, inni leżą na ziemi ranni. Jorg nie wie, czy patrzy na ludzi, stojący przed nim sowieccy Żydzi zlewają mu się w jednego człowieka, którego on, Jorg, ma za zadanie zamordować. Oficer Orpo podbiega do żołnierzy i wykrzykuje przekleństwa, krzyczy, że kto będzie strzelał w powietrze zamiast do żydowskich sabotażystów, ten stanie przed sądem wojennym. Każe przeładować.

Jorg mógłby znowu przytrzymać naboje kciukiem, zarepetować karabin na pustej komorze, ale boi się, boi się już za bardzo tej pustej komory.

Strzelają ponownie. Jorg znowu celuje w powietrze, ponad głową kobiety i strzela, strzela w powietrze, jednak w okryte lichym sweterkiem plecy kobiety uderza kula wystrzelona z karabinu należącego do kogoś innego i kobieta wali się do rowu razem z wyjącym w jej ramionach dzieckiem.

Oficer Ordnungspolizei podchodzi do wykopu, strzela ośmiokrotnie, dobijając rannych, zmienia magazynek, strzela znowu. Każe sobie pomóc, wskazuje paru pierwszych z brzegu żołnierzy, ci w końcu podchodzą, spychają ciała w dół.

Od pilnowanej przez orpowców i uzbrojonych w pałki cywili kolumny nagle odrywa się para, chłopak i dziewczyna, oboje jakoś w wieku Jorga, i zaczynają biec przez wysoką, stepową trawę i biegną, biegną tak szybko, jakby siły wstąpiły w nich nadludzkie. Celowniczy kaemów nie strzelają jak sparaliżowani, ale jeden z eskortujących kolumnę orpowców podrzuca broń do ramienia, wprawnym ruchem zaplata pas karabinu wokół lewego przedramienia jak na zawodach strzeleckich i długo, starannie celuje, wiodąc lufą za biegnącymi sylwetkami, odkłada poprawkę na ich ruch, strzela. Pierwszym pociskiem trafia dziewczynę, przeładowuje, nie odrywając broni od ramienia, drugim strzałem pudłuje, chłopiec biegnie jeszcze, trzeci strzał, trafiony, chłopak wywraca się, koziołkuje, ale wstaje, orpowiec strzela po raz czwarty.

Żydów pozostało jeszcze kilkunastu, pod czujnym okiem dwóch maszynowych żmij.

Uzbrojeni w pałki Ukraińcy zapędzają ich na skraj wykopu. Przed Jorgiem staje kobieta w niebieskiej, chabrowej sukience. Wśród wycia i dziecięcego płaczu jest najspokojniejsza. Wszyscy stają plecami w kierunku plutonu egzekucyjnego, którego Jorg jest członkiem, ona jednak odwraca się do nich twarzą i patrzy Jorgowi w oczy.

Komendy, salwa, wszyscy padają, tylko ona stoi. Jorg nie nacisnął spustu.

Oficer Orpo podchodzi do Jorga, widzi, że bijnik w Jorga karabinie ciągle jest napięty, widzi palec Jorga na spuście, widzi, że Jorg nie strzelił. Przez chwilę przygląda się Jorgowi z daleka, jakby się zastanawiał, czy ten mały woźnica nie zachował tego naboju w komorze właśnie dla niego, kapitana Ordnungspolizei, ale nie, kapitan Ordnungspolizei zna się na ludziach, już po sekundzie wie, wie z całą pewnością, że ta kula nie jest dla niego.

Staje za Jorgiem i syczy mu do ucha złe, diabelskie słowa o tym, co będzie, jeśli Jorg nie wykona rozkazu i natychmiast nie zastrzeli tej bolszewickiej, żydowskiej sabotażystki.

Na Jorga patrzą też koledzy z kompanii. Oni strzelili i woleliby teraz, żeby Jorg też strzelił. Nie chcą mieć wśród siebie jednego sprawiedliwego.

Na Jorga patrzy też kobieta w chabrowej sukience. Ma czarne włosy, związała je w kok, teraz są dość rozczochrane. Kobieta ta miała życie, życie jej trwało dwadzieścia siedem lat i właśnie się kończy. Kochała, była kochana, miała pracę, miała kilku mężczyzn i lubiła miłość, miała dziecko, miała imię, nazwisko, miała ulubione piosenki i lubiła chodzić do kina, i ja to wszystko wiem, teraz, w szarości, jednak Jorg nie wie nic, Jorg tylko widzi jej wielkie, szeroko otwarte, ciemne oczy.

Jorgowi wydaje się, że kobieta uśmiecha się do niego, ale to nieprawda. Kobieta wcale się do niego nie uśmiecha. Kobieta myśli o życiu, które miała, i o życiu, którego już miała nie będzie.

– Erschießе sie, du Dreckschwein! – syczy kapitan Ordnungspolizei, który wie, że na to, by zamiast kobiety na krawędzi rowu zastrzelić kapitana Ordnungspolizei małemu woźnicy brakło odwagi. Strzelaj albo sąd polowy.

Jorg patrzy na chabrową sukienkę. Kobieta nie ma rajstop, na stopach ma sandały z cienkich pasków sztucznej skóry.

Jorg nie wie, kiedy to się dzieje, ale jego prawa dłoń zaciska się, palec zgniata spust i karabin strzela, kolba kopie ramię Jorga i mija sekunda, zanim Jorg zrozumie, że to nie karabin strzelił, ale on, Jorg, strzelił z karabinu i trafił kobietę w pierś na wysokości mostka, karabinowy pocisk z wielką siłą rozrywa mięsień sercowy, kobieta pada na plecy i spada do wykopu, i jeszcze przez kilka sekund jest przytomna, i patrzy w niebo, nad jej stopami już ciemne, granatowe, z pierwszymi jasnymi punktami gwiazd, nad jej głową różowo-pomarańczowe, ślad po zachodzącym słońcu.

Potem umiera.

Oficer Orpo poleca podoficerowi z eskorty dobić rannych, ten podchodzi do wykopu i wystrzeliwuje kilka krótkich serii z pistoletu maszynowego. Ukraińcy odkładają pałki, schodzą do wykopu, przeszukują ciała, obcęgami wyrywają nieliczne złote zęby, znalezione kosztowności wykładają na rozłożoną nad wykopem celtbanę. Oficer Orpo zwalnia pluton egzekucyjny. Pakują się na wóz, inni idą, Jorg powozi. Wracają do kompanii w milczeniu.

Czy pozwoliłabym mu żyć, gdyby mi o tym opowiedział? Gdyby nie skłamał, że nigdy nie zabił żadnego Żyda? Opowiadał mi wiele i nigdy nie kłamał, ale o tym po prostu nie powiedział ani słowa, ani słowa o wykopie, chabrowej sukience, dziecięcym płaczu.

Opowiedział o wszystkim, co było potem. Opowiedział, jak Paprika, jego ukochana klacz, padła pierwszej zimy, a Klaus drugiej, ochwaconego Jorg sam zastrzelił. Jak rozwiązali dywizję po ciężkich walkach, a ja, słuchając tego, jak opowiada, cieszyłam się, że nasi takie wciry szkopom spuszczali, opowiedział, jak przestał być woźnicą, jak go przydzielili do drużyny strzeleckiej, gdzie poznał podoficera, feldfebla, który dowodził plutonem i był z sąsiadującej z Pilchowitz wsi, z Deutsch Zernitz, nazywał się Richat Biela i był dobrym człowiekiem, i dobrym żołnierzem, i uratował mu życie wiele razy w walce, a byli razem pod Stalingradem, a potem zabrał go ze sobą ze Stalingradu, gdy na kilka tygodni przed kapitulacją sam został ranny w rękę, na lotnisku Gumrak przy trójsilnikowym samolocie skłamał, zmyślając coś o Jorga niezwykłych kompetencjach, które zapewniały wstęp

na pokład, a zrobił to dlatego, że pokochał tego małego woźnicę braterską miłością tak, jak nigdy już nie pokochał nikogo innego. Było więc takie uczucie, mała, czysta, ludzka miłość, było i zniknęło, jak wszystko inne, rozpłynęło się w szarości.

Jorg opowiedział mi też dalej, o tym jak znowu był woźnicą i jak wyrzucił karabin do Wisły, bo nie chciał nigdy do nikogo strzelać, i jak zdezerterował, okradając tabory swojej kompanii z tylu zapasów, ile mógł unieść na plecach, jak błąkał się przez dwa tygodnie między frontami, jak postanowił ukryć się w Warszawie i doczekać końca wojny, jednego mi tylko nie opowiedział, tylko raz mnie okłamał.

I teraz leży obok, przestał już popłakiwać, oddycha spokojnie, a ja leżę niedaleko od niego, przytulona do Jakuba i okłamana na zawsze, zupełnie okłamana, ale teraz nawet cieszę się, że mnie okłamał, że nigdy nie zabił żadnego Żyda, cieszę się, że mi nie powiedział teraz o kobiecie w chabrowej sukience, bo gdyby mi powiedział, tobym go zabiła, a tak przynajmniej tego małego szkopa, woźnicy ze Śląska, tego małego Oberschütze Konopki nie mam na sumieniu.

Nie odrywając się od Jakuba, wyciągam do Jorga dłoń, a on przez sen wyczuwa to od razu, sięga i chwyta, trzyma mnie za rękę.

DAWID

Gdy 13 września pułk mojego ojca wracał do Warszawy, na Grochów, w mieście wojna toczyła się już w najlepsze. Od 1 września nieustannie trwały bombardowania, my siedzieliśmy z mamą w domu, mama nie pozwalała nam wychodzić.

Szóstego września wieczorem przeklinała głośno, w jidysz i po polsku, kiedy wysłuchała w radio premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, oświadczającego, że z powodu niebezpieczeństwa zagrażającego stolicy rząd zmuszony jest opuścić Warszawę.

Nigdy wcześniej w życiu nie słyszałem z jej ust takich obraźliwych słów. Takich, jakie ja i Daniel chętnie szeptaliśmy po cichu, po kątach, chichocząc głupio, i takich, których nawet nie znaliśmy, żadnych w każdym razie nie ośmielilibyśmy się wymówić w jej obecności. Mama zaś słuchała premiera w radio i wyrzucała z siebie przekleństwa.

Kapoc, szmok, chuj cieknący i zawszony, skurwysyn, rybia pizda, księży bobek, miękkim kutasem w burdelu robiony, w gnoju zrodzony, w oborze chowany kurwi syn zasrany, wąsaty gojski smród – takich słów mama nie używała nigdy wcześniej, moja mama się wzdragała określić kogoś łajdakiem, pouczała nas często, kiedy mówiliśmy o jakimś koledze, że jest podlec i łajdak, że nigdy nie wiemy, co się dzieje w środku innego człowieka, jak wygląda jego życie, z jakimi przeciwnościami się zmaga, więc nie należy nigdy wygłaszać takich kategorycznych osądów, bo nawet jeśli ktoś się źle zachował, to nie wiemy dlaczego, może mieć swoje powody i może się zmienić.

Żaden z nas nie odważył się oczywiście przypomnieć mamie tych pouczeń, kiedy złorzeczyła dobiegającemu z radia głosowi Sławoja Składkowskiego. Kiedy zaś ten wypowiedział słowa o niezłomnym postanowieniu powrotu do stolicy po wygranej wojnie, mama przestała kląć, schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Przypomniała sobie całą przedwojenną i wczesnowojenną prasę, te wszystkie tytuły o tym, jak to Niemcy mają ciężką pozycję wyjściową, jak to się nie odważą, bo Anglia się ruszy natychmiast, jak to niemieckie miasta w razie ataku na Polskę angielscy i francuscy lotnicy obrócą w perzynę. Tytuły gazet z pierwszych dni września: *Hitler nie ma żadnych szans!*, *Angielska flota w drodze do Gdyni* i tak dalej. Przypomniała sobie, jak ludzi, którzy przed wojną przestrzegali, demaskowano jako defetystów zatruwających patriotycznego ducha.

Byliśmy przerażeni przekleństwami bardziej niż płaczem, ale podeszliśmy do niej obaj, Daniel i ja, zawsze tak robiliśmy w tamtych czasach, kiedy widzieliśmy, że płacze, więc podeszliśmy do niej, objęliśmy ją z dwóch stron i Daniel wyszeptał swoje:

– Nie płacz, mamo.

To zawsze wystarczało. Coś było w jego głosie, jakaś tajemnicza słodycz, miękkość, dobro, coś kojącego i wzruszającego i mama po prostu przestawała płakać, i teraz też wystarczyło.

– Dlaczego tak się gniewasz, mamo?

Popatrzyła na nas, przytuliła, przygarnęła i nie powiedziała dlaczego. Ojca naszego, rzadko patrzącego dalej niż koniec jego szerokiego, żydowskiego nosa, polityka obchodziła tylko o tyle, o ile potrzebna mu była, żeby coś załatwić, albo o ile wpływała na jego los. Mama, przeciwnie, należała do pierwszego pokolenia tak rozpolitykowanych żydowskich dziewczyn i polityką emocjonowała się dla polityki samej: Palestyna czy sytuacja Żydów w Polsce obchodziły ją tak samo, jak obchodziła ją rzeź Nankinu, o której czytała tylko w gazetach i o której, dowiedziawszy się o niej przed wojną, nigdy nie pomyślała jako o czymś, co mogłoby przytrafić się jej samej.

Mimo tego politycznego pobudzenia nie powiedziała nam o tym, jak bardzo nienawidzi tych równie głupich co tchórzliwych facetów w operetkowych mundurach na czele tego operetkowego, walącego się właśnie państwa. Jak bardzo nienawidzi ich za tę całą przedwojenną butę

i za kłamstwa o polskiej mocarstwowości, o sile polskiej armii, w której teraz walczył jej wiarołomny i głupi jak oni mąż. Jak nienawidzi ich za te parady i defilady, za kolorowe otoki przy ułańskich czapkach i okrągłe czapki szwoleżerów, za akselbanty i pagony, za oficerki i ostrogi, za to, że uwierzyli w swoje imperialne rojenia, i za to, jak łatwo dali się ograć Anglikom, którzy popchnęli ich do wojny, wystarczyło temu idiocie Beckowi rozwinąć czerwony dywan i pompować mu jego i tak już potwornie rozdęte ego, a zrobił wszystko, czego Anglicy potrzebowali.

Jednak nie powiedziała nam tego. Kiedy w radio wszyscy pletli o angielskich i francuskich gwarancjach, o tym, że Francuzi zaraz się ruszą, mama nie powiedziała nam, że w to wcale nie wierzy. Może dlatego, że była w tej niewierze głęboko odosobniona, co zobaczyła, gdy trzy dni wcześniej przechodziliśmy Nowym Światem, gdzie pod brytyjską ambasadą rozwinęła się spontaniczna demonstracja. Ja i Daniel chętnie byśmy sobie postali między wiwatującymi na cześć Wielkiej Brytanii ludźmi, ale mama zapytała tylko, co będzie, jeśli przyleci samolot i ten głupi tłum zbombarduje, i pociągnęła nas za ręce do tramwaju, bo trzeciego tramwaje jeszcze chodziły. Jednak o tym, że nie wierzy, że tę wojnę możemy wygrać, nie powiedziała nam ani słowa.

Nie powiedziała nam również tamtego dnia o tym, jak bardzo nienawidzi Niemców i ich nienasycenia, ich niezaspokojonej chciwości, ich woli zniszczenia ludzi takich jak ona i jej synowie, tylko dlatego że urodzili się Żydami, bo uznała, że tego już dość się w radio nasłuchamy, chociaż starała nam się dostęp do radia ograniczać, ale wtedy Daniel podkradał jej gazety, które jeszcze wychodziły w tych dniach, i czytał mnie, leniwemu, o tym wszystkim, co się dzieje, o wojnie, na której walczy nasz tata, i chociaż żaden z nas nie wiedział, gdzie się nasz tata znajduje i co robi, to jakoś wiedzieliśmy i czuliśmy te długie marsze, pył wzbijany na drogach przez żołnierskie buty, rżenie koni, strach przed samolotami, wycie ich silników i poszczekiwanie karabinów maszynowych, kule dziurawiące mundury i ciała. Na Puławskiej z okien naszej willi widzieliśmy pierwsze transporty z rannymi, głowy okręcone bandażami, zakrwawione mundury, ciężko ranni na wozach, ci lżej zaś słaniający się za wozami.

Nie powiedziała nam też o tym, jak bardzo nienawidzi ojca za to, że zostali w tym przeklętym kraju, w tym przeklętym mieście. Nie

powiedziała nam tego, bo to wiedzieliśmy już i tak bardzo dobrze, mimo że mieliśmy tylko po dziesięć lat i zarówno mama, jak i tata, zanim poszedł na wojnę, bardzo starali się nas przed tą świadomością ustrzec. Ale oczywiście nie ustrzegli, bo coś takiego się zwykle rodzicom nie udaje.

Wtedy, właśnie w roku szkolnym 1938/39, w ostatnim roku szkolnym przed wybuchem wojny, powoli zaczynałem rozumieć, że my, Szapirowie nie jesteśmy normalną rodziną.

Przede wszystkim dlatego, że nasze życie nie miało rytmu. Życie wszystkich innych, przynajmniej w rodzinach naszych kolegów z CISzO, cechował rytm bardzo konkretny. Ojcowie wychodzili do takiej lub innej pracy, wracali wieczorem, w szabas albo w niedzielę siedzieli w domu, a z naszym ojcem nic nigdy nie było wiadomo, będzie w domu czy nie będzie, a jeśli będzie, to w jakim humorze, czy na przykład, podekscytowany, nie zechce namawiać wszystkich na urządzenie sobie pikniku lub rejsu po Wiśle, nieważne, że to środa, Jakuba Szapiry nie obowiązują dni tygodnia; zdarzało się też, że w piękną majową sobotę, kiedy normalni Żydzi wyjeżdżają z Warszawy na majówkę, budziliśmy się rano, a ojciec siedział w szlafroku przy oknie szary na twarzy i zapytany o wyjazd, odwracał pusty wzrok do szyby.

Albo zwyczajnie go nie było, ponieważ akurat miał lepsze, ważniejsze rzeczy do roboty.

Kupował nam w prezencie przedmioty, których nie potrzebowaliśmy, choćby blaszane nakręcane samochodziki albo lukrecję, której nienawidziliśmy. Kiedyś przyprowadził do domu kucyka; wcale nie chcieliśmy kucyka, ani Daniel, ani ja, bo wiedzieliśmy, że oberwałoby nam się za niego w szkole, a ojciec jednak nam kucyka przyprowadził i dopiero gdy mama zmyła mu głowę, to zniknął z nim za rogiem.

Tego, czego potrzebowaliśmy naprawdę, dać nam nie potrafił.

Tego wszystkiego mama nam nie powiedziała, ale przeczuwaliśmy to jakoś.

Następnego dnia poszliśmy z mamą budować barykady na Mokotowie. Tramwaje już nie jeździły, sklepy były pozamykane i kiedy wracaliśmy z tego budowania barykad, bo nas stamtąd przepędzono, że niby to nie jest

miejsce dla kobiet i dzieci, ulicą kłusował spłoszony koń w uprzęży, ciągnąc za sobą dyszel urwany od jakiegoś wozu. Pierwszy raz się bałem.

Tydzień po wybuchu wojny niemieccy żołnierze dotarli na przedpola Warszawy. Następnego dnia, w sobotę, walki trwały już na ulicach Ochoty i Woli. Bombardowali cały czas. Nie wychodziliśmy już z domu. Wymykałem się na dach, widziałem mnóstwo niemieckich bombowców, różnych typów, naszych myśliwców już nie było, ale widziałem bombowce zestrzeliwane przez polską artylerię przeciwlotniczą.

Trzynastego września pułk ojca wkraczał do Warszawy i przygotowywał pozycje obronne na Grochowie, o czym najpierw nie wiedzieliśmy, ale telefony jeszcze działały i zadzwoniła kuzynka Tatiana, aby właściwym jej, suchym tonem poinformować, że Dzieci Warszawy, a więc i nasz ojciec, są na Grochowie. Tego samego dnia Niemcy zbombardowali naszą żydowską dzielnicę, w której od dwóch lat nie mieszkaliśmy, ale która ciągle była nasza. Tym razem Tatiana nie zadzwoniła.

Mama niepokoiła się w milczeniu przez jakiś czas, po czym w końcu, niecierpliwa, zostawiła nas w domu z zakazem wyściubiania nosa za drzwi, sama wsiadła na rower i pojechała do dzielnicy żydowskiej, by na własne oczy zobaczyć, co się stało.

Wróciła po godzinie, blada, z potarganymi włosami, powiedziała, że to wszystko jest nie do zniesienia, po czym wzięła mnie i Daniela za ręce, kazała zabrać nasze ulubione książki, płyty i gramofon, szachy, karty i chińczyka i iść za nią. Resztę września spędziliśmy w piwnicy. W końcu powiedziała nam, że kuzynka Tatiana nie żyje, zginęła w bombardowaniu i do Palestyny wyjechać nie zdążyła.

Mama była mądra i przewidująca. Służbę puściła do domów. Mieliśmy zapasy jedzenia, a trzynastego napuściliśmy wody do każdego zbiornika, do jakiego się tylko dało, mama zaś zakasała rękawy, wzięła narzędzia i z naszą pomocą zreperowała pompę elektryczną, której naprawę ojciec miał zlecić od roku, ale nie zlecił, bo służyła do pompowania wody ze studni, której używaliśmy głównie do podlewania ogrodu, bo woda do celów domowych była z wodociągu.

Woda z wodociągu się skończyła, potem skończył się również prąd, ale wtedy mama wychodziła i czerpała wodę ze studni ręcznie. My z piwnicy wychodzić nie mogliśmy.

Nie było nam tam źle. Mieliśmy siebie, gry, muzykę, mieliśmy co jeść, paliliśmy świece, mieliśmy mamę i jej uwagę tylko dla siebie. Dzięki mamie prawie się nie baliśmy, kiedy słyszeliśmy bombardowania i artyleryjski ostrzał. Mama mówiła, że na nasz dom żadna bomba ani żaden granat nie spadną. I miała rację, nie spadły, a my wierzyliśmy jej tak, jakby rzeczywiście mogła to wiedzieć.

Potem było gorzej, dużo gorzej.

Kiedy my siedzieliśmy w piwnicy, ojciec walczył na Grochowie.

Głównym punktem obrony odcinka, obsadzonego przez drugi batalion dwudziestego pierwszego pułku piechoty, była masywna, pięciopiętrowa, modernistyczna kamienica na rogu alei Waszyngtona i ulicy Żymirskiego, opatrzona numerem 104 i należąca do Chai Froimowicz, Hersza Uszera oraz Borucha i Chai Frydmanów, których nikt oczywiście nie zapytał, co myślą o ustawieniu w oknach ich budynku ciężkich karabinów maszynowych, jak zapatrują się na wciąganie na trzecie piętro czterystukilogramowej armatki przeciwpancernej ani jaka jest ich opinia o tym, że ich niedawno wzniesiona własność stanie się niechybnie celem zmasowanego ostrzału, skoro też sama będzie ziała ogniem jak bastion jakiejś twierdzy. Nazwano ją nawet Redutą Skrzyżowanie, co brzmiało bardzo bojowo i napełniało żołnierskie serca nadzieją na zwycięstwo, jeśli akurat żołnierz nie był oprzyrządowany intelektualnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że o żadnym zwycięstwie nie może być mowy.

Nikt również nie pytał o zdanie lokatorów mieszkań, którzy czasem reagowali entuzjastycznie, unoszeni narodowym sentymentem, i ochoczo pomagali żołnierzom przygotowywać stanowiska ogniowe, a czasem okazywali przerażenie, bo gdzie mają się podziać, kiedy Niemcy zaczną strzelać w ich okna? Sosabowski szybko zarządził ewakuację lokatorów. Obsadzono też oczywiście okoliczne budynki, żołnierze kopali okopy, budowali schrony w piwnicach, rozstawiali kozły hiszpańskie i zasieki.

Po drodze do Warszawy odnalazł się też chwilowo zagubiony we frontowym zamieszaniu kapitan Miecznicki, kwatermistrz pułku, przyprowadził na dodatek wtedy dwóch niemieckich jeńców, rosłych Prusaków, których ten niski i korpulentny Żyd wziął do niewoli wyłącznie pod groźbą własnego, prywatnego pistolecika, czym zyskał podziw całego pułku, teraz zaś uwijał się jak w ukropie, organizując dostawy amunicji

z fabryki „Pocisk", jedzenie dla żołnierzy i cywilów, martwiąc się jednocześnie o swoją rodzinę i kochankę na drugim brzegu Wisły.

Karabin pod dowództwem mojego ojca rozlokował się na ostatnim, piątym piętrze, na ciągnącym się wzdłuż modernistycznie wyoblonego narożnika kamienicy balkonie. Stanowisko pozostali przy życiu żołnierze jednostki zabezpieczyli workami z piaskiem, cekaem ustawili na dosuniętych do okna meblach, sekretarzyku i komódce, których fornirowane blaty nóżki podstawy kaemu zniszczyły już przy samym ustawianiu, ponadto przygotowali amunicję, a oficer wyznaczył pola ostrzału; celowniczym ojciec postanowił zostać sam, jako że uznał, iż żaden ze znajdujących się pod jego komendą żołnierzy sobie z tym zadaniem nie poradzi. Powinienem to w nim podziwiać, to była odważna decyzja, celowniczy kaemu był jedną z najbardziej niebezpiecznych funkcji, jakie żołnierz mógł pełnić, a mój ojciec nie wahał się ani chwili, powinienem więc podziwiać tę fizyczną odwagę, bo kiedy zostałem sam, to fizyczna odwaga była właśnie jedyną cechą, jaką w ludziach ceniłem, więc powinienem to podziwiać i w moim ojcu, ale nie podziwiam.

Szesnastego września obserwatorzy, w tym mój ojciec, korzystając ze ściągniętej z zabitego oficera lornetki, zauważyli dwa niemieckie czołgi z białymi flagami i kryjący się za nimi samochód terenowy. Jechały Grochowską od strony placu Szembeka i zatrzymały się jakieś dwieście metrów przed pozycjami drugiego batalionu.

– Parlamentariusze – stwierdził oczywistość mój ojciec, czym jeszcze wzmocnił swój autorytet starego wiarusa u pozostałych mu młodych żołnierzy.

Ojciec widział, jak z Niemcami rozmawiają dowódcy drugiego batalionu, i klął pod nosem, wiedząc, że Niemcy żądają bezwarunkowej kapitulacji, Sosabowski zaś w imieniu Rómmla im tej kapitulacji odmówi, co wcale ojca nie cieszyło.

Owszem, nie miał nic przeciwko zabijaniu Niemców, którzy robili z niego Żyda. Strzelanie do antysemitów zawsze sprawiało mojemu ojcu przyjemność. Nie wdawał się przy tym w subtelne rozważania, czy aby każdy Niemiec w mundurze feldgrau jest antysemitą, czy nie jest. Nie dlatego, że był na to zbyt głupi, ojciec mój często zachowywał się jak idiota, ale akurat naturę ludzką rozpoznawał całkiem dobrze, na tyle dobrze, by

być zdolnym do subtelności i braku uprzedzeń. Po prostu nie chciało mu się takich rozróżnień czynić.

Nie bał się również walki. Miał ciągle w głowie żywe wspomnienia poprzedniej wojny. Ale tamtą wygrali, a 16 września 1939 roku ojciec wiedział, że tej wojny wygrać nie mogą, można więc było dać sobie już spokój. Od trzech dni patrzył, jak na lewobrzeżną Warszawę, gdzie, jak słusznie sądził, znajdowała się mama, Daniel, ja i cały drogi mu świat, lecą strumienie bomb i artyleryjskich pocisków, spoglądał na wiszące nad nią łuny i na unoszące się dymy.

Chciał, wolałby, żeby to się po prostu już skończyło. Patrząc przez lornetkę na szare niemieckie czołgi z białymi flagami, obiecywał sam sobie, że kiedy to się skończy, wróci do nas i zrobi wszystko, żeby nas z Warszawy wydostać. Że teraz już się nie zawaha. Pojedziemy do Ameryki. Tak sobie w duchu obiecywał, ale 16 września wojna się jeszcze nie skończyła, a ojciec swoich obietnic jak zwykle nie dotrzymał i dlatego wszystko skończyło się tak, jak się skończyło.

Niemieckim parlamentariuszom Sosabowski kazał przekazać, że odpowiedź dowodzącego obroną Warszawy generała Rómmla brzmi odmownie. Mogą rozmawiać na każdy temat, ale nie na temat bezwarunkowej kapitulacji. Rómmel miał na myśli zapewne jakieś rozmowy o ulżeniu doli cywilów w bombardowanym mieście, ale bezwarunkowa kapitulacja była jedynym, co Niemców interesowało, wzruszyli więc ramionami i odjechali, by powrócić trzy godziny później, o siedemnastej.

Powrót zaanonsowała nawała artyleryjska, która spadła na Redutę Skrzyżowanie. Były ofiary w ludziach, ale ulokowanych w masywnej kamienicy dwunastu ciężkich karabinów maszynowych kompanii broni wsparcia drugiego batalionu dwudziestego pierwszego pułku piechoty niemiecka artyleria nie zniszczyła. Oficerowie zaczęli wykrzykiwać komendy, ojciec otrząsnął się z pyłu, zgodnie z rozkazem ustawił celownik na sto metrów i zastygł za kaemem z lewą ręką na bębnie wysokości, a prawą na chwycie ze spustem.

Niemcy powrócili w wielkiej sile, wypełnili przedpole między Grochowską a aleją Waszyngtona, szli spokojnie i pewnie, zbyt gęstą tyralierą, jakby spodziewali się, że artyleryjska nawała unicestwiła

obrońców; słychać było nawet gwizdki oficerów, niby podczas poprzedniej wojny, sprzed dwudziestu paru lat, jakby szli do ofensywy pod Sommą albo Verdun.

Gdy podeszli na sto metrów, oficerowie Dzieci Warszawy krzyknęli „Ognia!" i cała polska linia ogniem się rozpaliła. Strzelały jednocześnie cekaemy, erkaemy i karabiny, działko przeciwpancerne i moździerze. Odezwała się też ulokowana w parku Paderewskiego artyleria pułkowa.

Ojciec nigdy o tym nie opowiedział ani nam, ani mamie. Gdy go potem pytaliśmy, po kapitulacji, to mówił tylko, że się bili z Niemcami, ale przegrali i tylko to się liczy. Przegrana. Sam jednak często to wspominał.

Wspominał tamtych Niemców, których zabili w krótkiej potyczce pod Chrostowem, tamta walka była jak boks w dawnych czasach: bieg, skok, szybkość, ciosy, uniki, zamiast pięści kule. Tutaj strzelał do nich jak na strzelnicy, ukryty, karabin z wyznaczoną linią ognia ciasno obudowany workami z piaskiem, bo sektor ostrzału miał wyznaczony tak precyzyjnie, że nie potrzebował szerokich trawersów, krawędź hełmu ojca najwyżej trzy centymetry ponad szczerbinką, oni zaś na otwartym polu. Niezbyt długie serie, krótkie trawersy i kładli się, jeden po drugim, jeden po drugim.

Tyraliera oczywiście się rozsypała. „Dekuuuung!", krzyczeli niemieccy oficerowie. Żołnierze zaczęli wskakiwać do głębokich oszalowanych rowów ciągnących się wzdłuż ulicy Grenadierów – przed wybuchem wojny zaczęto tu prace kanalizacyjne i wykopy zostały. Jednak nie stanowiły dla niemieckich żołnierzy żadnej ochrony, bo linie ognia kaemów kompanii mojego ojca biegły prawie równolegle do nich i siekły ich kule bez litości. Na przyciśniętych do ziemi wypadli strzelcy pułku, poszły w ruch granaty i bagnety, Niemcy się wycofali, pozostawiając ponad ośmiuset zabitych.

Myślał o tym, o tych ośmiuset Niemcach, z których sam zastrzelił z kaemu przynajmniej kilkunastu, myślał też o ich pierwszorzędnych mundurach podziurawionych jego kulami 1 grudnia 1939 roku.

Był to szczególny dzień.

Był już wtedy w domu.

Po tym pamiętnym ataku 16 września nawojował się tatko jeszcze dwa tygodnie, były to ciężkie walki, dwudziesty pierwszy pułk piechoty stracił łącznie ponad tysiąc zabitych i rannych żołnierzy, ale mój ojciec wyszedł

z wojny niedraśnięty. Dwudziestego siódmego września nastąpiło zawieszenie broni. Tego samego dnia podszedł do ojca kapitan Miecznicki, z którym wojna obeszła się równie łaskawie. Wiadomo już było, że to koniec.

– Panie Szapiro – zagadnął Miecznicki, celowo nie zwracając się do ojca per „plutonowy", żeby podkreślić poniekąd cywilny charakter tego zapytania. – Sprawę mam do pana pewną. Broń trzeba zakopać.

– Wszyscy zakopują – wzruszył ramionami ojciec, bo też była to prawda. Oficjalne rozkazy Sosabowskiego były takie, żeby dwie trzecie broni zabezpieczyć i ukryć, jedną trzecią tylko oddać po uszkodzeniu jej i uczynieniu niezdatną do użycia. Broń, której ukryć się nie da, należy zniszczyć.

– Pan się mylisz, nie wszyscy – odparł Miecznicki.

– No dobrze, panie kapitanie, wszyscy w mundurach.

– Nie o to mi idzie, panie Szapiro. Idzie mi o to, że broń zakopują Polacy. A Żydzi nic a nic.

– Pan, asymilant doskonały, nagle się Żydem poczułeś?

– A pan myślisz, że dla nich to jakaś różnica? I mówię to panu jako Polak żydowskiego pochodzenia. Ja nawet po żydowsku pięciu słów nie umiem powiedzieć. Więc teraz może żadna. Ale wiesz pan: wszystko się zmieni, jak Niemcy przyjdą.

Ojciec zastanowił się chwilę.

– No ale do czego niby wtedy ta broń miałaby się przydać, jak już Niemcy przyjdą? Chcesz pan milion karabinów, sto czołgów i sto myśliwców zakopać? Bo tyle to polskie wojsko miało i więcej może, a i to na Niemców nie starczyło.

– Ale ja nie myślę o pokonaniu Niemców, panie Szapiro. Myślę o przeżyciu. A do tego broń się może przydać. Najwyżej się nie przyda, ale przecież nie skorzystać można zawsze. Rzecz w tym, żebyśmy wiedzieli o tym tylko my dwaj, panie Szapiro. Możemy to również połączyć z opuszczeniem szeregów wojska polskiego, a nawet powinniśmy. Co pan na to?

Pan Szapiro zgodził się już bez wahania. Wzięli więc w nocy wóz taborowy i dwa konie. Miecznicki następnie przeszedł się do pułkowego

zbrojmistrza, chorążego Jeleńskiego i jako jego bezpośredni dowódca zażądał wydania broni według wcześniej przygotowanego spisu. Chorąży Jeleński zasalutował i broń wydał, rusznikarze, dwóch sierżantów, na jego polecenie na wóz załadowali dziesięć polskich erkaemów, jeden zdobyczny niemiecki lekki karabin maszynowy wraz z dwójnogiem, dziesięć karabinków, znaleziony w czasie walk przy niemieckim podoficerze pistolet maszynowy nowego, nieznanego typu, kilka visów, wszystko to upakowane w dobrych, drewnianych skrzyniach.

Zapakowali, ale spoglądali nieufnie, bo szczególnie po klęsce nie bardzo ufało się Żydom. Chorąży Jeleński pobiegł więc poinformować o wszystkim dowódcę. Sosabowski miał inne sprawy na głowie, ale zgodził się oddelegować do sprawy swojego adiutanta, kapitana Szarotę.

Kiedy ten przybiegł z pistoletem w dłoni, kapitan Miecznicki wraz z plutonowym Szapirą siedzieli już na koźle wozu gotowi do wyjazdu. Szarota zagrodził im drogę i wrzasnął:

– Co to, spisek bolszewicki? Żydzi broń kradną?

Ojciec spiął się nagle, wsadził rękę do kieszeni, gdzie przez całą kampanię nosił mały pistolet, jednak Miecznicki położył mu rękę na ramieniu.

– Zostaw pan – szepnął i zeskoczył z kozła, podszedł do Szaroty i powiedział mu coś bardzo po adwokacku, tak jak tylko adwokaci potrafią, sięgając zarówno do delikatnie zasugerowanego szantażu opartego na wiedzy, jaką Miecznicki posiadł na temat pewnych machinacji z pułkową kasą, których kapitan Szarota się dopuścił, a o których przecież lepiej, żeby Sosabowski się nie dowiedział, jak i do uczuć patriotycznych kapitana Szaroty, do których bez wątpienia przemówić musiał fakt, że i polscy patrioci wyznania mojżeszowego, dobrzy Polacy, chcą z niemieckim najeźdźcą walczyć.

Połączeniu szantażu z patriotyzmem Szarota nie mógł się opierać, zwłaszcza że Miecznicki zrobił to po adwokacku właśnie, pozwalając kapitanowi wyjść z twarzą. Szarota schował pistolet do kabury, Miecznicki wrócił na kozioł, ruszyli i mostem Poniatowskiego, nie niepokojeni już, zawieźli broń na Gęsią, pod numer 91, gdzie potem, po Wielkiej Akcji mieścił się szop garbarni Weiglego.

Tam działał jeszcze przedwojenny autorytet ojca, w 1939 roku w garbarni stróżował stary Żyd, Pinkus Iberklajd, maleńki człowieczek z wielką brodą i w starym chałacie, przyjechali więc, ojciec przyjął od Iberklajda przysięgę milczenia, którą poparł dotrzymaną potem obietnicą tysiąca złotych. Iberklajd przysięgi dotrzymał, bo nie dożył nawet zamknięcia getta, zabity na ulicy przez trzech polskich wyrostków w czasie pogromu marcowego w roku 1940. I tak zmarnował się ojcowski tysiąc, bo polskie wyrostki, zabiwszy Iberklajda na ulicy, ograbiły go z wszystkich pieniędzy, a nosił przy sobie właśnie wszystkie, jakie posiadał, będąc bowiem stróżem, nigdy nie posiadał ich wiele. Tysiąc się zmarnował, ale od momentu śmierci Iberklajda o skrzyni zakopanej na podwórzu garbarni na Gęsiej wiedziało tylko dwóch ludzi: Miecznicki i mój tatko. Własnoręcznie dół wykopali, własnoręcznie opuścili skrzynię, własnoręcznie zakopali, ubili ziemię, po czym porzuciwszy wóz, a konie puściwszy wolno, rozeszli się do swoich spraw, wymieniwszy się też wcześniej numerami telefonów.

Jak bardzo przydałaby się ta broń 19 kwietnia 43…

Wtedy jednak o niej jeszcze nie wiedziałem.

W trzy i pół roku, dzielące wrzesień 1939 od kwietnia 1943, z dziecka stałem się nie tylko dorosłym, ale starym dorosłym, starcem w młodym ciele.

Widziałem już wszystko. Przeżyłem już wszystko. To, co wtedy przeżyłem i widziałem, dziś jest stale ze mną, wyraźne jak wtedy, a nawet wyraźniejsze, bo widzę i czuję teraz przejrzyściej.

W dniach poprzedzających powstanie nie miałem z ojcem kontaktu, już od dawna zresztą, nie wiedziałem nawet, czy żyje, czy jest w getcie, czy wyszedł na aryjską stronę. Wystarczała mi wiedza, że nie żyją mama i Daniel, i przez ich śmierć los ojca nie interesował mnie już wcale. Na całym świecie była już tylko dwójka ważnych dla mnie ludzi, Lejb Passenstein i Hela Warm. Wszyscy inni mogli nie żyć, byle żyli Hela i Lejb.

Pracowałem wtedy z Lejbem w Małym Többensie, razem pracowaliśmy, szyjąc mundury dla Niemców, razem jedliśmy, razem mieszkaliśmy, połączeni najczystszą miłością, ja zaś udawałem starszego niż moje czternaście lat.

Do Partii nie należałem, ale Lejb miał znajomego, który znał samego Anielewicza, i gdybym tylko wiedział o skrzyni pełnej tego dobra, to przecież przekazałbym tę wiadomość od razu! To, co zakopali na Gęsiej tatko z Miecznickim, byłoby dla Partii warte swojej wagi w złocie. Erkaemy, niemiecki kaem, pistolet maszynowy, karabiny. Oczywiście, nie o to chodzi, że wynik powstania mógł być inny, ale może Mordechaj by przeżył, bo niektórzy przecież przeżyli. Chociaż mówili potem, że on nie chciał przeżyć, chciał tylko zginąć godnie, zabrać ze sobą więcej Niemców. Więc gdybym wiedział o skrzyni, zakopanej przez ojca i Miecznickiego, to pewnie zabrałby ich ze sobą o wiele więcej. Bo owszem, zaraz przed wybuchem powstania mieli dużo pistoletów i rewolwerów, podobno każdy członek Partii miał broń krótką i jakieś granaty. Ale oprócz tego tylko dziesięć karabinów i jeden karabin maszynowy. Gdyby do tego dorzucili te dziesięć polskich erkaemów, dziesięć karabinów, niemiecki kaem, pistolet maszynowy, to mogliby sformować dobrych dwanaście drużyn strzeleckich, każda z kaemem, jednym bądź dwoma karabinami, reszta z pistoletami, co dawałoby ekwiwalent niezgorzej uzbrojonej kompanii strzeleckiej – to jednak byłaby wielka różnica.

Różnica oczywiście polegająca tylko na tym, że walczyliby nieco dłużej i zabili więcej Niemców, Ukraińców i Łotyszy, bo to było ich jedyne zwycięstwo: walczyć.

Ale wtedy o tym nie wiedziałem. Sprawiłem sobie broń dopiero, jak wróciłem do getta, już sam, i odnalazłem Lejba Passensteina i Helę Warm, dwójkę bardzo ważnych dla mnie ludzi, o których pomyślę i opowiem potem.

Więc broń sprawiłem sobie dopiero po drugiej akcji wysiedleńczej i po styczniowej akcji Partii, kiedy 18 stycznia 1943 roku Anielewicz z towarzyszami zastrzelił paru Niemców na rogu Niskiej i Zamenhofa. W drugiej akcji wysiedleńczej, nie mając już mamy i Daniela, straciłem jeszcze Helę i Lejba, których zabrano z Többensa, mimo że teoretycznie mieli dobre papiery.

Dobre czy złe, ale ich zabrano, sprawiłem więc sobie starego nagana i dwanaście nabojów. Nie kupiłem go za pieniądze, mimo że miałem ich dość, dostałem go od pewnego starego Żyda. Nie chciał sprzedać rewolweru za żadne pieniądze i nie sprzedał. Oddał mi go za darmo, kiedy

powiedziałem mu, że on i tak nic nie widzi, bo okulary miał stłuczone, do tego ręce mu się trzęsą, a ja widzę świetnie i dłoń mam pewną, więc zdołam z tego rewolweru może jakiegoś Niemca zastrzelić.

Starzec powiedział mi wtedy, że on bardziej niż o zabijaniu Niemców myśli o szybkiej śmierci dla samego siebie, kiedy już przyjdzie czas. Odparłem mu, że to wielki egoizm, własną śmierć przedkładać nad zabijanie Niemców, on zaś mi na to, że teraz, dwa lata po zamknięciu getta to tutaj są już wyłącznie egoiści. Pomyślałem o mamie i Danielu, pomyślałem o Lejbie i Heli, o których teraz nie chcę myśleć ani opowiadać, pomyślałem o ojcu i zgodziłem się z tym starym Żydem. Teraz w getcie byli już sami egoiści. Zaoferowałem mu za rewolwer fiolkę z cyjankali i pięć tysięcy, powiedział na to, że proszę bardzo, oto rewolwer, powiedział też, że trucizną sam się zabije równie dobrze, a pieniądze mam sobie zatrzymać, bo do grobu ich nie weźmie. Niech mi służy, niech zabija złych ludzi.

Obiecałem, że będzie, i owszem, jednego z tego nagana postrzeliłem podczas powstania, ale nie Niemca, lecz ukraińskiego askarysa, na Lesznie, na chwilę przed tym, jak uciekłem z getta szczątkowego na zewnątrz.

Kryłem się potem w gruzach dawnego dużego getta, wyłączonych po Wielkiej Akcji, w bunkrze, dotarłem do niego na podstawie wskazówek, które przed powstaniem, kiedy pracowałem u Többensa, dostałem od Heli i wykułem na pamięć. Mieliśmy w tym bunkrze we trójkę wykupione trzy miejsca, razem mieliśmy tam przejść, kiedy – co do tego już po Wielkiej Akcji nie było wątpliwości – Niemcy przyjdą wymordować tę resztkę nas, która w Warszawie została. Tam planowaliśmy się schować, doczekać, aż wejdą Sowieci, jednak Hela i Lejb nie poszli ze mną, bo zabrano ich wcześniej w to samo miejsce, w które jeszcze wcześniej zabrano Daniela i moją mamę.

Poszedłem tam nocą i z użyciem elektrycznej latarki, kierując się szczegółowymi wskazówkami, których Hela kazała nam, Lejbowi i mnie, nauczyć się na pamięć, znalazłem świetnie ukryty i dobrze zaopatrzony bunkier, który Niemcy przeoczyli, a w tym bunkrze, dobrym dla pięciu Żydów, był tylko sam Miecznicki.

Miecznickiego zaś znałem. Albo może raczej poznałem. Był u ojca kilka razy w listopadzie 1939 roku. O czym szeptali, wtedy nie wiedziałem. Dziś

wiem, że Miecznicki omawiał z ojcem projekt ucieczki z Polski za pomocą fałszywych paszportów amerykańskich, a miałby mu je załatwić dawny znajomy, sypiający przed wojną z pracownicą amerykańskiego konsulatu, która nie opuściła Warszawy razem z całym korpusem dyplomatycznym i kolonią cudzoziemską we wrześniu 1939 roku, w tej długiej kolumnie pięknych samochodów z chorągiewkami, co to ją i ojciec, i Miecznicki na własne oczy zresztą widzieli. Pracownica konsulatu miała podobno dostęp do oryginalnych blankietów paszportowych, a czy dałoby się z tymi paszportami do ojczyzny wolności jako amerykańscy obywatele wjechać, nie wiadomo, ale na pewno wystarczyłyby one, żeby wyjechać z okupowanej Polski.

Ojciec jednak się wahał i wahał się tak długo, że okno tej szansy zostało w dramatyczny sposób zamknięte, o co potem obwiniał się również, aczkolwiek w tym wypadku niesłusznie. Nie mogli tego wiedzieć, ani ojciec, ani Miecznicki, ale pracownica konsulatu pracownicą była tylko rzekomo, w rzeczywistości była zwykłą kurwą z Powiśla, może nie z zawodu, ale z charakteru zdecydowanie tak, więc ta zwykła kurwa z Powiśla pusty blankiet paszportowy sztuk jeden rzeczywiście miała. Znalazła go jeszcze we wrześniu, leżał po prostu na ulicy pod mocno ostrzelanym przez niemiecką artylerię amerykańskim konsulatem i potem razem z rzeczonym znajomym Miecznickiego ukuła taki sprytny plan, że zamiast ów blankiet sprzedać raz, lepiej będzie najpierw używać go jako przynęty i okazawszy na dowód szczerych intencji, obiecywać Żydom amerykańskie paszporty w liczbie dowolnej i łupić rzeczonych Żydów z grubych milionów, których jako i tak idący na zatracenie do niczego nie potrzebują, więc nawet grzechu w tym łupieniu nie ma, co kurwie na spowiedzi po dłuższym, co prawda, zastanowieniu potwierdził pewien od dawna już w Boga niewierzący, za to Żydów szczerze nie lubiący ksiądz, któremu takiego rodzaju żarty w konfesjonale rozjaśniały żmudne i mroczne dni.

Tutaj więc ojcowskie wahanie wyszło na dobre. Potem widywałem jeszcze Miecznickiego parę razy w getcie, widziałem, jak kurczył się i malał. Że mu kochankę białoruską zabiła niemiecka bomba, jeszcze we wrześniu, wtedy nie wiedziałem, on się jednak o tym dowiedział, kiedy po kapitulacji zaszedł do jej mieszkania. Sam nie wiedział, co o tym

wszystkim myśleć, bo obnażone w naruszonym bombardowaniem mieszkaniu dowody rzeczowe jasno zaświadczały, że zabita we własnym łóżku odłamkiem Białorusinka oprócz Miecznickiego miała jeszcze czterech innych gachów, co jednak wcale nie zmniejszyło jego żalu po stracie ukochanej.

Potem, po zamknięciu getta, Miecznicki, jak wielu innych adwokatów, wstąpił do Jüdischer Ordnungsdienst i służył tak, jak potrafił, aby ciągle móc spojrzeć sobie w oczy w lustrze. Powtarzał, że robi to dla żony i córek, i udało mu się je zachować prawie do samego końca, ale kiedy w pierwszym dniu akcji Szeryński zaprzągł policję do przyprowadzania Żydów na Umschlagplatz i Miecznicki zobaczył, jak dawny podinspektor polskiej policji siedzi sobie na rykszy i nudzi się, nudzi się, kiwa nogą w bucie, przyglądając się, jak Żydów wyprowadza się na zatracenie, to wtedy Miecznicki poczuł, że nie może dalej nosić czapki, opaski i numerka i jak stał, tak tym wszystkim rzucił. Trochę jeszcze przetrwał, ale potem zastępujący Szeryńskiego Lejkin na polecenie Niemców nakazał każdemu policjantowi doprowadzić codziennie pięć osób na Umschlagplatz. Pewien Miecznickiego znajomy policjant z tego samego III okręgu, poszukujący rozpaczliwie swoich pięciu Żydów, ujrzał pana mecenasa pilnie gdzieś spieszącego ulicą Smoczą i wtedy przypomniał sobie o tym, że Miecznicki rzucił czapkę, więc pozostawiona zapewne bez opieki rodzina Miecznickiego świetnie się na cztery z tych pięciu osób nada. Tak stracił mecenas Miecznicki żonę i trzy piękne córeczki, bo kiedy sam biegał jak oszalały za numerkami do szopu, które miałyby ocalić życie jemu, jego żonie i córkom, ów znajomy policjant wpadł do jego mieszkania i kłamiąc, że działa w imieniu Miecznickiego, zabrał tak doskonale zasymilowane panią i panny Miecznickie, wyprowadził je z mieszkania, cały czas uspokajając, że wypełnia polecenia ich ojca i męża, i w końcu z przepraszającą miną przywiódł na Umschlagplatz, gdzie, zanim Miecznicki zdążył interweniować, wsadził je do pociągu do Treblinek. Zrobił to z przykrością, ale był zadowolony, że pożyje jeszcze jeden dzień dłużej.

Przyjął tę stratę Miecznicki jak Hiob. Hiob nie wierzący w Boga ani w ludzi, ale Hiob wierzący w najogólniejszą przyzwoitość w świecie,

w którym nie ma Boga i przyzwoitości też nie ma, a jednak łatwiej wierzyć w nią niż we Wszechmogącego.

Nie złorzeczył ani znajomemu policjantowi, ani Adonaj, ani żadnemu bóstwu ni człowiekowi, nie złorzeczył nawet, obojętny, Szeryńskiemu, Lejkinowi ani Niemcom, postanowił żyć dalej i takim go znalazłem, obojętnym, jednak pełnym woli życia, znalazłem go w tym bunkrze, w którym miało się schronić pięć osób, schroniła się jednak tylko jedna, dzięki czemu mieliśmy zapasów dość, by we dwóch przeżyć w głodzie kilka miesięcy.

Miecznicki, schodząc do bunkra, poślizgnął się na prowadzącej w głąb piwnicy drabinie, spadł i złamał nogę. Potem śmiał się nawet z tego, mówił, że przetrwał cieleśnie niedraśnięty kampanię wrześniową, getto, Wielką Akcję, likwidację, wszystko, a złamał nogę na drabinie i że Boga oczywiście nie ma, ale jeśliby miał być, to musiałby mieć charakter małego, złośliwego kobolda.

Zajmowałem się panem mecenasem, jak mogłem, nogę usztywniłem, karmiłem go, pomagałem w sikaniu i sraniu, jednak w nogę wdała się gangrena, zaczęło to śmierdzieć potwornie, zatruwać całe ciało, Miecznicki pytał mnie, czy byłbym mu w stanie nogę amputować, tak bardzo chciał żyć. Nie wiedziałem, po co mu takie życie, cóż w tym życiu jest tak wspaniałego, żeby tak chcieć żyć, nawet bez nogi, w bunkrze, jak ziemne płazy, i zapytałem go o to.

– Wojna się kiedyś skończy, syneczku, i Niemcy tę wojnę przegrają, i wtedy dobrze będzie wyjść na górę i znowu być człowiekiem – powiedział mi.

– Nawet bez nogi?

– Nawet bez nogi. Ja jestem, synku, adwokatem. Noga mi starczy jedna, ważna jest głowa. Zamiast nogi można mieć protezę, zamiast głowy nie. Zamiast głowy drewnianą protezę to może mieć jakiś tam sędzia chrześcijanin, nie żydowski adwokat. A świat zawsze będzie potrzebował prawników z dobrą, niedrewnianą głową. Więc tylko dożyć końca wojny, wrócić do pracy, odpaść się, jak się brzuch zaokrągli, to obszyć u krawca porządnego, protezę też się zrobi, wróci normalne życie, normalne jedzenie, człowiek znowu w nocy do kobiety się przytuli, pocałuje, za tyłek ściśnie, więc utnij mi, synku, tę zgniłą nogę, bo ja chcę żyć.

– A jak pan umrze przy tej amputacji? Przecież ze mnie żaden doktor.

– Jak mi jej nie utniesz, to umrę na pewno. W cierpieniach i w smrodzie, a ja smród nie bardzo lubię. A jak utniesz, to pocierpię, ale może będę żył, więc na coś się to cierpienie nada.

Wahałem się nadal i zgodziłem się dopiero, kiedy zagroził, że zrobi to sam, chociaż wiedziałem przecież, że to niemożliwe, i on też wiedział. Ale wiedziałem też, że jeśli tego dla niego nie zrobię, to gotów jest spróbować i wtedy umrze na pewno.

Wtedy właśnie powiedział, że gdyby miał umrzeć, to muszę o czymś wiedzieć, i opowiedział mi o skrzyni, którą razem z moim ojcem zakopał na podwórzu garbarni przy ulicy Gęsiej numer 91. Odparłem, że jeszcze ją wykopiemy razem, zrobię mu piękną kulę i protezę. Śmiał się, że będzie jeszcze tańczył na moim weselu, co bardzo mnie zabolało, bo nie mając już na świecie ani Lejba, ani Heli, nie wyobrażałem sobie, że mógłbym kiedykolwiek mieć jakiekolwiek wesele. Miecznicki nie zważał na to, że dotknięty milczałem, powiedział, żebym brał się do roboty.

Przygotowałem więc narzędzia. Miałem nóż, dość ostry i przerdzewiałą piłę, Miecznicki pokazał mi, w którym miejscu uda zawiązać opaskę, wypił butelkę wódki, którą chował na specjalną okazję, i chociaż miał wcześniej inną specjalną okazję na myśli, na przykład sowieckie tanki na ulicach Warszawy, to jednak wypił, przełykając szybko, po czym kazał się związać i ciąć. Ustaliliśmy, że najlepiej będzie, jeśli przypnę mu ręce do ciała i potem całe ciało liną, którą zapobiegliwi budowniczowie bunkra na wszelki wypadek umieścili w składziku, przywiążę do pryczy, żeby zminimalizować możliwość ruchu, przy czym złamaną nogę oparłem w udzie na zrolowanym kocu, tak by mieć do niej dostęp z każdej strony.

Następnie w usta włożyłem Miecznickiemu drewniany kołek, zagryzł mocno, potem jeszcze zawiązałem ten kołek dookoła głowy, żeby nie mógł wypluć. Rozpaliłem trzy lampy naftowe, żeby dawały jak najwięcej światła. Piłę miałem już wyczyszczoną i opaloną, nóż wyostrzony na płaskim kawałku piaskowca, jak umiałem najlepiej, sprawdziłem, golił włosy na przedramieniu. Przygotowałem wygotowaną nić, igłę zagiąłem mniej więcej tak, jak pamiętałem, że wyglądają chirurgiczne igły. W piecyku rozpaliłem porządny ogień, była noc, więc nie musiałem obawiać się dymu, i w ogniu rozgrzałem metalową sztabkę, którą zamierzałem kauteryzować

ranę. Nie miałem jasnej koncepcji, czy będę ściągał na powstały kikut skórę i zaszywał, czy zostawię skauteryzowany, i nie miałem ani kogo się poradzić, ani książki żadnej, z której mógłbym się nauczyć, jak w półmroku amputować komuś nogę, musiałem więc improwizować.

Zapytałem jeszcze raz, czy mam ciąć. Skinął głową. Z oczu leciały mu łzy.

Noga bardzo już śmierdziała. Zabrałem się więc do roboty. Na udo założyłem opaskę uciskową z grubego sznura, skręciłem go, używając patyka, po czym drugim kawałkiem sznura przytwierdziłem utrzymujący napięcie opaski patyk. Wcześniej obaj z Miecznickim stwierdziliśmy, że trzeba ciąć tam, gdzie ciało jest jeszcze zdrowe, nad kolanem, bo kolano też było już pociemniałe. Pociągnąłem nożem po skórze, ustąpiła od razu, rozwarła się, jakby tylko na to ostrze czekała. Miecznicki szarpnął się, aż zatrzeszczała metalowa prycza, a ja zamarłem, myśląc z przerażeniem o tym, co go jeszcze czeka.

Ciąłem więc dalej. Szarpał się i wył przez knebel, ale więzy były dobre, ciasne. Po przecięciu pierwszego mięśnia, nad kolanem, który, gdy ciąłem, nagle się skurczył, cofnął w głąb uda, Miecznicki naprężył się cały i nagle zwiotczał, stracił przytomność. Ciąłem więc dalej, krwawienie było niezbyt mocne, opaska trzymała ściśle, nie wiedziałem tylko, co będzie, kiedy w końcu ją zwolnię, bo kiedyś będę musiał. W świetle lampy wypatrywałem tętnic, które chciałem skauteryzować, ale całe wnętrze nogi jawiło mi się jako jedna, krwawa masa.

Sięgnąłem po piłę i zaraz potem zauważyłem, że Miecznicki nie oddycha. Sprawdziłem puls, pulsu nie było. Umarł i tyle było mojego chirurgicznego wysiłku.

Z szacunku dla trupa zaszyłem rozciętą skórę i wyprzedzając rigor mortis, założyłem Miecznickiemu czyste spodnie, by po śmierci zachował godność, której nie stracił za życia, po czym zacząłem rozmyślać, co mam zrobić z ciałem, które zacznie się rozkładać bardzo szybko, również ze względu na gangrenę. Wyciągnąć go z bunkra nie dam rady. Zrozumiałem, że przez jakiś czas po prostu będę mieszkał z trupem. Bunkier jest zbyt dobrze ukryty, zapasów zbyt dużo, bym mógł go opuścić tylko dlatego, że leży w nim trup. W końcu byłem z trupami nieźle oswojony.

Wcześniej, co prawda, powiedział mi o skrzyni z bronią, ja wybrałem się do niej jednak dopiero po polskim powstaniu, pod koniec października

1944, i ku mojemu zdziwieniu, mimo że z getta pozostały tylko gruzy, udało mi się skrzynię odkopać. Zajęło mi to trzy noce, bo pracowałem tylko nocami oczywiście i bardzo cicho, chociaż w tym, co zostało po getcie, Niemcy już raczej nie bywali, bo nie mieli po co. Jednak na każdy dźwięk chowałem się za resztkami muru.

Mimo to nie zależało mi na życiu.

Ubolewałem, że nie zginąłem w powstaniu, obojętnie którym, kiedy więc znalazłem broń, to postanowiłem od razu, że będę zabijał Niemców, Ukraińców, polskich szmalcowników, każdego, kto skrzywdził kiedykolwiek Żyda.

Mógłby ją zapewne odkopać mój ojciec, jednak mojego ojca nie interesowały już wtedy ani broń, ani życie, ani zemsta, ani zabijanie, ani ja. Nie wiedział, że przeżyłem, a ja, kiedy wróciłem do getta, wcale nie miałem ochoty, żeby wiedział. Od kiedy mama go zostawiła, żyliśmy już osobne życia, chociaż wiele nasze losy się nie różniły.

O Niemcach, do których strzelał z karabinu maszynowego i którzy 16 września w szarym pokocie leżeli na przedpolu Reduty Skrzyżowanie między Grenadierów a Waszyngtona, pomyślał pamiętnego dnia dwa i pół miesiąca później, 1 grudnia 1939 roku.

Był to szczególny dzień.

Byłem wtedy jeszcze dzieckiem, miałem dziesięć lat. Pięć lat później, kiedy odkopałem skrzynię, byłem już stary. Doświadczony, zgorzkniały, cyniczny i stary.

Pierwszego grudnia 1939 roku mama wróciła do domu, jeszcze do willi na Puławskiej, i to wróciła bardzo późno. Weszła do hallu, starannie odwiesiła palto, zdjęła pantofle i zamieniła na domowe, po czym udała się do salonu, gdzie siedzieliśmy w trójkę, ojciec i my. Ojciec czytał *Dos buch fun Gan Ejdn* Icyka Mangera, my graliśmy w szachy. Daniel miał przewagę i bardzo starał się mi pomóc, tak żebym to ja wygrał bez poczucia, że wygrać mi pozwolił. Mama bez słowa położyła na stole dwie opaski z białego płótna z pięknie na nich wyhaftowanymi niebieskimi gwiazdami Dawida.

– Co to jest? – zapytał jak zwykle głupio ojciec.

– Chłopcy jeszcze nie muszą nosić – odpowiedziała. – Dopiero od dwunastego roku życia. To mają jeszcze dwa lata.

– O czym ty mówisz...? – pytał dalej ojciec.

Mama tylko na niego spojrzała, przeciągle, ciężko, z wściekłością, i wszystko w tym spojrzeniu było, ale nie powiedziała więcej ani słowa, po prostu zostawiła opaski na stole i poszła na górę do swojej sypialni. Wszyscy słyszeliśmy, jak zamyka za sobą drzwi na klucz.

RYFKA

Czy pozwoliłabym mu żyć, temu małemu szkopowi, gdyby nie skłamał, że nigdy nie zabił żadnego Żyda? Gdyby powiedział mi prawdę, gdyby powiedział o tej kobiecie w chabrowej sukience, której przestrzelił serce?

A gdyby nie był niemieckim żołnierzem, tylko jednym ze stojących nad rowem Ukraińców z pałkami w rękach, którzy potem zsunęli się w jego czeluść, aby wyrywać złote zęby z żydowskich dziąseł?

Nie jest łatwo wyrwać trupowi złoty ząb. Ale da się. W lewą rękę bierze się mały łom albo coś innego, co posłużyć może jako dźwignia. Nadaje się dobrze na przykład łyżka do samochodowych opon. W prawej – jeśli jest się praworęcznym – trzyma się szczypce. Łom albo inną dźwignię wsuwa się między zęby trupa, opiera o podniebienie i silnie naciska w dół, żeby rozewrzeć szczęki. Jeśli trup akurat ma rigor mortis, to trzeba naciskać bardzo mocno. Czasem żuchwa wyskoczy z zawiasów, ale to nie kłopot dla trupa. Jeśli złote zęby są z przodu, to trzeba potem dźwignię przesunąć na bok, do kącika ust, przytrzymać, szczypcami wyrwać, co jest do wyrwania, oddać Niemcom. Jeśli są jakieś złote plomby, to szczypce chowa się do kieszeni i wyciąga szpikulec, nie za duży, taki, żeby można było nim precyzyjnie operować, i szpikulcem wydłubuje się plombę.

I oddaje Niemcom. Technika, jaką ci zagonieni do roboty Ukraińcy stosowali do wydłubywania zębów w stepowym dole, nie różniła się wiele od tej, jaką Sonderkommando stosowało w Treblinkach. Cel również był ten sam – oddać Niemcom, do przetopienia.

A zatem gdyby był jednym z tych Ukraińców, na przykład Mironem Maslanczukiem, który wyrywał Żydom złote zęby, kiedy Jorg Konopka, mój nowy przyjaciel, wracał już na koźle swego wozu do swojej kompanii, czy gdyby los do spalonej Warszawy zagonił nie Konopkę, górnika ze wsi pod Gliwicami, tylko Maslanczuka, rolnika ze wsi pod Kirowohradem, i gdyby Miron nie skłamał, to czy zabiłabym go, jak zabiłabym Konopkę? Jaka jest między nimi różnica?

Spotkali się nad tym wykopanym na stepie rowie, ale wcale się nie zauważyli.

Dla Mirona Maslanczuka Jorg Konopka był po prostu Niemcem, anonimowym człowiekiem w szarozielonym mundurze, który zrządzeniem tej przedziwnej loterii, jaką jest świat, zajmował aktualnie miejsce dystrybutora, nie zaś ofiary przemocy. Są to role przeciwstawne, czasem zamiennie, czasem nie, jednak stałe w całej historii rodzaju ludzkiego, jeśli sobie roboczo założymy takowego istnienie.

Dla Jorga Maslanczuk był po prostu anonimowym Ruskim, Jorg Konopka nie odróżniał nawet Ukraińców od Rosjan, Ruscy dzielili się dla niego na tych w jasnozielonych mundurach, którzy do niego strzelali, i na tych bez mundurów, którzy nie strzelali, żadne inne kategorie nie były mu potrzebne.

Maslanczuk był rówieśnikiem mojego Jakuba, urodził się w 1900 roku w prawosławnej, chłopskiej rodzinie w guberni chersońskiej jako poddany tego samego cara, co i mój Jakub, i ja, urodził się we wsi pod miastem, które nazywało się wtedy Jelizawietgrad, potem, kiedy Maslanczuk miał dwadzieścia cztery lata, zostało Zinowjewskiem, potem Kirowem i w końcu Kirowohradem, jednak zanim się ta seria zmian rozpoczęła, to Maslanczuk zdążył nauczyć się przemocy, akurat na swoje osiemnaste urodziny.

Oczywiście wcześniej nie żył w świecie przemocy pozbawionym, ojciec lał Mirona i całe jego rodzeństwo poza najmłodszą córeczką, w której miał upodobanie, ojca lał po pysku carski żandarm, żandarma jego przełożony i tak dalej, Miron zaś, kiedy dostał w skórę od ojca, to brał kij i lał przypiętego przy budzie psa, bo tylko psa mu lać było wolno, psu zaś pozostawało szarpać się na łańcuchu tak, że stalowa obręcz na jego szyi raniła go aż do zasychającej na brudnych kłakach krwi, szczekać dziko

i próbować ugryźć każde żywe stworzenie, jakie miało pecha znaleźć się w zasięgu jego zębów.

Maslanczuk bił psa nie dlatego, że był zły: wręcz przeciwnie, był dzieckiem wrażliwym i rzewnym, ojciec jego Mykoła również nie był zły bardziej niż każdy inny wokół, kochał wszystkie swoje liczne dzieci, a że je lał, to lał, wszyscy lali wszystkich, dookoła zaś był step i wyrosłe na ciężkim czarnoziemie pola pszenicy po horyzont.

Na swoje osiemnaste urodziny Miron wstąpił do wojsk atamana Matwija Hryhorjewa i trochę się z nim nawojował. Strzelał, maszerował, kopał okopy, znowu strzelał, znowu maszerował, spał na wartach, rekwirował, co mu rekwirować kazali, cnotę z całkiem chętną dziewczyną stracił, a potem wziął ją sobie porucznik, a Miron znowu maszerował. Gdy w maju 1919 roku hryhorjewcy urządzili w Jelizawietgradzie pogrom w starym stylu i wymordowali dużo Żydów, Maslanczuk uznał, że ma przemocy dość i nie chce na to patrzeć ani brać w tym udziału, więc zdezerterował, jeśli można dezercją nazwać porzucenie służby w wojsku składającym się prawie wyłącznie z dezerterów. Zdezerterował więc czy nie, ale uciekł z wojsk Hryhorjewa do swojej rodzinnej wsi i wziął ze sobą karabin, który potem z ojcem przerobili na obrzyn za pomocą piły i pilnika do metalu.

Podczas głodu, który przyszedł na przełomie 1919 i 1920 roku, rozchorowała się i umarła mu mała siostrzyczka, ale reszta rodziny przetrwała, miała bowiem dwie krowy żywicielki.

Potem wojny domowe, zagraniczne interwencje, powstania chłopskie i inne niepokoje się skończyły, nastały piękne lata Nowej Ekonomicznej Polityki i na ukraińskiej wsi żyło się dobrze, bardzo dobrze, nawet lepiej niż za cara. Bolszewicy po konfiskatach z roku 1919 dali im spokój, w szkole były lekcje po ukraińsku, do cerkwi chodziło się prawie normalnie, kolędnicy zrobili gwiazdę z Matką Boską z jednej strony oraz z sierpem i młotem z drugiej i odwracali ją stroną właściwą do poglądów gospodarza, którego odwiedzali. Miron Maslanczuk znalazł sobie w latach NEP-u dobrą dziewczynę, której w cerkwi nałożył na głowę koronę, wcale jej nie bił, za to zrobił jej szybko trójkę pięknych, tłustych i rumianych dzieci. Rodzeństwo rozjechało się do miast, do Charkowa, Kijowa i Chersonia, do Odessy nawet, a Miron został na ojcowskiej gospodarce i żyło się im pięknie przez tych parę dobrych lat, nie brakowało im ani słoniny, ani sołomachy, ani

chleba, ani mleka, ani mięsa, a potem przyszła kolektywizacja i wszystko się skończyło.

Do Mirona przyszli ludzie z Komniezamu, czyli Komitetu Niezamożnych Chłopów, i oświadczyli, że jako kułak ma się wynosić ze swojego domu, a dom Maslanczuków był najpiękniejszy we wsi. Miron ich wyśmiał i silny już, mużyk w kwiecie wieku, barczysty i potężny, wyrzucił ich na zbity pysk, grożąc obriezem, który od dziesięciu lat leżał w domu pod ręką. Nie wyciągnąłby broni, gdyby nie był słusznie przekonany, że cała wieś stanie za nim murem, Maslanczukowie byli bowiem bardzo popularni i lubiani; ludzie z Komniezamu wiedzieli to również, wycofali się więc, nie uzyskawszy niczego.

Potem jednak przyszli dwudziestopięciotysięcznicy.

Mówili po rosyjsku. Niektórzy, wcale nie większość, mieli wygląd raczej żydowski. Żydki i kacapy, tak o nich we wsi szeptano. Bolszewicy. Żydowscy bolszewicy. Pod wodzą dwudziestopięciotysięczników biedniacy ze wsi, zrzeszeni w lokalnym Komniezamie, rozgrabili majątek Maslanczuków oraz za poprzednie upokorzenie wybili Mironowi Maslanczukowi dwa przednie zęby. Grabież była dokładna, chociaż zostawili im jeszcze dom. Broń zdążył wcześniej zakopać na polu, więc chociaż jej szukali, to nie znaleźli. Zabrali cały inwentarz, dwie krowy żywicielki zabrali, konia, nawet kury, pługi i brony też zabrali i na koniec, wybiwszy Mironowi przednie zęby, ściągnęli mu jeszcze wysokie buty z cholewami, w których miał upodobanie od czasów wojny domowej, bo i u nich było podobnie jak u nas w getcie swojego czasu, bez wysokich butów człowiek to nie był żaden mensz. Przez te buty koniec końców wszyscy się jakoś milcząco zgodzili, że Maslanczuk to kułak, mimo że nigdy nie miał parobków, na gospodarce pracował sam z ojcem, ziemi nie miał też za dużo, a te dwie krowy i koń kwalifikowały go najwyżej na średniaka. No ale kto inny, jak nie kułak, chodziłby po wsi w butach z cholewami?

Maslanczuk nie był głupi, dużo w życiu widział, więc kiedy założono kołchoz, pobiegł się zaraz zapisać, ale w kołchozie to nie było życie. Tak mówił swojej żonie, że tu w kołchozie to życie jest gorsze od śmierci, mówił tak, bo nie wiedział, co ma jeszcze nadejść i co naprawdę gorsze jest od

śmierci. Nie wiedział, ale w końcu się dowiedział, kiedy tylko to, co miało nadejść, w końcu nadeszło.

Nadszedł zaś głód, trzy lata później. Najpierw przyszli ludzie z długimi stalowymi spisami i dźgali nimi w sianie w stodołach, i grzebali w piecach i w kominach w poszukiwaniu jedzenia, które należy natychmiast oddać sowieckiej ojczyźnie, przyjechali na wozach długą kolumną i zabrali całe jedzenie, potem przyszli znowu i zabrali to jedzenie, które chłopom ze wsi Maslanczuka udało się schować, a potem przyszli jeszcze raz, do domu Maslanczuka, znanego jako bywszyj kułak, przyszli też, jeden z nich rzucił siedmioletnią córeczkę Maslanczuka na podłogę, przygniótł jej główkę butem i powiedział, że jak Maslanczuk nie powie, gdzie ma jedzenie, to on tej dziewczynce będzie skakał po głowie, aż jej ta płowa główka pęknie jak jajko. Więc Maslanczuk oddał ostatni worek grubej, gryczanej mąki, zamurowanej w piecu i nie miał już do jedzenia nic.

Córeczki Maslanczuka spuchły i umarły pierwsze, chociaż próbowali wszystkiego, by je ocalić, on i jego żona, zbierali i mełli żołędzie i próbowali z tego robić chleb, dawali dziewczynkom gotowaną trawę i pokrzywy. Jedliby i psy, ale psów już nie było, czerwone brygady pozabijały wszystkie psy we wsi. Dziewczynki mu więc umarły pierwsze.

Po dziewczynkach umarli Maslanczukowi starzy rodzice. Potem Miron z żoną uciekli do dawnego Jelizawietgradu, który teraz nazywał się Kirowem, ale tam też nie było nic do jedzenia, chociaż żebrali pod torgsinami, więc w końcu spuchła również żona Mirona i umarła, i tak została, leżała na ulicy, a on nie miał siły jej pochować, więc zostawił na ulicy ciało swojej żony i resztką sił wrócił do wsi, i tam o dziwo przeżył, przeżył tylko dlatego, że karmić zaczęła go nauczycielka z lokalnej szkoły.

Nauczycielka była Żydówką i na dodatek była partyjna. Jako że nie była chłopką, to nie obejmowały jej przymusowe dostawy jedzenia, do niej więc straszni ludzie ze spisami nie zachodzili, miała też rodzinę w Moskwie, która wysyłała jej jedzenie, i rodzinę we Lwowie, która wysyłała jej dolary, czasem dwa, czasem pięć, raz nawet dziesięć dolarów, za które mogła kupić jedzenie w kirowskim torgsinie. Postanowiła ocalić Mirona, bo nie mogła ocalić wszystkich, a jego znała i lubiła, i miała za dobrego, zacnego człowieka.

Dzięki niej Miron Maslanczuk przeżył więc Hołodomor. Potem się z nią ożenił, bo nie miał nic lepszego do roboty. Przenieśli się ze wsi do Kirowa. Mieszkali razem, dzieci nie mieli, bo nigdy ze sobą nie spali, nie kochali się, ale szanowali, Miron był dla swojej drugiej żony dobry, ale nie mówił z nią wiele, głównie siedział przy oknie, popijał trochę, palił, jeśli było co. Nie pracował, bo miał zakaz pracy, nauczycielka utrzymywała go ze swojej skromniutkiej pensji i tak żyli, bardzo chudzi, bo jedzenia nie było dużo, ale biologicznie żywi, chociaż Miron w środku był już martwy, tak samo jak martwe były jego córki, rodzice i żona.

Potem na Ukrainę wjechał Jorg Konopka na koźle swojego wozu i wraz z nim setki tysięcy innych Niemców, poza tym też Węgrzy, Rumuni i Włosi, i Miron Maslanczuk po raz pierwszy od 1920 roku zobaczył komunistów uciekających w popłochu, i bardzo mu się ten widok spodobał, bo komuniści zabrali mu dobre, uczciwe życie, które miał i o którym nie przestawał myśleć przez ostatnie osiem lat życia, nie będącego już życiem.

Kiedy więc Niemcy wkraczali do Kirowohradu, Maslanczuk wyszedł na ulicę wraz z innymi i cieszył się jak inni, cieszył się po raz pierwszy od lat i po raz pierwszy od lat coś czuł. Widział pakujących się w panice na ciężarówkę partyjnych, ciężarówka odjechała w pośpiechu, a z jej paki rozsypywały się białe kartki dokumentów. Dokumenty wyfrunęły też z okien komitetu, kiedy do opuszczonego przez kadry budynku wdarli się spragnieni zemsty, przynajmniej na nim, mieszkańcy Kirowohradu.

We wsi pod Kirowohradem chłopi sami z własnej woli zniszczyli kołchoz i odebrali z powrotem własną ziemię, Miron jednak na wieś nie wrócił, nie chciał widzieć ani swojego dawnego domu, w którym porzucił trupy swoich rodziców, ani pola, gdzie zakopał spuchnięte trupki córek, nie potrafiłby już zanurzyć pługa w czarnej ziemi, którą stały się ich ciała, nie potrafiłby tej ziemi bronować ani siać na niej, ani żąć tego, co z niej wzrosło.

O innych już myślał żniwach.

Kiedy Niemcy powiedzieli, że Żydzi to komuniści, tylko jeszcze gorsi, Miron Maslanczuk uznał, że mają rację: pamiętał, że w czasie kolektywizacji wśród dwudziestopięciotysięczników Żydzi byli, owszem, były ich inne, niesłowiańskie twarze. Nie potrafił już sobie przypomnieć, czy sam ich widział, czy tylko utrwaliło mu się w pamięci, że Żydzi

i kacapy, kacapy i Żydzi, ale nie zastanawiał się nad tym wiele. Jego żona była Żydówką i komunistką, pewnego dnia więc po prostu wstał od stołu i wyszedł z jej mieszkania, nie zabierając ze sobą niczego, bo niczego nie miał, nawet wysokich butów, zabrał jednak samego siebie, swoją dobroć i szacunek, których dłużej nie chciał już jej dawać, bo uznał, że spoczywa na niej, jako na Żydówce i komunistce, zbiorowa odpowiedzialność: za tych dwudziestopięciotysięczników, którzy zabrali mu ojcowskie pole, wysokie buty i dobre życie, i za ludzi z długimi, stalowymi spisami, którym oddał ostatni worek gryczanej mąki i przez których jego dwie śliczne córeczki najpierw wychudły do samych kości, spuchły, a potem umarły na jego ojcowskich kolanach, a on patrzył, jak umierały i nic nie mógł z tym zrobić, one prosiły tatusia, by dał im jeść, a on nie miał niczego do jedzenia, więc umarły. I za ciało jego pierwszej, prawdziwej żony, które kiedyś kochał, pieścił i całował nocami, a potem martwe pozostawił na ulicach Kirowa, a przechodnie mijali je z obojętnością podobną do tej, z jaką ja sama mijałam ludzkie ciała na Pawiej albo Dzielnej.

Kiedy więc zaczęli zabierać kirowohradzkich Żydów z mieszkań i Niemcy potrzebowali pomocników, Miron zgłosił się na ochotnika.

Do mieszkania swojej drugiej żony nie poszedł, ale jej adres podał i do jej mieszkania poszedł ktoś inny. Kupił sobie znowu wysokie buty z cholewami z chromowej skóry. Niemcy byli zadowoleni z jego pracy, więc dowódca Einsatzgruppen zabrał go ze sobą do dalszej znojnej pracy i tak spotkali się obaj, mój mały górnik, żołnierz i późniejszy dezerter Jorg Konopka, który teraz śpi, wtedy, w grudniu 1944 spał obok posłania mojego i Jakuba, i rolnik Miron Maslanczuk, spotkali się na chwilę nad wykopanym w stepie rowem, Jorg wkrótce odmaszerował, a Miron zajął się wyrywaniem złotych zębów z żydowskich, ludzkich dziąseł i wydłubywaniem plomb specjalnie w tym celu i własnoręcznie przygotowanym szpikulcem, w rowie, gdzie spoczęli ludzie, których tak naprawdę ze mną nie łączyło nic, bo nigdy żadnego z nich nie spotkałam, żadnego nie pocałowałam ani nie uderzyłam, żadnego z tych ludzi nie dotknęłam nigdy, nie kochałam ani nie nienawidziłam, jedyna nić między nimi a mną to nić, której nie ma, to nić, w którą tylko umówiliśmy się wierzyć – w to nasze żydostwo, tak rozmyte i wątpliwe jak moje. Wtedy tak nie myślałam, wtedy Żyd wydawał mi się czymś istotowo innym niż Polak,

a Polak czymś istotowo innym niż Niemiec, chociaż nie potrafiłabym wtedy przecież wyrazić tego takimi słowami, nie użyłabym nigdy przysłówka „istotowo". Ale tak właśnie nieświadomie albo podświadomie myślałam, tak organizowałam sobie w głowie mój wewnętrzny obraz rzeczywistości. Żyd, Polak, Niemiec, Ruski, każdy co innego i tylko ja jakoś poza tymi kategoriami, tylko ja osobna, nieprzynależna.

Przecież nawet wyglądaliśmy inaczej. Polaka od Niemca z Brandenburgii nie sposób odróżnić, ale już ci wysocy, bladzi, rudzi i blond z północnego zachodu, znad brzegów Morza Północnego, podobni do Holendrów i do Duńczyków, na pierwszy rzut oka wyróżniali się na warszawskiej ulicy, nawet jeśli szli akurat po cywilnemu, nie w szarym mundurze. Można się było oczywiście pomylić, nie były to żelazne prawidła, czasem nawet zwykły Żydek z dzielnicy północnej wyglądał jak polskie panisko, wysoki, smukły, jasnowłosy, czasem polskie panisko miało długą, germańską czaszkę i kanciastą szczękę i przed wojną, i w czasie wojny powszechnie panowało takie przekonanie, że to wszystko jest naprawdę i nie tylko naprawdę, ale że stanowi to w dużej mierze zasadę organizującą rzeczywistość.

Krew i rasa, jakby język i kultura płynęły we krwi. No właśnie: we krwi – dlaczego akurat krew, a nie tkanka łączna, plwocina albo kości? Są więc geny, przekazywane kolejnym pokoleniom za pomocą chuja i macicy, geny, które zdecydowały na przykład o tym, że ani ja, ani Jakub nie mieliśmy dobrego, aryjskiego wyglądu. Są też język, kultura, religia ze wszystkimi tymi umownymi sprawami, które z Żyda czynią Żyda, a z Polaka Polaka.

Między tymi genami a umownymi systemami niekiedy zachodzi przez pewien czas jakaś, wcale nie nazbyt ścisła korelacja, która wtedy, kiedy działo się to, co najważniejsze w życiu moim i Jakuba, wydawała nam się tak rzeczywista i obiektywna, jak kamienie albo drzewa.

Nawet słowa, którymi ją nazywaliśmy: Żyd, Polak, Niemiec – wydawały się określać coś rzeczywistego. Żyd, kamień, woda, Polak. A przecież nie ma Polaków ani Żydów poza tą współdzieloną przez ludzi zgodą, by kogoś za Polaka albo Żyda uważać, poza tą ulotną, słabą statystycznie korelacją genów i zmiennej, nietrwałej wcale kultury. Polacy naszych czasów wierzyli, że mają cokolwiek wspólnego z Polakami z czasów, powiedzmy, pierwszych Piastów. Co mógł robotnik z warszawskiej fabryki mieć

wspólnego z piastowskim kmieciem poza, być może, genami? Języka by nie zrozumiał, świat wyobraża sobie inaczej, wszystko widzi, ocenia i rozumie inaczej. Warszawskiemu robotnikowi bliżej do robotnika z Manchesteru albo Leningradu niż do piastowskiego kmiecia, o wiele bliżej, a jednak woli sam siebie ten robotnik wyobrażać sobie jako Polaka i wierzyć w tę fałszywą, łączącą go z przeszłymi pokoleniami Polaków nić.

Polacy i Żydzi istnieją nie bardziej niż Czerwony Kapturek albo Bóg, którego oczywiście wcale nie ma.

Tylko ja jestem i istnieję, w szarości.

A czy istnieją też inni, na przykład Miron Maslanczuk, czy istnieje?

Istniał kiedyś, w ten ułomny, niepełny, efemeryczny sposób, w jaki i ja kiedyś istniałam, a teraz? Dlaczego tylko ja miałabym istnieć, a inni, na przykład Miron Maslanczuk – nie, to niedorzeczne. Oczywiście, nie mogę być nigdy pewna ich istnienia, bo tylko własnego istnienia doświadczam bezpośrednio, cudzego mogę się tylko domyślać, ale to, że istnieli też inni ludzie, to hipoteza odrobinę tylko odważniejsza niż ta, że ja, ja sama, Ryfka Kij, urodzona w 1908 roku w mieście Łodzi, w ogóle istnieję. Bo przecież również ja sama mogę być tylko czyimś snem, strasznym snem, a nawet snem wielu śniących razem ludzi.

Jeśli więc inni istnieli, tak samo jak ja efemerycznie istniałam, to może istnieją dalej, w tej szarej, czystej myślącej się myśli, w tym wteraz-nigdy-zawsze, w którym spoczywam i się myślę, i swoje życie myślę bardziej, niż myślałam je za życia?

Może tak samo istnieje teraz Miron Maslanczuk, spoczywa gdzieś w tej idealnej samotności, tak jak ja spoczywam, i widzi tamtą mnie, a nie widzi mnie teraz, tak samo jak ja widzę tamtego Maslanczuka, a nie widzę go teraz. Nie widzę, bo nie mam oczu, tak jak nie mam uszu, dłoni, języka ani nosa, nie mam nic poza myślą, więc nie tylko nie widzę, ale nie czuję ani nie doświadczam w żaden inny sposób, samotność doskonała.

Może tak samo gdzieś nigdzie jest, trwa Miron Maslanczuk, który za życia z rowu, przy którym spotkał Jorga Konopkę, trafił do obozu szkoleniowego w Trawnikach, a z Trawników w czarnym płaszczu askarysa koleją przyjechał do Warszawy robić to, co robić mu w Warszawie przyszło.

Widziałam go z okna, chociaż nie patrzyłam na niego, widziałam go z okna mieszkania przy Solcu, z mieszkania polskiej kurwy Jakuba, która zorganizowała nam kryjówkę po tym, jak wyszliśmy na aryjską stronę. Widziałam kolumnę żołnierzyków w długich czarnych płaszczach, maszerujących w stronę płonącego getta w poczwórnej kolumnie najeżonej lufami zawieszonych na ramionach długich karabinów i jednym z nich był Miron Maslanczuk.

Gdybym wtedy wiedziała, że oto jeden z tych ukraińskich askarysów spotkał się dwa lata wcześniej z pewnym niemieckim żołnierzem ze Śląska na ukraińskim stepie przy rowie pełnym zabitych Żydów i że po upływie półtora roku spotkam tego niemieckiego dezertera w rozwalonym laboratorium, to na pewno pomyślałabym, że to znak od losu.

Wteraz, w mojej szarości nie wiem, jak mogłabym sobie wtedy taki znak wytłumaczyć, ponieważ to się nie wydarzyło, patrzyłam i widziałam tylko długi szereg czarnych płaszczy i karabinów, nie znałam historii ludzi, którzy te płaszcze nosili, patrzyłam i byłam cała nienawiścią, nie zaś widzącą znaki. To, co być mogło, ale nie było, to w mojej szarości mogę sobie wyobrazić, ale nie umiem przeżywać tego tak, jak przeżywam to, co było. Więc nie wiem. Może pomyślałabym, że Bóg jednak istnieje i oto daje mi sygnał, bym tego małego, ładnego niemieckiego żołnierzyka zabiła? Albo właśnie żebym go nie zabijała? Nie wiem.

Wtedy jednak, 5 grudnia 1944 roku, gdybym nagle dowiedziała się, że kilkanaście miesięcy wcześniej widziałam przez okno biegnącego zabijać moich braci i siostry Mirona Maslanczuka, który kilkanaście miesięcy wcześniej na ukraińskim stepie nad rowem pełnym martwych Żydów spotkał Jorga Konopkę, a jego ja z kolei znalazłam w Warszawie, to na pewno nie uznałabym tego po prostu za zbieg okoliczności. Taka myśl byłaby dla mnie nie do zniesienia. Nie zniosłabym świadomości tego, że świat jest chaosem, a więc żadnego znaczenia nie ma nasze cierpienie.

Takie rzeczy zwykle zdarzają się tylko w książkach, w romansach, opartych na niezwykłych zbiegach okoliczności, pomyślałabym wtedy, więc jeśli dzieją się w rzeczywistości, to muszą mieć jakieś znaczenie, jakiś sens.

Teraz jednak w szarości wiem lepiej niż kiedykolwiek, że chaos nie ma porządku ani sensu. Że nic z tego nie wynika.

Maslanczuk i Konopka spotkali się nad rowem pełnym zabitych Żydów jesienią 1941 roku tak, jak spotykają się obok siebie dwa ziarna piasku na plaży, po czym zostają rozdzielone prądem wodnym, aby po roku albo milionie lat spotkać się ponownie. Wtedy wierzyłam, że wszystko, co ośmiela się wydarzyć wbrew nikłemu prawdopodobieństwu, musi być chwilowym objawieniem się niewidocznego porządku, epifanią ładu zwykle niewidzialnego.

Jak moja miłość do tego złego człowieka, który leży teraz obok mnie. Ta miłość również wydawała mi się epifanią niewidzialnego ładu i jako taka dawała mi poczucie spokoju, nawet jeśli był to spokój Hioba. Hiob doświadczany przez Boga wiedział przynajmniej, że jest Bóg. Ze swojego cierpienia mógł Hiob czerpać spokój. Ja, kiedy moja miłość łamała mi serce, wiedziałam przynajmniej, że miłość jest, a to już coś.

Najpierw zabrała mi go ta wypindrzona adwokacka córeczka, a on potraktował mnie jak zużytą rzecz, odrzucił, bo chciał dzieci. Potem ta polska kurwa, bo to dla niej, a nie dla mnie został w Warszawie. Potem wojna, Niemcy szczujący na nas nienawidzących nas Polaków, nasz semicki wygląd, to, co Jakub robił w getcie, to wszystko miało zniszczyć moją miłość do Jakuba.

Moja miłość do niego dawała mi siłę, siłę wbrew wszystkiemu.

Wteraz wiem, że moja miłość do Jakuba nie była niczym innym niż to spotkanie Konopki i Maslanczuka nad rowem pełnym zabitych Żydów i moje z nimi spotkania.

Maslanczuk z szeregów pacyfikujących nasze warszawskie getto askarysów trafił do kwitnącego i pączkującego niczym fraktal długiego szeregu ukraińskich jednostek i kiedy ja spotkałam Jorga Konopkę, on walczył ze słowackimi partyzantami w okolicach Żyliny, jako podoficer dowodząc plutonem, i chociaż żył jeszcze, był już tylko skorupą człowieka, martwy bardziej, niż martwa była jego pierwsza żona, jedyna kobieta, jaką kochał, i córki, i druga żona, i rodzice, bo oni wszyscy umarli zwyczajnie, a on umarł za życia, a ja w szarości nie wiem nawet, czy bardziej był oprawcą, czy raczej ofiarą.

Tak jak mój Jakub. Źli ludzie również bywają ofiarami i czy żertwa z nich złożona mniej jest warta niż żertwa z ludzi dobrych, z ludzi niewinnych jak baranek bez skazy, składany w ofierze całopalnej? Czy oprawca, który

wcześniej był ofiarą, w mniejszym stopniu jest oprawcą, gdy dręczy i zabija innych?

Maslanczuk nie rozsmakował się w tej śmierci, do której nawykł już w czasie Hołodomoru, a która od jesieni 1941 towarzyszyła mu nieustannie, w obozach koncentracyjnych, w rozstrzelaniach, w getcie. Kiedy strzelał do szeregów nagich, niewinnych kobiet, zarówno obnażonych z ubrań, jak i niczym nie zakrytych przed strasznym wzrokiem jego karabinu, własnymi ciałami, młodymi i starymi, osłaniających chude, niedojrzałe jeszcze ciała dziewczynek, córek i wnuczek, to był obojętny tak samo, jak kiedy na stokach Tatr strzelał do rażących jego i innych askarysów ogniem maszynowej broni słowackich partyzantów albo w Warszawie do naszych chłopaków i dziewczyn z Partii, którzy strzelali do niego na Gęsiej, na placu Muranowskim, na Zamenhofa, kryjąc się przed prowadzącym jego broń spojrzeniem najlepiej, jak potrafili. Nawet go postrzelił młody chłopak, z nagana, zranił w ramię i wteraz wiem, że chłopcem tym był syn Jakuba, Dawid i to również nie jest epifania ukrytego ładu, ale chaos, spotkanie ziarnek piasku.

Miron Maslanczuk nie miał żalu o to, że do niego strzelali i trafili go, i zranili.

Nie nienawidził ani jednych, ani drugich, pierwszy odruch nienawiści do Żydów szybko w nim stopniał i zniknął, zakopał go w którymś ze stepowych rowów i nie było w nim nienawiści. Nie było na całym świecie takiej nienawiści, która mogłaby unieść śmierć i przemoc, jakie Maslanczuk szczodrze rozdawał od jesieni 1941 roku. Tylko obojętność i pustka.

Gdyby świat pozostawił go w spokoju, to Miron Maslanczuk zapewne żyłby, siejąc i orząc, jak długi szereg jego przodków, żyłby, jak żyją dobrzy ludzie. Ale nie miał okazji. Czyją więc jest to winą, że wyrywał złote zęby wcale do tego groźbą śmierci nieprzymuszony?

W rowie, nad którym spotkali się Maslanczuk i Konopka, spoczęli ludzie dobrzy, spoczęli ludzie źli i wszyscy, którzy są pomiędzy. Był wśród zamordowanych tam Żydów jeden morderca, co podczas wojny domowej zabił dwóch ludzi, i był jeden gwałciciel, była kobieta, która donosiła NKWD na swoje sąsiadki, i dziewczynka, która kopnęła w szkole słabszą

koleżankę i zabrała jej papierowy woreczek z cukierkami. Kto z nich zasłużył na śmierć?

Czy Jakub, mój Jakub, zasłużył na śmierć?

Partia była tego zdania, przyszedł taki moment po Grossaktion, że chcieli go zastrzelić, ale zanim to zrobili, znalazło się wielu innych ważniejszych do zastrzelenia i mi Jakuba nie zastrzelili.

A przecież wcale nie zasłużył na śmierć. Za to, co robił, zasłużył na coś o wiele gorszego, zasłużył na życie wieczne, na to jedyne prawdziwe piekło.

Czuję teraz Jakubowe ciało z jednej strony, a z drugiej dłoń Jorga Konopki w mojej dłoni, i pozwoliłam, pozwalam sobie w końcu zasnąć, zsuwam się w sen, jakbym zapadała się w miękką, dobrą czerń, i nagle wyrywają mnie z tej czerni krzyki, jakby ktoś wbił we mnie harpun z zadziorami i szarpnął, zahaczając o żebra, szarpnął i wyrwał ze snu, do jawy, do bycia.

Niemcy.

Na dole.

To ja, ale jakby nie ja się zrywam, zrywa się, zerwała się z posłania, plecak, kopie Jakuba, wstawaj, Niemcy, uciekamy, kopie Jorga, przeklęte śpiące chłopy, tępe woły, ale już, budzi się Jorg Konopka, ona, ja, zatyka mu usta dłonią, w zupełnych ciemnościach, cicho, cicho, Niemcy, musimy uciekać, cicho, teraz Jakub, kochany, kochany, wstawaj, wstawaj, musimy uciekać.

Słyszy ich głosy, to nie ja, ten zwierzęcy strach to nie ja. W szarości nie czuję, że to ja, kiedy jej, mój mózg nagle przyspiesza, nagle analizuje rzeczywistość dziesięć razy szybciej niż normalnie, i ona zna bardzo dobrze ten stan, zna i potrafi go używać, aby przetrwać.

Czas trzech niemieckich żołnierzy ze Sprengkommando nie zwalnia, nie są zrelaksowani, kiedy po nocy szperają w budynku Wydziału Elektrycznego, ale nie są przecież w bezpośrednim zagrożeniu śmiercią, a przynajmniej nie wiedzą, że są.

Ona wie, słyszy trzy głosy, niemieckie słowa, słyszy, jak majstrują przy wejściu do ich kryjówki, muszą świecić sobie latarkami, dlaczego są tu w nocy? Skoro przyszli w nocy, to przyszli zapewne na własną rękę, zapewne na szaber albo na rabunek, czy jakoś mogła zdradzić ich

kryjówkę? Wysadzeń się po nocy nie prowadzi. Czy przez zapach jedzenia, które niedawno przygotowała, czy jeszcze przez coś innego? Ślady na śniegu?

Ja wiem. Tak, widzieli ślady. Zapach jedzenia ich nie zdradził, ulotnił się szybko. To ślady ich zdradziły.

Jakub siedzi na posłaniu. Konopka zwija swoje graty. Najważniejsze jest jedzenie. Plecak. Ryfka patrzy, patrzę, gdzie jest plecak z jedzeniem. Jest. Na plecy. Teraz drabinka sznurowa. Czy Jakub ma buty? Ma. Konopka gotowy. Ona słyszy, jak drży tarasująca wejście stalowa szafa, jak napina się linka wielokrążka. Drabinkę rozwinąć z okna, rozwija się z trzaskiem. Przeładowuje pistolet.

– Idziemy! – szepcze.

Pierwszy Jakub. Eskortuje go, gdy podchodzi chwiejnym krokiem do okna. Niemcy ciągną za linkę. Ryfka wie, co się zaraz wydarzy. Jakub z wielkim trudem przechodzi przez okno, powoli schodzi w dół, po nim pójdzie Konopka, ona stoi z pistoletem w dłoni.

– Zieh! Zieh! – krzyczy niemiecki głos. Szafa idzie w górę. Ryfka słyszy, jak w którymś momencie odskakuje dźwignia granatu, który przygotowała w pułapce, i jak granat, wesoło postukując, spada pod nogi ciągnących za stalową linkę Niemców. Konopka jest już na drabince, schodzi.

– Grana...! – krzyczy Niemiec, ale nie kończy, bo die Granate wybucha. Huk zwielokrotniają ściany. Tymi trzema Niemcami Ryfka nie musi się już martwić. Nawet jeśli granat ich nie zabił, to na pewno nie będą w stanie teraz jej szukać.

Nie, granat ich nie zabił, żadnego z nich na miejscu. Jednemu urwał stopę, ten umarł po kwadransie, pozostałych dwóch, którzy stali nieco dalej, tylko ogłuszył, porozrywał im bębenki uszne, jednemu urwał trzy palce. To wiem wteraz ja, Ryfka w szarości, ale ona, Ryfka wtedy, Ryfka uciekająca z budynku Wydziału Elektrycznego tego nie wiedziała. Mogła się domyślać, po ich krzykach, ale nie wiedziała. Ja wiem nawet to, jak umarli ci dwaj, którzy przeżyli dłużej niż kwadrans po eksplozji, wiem albo wiedziałabym, gdybym zwróciła uwagę w ich stronę, ale nie zwracam.

Tamta Ryfka musi się martwić tymi, których może przyciągnąć eksplozja. Jest już na drabinie, schodzi na dół.

Jakub klęczy na czworakach na ziemi, po tym, jak zszedł po drabinie, jest za słaby, żeby stać. Konopka stoi obok.

Wiem, gdzie iść. Nie jestem głupia. Gdybym była głupia, to dawno byłabym martwa. Wiem, że nocne potwory w jednej kryjówce muszą myśleć o drugiej, jedna kryjówka to za mało. I ja dawno drugą kryjówkę sobie obmyśliłam.

To niedaleko stąd. Trzeba przejść przez wypalone gimnazjum męskie przy Śniadeckich, znam dokładnie drogę, wytyczyłam ją sobie, i dalej przez gruzy dojść do oficyny spalonej kamienicy przy Koszykowej, gdzie został dach, ale przede wszystkim została świetna piwnica, do niej wejście już na wszelki wypadek udało mi się zamaskować.

Nie ma więc chwili do stracenia. Trzeba biec, przez Noakowskiego, przez zagruzowane ulice, jak najbliżej ścian kamienic, żeby nie odcinać się na tle jaśniejszego nieba.

I wtedy zdaję sobie sprawę, zdałam: on nie pójdzie. Jego organizm zdobył się na wysiłek zejścia po drabinie i na tyle wystarczyło glikogenu w zanikających mięśniach człowieka, który kiedyś był mistrzem sportu. Nie da rady. Jeden dobry posiłek, który mu wczoraj zdołałam podać, nie mógł sprawić, by Jakub nagle odzyskał siły, to za mało, potrzebne byłyby przynajmniej dwa-trzy tygodnie delikatnego zwiększania kaloryczności pokarmów, żeby dojść do takiej tolerancji układu pokarmowego, by zaczął jeść normalnie, a potem ile, rok obfitego jedzenia i ruchu, najpierw spacerów, potem może jakichś delikatnych ćwiczeń, gimnastyki, by powoli wrócił do sprawności, by odbudował mięśnie tego kiedyś wielkiego, potężnego ciała, którego słodki ciężar tak dobrze pamiętam.

I następna myśl: los. Los zesłał mi tego Niemca. Gdyby nie on, gdyby nie mały Jorg, zostałabym tutaj z Jakubem na czworakach, w śniegu, nie uniosłabym go.

Oto epifania ukrytego za chaosem rzeczywistości porządku – pomyślałam wtedy.

Dziś wiem, że nie ma niczego poza chaosem, ale to nie ma znaczenia, wtedy nie miało.

Dziś wiem, że ludzie nie istnieją, istnieją tylko ludzkie myśli i cierpienie, przede wszystkim cierpienie. I zło, które ludzie tak chętnie czynią. Zło jest

najbardziej, najmocniej. Złem jest istnienie świata i mnie, tak myślę w tym wiecznym nigdy i teraz, w szarości.

A teraz, kiedy Ryfka stoi, ja stoję na śniegu w nocy, w grudniu 1944 roku, po tym jak po własnoręcznie wykonanej drabinie uciekłam z mojej nory, kryjówki nocnych potworów, teraz wierzę bardzo mocno, że to los tak chciał, nie Bóg, w Boga nie wierzyłam wtedy tak samo, jak nie wierzę dziś. Może nie tak samo, bo dziś bardziej wiem, niż nie wierzę, ale to nieważne.

Wtedy, teraz, kiedy stoję na śniegu, pod ścianą gmachu, w którym mieściła się nasza kryjówka, wierzę, że ten mały Niemiec został mi zesłany przez coś, co ukrywa się pod powierzchnią rzeczywistości i co sprawi kiedyś, że na świecie zapanuje sprawiedliwość.

Że źli zostaną ukarani. Dobrzy zostaną nagrodzeni. Że to pierwszy przebłysk tego porządku, jego drobna epifania, ale przecież objawia się on również w tym, że jest grudzień 1944 roku, od wejścia Niemców do Warszawy mija pięć lat i dwa miesiące też mijają, a ja ciągle żyję, bo zasługuję, żeby żyć. A czy ci, którzy już nie żyją, kilkaset tysięcy warszawskich Żydów, których już nie ma, czy ci nie zasługiwali, skoro nie żyją? Czy los, porządek, który, jak wierzyłam, ukryty pod powierzchnią chaosu strzeże mojego życia, ich ukarał?

Nie. Nie czułam się od nikogo lepsza. Tak, rozpaczałam nad ich śmiercią. A jednak moje istnienie, moje trwanie wydawało mi się centralnym przejawem porządku ukrytego pod powierzchnią pozornie chaotycznej rzeczywistości.

Tak mnie świat wychował, łódzka ulica, baraki na Żoliborzu, Kum, mężczyźni, pieniądze, że tak naprawdę jedyne życie, którego trwanie uważałam wtedy za godne i ważne, to było życie moje.

Moje i Jakuba, którego kochałam i kocham, jakby był częścią mnie samej.

To nie tak, że nienawidziłam innych ludzi, moich braci i moich sióstr w tym wciśniętym mi na siłę żydostwie.

Nienawidzić mogłam Niemców. Gardziłam wieloma ludźmi, gardziłam zawsze tymi, którzy zdradzali przyjaciół, gardziłam nielojalnością, gardziłam mężczyznami zbyt tchórzliwymi, aby odejść i oddalającymi się powoli, dlatego był czas, że gardziłam Jakubem wtedy, kiedy zrozumiał, że ze mną nie zbuduje tego, czego jego męski świat zdawał się wtedy od niego

wymagać, kiedy zrozumiał, że ze mną nie będzie miał domu, dzieci, gosposi, wspólnych śniadanek, że żadna ze mnie jidysze mame, i nie tylko dlatego, że moje łono jest jałowe.

Wtedy tego nie wiedziałam, ale nie miałabym dzieci, nawet jeśli mogłabym je mieć. Moja bezpłodność oszczędziła mi cierpień i niebezpieczeństw związanych z dziećmi, które usunęłabym, gdybym tylko bezpłodna nie była.

Ale może to tylko teraz, w szarości, mój los ówczesny wydaje mi się tak nieunikniony, być może inaczej potoczyłyby się losy urodzonej, by umrzeć, Ryfki, gdybym tylko inne podejmowała decyzje.

– Bierz go – mówię. – Bierz go ze mną pod ramię i idziemy.

I bierzemy Jakuba oboje, mały Niemiec i ja, pod ramiona i idziemy, najszybciej jak można, z ledwie powłóczącym nogami Jakubem między nami, zostawiamy ślady na śniegu, trudno, może do rana zawieje, a jeśli nie, to kto by po śladach poszedł, straci trop, kiedy wejdziemy w ruiny.

Idziemy tak szybko, jak się tylko da, przechodzimy między zabudowaniami Politechniki, przecinamy Noakowskiego, potem Śniadeckich, wchodzimy w budynek gimnazjum, przez gruzy dawno wytyczyłam ścieżkę, wiem, jak iść, przechodzimy na dawne podwórze, znowu śnieg, niedobrze, potem płot, dziura w płocie, oficyna kamienicy przy Koszykowej, powybijane okna, drzwi powyrywane z futryn, białe, zimowe ciemności, ale znam drogę, wchodzimy i w dół, do zamaskowanego wejścia do piwnicy.

Schodzimy, Jakuba prowadzę dalej z tym małym Niemcem, przygotowałam tam wcześniej prosty piecyk, trochę drewna na opał, dwa posłania z kocami. Nie odzywamy się ani słowem, nie ma o czym mówić. Konopka szybko się uczy.

Brakuje wody, ale tym zajmę się później. Nawet gdybym miała za jakiś czas wrócić do mojej studni w piwnicach Wydziału Elektrycznego, kiedy już przestaną przeszukiwać budynek. Acz jeśli studnię znajdą, to ją zasypią, a jeśli nie zasypią, to zatrują.

W ostateczności pójdę nocą nad Wisłę, nabiorę wody do bańki po mleku, chociażbym miała co dzień chodzić. Coś wymyślę.

W piecyku już się pali, a Jakub leży starannie okryty i w piwnicy robi się trochę cieplej, niż jest na zewnątrz, i widzę, że Jorg również umościł się już do snu, nagle bardzo jakiś oswojony, jakby był ze mną od zawsze. Idę więc zabezpieczyć wejście, zakładam znowu pułapkę z ostatnim pozostałym mi granatem.

Wiem, że muszę przygotować zapasowe, drugie wyjście z tej piwnicy, oraz znaleźć inną kryjówkę, być może lepszą, w każdym razie mieć miejsce, w którym będę mogła się schronić, ale tym zajmę się później, teraz muszę odpocząć.

Chciałabym, żeby ktoś się mną zajął, potrzebowałabym opieki, nagle zdaję sobie z tego sprawę.

Chciałabym, żeby to Jakub się mną zajął.

Ale Jakub przecież nie jest w stanie zająć się nawet samym sobą i tak jest już od dawna, jeszcze od getta, od szopu szczotkarzy. I nie zajmie się mną. Być może już nigdy się mną nie zajmie, ale moja miłość do niego jest silniejsza niż moja słabość.

Na chwilę ożywił się tylko u niej, u tej swojej polskiej kurwy, która zamknęła nas w mieszkaniu jak w klatce i doglądała jak domowych zwierzątek. Najdziwniejsze były pierwsze dni, pamiętam.

Dla Jakuba powstała jak z martwych. Żyliśmy w czasach, w których umarli okazywali się żywymi, a żywi umarłymi, więc nie powinno go to dziwić, a jednak dziwiło. Nie umiał w to uwierzyć, kiedy zamknęła za nami drzwi i przyjęła nas tak, jakby nie było wojny i jakby przyjmowała gości, nie uciekinierów, kiedy siedliśmy w jej salonie, ona poszła przygotować herbatę, a Jakub siedział ze ściągniętymi brwiami, nagle ożywiony, myślał i analizował jak kiedyś, jakby zapomniał na chwilę o adwokackiej córuni i chłopcach, których z nią spłodził.

Przy niej, przy tej polskiej kurwie, zawsze chętnie zapominał o wszystkim. I ja mu tego łatwego zapominania nigdy zapomnieć nie potrafiłam, ani wteraz, ani wtedy.

Wróciła z kuchni do salonu z imbrykiem pełnym herbaty i trzema porcelanowymi filiżankami na tacy, rozłożyła je i do każdej nalała herbaty, przytrzymując wieczko imbryka zgrabnym gestem, postawiła cukierniczkę

pełną prawdziwego, jak mi się zdawało, cukru, postawiła też koszyczek suchych ciasteczek. Jakub cały czas patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Ty żyjesz… Jak…? Bo przecież… – wyrzucił z siebie w końcu, niezbornie i niezdarnie.

– Naprawdę przez całe pięć lat myślałeś, że mój brat mnie zastrzelił? – zaśmiała się. – Że byłby do tego zdolny?

– Był zdolny do tego, żeby zabić mojego brata i jego narzeczoną – odparł ponuro Jakub.

– To jednak coś innego: zabić czyjegoś brata a zabić własną siostrę, czyż nie? – wtrąciłam się, a Anna Ziembińska puściła mi oko, jakby nie było wcale wojny i jakby próbowała sugerować, że możemy być sobie w kobiecym sojuszu przeciwko tępemu mężczyźnie, ale ja nie dałam się na takie spojrzenie nabrać, bo byłam na to zbyt cwana i zbyt mądra. Bo gdybym nie była, tobym tej herbatki w jej mieszkaniu na Powiślu nie dożyła.

– Zniknęłaś jednak. Zupełnie – cicho powiedział Jakub tonem, który w ogóle mi się nie podobał. Tonem, w którym była jakaś wyjątkowo mnie irytująca żałość i tęsknota.

Od razu zaczęłam myśleć o tym, jak w zasadzie będziemy nocować.

W jej mieszkaniu był salon połączony z niewielką jadalnią, w której właśnie siedzieliśmy, kuchnia i dwie sypialnie. Całe to decorum towarzyskiej wizyty, jakie Ziembińska roztaczała, ciągnęło za sobą jakieś konsekwencje, które nie podobały mi się jeszcze bardziej od tonu Jakuba. Czułam, jak na mnie promieniuje, jak przypominają mi się nauki madame von Regel, jak nie będzie mi wypadało w czymkolwiek odmówić gospodyni. Jak stając się gospodynią, my zaś jej gośćmi, ona stanie się w rzeczywistości naszą panią.

A ja nie zamierzam mieć pani. Całe moje życie jest historią wyzwolenia, drogą do wolności od pań i panów. Wszelkimi dostępnymi środkami. Bez względu na wszystko.

– Tak, zniknęłam. I myślałeś, że gdybym umarła zaraz po samobójstwie tej gnidy, mojego ojca, to nie byłoby o tym głośno, nie usłyszałbyś o tym na mieście? – mówiła.

– Myślałem, że twój brat wszystko zatuszował – odparł Jakub, kurcząc się w sobie, skonfrontowany nagle ze swoją naiwnością, a ja dostrzegłam w nim jakieś powidoki, dalekie cienie człowieka, jakim był kiedyś.

– Mój brat jest zbyt głupi na tuszowanie czegokolwiek. Wyjechaliśmy. Zmusiłam go. Do Paryża.

Ja dalej milczałam.

– Do Paryża...? Ale wróciliście?

– Andrzej wrócił na dwa tygodnie przed wojną. Ja pół roku temu.

– Pół roku temu? Z Paryża? Jak to? – dziwił się Jakub.

– Tak to. Z Londynu, nie z Paryża.

Wspaniale. Bohaterska polska szlachcianka, na dodatek zaraz się okaże, że skoczyła tu na spadochronie, jakaś emisariuszka tego operetkowego rządziku w Londynie, jakby mało miała nade mną przewag.

Zakasłałam, Jakub nic nie zrozumiał, ani tego, co oznacza to, że wróciła pół roku temu z Londynu, ani mojego znaczącego kasłania, Anna zrozumiała.

– Przepraszam, pani Ryfko, niepotrzebnie opowiadam o starych sprawach.

– Ależ potrzebnie, potrzebnie – odparłam tonem, od którego zrobiło mi się niedobrze.

Był to mianowicie ton mieszczańskiej pogawędki, konwersacji towarzyskiej przy aperitifie. A co pan sądzi o Tuwimie? Ach, Tuwim, mistrz, droga pani. Oczywiście, ja jednak wolę Leśmiana. Mówiłam do niej takim tonem, jakbyśmy od trzech i pół roku nie żyli półśmiercią, jakby z Umschlag nie odjeżdżały pociągi pełne żydowskiego ciała, jakbym nie robiła tego wszystkiego, co robiłam, żeby przeżyć i jego przy życiu zachować.

Jakby na wschodzie właśnie nie upadł Stalingrad, jakby mimo tego upadku niemieckie imperium nie rozciągało się od Pirenejów po Kaukaz, od koła podbiegunowego po Kretę; rozmawiałyśmy, jak gdyby nigdy nic, jakby Jakub nie został bez wszystkiego tego, co kochał najbardziej, bez synów, bez tej jego ukochanej adwokackiej żoneczki i bez miasta, któremu mógł po swojemu, ponuro królować. Mówiłam do niej tonem mieszczańskiej pogawędki tylko dlatego, że ona zdołała taki ton tej

rozmowie narzucić. Nie robiąc niczego specjalnego, nie odwołując się do przemocy, taki ton narzuciła tej rozmowie tak, jakby narzucała sobie chustę na ramiona, od niechcenia.

Po prostu poczęstowała nas herbatą. Tak jakby ten pyszny, pachnący jaśminem napar, rozlany do cienkiej porcelany, nagle unieważniał te trzysta tysięcy zabitych warszawskich Żydów albo sprawiał, że miałabym zapomnieć o tym, że w szczątkowym getcie zostało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy niewolników, pracujących na rzecz machiny wojennej Rzeszy.

Bo w filiżankach jest herbata.

– Gdzie będziemy spać? – zapytałam, żeby to nieznośne decorum zburzyć, i zaraz pożałowałam, że nie zburzyłam go jeszcze bardziej brutalnie.

Jakub patrzył tępo w swoją herbatę. Ziembińska milczała zbita z tropu, i dobrze, o to mi chodziło, żeby była zbita z tropu. Odwróciła wzrok, wstała, sięgnęła do kredensu, wyciągnęła butelkę koniaku, tak jakby koniak mógł tutaj cokolwiek załatwić, wzięła trzy kieliszki.

W pierwszym momencie chciałam odmówić. Chciałam odsunąć kieliszek, który przede mną postawiła, zaprotestować, nie przyszłam tu pić, przyszłam tu przeżyć, schować się przed niemieckim okrucieństwem i podłością twoich rodaków, głupia kurwo, przyszłam tu doczekać końca wojny z Jakubem i jeśli myślisz, że możesz mi go odebrać, to się mylisz, nie takie jak ty, szmato, próbowały.

Wyślizgnął mi się już kiedyś z rąk, bo potrzebował tego, czego ja mu nie mogłam dać, ale nigdy się ode mnie nie oddalił, zawsze był blisko, jakoś na wyciągnięcie ręki, zawsze miał sprawy, z którymi mógł przyjść tylko do mnie, ale teraz mam go już dla siebie i nikt mi go nie odbierze. Ani Hitler, ani Stalin, ani Hans Frank, ani Anna Ziembińska.

To wszystko chciałam jej wykrzyczeć, odepchnąć kieliszek albo rzucić nim o ścianę, wyciągnąć z kieszeni płaszcza pistolet, zagrozić jej tym pistoletem czy nawet ją zastrzelić, tak, najpierw kieliszkiem o ścianę, potem w twarz jej grubym słowem, goń się, kurwo, a potem wycelować w sam środek jej czoła, nacieszyć się chwilę tym momentem i nacisnąć spust, i zobaczyć, jak jej mózg rozchlapuje się na witrynce modernistycznego kredensu.

To wszystko chciałam zrobić, kiedy ona nalewała mi koniak, ale niczego nie zrobiłam, chociaż ciągle zaciskałam dłoń na rękojeści parabelki, nie zrobiłam, bo postanowiłam, że jednak wolę się napić – i było warto, bo koniak okazał się pyszny.

DAWID

Kiedy twoja mama przynosi do domu opaski z gwiazdą Dawida, które teraz muszą nosić wszyscy Żydzi powyżej dwunastego roku życia, to jednak lepiej być dzieckiem.

Lepiej być dzieckiem, bo nie rozumiesz, a skoro nie rozumiesz, to nie jesteś upodlony ani upokorzony.

Mama przyniosła więc te opaski, położyła na stole i poszła na górę, do siebie. Ja przyglądałem się opaskom. Bardzo mi się podobały, lubiłem to zestawienie bieli z błękitem i podobała mi się gwiazda Dawida.

Pomyślałem wtedy, wcale nie zmartwiony, że to jest moja gwiazda, w końcu sam jestem Dawid. Było mi przykro, że my, Daniel i ja, nie mając jeszcze dwunastu lat, nie możemy ich nosić.

Uparłem się, że też chcę mieć opaskę. Mówiłem o tym ciągle i w końcu mama, zmęczona moim uporem, powiedziała, że w zasadzie co za różnica, i następnego dnia na ulicznym straganie kupiła opaskę również dla mnie. Ojciec, widziałem, chciał zareagować, chciał się odezwać, ale w końcu ani nie zareagował, ani się nie odezwał. Nie zrobił nic. Byłem przez chwilę bardzo dumny, że mam swoją opaskę z gwiazdą Dawida, ale potem, gdy zostałem sam z Danielem, ten powiedział mi, że opaska jest znakiem hańby.

Nie rozumiałem.

– Przecież Magen Dawid to znak żydowskiej dumy – tłumaczyłem mu, zapominając na chwilę, o ile mądrzejszy jest ode mnie. – Tata kazał sobie tarczę Dawida wyhaftować na koszulce, w której walczył w ringu, jak może

to być znak hańby, przecież to są nasze, żydowskie kolory, o tym nas uczą w szkole… Dlaczego miałbym się wstydzić, że noszę na ramieniu znak żydowskiej dumy? Każdy Żyd powinien taką opaskę nosić.

Daniel był jednak, jak już powiedziałem, mądrzejszy ode mnie, był doroślejszy niż ja wtedy, choć jednocześnie, w przeciwieństwie do mnie, później nigdy nie przestał być dzieckiem.

– Z dumą możesz nosić tylko ten znak, który nakładasz na siebie sam – powiedział, zbyt mądry jak na dziesięciolatka. – Ten, który nosisz, bo musisz, zawsze będzie znakiem hańby. Piętnem. Oznacza się tylko zwierzęta, ludzie znaki na siebie nakładają dobrowolnie.

Nie chciałem się z nim zgodzić, a jednak nawet wtedy jakoś instynktownie czułem, że ma rację.

Daniel, mój bliźniaczy brat, nie wydawał mi się wówczas wcale moim rówieśnikiem. Należał w moich oczach raczej do świata dorosłych. Opaskę w końcu zdjąłem i założyłem dopiero po dwóch latach, w getcie. W tym mniej więcej czasie Hitler postanowił pobić Stalina, co na ulicach getta przyjęte zostało z mieszaniną nadziei na to, że od bolszewików Hitler w końcu dostanie łupnia, oraz rosnącej z kolejnymi miesiącami obawy, że może jednak nie dostanie i zostanie panem całego świata. Bo co w takiej sytuacji będzie z nami? My już wtedy nie mieszkaliśmy z ojcem, ja byłem już dorosły, wcześniej jednak jeszcze byliśmy dziećmi.

Nie licząc więc całej sprawy z opaską, której najpierw zazdrościłem rodzicom, a potem, po rozmowie z Danielem, już nie chciałem nosić, pierwsze dwa miesiące po klęsce obfitowały w wydarzenia całkiem przyjemne. Tata wrócił do domu i spędzał z nami całkiem sporo czasu, przynajmniej jak na niego. Trochę biegał za jakimiś sprawami, jak to on, spotykał się z podejrzanymi typami, coś kombinował z Miecznickim, który często u nas przesiadywał, ale mieliśmy go w domu o wiele więcej niż przed wojną.

To ostatni moment mojego dzieciństwa, w którym mój ojciec był obecny i nawet dotrzymał paru złożonych wcześniej obietnic. Trzysilnikowego junkersa składać ze mną nie chciał, ale pomógł mi wreszcie w budowie kartonowego modelu samolotu Lockheed Electra, przez parę tygodni siedzieliśmy nad kartonem, wyrysowywaliśmy kształty, cięliśmy i kleili, i malowali, wszystkie materiały i plany kupiliśmy jeszcze przed wojną, nie

szło nam za dobrze, ale coś powoli przypominającego samolot rosło na moim biurku. Nawet okienka wycięliśmy i wykleiliśmy je szybami wyciętymi z arkusza cieniutkiego pleksiglasu, specjalnie w tym celu zakupionego.

W październiku wrócił prąd, po wodę najpierw trzeba było chodzić do hydrantów, co też z Danielem z satysfakcją czyniliśmy, traktując te wyprawy jak przygodę, ale potem ciśnienie w sieci wodociągowej wzrosło na tyle, że była już w kranach, zaczęły jeździć tramwaje, 15 otwarto też szkoły, w tym naszą, co wcale nas nie ucieszyło, na szczęście jednak po niespełna miesiącu nasze szkoły, to jest żydowskie, zamknięto i już więcej nigdy w życiu do żadnej szkoły nie poszedłem.

Wtedy oczywiście nie zdawałem sobie sprawy z tego, że już nigdy nie siądę w ławce, nie będę wyczekiwał dzwonka, bijał się na przerwach z kolegami, słuchał o Palestynie albo klasie robotniczej, o historii Żydów, albo uczył się fragmentów z *Króla Ducha* na pamięć czy mnożenia ułamków.

Gdybym zdawał sobie z tego sprawę już wtedy, to już wtedy miałbym głęboką świadomość utraty, taką, która rozdziera serce, byłem jednak po prostu dziesięcioletnim żydowskim chłopcem z bogatej rodziny, interesowały mnie samoloty, bardzo kochałem moją mamę, a nieco mniej mojego tatę, a może właśnie wcale nie nieco mniej, tylko inaczej, może jego miłości nawet bardziej pragnąłem niż matczynej, bo mniej jej dla mnie miał? I znowu, kolejne „może": może wcale nie miał jej dla mnie mniej, może tylko nie nauczył się jej dawać, może ta miłość do nas w nim płonęła, jak płonęło w nim wszystko, tylko nie znajdowała dróg ujścia, bo nikt mu nigdy dróg tych nie pokazał.

Byłem więc zwykłym dziesięcioletnim żydowskim chłopcem z bogatej rodziny, nigdy wcześniej nie doświadczyłem głodu, nikt mnie nigdy nie bił, nie zaznałem nigdy strachu i wtedy, 15 listopada 1939 roku, kiedy mama, wycierając nos, powiedziała, że zamknęli nam szkołę, więc już do szkoły nie pójdziemy, ucieszyłem się tylko, że będę mógł spędzać całe chłodne i deszczowe dni, siedząc w moim pokoju i czytając *Syna Łowcy Niedźwiedzi* mojego ulubionego Karola Maya.

Był to jeden z najlepszych okresów mojego życia, druga połowa października, listopad i grudzień 1939 roku.

Tak, widziałem smutek i obawy moich rodziców, jednak byli razem i byli razem w jakiejś harmonii, której nigdy wcześniej ani później między nimi nie widziałem. Coś ich wtedy zbliżyło do siebie, zewnętrzne zagrożenie czy może myśli o nas, odpowiedzialność za nas – i przez krótki czas było między nimi dobrze.

Potem wszystko zaczęło się psuć.

Wcześniej mama i ojciec utkali wokół nas kokon, przez który rzeczywistość ledwie przeciekała. Tak, wiedzieliśmy: była wojna, Polska przegrała, panowie ministrowie, pułkownicy, premier, prezydent, wszyscy zwiali, gdzie pieprz rośnie. Miasto uległo znacznym zniszczeniom, część kamienic została spalona, na ulicach stały barykady, ludzie wyprzedawali się z doczesnych dóbr, zdarzały się rozstrzeliwania i w ogóle ludzie nie otrząsnęli się jeszcze z wywołanego przegraną wojną szoku, ale nas to nie dotykało, o większości tych rzeczy nie wiedzieliśmy, bo rodzice, nagle zjednoczeni, strzegli nas przed tym skutecznie, przynajmniej póki mogli.

W końcu mieszkaliśmy w dobrej dzielnicy, w willi, którą po dwóch latach nauczyliśmy się już uważać za dom. Rodzice nasi byli w tym domu, strzegli nas i chronili przed tym, co na zewnątrz dotykało wielu żydowskich dziesięciolatków. Na przykład niedaleko nas, na Puławskiej, ponownie otwarto kino, o czym dowiedzieliśmy się z prowadzonej przez płot rozmowy z dzieciakami z sąsiedztwa. Zamęczaliśmy mamę, żeby do tego kina pójść, mama jednak nam odmawiała, bo wiedziała o czymś, czego nie wiedzieliśmy my: otóż tego, że na drzwiach kina umieszczono napis „Żydom wstęp wzbroniony". Mama jednak oszczędziła nam upokorzenia i powiedziała, że nic dobrego w tym kinie nie ma, same filmy z Hitlerem. A na film z Hitlerem oczywiście iść wcaleśmy nie chcieli.

Nie widzieliśmy więc pierwszych ulicznych prześladowań. Ani ja, ani Daniel nie musieliśmy patrzeć, jak naszemu ojcu obcinają na ulicy brodę tępymi nożycami, i to nie tylko dlatego, że nasz ojciec brody nigdy nie nosił; tymczasem niejeden z naszych kolegów z CISzO widział takie rzeczy na własne oczy.

Nie pobili nas nigdy w ciągu tych szczęśliwych miesięcy ani polscy chuligani, ani niemieccy żołnierze. Nikt nas nie wyzywał. Nikt nie prześladował. Przez ten krótki czas, kiedy była jeszcze szkoła, jeździliśmy do niej dorożką albo rowerową rykszą, jakich mnóstwo pojawiło się w tym

czasie w Warszawie, i zawsze jeździliśmy nią w towarzystwie mamy. Warszawska ulica wyglądała strasznie, baliśmy się tego wszystkiego: rozbieranych barykad, ulicznego handlu, na krzyż pozaklejanych okien i witryn pozbawionych szyb, ale to jednak przemykało się jakoś na skraju widzenia, na skraju naszego świata, bo potem wracaliśmy do domu, a w domu nie brakowało niczego, nawet zanim wrócił prąd, uwielbialiśmy siedzieć z mamą i z ojcem przy lampach naftowych i świecach, a potem wrócił prąd i woda i wróciły tramwaje, gdy zaś znowu zamknęli nam szkołę, nie było w zasadzie powodu, by wychodzić z domu dalej niż do ogrodu, więc nie wychodziliśmy.

W ogrodzie ciepło ubrani bawiliśmy się z Danielem w Indian i kowbojów, chociaż mama na wieść o egzekucjach za posiadanie broni, o czym my oczywiście nie słyszeliśmy, odebrała nam nasze blaszane zabawkowe rewolwery i powiedziała, że je chowa i odda nam po wojnie, nie tłumacząc dlaczego. Nie oddała ich nam już nigdy, bo końca wojny nie dożyła, ale tego wtedy nie wiedzieliśmy. W miejsce tych blaszanych rewolwerów wystrugaliśmy sobie równie dobre, z gałęzi wyłamanych z jabłonki, a z prostych, leszczynowych prętów i sznurka sporządziliśmy łuki i każdy z nas miał i łuk, i rewolwer, łuki zaś naprawdę strzelały, i chociaż nasze strzały, też leszczynowe, z cieńszych gałązek, nie miały grotów ani lotek, to jednak mogły przelecieć dobrych parę metrów.

Warszawa głodowała i marzła, nam jednak, synom bogacza, jedzenia ani opału nie brakowało. Było nam więc dobrze i czuliśmy się szczęśliwi, bo mieliśmy w domu wszystko, czego potrzeba dziesięcioletnim chłopcom, więc nie martwiło nas nic, co poza nim, i było nam dobrze, potem wszystko się popsuło.

Najpierw w grudniu opaski. Potem w styczniu zamknięto wszystkie synagogi, co nas niby nie powinno obchodzić, jako że nie byliśmy religijni, a jednak obchodziło, bo jak w gniewie powiedziała do ojca mama, to że zabraniają chodzić do synagogi, byłoby dla niej jedynym powodem, żeby do niej pójść.

Było, ale nie poszła.

Pierwsza wojenna zima była niezwykle mroźna, ale nam nie było zimno, Szapirowie mieli czym palić w piecu. Spadł prawie metr śniegu, w ogrodzie

wznieśliśmy sobie z Danielem igloo i porzuciwszy Indian i kowbojów, byliśmy Eskimosami i witaliśmy się nieustannie, pocierając się nosami.

Potem Daniel przeczytał w „Nowym Kurjerze Warszawskim", że od 8 lutego Żydom nie wolno jeździć koleją. To bardzo nas dotknęło, ponieważ kochaliśmy jeździć koleją. Jechać koleją oznaczało jechać na wakacje. W tej samej gazecie napisano również, że Żydzi są brudni i przenoszą tyfus, co wzbudziło nasz sprzeciw, bo przecież nie byliśmy brudni, chociaż wolelibyśmy być, codziennych higienicznych rytuałów nienawidząc jak wszystkie dziesięciolatki.

– Dlaczego oni tu piszą, że jesteśmy brudni, mama – pytałem się. – Dlaczego piszą, że jesteśmy brudni, skoro ja muszę się myć rano i wieczorem i dbać, żeby paznokcie mieć czyste i w ogóle. To ja już wolę być brudny, skoro muszę się tyle myć, a oni w gazecie i tak napiszą, że jesteśmy brudni.

Mama odpowiedziała, że piszą tak, bo sami są brudni, i kłamią, i był to już czas, w którym przez tworzony przez nią i przez ojca klosz rzeczywistość powoli się do nas przedzierała. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że fakt, iż jestem Żydem, może mieć zasadnicze znaczenie w moim życiu. Że może o moim życiu decydować.

Rodzice powoli zaczynali zdawać sobie sprawę, że w willi nie będą mogli zostać. Słyszeliśmy, jak o tym rozmawiają.

Mama wzięła nasze pluszowe misie i zaszyła w nich pieniądze i trochę złota, i razem z ojcem, bardzo poważni, wytłumaczyli nam, że jesteśmy za nie odpowiedzialni, że to niezwykle ważne. Coś już oboje przeczuwali. Resztę majątku ojciec ukrył poza domem, coś również już przeczuwając, dogadał się z nowym właścicielem naszej starej kamienicy, a ten wypowiedział mieszkanie jego aktualnym lokatorom i trzymał je dla nas, na wszelki wypadek. Coraz częściej mówiło się o tym, że dzielnica żydowska będzie zamknięta. Rodzice wiedzieli, że bez wyglądu i jeszcze w dodatku będąc rozpoznawalnym, ojciec nie może zostać, nie może funkcjonować na aryjskich papierach i na aryjskich, różowych kartkach żywnościowych.

Potem w marcu przyszedł do nas do domu Bernard Goldstein, o którym wtedy nawet my z Danielem wiedzieliśmy, że jest kimś ważnym w Bundzie, chociaż trudno było go rozpoznać, bo aby uniknąć

aresztowania, zmienił wygląd, zapuścił brodę i wąsy, mama nasza zaś, jako lewicowa syjonistka, nie bardzo go, bundystę, lubiła.

Zamknęli się we trójkę, Goldstein z mamą i ojcem, w gabinecie ojca, ja zaś podsłuchiwałem pod drzwiami.

Niewiele wtedy rozumiałem z tego stłumionego, szeptanego jidysz, w szarości rozumiem wszystko.

Na Pradze jacyś polscy chuligani zaczepili starego, pobożnego Żyda i uparli się wyrwać mu brodę i pejsy. Akurat przechodził tamtędy stary bojówkarz Bundu, którego mój ojciec znał zresztą dobrze ze stu przedwojennych demonstracji, towarzysz Friedman.

Friedman miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, ważył sto trzydzieści kilogramów i na wagę tę nie składało się sadło, lecz potężne mięśnie, które na Friedmanie wyrosły, dając mu siłę nieomalże nadludzką, bo na co dzień pracował on w rzeźni, gdzie przerzucał nieustannie kilkudziesięciokilogramowe kawały ciał martwych krów i wołów, całe barany i kozy, i z rzeźni też przysługiwał mu przydział mięsa ze zwierząt, które w tej rzeźni zabijano. Na ciężkiej pracy i na koszernym mięsie urósł więc wielki i potężny. Bić się potrafił jak prawdziwy Machabeusz. Nie trenował boksu, jak mój ojciec, ani w ogóle nie uprawiał żadnego sportu, był człowiekiem pracy. Bojowe umiejętności i technikę nabył w praktyce, w ulicznych zwadach, na demonstracjach i kontrdemonstracjach. Polscy faszyści bali się go i unikali jak ognia. W sławnej bijatyce na placu Bankowym w 1938 roku, o której szeptali wszyscy nawet w naszej szkole, a do niej dzieci z marginesu nie uczęszczały, towarzysz Friedman podobno chwycił jednego oenerowca, niezbyt rosłego, podniósł do góry, jakby podnosił ćwiartkę wołu, i cisnął nim w grupę pozostałych. Następnie kopniakami i pięściami połamał żebra, szczęki i nawet jedną goleń.

Z ojcem moim znali się i darzyli rodzajem dalekiego, chłodnego szacunku. Friedman był od mojego ojca o dziesięć lat starszy, swoją karierę partyjnego zabijaki rozpoczął w 1905 roku, kiedy wraz z innymi bundowcami spuścili łomot żydowskim alfonsom na Woli. Od tego czasu nienawidził żydowskich urków nawet bardziej niż chrześcijańskich, uważał bowiem, że każdy Żyd jest nawet bardziej niż chrześcijanin zobowiązany do bycia człowiekiem uczciwym (co w jego mniemaniu oznaczało zasadniczo socjalistę), jednak ojca mojego, znanego przecież

kryminalistę, mimo wszystko szanował. Szanował za to, że ojciec nigdy nie odmówił ich bojówce pomocy, za to też, że publicznie potrafił upokorzyć antysemitów, i za to, że mimo swojej bandyterki nigdy nie zapomniał o tak zwanym prostym człowieku. Ojciec, owszem, próbował wiele razy zrobić zeń swojego człowieka, ale towarzysza Friedmana nie interesowały pieniądze, towarzysz Friedman chciał uczciwej pracy za uczciwą płacę, był dobrym socjalistą i lojalnym bundystą i to, że go szanował, nie oznaczało, że chciałby mojemu ojcu służyć.

Kiedy więc zaraz przed świętami prascy chuligani postanowili sobie pomęczyć Żyda, to mieli wielkiego, życiowego pecha, że z bramy niedaleko wyszedł akurat towarzysz Friedman, który udał się na Pragę z ważną, zleconą mu z Partii sprawą. Może miał już pięćdziesiąt lat, ale w formie ciągle był znakomitej, czego dowiódł natychmiast: polskich chuliganów było czterech, Friedman trzech z nich pobił potwornie, kiedy skończył z nimi, to jeden leżał nieprzytomny, z połamanymi rękami, a dwóch odczołgiwało się, krwawiąc obficie i zastanawiając się, czy jakakolwiek kość w ich ciele została niezłamana. Czwarty jednak zdążył uciec, zaalarmował koleżków, ci opadli Friedmana, który też zdążył skrzyknąć paru praskich Żydów do pomocy, i zaczęła się bijatyka. Wtedy dwoma samochodami przyjechali niemieccy żandarmi, jak ich w Warszawie nie do końca ściśle nazywano, chuligani, którzy przed wojną pod żadnym pozorem nie dawaliby na hintach, teraz uznali, że tamten świat się skończył, czasy są zupełnie inne i bez skrupułów wskazali hintom niemieckim Friedmana jako tego, który nie pozwolił im nadać pewnemu śmierdzącemu Żydkowi wyglądu akceptowalnego dla chrześcijańskiej opinii publicznej.

Niemcy Friedmana aresztowali, wywieźli w stronę Otwocka i za miastem zastrzelili, po czym porzucili to, co zostało z wielkiego rzeźnika, socjalisty i bojówkarza w rowie, chuliganów uprzednio zachęciwszy, by sprawiedliwości dochodzili na własną rękę, co ci czynić zaczęli z wielką ochotą. Rozruchy szybko przeniosły się z Pragi do dzielnicy północnej, na drugą stronę Wisły, Polacy zaczęli ganiać pobożnych Żydów po ulicach, rozbijać żydowskie sklepy i w ogóle podejmować wszelkie zwykłe w takiej sytuacji prześladowania. Niemcy w tym nie uczestniczyli, przyglądali się

z daleka, nie interweniowali, dokumentowali za to wszystko, filmując i robiąc zdjęcia.

Kiedy więc pogromy rozpoczęły się w dzielnicy północnej i towarzysz Goldstein nawet z okna swego mieszkania przy Nowolipiu 12 widział, co dzieje się na ulicy, to wiadomo było, że nie może nie zareagować. Towarzysz Bernard Goldstein postanowił więc Żydów przed polskimi chuliganami bronić, bo do tego jako bundysta czuł się w każdej mierze powołany, i stawił się w domu mego ojca, bo szukał każdej możliwej ku temu pomocy.

Ojca potrzebował oczywiście nie tylko ze względu na jego zabójczy prawy krzyżowy i inne bokserskie sztuczki ani też ze względu na sztuczki uliczne, te wszystkie zrywające więzadła kopnięcia w bok kolana, po których faszyści składali się jak ścięte drzewa, by już do końca życia kuleć, te teleskopowo rozsuwane, stalowe pałki, łamiące przedramiona czy przypinane na udo, zaraz nad kolanem nabijane żyletkami deski, którymi w ulicznym klinczu cięło się frajerom brzuchy albo i podbródki, jeśli któryś łatwiej pozwalał się na kolano ściągnąć.

Oczywiście, to wszystko mogło się przydać, ale takich osiłków wśród kilkuset tysięcy warszawskich Żydów nie brakowało.

Goldstein potrzebował raczej szerokiej sieci ulicznych znajomości ojca, jego biegłości w logistyce ulicznych walk, autorytetu wśród żydowskich urków i respektu, jaki wzbudzał. I o to ojca poprosił, ojciec zaś mu nie odmówił i poszedł.

I nagle przez tych parę wielkanocnych pogromowych dni ojciec był kimś takim jak za dawnych lat. Pistoletu nie wziął: Goldstein od razu zastrzegł, że z obawy przed niemieckim odwetem noży i pistoletów nie będzie, tylko pięści i pałki, żeby drani stłuc, ale nie pozabijać. Ojciec zresztą wcale się do strzelania nie palił, chociaż od dwudziestego roku życia w zasadzie ani na chwilę nie rozstawał się z bronią. Teraz jednak zbyt wiele było niemieckich obwieszczeń o rozstrzelaniach za posiadanie broni, zbyt wiele, by ryzykować. Ojciec oczywiście nigdy nie starał się o pozwolenie na broń, to byłoby dlań upokarzające prosić hintę czy innego starostę, aby ten mu łaskawie, wielkopańsko zezwolił nosić pistolet, więc również za starej Polski broń posiadał nielegalnie. Jednak Niemcy, szczególnie na początku okupacji, to nie była polska policja, którą zawsze, nawet przy zatrzymaniu

z nielegalnym pistoletem w kieszeni, można było przekupić albo zastraszyć, pieniędzmi i siecią powiązań. Teraz było inaczej i ojciec to wiedział.

Niemcom oczywiście swojej broni oddać nie zamierzał, więc od razu oprócz tego, co schowali z Miecznickim, jeszcze w październiku całą swoją prywatną broń poukrywał po różnych miejscach, jeden pistolet zakopał w ogrodzie naszej mokotowskiej willi, a resztę porozkładał po różnych skrytkach w dzielnicy północnej, w starej ojczyźnie.

Poszedł więc do dzielnicy północnej z opaską na ramieniu i z rozkładaną, teleskopową pałką w kieszeni palta, najpierw siedział na organizacyjnej, strategicznej naradzie w mieszkaniu Goldsteina na Nowolipiu, w kamienicy pod numerem 12, potem zaś przejął dowodzenie nad jedną z trzech grup żydowskiej samoobrony, bo tak się między sobą nazywali. Grupa mojego ojca operowała w rejonie Chłodnej, Hali Mirowskiej i placu Żelaznej Bramy, czyli terenów, które potem długim jęzorem aryjskiej Warszawy wrzynały się w getto, oddzielając małe od dużego. Goldstein zmobilizował wszystkich: potężnych żydowskich tragarzy, rzezaków, członków Partii, a dzięki kontaktom ojca w skład bojówek wszedł też żydowski margines, urki, złodzieje i alfonsi, na co dzień niezbyt się z bundowcami lubiący.

Walki uliczne trwały dwa dni, a toczyły się z różnym powodzeniem. Drugiego dnia, za sprawą mojego ojca, do żydowskiej samoobrony przyłączyli się też nieliczni chrześcijańscy robotnicy z Woli, starzy socjalistyczni towarzysze. Niemcy nie interweniowali, chociaż przyglądali się zamieszkom i je z daleka dokumentowali filmowo, małe kamery przytknięte do oczu wojskowych korespondentów terkotały wesoło znad krawędzi drzwi wojskowych samochodów.

Ojciec zaś oddychał pełną piersią.

Znowu biegał, znowu bił się, wykrzykiwał rozkazy, lepiej, inaczej niż na wojnie, uliczne rozkazy, nie wojskowe, znowu pod ciosami pałki strzelały kości i wylatywały zęby, znowu czuł, że żyje, mimo opaski na ramieniu, i czuł, że to życie ma sens, ale potem bijatyki się skończyły.

Wszyscy obawiali się, że Niemcy przeprowadzą jakąś karną akcję, ale nie przeprowadzili. Ludzie zaczęli garnąć się do podziemnych struktur Bundu.

Ojciec wrócił do domu, a trzy dni później przed nasz dom zajechał piękny samochód, niski, długi, czarny citroën, z citroëna wysiadło dwóch ludzi: zza kierownicy niewysoki, szczupły Niemiec w burozielonym policyjnym mundurze, z drugiej strony zaś wielki, otyły cywil w trzyczęściowym garniturze w prążek, o urodzie pszenno-buraczanej, albowiem czerwone miał policzki, pod wielkim nochalem zaś wąs barwy pszenicznej właśnie.

Widziałem z okna, jak wysiadali. Widziałem też, jak podchodzili do drzwi, potem usłyszałem dzwonek. Rodzice też ich widzieli, otworzyli im razem.

– Państwo Żydzi, jak rozumiem? – odezwał się po polsku przyjaznym tonem grubas, okazując się tym samym Polakiem.

Mama i ojciec spojrzeli po sobie.

– Owszem – odpowiedziała mama hardo. – To jeszcze nie jest zabronione.

– Nie jest, nie jest, oczywiście – uśmiechnął się grubas. – Mają państwo piętnaście minut na opuszczenie tego domu. Zostaje on zajęty. Po dziesięć kilo bagażu na osobę dorosłą, pięć na dziecko. Czy słusznie mi doniesiono, że w garażu znajduje się automobil marki Buick?

– Gówno pana obchodzi, co się znajduje w naszym garażu. Z kim mamy nieprzyjemność? – pytała mama dalej hardo.

– Co do tego, że gówno, to się pani myli, a co do nieprzyjemności, to panią szanowną w ogóle nie musi interesować z kim. Powiedziałem, piętnaście minut.

– Na jakiej podstawie dom zostaje zajęty? – odpowiedziała mu mama, a głos jej nawet nie zadrżał. Była zupełnie spokojna.

– Na takiej podstawie, pani kochana, że ja pani mówię „wypierdalać", a obecny tu sympatyczny pan policjant niemiecki mówi pani „raus" – równie spokojnie odparł jej grubas, patrząc mamie w oczy i nie przestając się przyjaźnie uśmiechać. Wystający zza niego Niemiec też się uśmiechnął.

– Chybaście nie myśleli, że pozwolimy Żydziskom mieszkać w takiej willi, w takiej okolicy i może jeszcze autami jeździć – ciągnął grubas. – Willa zostaje zajęta na potrzeby wysiłku wojennego Rzeszy Niemieckiej. A was ma tu nie być za kwadrans.

Uśmiechnął się raz jeszcze, po czym wszedł do środka, delikatnie odsunąwszy mamę z drogi.

Za mamą stał ojciec, ja i Daniel przyglądaliśmy się temu ze schodów.

Ojciec był napięty, lewa noga z przodu, jak w bokserskiej pozycji, patrzył spode łba, ręce opuszczone, ale napięte ramiona. Nawet my, Daniel i ja, wiedzieliśmy od razu, na pierwszy rzut oka, że gdyby tylko chciał, to zabiłby tego wąsatego grubasa w pięć sekund. Ojciec miał to wypalone w głowie, już nawet widział to w bojowej wyobraźni, zawsze wizualizował sobie nadchodzącą walkę i teraz też już widział, jak po zamarkowaniu lewą ręką uderza go w podbródek strasznym prawym hakiem i nie odskakuje, idzie do przodu, omija go i łapie, znokautowanego, od tyłu, prawym ramieniem otacza mu szyję, lewym blokuje potylicę, prawa dłoń na lewym bicepsie, po czym rzuca się na plecy, przyciskając samego siebie cielskiem grubasa, by ten nie mógł wyzwolić się z zabójczego uścisku, oplata jego tors nogami, po czym zaciska ramiona, grubas miota się chwilę, po czym wiotczeje, ale ojciec nie odpuszcza swojego uścisku i pozbawiony dopływu krwi mózg grubasa umiera w czasie krótszym niż ten, którego ów wielki, pszenno-buraczany cham potrzebowałby, by zjeść bułkę z serdelkiem.

Tak mogłoby się stać, jednak wcale się tak nie stało, bo za grubasem stoi niemiecki policjant, wzrostu niewysokiego i równie niewysokiej rangi, wachtmeister, który widząc mojego ojca, jego wzrost, szerokie ramiona i wściekłe spojrzenie, sięga prawą dłonią do lewego biodra, gdzie w zawieszonej na pasie kaburze nosi niewielki pistolecik.

Mój ojciec widzi ten ruch i schodzi grubasowi z drogi. Grubas odsuwa moją mamę: nie jest to bezpośrednia przemoc, nie bije jej, po prostu kładzie swoją pulchną dłoń na jej ramieniu i przesuwa ją na bok, delikatnie, tak by nie prowokować bestii, która za moją mamą stoi, czyli mojego ojca. Grubas na najmniejszym z pulchnych palców nosi sygnet, złoty sygnet z wygrawerowanym lustrzanym odbiciem herbu, do odciskania w laku, i dziś w szarości bardzo wyraźnie widzę tę pulchną dłoń na szarej wełnie rozpinanego z przodu swetra spowijającego ramiona mojej mamy, złoty sygnet i herb Leliwa na tymże, gwiazda i półksiężyc, i hełm, i labry.

Ludzie w getcie mieli potem dłonie całkiem podobne do otłuszczonych łapek grubasa, teraz nagle widzę to dokładnie, robiły się ludziom z głodu

takie dziecięce łapki, tyle że wielkie, co wyglądało przerażająco przy wielkim, rosłym ciele. Przynajmniej na początku przerażająco, potem nam się opatrzyły te ciała opuchłe od wody, której nerki nie były w stanie wydalić, a pozostałej po rozkładzie białek, kiedy w tym zmierzającym ku śmierci metabolizmie organizmy głodujących pożerały same siebie.

To jednak było potem. Wcześniej była pulchna dłoń na ramieniu mojej mamy i wąsaty, herbowy grubas odsuwający ją ze swojej drogi do naszego salonu, i mój ojciec stojący za nią, wściekły i bezsilny, i Niemiec w zielonym, policyjnym mundurze, z ręką w okolicach kabury, Niemiec, którego herbowy grubas sprowadził tutaj sobie jako groźbę i broń w jednym, i potem obaj siedzieli i siedzą dalej, już na zawsze siedzą w naszym salonie, rozparci na krzesłach przy stole, z nogami na blacie, tacy zadowoleni: Niemiec na myśl o obiecanym przez grubego zarobku, gruby na myśl o domu, w którym będzie teraz mieszkał, ale też w poczuciu, że przywraca światu porządek i sprawiedliwość, ponieważ niegodnym i niesprawiedliwym, i nieuporządkowanym było, aby w takiej willi mieszkał ktoś taki jak mój ojciec z moją matką, nie tylko że Żydzi, ale Żydzi ostentacyjnie niezasymilowani, żadne późne wnuki frankistów, spolaczałych od pokoleń, bardziej polscy od Polaków, żaden nawet świeży asymilant w typie Miecznickiego, starannie ze swojego żydostwa oczyszczony, jakby się wyszorował, tylko Żydzi żydowscy w jego oczach bezczelnie i ostentacyjnie, chociaż świeccy.

Nie jest to ich miejsce i dlatego właśnie grubas chciał z całą satysfakcją przypatrywać się, jak gorączkowo, w piętnaście minut będziemy się pakować, miotać się po całym domu, zabierać co najcenniejsze, a oni jeszcze potem przeglądną to, co zabraliśmy, i kosztowności wezmą dla siebie, bo dlaczego nie?

W korytarzu ojciec zwraca się do mamy niemym gestem, dajemy łapówkę? Próbujemy?

Wiadomo, że tak dzieje się ciągle, przychodzą do bogatych Żydów, grożą wyrzuceniem z domu i opłaceni odchodzą. I wtedy mama, moja mądra mama okazała się mądrzejsza niż mój głupi, zły ojciec.

– Chodźmy stąd, Jakub – szepcze do niego. – To i tak nie jest nasz dom. Ani nasze miejsce. Chodźmy, chodźmy stąd tak, jak stoimy. Wiedzieliśmy, że ten moment nadejdzie.

My wtedy schowaliśmy się w swoich pokojach na piętrze, schowaliśmy się przed tym strasznym człowiekiem w naszym salonie. Mama zawołała nas, jakby wołała nas do wyjścia na spacer, chłopcy, chodźcie, a my wtedy, Daniel i ja, zrozumieliśmy, że tak właśnie kończy się nasze dzieciństwo, więc włożyliśmy płaszczyki, zasznurowaliśmy buciki, wzięliśmy nasze misie z pieniędzmi w środku i stanęliśmy przy drzwiach, gotowi do wyjścia. Nagle byliśmy grzeczni i posłuszni jak nigdy. Ojciec też włożył płaszcz z opaską na ramieniu, tak po prostu, nagle jakby spokojniejszy, jakby myślał o tym, że przegrawszy bitwę, nie musi przegrać całej wojny, czy coś innego z katalogu myśli, które warto pomyśleć w chwili, gdy ponosi się klęskę. Wziął nas za ręce. Mama stanęła obok.

– Tak bez niczego państwo wychodzicie? Czyli, widzę, nasza wizyta nie taka niespodziana… – trochę zmartwił się grubas.

– Łajdactwa, proszę pana, spodziewać się należy zawsze, szczególnie w tym waszym zasranym kraju – odparła mu mama.

– Żydówa będzie mnie o łajdactwie pouczać… Dobre sobie. Klucze do domu i do samochodu proszę położyć na tej ślicznej konsolce przy drzwiach. A jak się w kraju zasranym nie podoba, to trzeba było się wynosić po dobroci, póki był na to czas – uprzejmie doradził wąsaty grubas, Niemiec zaś w tym samym momencie przyglądał się schowanej w kredensie zastawie Rosenthala, obracał w łapach talerze, badając sygnaturki na spodzie.

Ojciec, słysząc słowa o wynoszeniu się po dobroci, skurczył się w sobie, napiął, jakby nagle złamany wspomnieniem tego, co zrobił: zawrócony samolot, myśli o życiu, które mogli mieć, białe ulice Tel Awiwu, palmy, piasek, zamiast którego jest to, co jest i co na zawsze już pozostanie.

Mama nie odpowiedziała, przez chwilę myślała o tym, czy nie cisnąć kluczami w pszenno-buraczaną twarz herbowego grubasa, ale zaraz uznała, że to byłaby jej, nie jego klęska, więc zrobiła, jak mówił, i odłożyła klucze na konsolkę. I wyszliśmy.

Dobrze rozumiałem, że już tu nie wrócimy.

Było mi żal wszystkiego, co zostało w tej willi. Samochodu, nieruszanego od przed wojny, którym tak lubiłem jeździć. Moich książek, Karola Maya przede wszystkim. Moich modeli samolotów. Pracowicie

kolekcjonowanych trzech kompletnych roczników „Skrzydlatej Polski". Zabrałem ze sobą tylko jeden numer, ostatni, wsunąłem go z tyłu za pasek spodni, pod płaszczem, do kieszeni zaś schowałem scyzoryk o perłowej rękojeści, prezent od taty.

Było mi żal ogrodu, który zdążyliśmy z Danielem oswoić i polubić. Trawnika, na którym graliśmy w berka i w klipę i czasem robiliśmy z mamą piknik. Było mi żal naszych kryjówek, szałasu skleconego za krzakami bzu i kryjówki na rozłożystej, zdziczałej jabłoni; na jej grubych konarach urządziliśmy sobie magazyn na nasze indiańskie, wystrugane z leszczyny łuki i strzały, kolorowe kamyki i szkiełka, pomarańczowe piórka sójek i czarne gawronie, motek kolorowego sznurka, który razem z piórkami miał posłużyć do sporządzenia pióropusza, ale już nam się sporządzić nie uda.

Wszystkiego tego było mi żal. Pociągnąłem nosem.

– Mamo, ja zostawiłem w schowku w ogrodzie moją małpkę wczoraj… – powiedział Daniel, nagle przypominając sobie o pluszowej zabawce.

Mama też pociągnęła nosem.

– To tylko rzeczy, chłopcy. Tylko rzeczy, nic więcej. Rzeczy to nic. Kupimy sobie i wam nowe. Albo i nie kupimy. Będzie nam lżej bez tego wszystkiego, zobaczycie.

A zostawiała przecież o tyle więcej, niż myśmy zostawiali. I też jej było żal, lecz kiedy ma się jedenaście lat, myśli się raczej o żalu swoim, nie rodziców. Cierpienie rodziców już się wtedy, owszem, ku własnemu zaskoczeniu dostrzega, ale jest to empatia jeszcze niewytrenowana, spalająca się w krótkim płomieniu, w powiedzeniu „biedna mamusia" i już.

Jednak mama oddychała z ulgą. Mama była pełna nadziei.

Kiedy wyszliśmy z domu, na ulicy stał ulicznik, ten sam, któremu mój ojciec, ruszając na wojnę, podarował srebrną papierośnicę. Patrzył na nas i uśmiechał się, uśmiechał się bardzo szeroko.

– Wypierdalać, Żydki, ale już! – krzyknął za nami, kiedy go minęliśmy.

Mój ojciec napiął się w sobie cały, odwrócił się na pięcie. „Zabije go" – pomyślałem.

– Zostaw, Jakub… – powiedziała mama.

I ojciec zostawił.

Dlaczego skoro jeszcze kilka dni wcześniej bił się z chuliganami i polskimi faszystami na ulicach? Może dlatego, że tych kilka dni wcześniej był ciągle tym samym Jakubem Szapiro, jakim został w 1937 roku, po śmierci Kaplicy, po którym niczym tron i zamek przejął samochód, willę i funkcję w warszawskim unterwelcie.

Myślę, że wtedy, właśnie tego dnia ojciec mój przestał być królem tego miasta i zaczął umierać. Mógł znieść wszystko: okopy obu wojen, głód, więzienie, pejcz strażnika w więzieniu w Łomży – znieść nie potrafił jednak bezsilności, ponieważ całe jego dotychczasowe czterdziestoletnie życie było drogą od słabości do siły. Odebrać mu siłę i moc znaczyło odebrać mu wszystko, zaś wobec herbowego grubasa ojciec był właśnie bezsilny – tylko dlatego że nagle rozsypało się to papierowe państwo, w którym oczywiście ktoś z herbem na palcu był na starcie i tak od ojca o wiele silniejszy, jednak ojciec mój wykuł sobie w granicach tej rzeczywistości własną siłę.

Gdyby grubas przyszedł do ojca rok wcześniej, nie dożyłby wieczoru, chociaż co drugiego warszawskiego Żyda mógł bezkarnie zbić po pysku. Jednak nie mojego ojca. To ojciec sobie wywalczył. Sprytem, pięścią, nożem, pistoletem, spokojem, gniewem, wszystkim. Wywalczył i miał. Nikt nie mógł dać mu po pysku. Kiedy jednak to państwo z papieru spłonęło, razem z nim cała ta z trudem wypracowana siła nagle zniknęła, rozsypała się w pył tylko dlatego, że ojciec nie miał napletka.

Dlatego moja mama czuła ulgę. I dlatego była pełna nadziei.

Mojego ojca pragnienie siły i potrzeba sprawczości stanowiły przyczynę całego zła, jakie przydarzyło się naszej rodzinie, i mama czuła ulgę i nadzieję na myśl o moim ojcu bezsilnym, na myśl o ojcu przegrywającym w końcu ten straszny wyścig, w którym ścigał się z całym światem i w którym całemu światu udowadniać musiał własną wartość i wybitność.

Była więc dobrej myśli, kiedy szliśmy w stronę dzielnicy żydowskiej.

Kawałek dalej, na Puławskiej, złapaliśmy dorożkę i tak pokonaliśmy resztę drogi do naszego starego mieszkania na Nalewkach w kamienicy numer 40.

Mieliśmy szczęście, teraz to wiem, że przenieśliśmy się tam na kilka miesięcy przed zamknięciem getta. Mniej to rodziców kosztowało,

w mniejszym odbyło się zamieszaniu i pod mniejszą presją. Później rozgrywały się tu wszędzie sceny iście dantejskie, kiedy kilkadziesiąt tysięcy ludzi w Warszawie przeprowadzało się, transportowało dobytek, szukało mieszkania, ludzie tłoczyli się po dwie rodziny w jednym pokoju. My zaś ciągle mieliśmy swoje stare mieszkanie tylko dla siebie.

Więc mieliśmy szczęście, ale teraz widzę, że nie ma żadnej różnicy między tym naszym szczęściem a nieszczęściem innych. W końcu prawie wszyscy skończyli tak samo.

Było nam dziwnie w tych pustawych pokojach, póki mama wszystkiego nie urządziła, nie oplotła nas tą ciepłą siecią mebli, bibelotów i książek, które można było w naszej dzielnicy kupić za bezcen, bo wszyscy się wyprzedawali z majątku. Znalazła nawet guwernantkę, która przychodziła do nas do domu, ku naszej niechęci, i zmuszała nas do nauki. Uczyliśmy się polskiego, matematyki, hebrajskiego i mama kazała też, byśmy zaczęli uczyć się angielskiego, którym guwernantka władała, ale niezbyt dobrze nam to szło.

Wreszcie nastał dzień, gdy przez megafony ogłoszono zamknięcie getta. Jakoś wtedy ojciec wyszedł, nie było go dwa dni, po czym wrócił pijany i powiedział mamie, że wstępuje do żydowskiej policji, potem się pokłócili i mama wyrzuciła go z domu, a on dał jej się wyrzucić. I tyle było z naszej rodziny.

RYFKA

W zimnie, w ciemnościach i w trwodze bezsenność smakuje bardzo specjalnie, wyraźniej, jakby do wyschniętych ust wziąć łyżkę stołową soli i żuć, i przełykać, nie mając czym popić, nie mając śliny ani nadziei.

Obaj mężczyźni śpią, jakby ufali, że czuwam. Konopka pochlipuje cicho, przez sen, woła mamę, biedny chłopak, tak wtedy myślę, bo nie wiem wtedy tego, co wiem w szarości, nie wiem i nigdy się nie dowiem, że strzelił do stojącej nad wykopem, przerażonej dziewczyny.

Jakub śpi cicho. Nie płacze.

Tęsknię do niego wtedy, tęskniłam, tęsknię do człowieka, którym kiedyś był, nawet do tego tchórzliwego łajdaka, jakim czasem się okazywał. Ale najbardziej do takiego, jakiego pamiętam z naszych pięknych jasnych dni sprzed dwudziestu lat, o których wtedy trudno mi nawet myśleć w kategorii czegoś, co się wydarzyło, bo raczej przypominają mi coś tylko opowiedzianego, wyśnionego, coś o kształcie rozmytym, coś daleko jedynie w pamięci odzwierciedlonego. Inną pamięć mam teraz, przejrzystą i pewną, inaczej dotykam tego, co było, tak jakbym dotykała czegoś, co jest.

Martwię się naszą nową kryjówką. Martwię się śladami, które zostawiliśmy. Martwię się tym, że za chwilę nastanie dzień i będzie te ślady widać. Jestem bardzo zmęczona.

Martwię się też czymś innym, to absurdalne, martwić się czymś innym, znajdując się na krawędzi przetrwania, a jednak martwię się.

Mam trzydzieści sześć lat. Życie mnie nie oszczędzało, już przed wojną, pięć lat temu wyglądałam na o pięć lat starszą niż moje ówczesne

trzydzieści jeden, szczególnie twarz starzała mi się szybciej, niż biegły lata. A dziś? Nie mam ani lustra, ani światła, ani czasu, by przestudiować stan swojego ciała z uwagą mu należną, z uwagą, z jaką studiowałam swoją twarz i ciało przed wojną i potem też, chociaż potem już nie tak starannie.

Ostatni raz całą siebie nago widziałam u tej jego polskiej kurwy, przed powstaniem. Lustro w łazience miała nie za duże, ale łazienka była przestronna i dość jasna, więc kiedy odsunęłam się od tego lustra, mogłam zobaczyć się w całości. Oglądałam się więc, oglądałam, zarówno en face, jak i z profilu, moje chude ciało i wiotczejącą powoli skórę, dotykałam ud, piersi, pieczołowicie badałam brzuch, którego nigdy nie rozciągnęła żadna ciąża. Oceniałam, na ile obwisłe są już pośladki, unosząc je do poziomu, na jakim, jak mi się wydawało, powinny się znajdować, potem zaś przyglądałam się twarzy, ze smutkiem i z nienawiścią.

Ze smutkiem i z nienawiścią tym większymi, że częściej widziałam jej twarz, twarz Anny Ziembińskiej, przeklętej, pięknej, młodej i aryjskiej, silniejszej ode mnie na każdym polu.

Wtedy kiedy pierwszego dnia nalała mi koniaku, a ja zdecydowałam, że wolę się napić, niż ją zastrzelić, wiedziałam od razu, dlaczego postanowiła uratować Jakuba i mnie.

Postanowiła to zrobić, bo chciała go dla siebie. I przyjemnie jej zapewne było mieć we mnie biernego widza tego, jak go sobie bierze.

Zjedliśmy i wypiliśmy, Anna Ziembińska zabawiała nas błahą rozmową o tak zwanych starych dobrych czasach, o tym jednak, dlaczego przyjechała dwa tygodnie wcześniej, i to z Londynu, i jakim niby środkiem lokomocji, nie napomykając ani słowem o lądowaniu na jakimś oświetlonym pochodniami polu czy o skoku ze spadochronem, a gdy cichociemna pani Anna o tym nie mówiła, to brzmiało to jeszcze głośniej, jeszcze autentyczniej, niż brzmiałoby, gdyby to ze szczegółami opowiedziała.

Po godzinnej uprzejmej pogawędce, której nie zniosłabym, gdybym praktycznie sama nie opróżniła przy niej prawie całej butelki koniaku, Ziembińska z wdziękiem księżnej oświadczyła, że czas udać się na spoczynek, po czym wskazała nam naszą sypialnię. Jakby milcząco założyła, taka wspaniałomyślna i elegancka, że Jakub należy do mnie.

A ja wiedziałam, dlaczego to zrobiła, nawet pijana w sztok wiedziałam, ile warta jest ta jej wspaniałomyślność, ile znaczy i po co ją okazuje.

– Za nasz pobyt tutaj zapłacimy – powiedziałam. – Złotem i dolarami, żadnych górali, tylko twarda waluta. Pani ponosi koszty i pewne ryzyko, więc zapłata się należy.

Powiedziałam to, by tę jej ostatnią wspaniałomyślność zniweczyć, to raz, a dwa, to nie zamierzałam, nie chciałam tu być na jej łasce.

– Ależ skąd, jesteście moimi gośćmi – zaprotestowała.

– Nie jesteśmy pani gośćmi. Goście mogą wyjść, kiedy im się podoba albo kiedy wypada, gości nikt nie zabija za to tylko, że pokażą się na ulicy – odparłam lodowato. – Więc nie jesteśmy gośćmi. I o ile jesteśmy i pozostaniemy pani wdzięczni za udzielone nam schronienie, o tyle też nie chcemy musieć go pani zawdzięczać. Proszę to uszanować.

Zastanawiała się chwilę, w milczeniu patrząc mi w oczy. Wytrzymałam to spojrzenie, zacisnęłam usta i patrzyłam na nią tak, jakbym ostrzyła nóż. W końcu nie mówiąc nic, skinęła głową.

Tej nocy Jakub spał ze mną po raz pierwszy od czasów sprzed Grossaktion, a tak jak mnie tej nocy pierdolił, to w ogóle nie pierdolił mnie od dawna, od dobrych czasów sprzed wojny, sprzed Emilii i dzieci, sprzed wszystkiego. Byłam pijana, nie myślałam zbyt wiele, pozwalałam mu robić z moim ciałem to, co kiedyś robił najlepiej, jak nikt, mój Jakub sprzed piętnastu lat nagle odnaleziony, tak jakby ciągle był 1928 rok, ostatni rok, w którym byłam szczęśliwa.

Miałam wtedy dwadzieścia lat, byłam ładna i byłam silna, przeszłam więzienie i żaden frajer nie mógł mi podskoczyć, w więzieniu nauczyłam się czytać i pisać, i nagle zaczęłam czytać jak szalona, wszystko, a potem poznałam najwspanialszego mężczyznę w Warszawie, zakochałam się, on mnie też pokochał i byłam szczęśliwa, byliśmy szczęśliwi, a potem się wszystko zepsuło, pojawiła się ona, jej dzieci i cała reszta.

Nigdy nie przestał ze mną sypiać, i chociaż czasem nie dotykał mnie przez rok, a najdłużej chyba przez dwa lata, to jednak była w tych rzadkich cielesnych miłościach jakaś ciągłość, żadnej nie traktowaliśmy jako ostatniej ani pierwszej.

Potem w getcie niby znowu ze mną sypiał, ale był tylko dalekim odbiciem mojego dawnego Jakuba, gruby, zepsuty, złamany, pęknięty w środku i prawie zawsze pijany. Rzadko mu stawał, mimo że pracowałam nad nim z całym moim dawnym kunsztem, to zdarzało mu się zasnąć i zachrapać z chujem w moich ustach. Sypiałam więc wtedy z innymi, zapominałam łatwo ich twarze i imiona, pamiętając tylko ciała i przyrodzenia, wszyscy wtedy byli bardzo spragnieni miłości. Wteraz mogłabym przywołać te imiona i twarze, mogłabym je myśleć, ale po co, skoro ani wtedy nie były dla mnie ważne, ani wteraz nie są.

Wtedy zaś, tej pierwszej nocy u Ziembińskiej na Powiślu, wziął mnie sobie tak, jakby znowu był tamtym Jakubem z 1928 roku, a ja, pijana, pozwoliłam sobie wierzyć, że to znowu on i na bardzo, bardzo długo musiała wystarczyć mi ta noc. Może zresztą słusznie wierzyłam, że był znowu sobą, bo był, ale biorąc sobie moje ciało, nie mnie brał.

Rano, gdy obudziłam się z potwornym, przedwojennym prawie kacem, Ziembińskiej już nie było. Zostawiła nam zapasy i najuprzejmiej napisany liścik ze sformułowanymi niczym prośby instrukcjami, które na normalny polski tłumaczyły się: nie hałasować, nie wychodzić na klatkę, a już pod żadnym pozorem na zewnątrz, nie pokazywać się w oknach, jeśli chodzić, to jak najciszej, rozmawiać tylko szeptem, zachowywać się tak, jakby nas nie było. Jedzenie oszczędzać, bo ona nie wie, kiedy wróci.

Gdy Jakub spostrzegł, że jej nie ma, oklapł natychmiast, jakby uszła z niego ta chwilowa wola życia, jaką okazywał wczoraj. Tej nocy nie spaliśmy ze sobą. Towarzystwem był beznadziejnym, ale przynajmniej nie musiałam się nim zajmować, po prostu leżał, pić i jeść było co. Dla zabicia nudy czytałam książki ze wspaniale zaopatrzonej biblioteczki, jedną powieść po drugiej, nigdy nie czytałam szybko, a teraz szło mi jak z płatka, Jakub zaś oddawał się patrzeniu w ścianę.

Po dwunastu dniach Ziembińska wróciła, wróciła jakby nigdy nic, wróciła wieczorem, wróciła z dwiema siatami pełnymi prowiantu, z dwiema butelkami wódki i nagle nie musieliśmy już spędzać dni w ciszy. Dałam jej parę złotych rubli, przyjęła je z odpowiednio namaszczonym zawstydzeniem, a jednak przyjęła, potem zaś na powrót zaczęła grać swoją gościnno-gospodarską komedię, wbrew wcześniejszym instrukcjom nastawiła nawet patefon, puściła muzykę, a ja nawet nie zastanawiałam

się, dlaczego czuje się tak pewnie, i proszę, oto rozsiedliśmy się przy stole, jedliśmy i piliśmy znowu i nawet śmialiśmy się głośno, nie tylko Jakub i ona, ale nawet ja się śmiałam, głośno, głośno, wódka, muzyka i tańczyliśmy, jakby nie było wojny, jakby Montgomery nie dorżnął niedawno Rommla w Tunezji, jakby feldmarszałek von Manstein, odzyskawszy Charków i pobiwszy Golikowa i Rokossowskiego, nie ratował właśnie sytuacji na froncie wschodnim po upadku Stalingradu.

Pozwoliłam sobie na to, na ten wieczór bez wojny, bez tej wojny na zewnątrz i bez wojny, którą toczyłam z Ziembińską tak, jak toczę ją z całym światem, od kiedy pamiętam.

Pozwoliłam sobie na to, mimo że Ziembińska była przecież moim wrogiem. Jednak śmiałam się, piłam wódkę i tańczyłam, nie tylko z Jakubem, tańczyłam nawet z nią i wiem, w którym momencie popełniłam błąd: kiedy pozwoliłam się jej pocałować. A pozwoliłam, bo byłam zmęczona, śmiertelnie zmęczona i to zmęczenie odebrało mi uważność.

Ona potem, pijana, drzemała na kanapie, a ja poszłam z Jakubem, znów pełnym życia, do naszej sypialni, rozebrałam najpierw jego, potem siebie i Jakub wziął mnie od tyłu, a kiedy mnie brał, to w drzwiach stanęła ona, też już naga, i patrzyła na nas, a my, twarzami w stronę drzwi zwróceni, patrzyliśmy na nią.

Byłam pijana, jednak nie tak pijana, by nie dostrzec, jak piękne, zdrowe, niedotknięte wojną ani wiekiem, ani urodzeniem tak złym jak moje było jej blade, białe ciało, szerokie biodra, małe piersi, gęste włosy na łonie. Patrzyła na mnie nawet bardziej niż na niego, patrzyła i usta miała rozwarte lubieżnie, a ja, ponieważ wcześniej pozwoliłam się jej pocałować, ponieważ tańczyłyśmy i ponieważ ratowała nam życie, nie wstałam i nie zatrzasnęłam drzwi, nie wrzasnęłam, że ma się wynosić, nie zrobiłam wtedy tego, co powinnam była zrobić, tylko wyciągnęłam do niej dłoń, zapraszając, by się do nas przyłączyła.

Była zaskakująco, zadziwiająco wręcz nieśmiała, co oczywiście sprawiło, że cała ta konstelacja stała się podniecająca nawet dla mnie, kiedy wyszeptała, nagle zawstydzona, że nigdy czegoś takiego nie robiła, w co z łatwością uwierzyłam, sama będąc doświadczona we wszystkich możliwych układach ciał kobiecych, męskich i nawet mieszanych.

Jakub mruczał coś pijany i jego ręce wędrowały po jej ciele i po ciele moim, a ja pozwoliłam mu wziąć ją od tyłu i podałam jej moje biodra, a ona przyssała się do mnie z nagłym oddaniem, tak niezwykle poruszona tym, jak wiele dotyka ją dłoni i tym, że jak sądzę, po raz pierwszy dotykała tak kobiecego ciała innego niż swoje.

I już wtedy rozumiałam, co się dzieje. Rozumiałam, że go tracę. Że jej ciało mi go odbierze z tą zwyczajną, powszednią łatwością, z jaką młodość zawsze wygrywa z dojrzałością.

Potem Jakub zasnął, a ona ciągle pozostawała niezaspokojona i długo leżałyśmy na grubym dywanie na podłodze, ja z głową między jej udami, aż w końcu dreszcz przebiegł przez całe jej ciało i drżała tak, jęcząc, bardzo długo, jej dłonie wczepione w moje włosy. Chwilę potem ściągnęła na nas obie kołdrę z chrapiącego Jakuba i tak zasnęłyśmy na podłodze, wtulone w siebie.

Kiedyśmy się wszyscy obudzili koło południa, Jakub dalej był w łóżku, ale Anna leżała przy nim wtulona w jego wielkie jeszcze ciało, ja zaś pozostałam na podłodze, pod kocem, którym sama się nie przykryłam.

Gdy otwarła oczy, uśmiechnęła się do mnie i był to uśmiech serdeczny, życzliwy, może nawet miłosny, ale wiedziałam, że przede wszystkim był to uśmiech triumfu.

Zjedliśmy śniadanie w niezręcznym milczeniu. Potem Ziembińska wyszła, wróciła wieczorem i tego wieczora nie piliśmy wódki, kiedy zaś przyszedł czas kłaść się spać, Jakub spojrzał na mnie skruszonym wzrokiem, z przeprosinami w spojrzeniu, które znałam aż za dobrze, bo wiele razy tak na mnie patrzył, więc kazałam mu po prostu wypierdalać i odwróciłam się do czarnego prostokąta zaciemnionego okna, on zaś wyszedł z sypialni i poszedł do drugiej, gdzie ona czekała już na niego i wpuściła go, i starannie zamknęła za nim drzwi, bardzo delikatnie, jak najciszej, tak aby nie zamykać ich z ostentacyjnym trzaśnięciem, i to ciche zamknięcie drzwi zraniło mnie głębiej nawet niż dźwięk przekręcanej zasuwki i odgłosy, jakie niedługo później zaczęły mnie z tej sypialni dobiegać.

Wiedziałam, że mogę zrobić tylko jedno: czekać, tak jak zawsze na niego czekałam.

Następnego dnia już jej nie było, Jakub jednak został w osobnej sypialni, do której Anna zachodziła zawsze, kiedy tylko wpadała do nas, a wpadała co jakiś czas, co kilka dni, póki wszystko się nie skończyło. Wódki już razem nie pijaliśmy, aż w końcu któregoś razu zrobiło się jej mnie żal i znowu przyszła z butelkami, znowu był patefon, znowu nawet tańczyliśmy, znowu pozwoliłam się jej pocałować i nalewałam obojgu szczodrze, sama zaś picia unikałam.

Anna, nagle wylewna, opowiadała o swojej konspiracyjnej pracy.

A więc tak, przeszła trening w Londynie i w Szkocji, po czym przywiózł ją tutaj z Londynu angielski myśliwiec spitfire z polskim pilotem i zeskoczyła w nocy na spadochronie, nad Warszawą, wylądowała na moście Poniatowskiego i teraz pracuje w wywiadzie Armii Krajowej. Rozpracowuje niemieckich oficerów w Warszawie.

Jakub milczał. Poprzedniego dnia słyszeliśmy wystrzały artyleryjskie oraz odległe strzały z broni ręcznej i maszynowej. Zapytałam o to.

Wtedy powiedziała nam, że to getto walczy. Żydzi walczą.

Odpowiedziałam jej, że getto umiera, być może z bronią w ręku, ale umiera, nie walczy, wzruszyła na to ramionami.

Kiedy zaprosiła mnie do „ich" sypialni, delikatnie, najdelikatniej odmówiłam, nie rozumiejąc własnej delikatności. Zasnęli oboje nadzy i pijani, zbyt pijani na miłość, przykryłam ich nawet troskliwie kołdrą, po czym wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi.

I tak trwaliśmy długo.

Potem, zimą, zaczęli przychodzić różni ludzie. Nigdy nie widziałam, kto to był, bo ja i Jakub musieliśmy chować się wtedy w wielkiej szafie, która stała w mojej sypialni, co było dla mnie zupełnie zrozumiałe, więc przyjmowałam to z obojętnością. Jakub kręcił na to nosem i tak idiotycznie, absurdalnie siedzieliśmy razem między pachnącymi naftaliną paltami, garniturami i futrami, należącymi do ludzi, których nie znałam, których nigdy nie spotkałam, którzy, jak mi się wtedy wydawało, może już nie żyją, a wteraz wiem, że rzeczywiście nie żyli. Ziembińska przepraszała nas za to po stokroć, ale zamykała szafę na klucz, żeby przypadkiem ktoś na nas nie wpadł.

Akceptowałam to. Siedzieliśmy razem, naprzeciwko siebie, pod tymi paltami i futrami i nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem, nie tylko z powodu wymogów konspiracji, ale również dlatego, że po tym wszystkim nie bardzo mieliśmy sobie cokolwiek do powiedzenia.

Za trzecim razem goście Ziembińskiej zostali na dłużej, my więc z konieczności również zostaliśmy, tyle że w szafie. Z salonu dobiegały nas stłumione odgłosy przyjęcia, polskie i niemieckie głosy.

– Mam czterdzieści trzy lata, byłem bokserskim mistrzem Warszawy, byłem królem tego miasta, rozrzucałem stuzłotówki w Cristalu, a teraz siedzę w szafie u tej polskiej kurwy i nie mogę wyjść, bo ona ma gości, siedzę tu zamknięty na klucz – wyszeptał w ciemność Jakub, a ja w ciemność wzruszyłam ramionami. Zastanawiałam się, co robią u niej Niemcy, czy to mają być ci rozpracowywani oficerowie.

Wypuściła nas po kilkunastu godzinach, skacowana i nieco wymięta. Zapowiedziała, że nie jest wykluczone, iż będziemy musieli w szafie spędzić trochę więcej czasu. Z tego powodu ma pewien pomysł. Za kuchnią jest mała spiżarka, przylegająca akurat do ściany, przy której stoi szafa. Drzwi do spiżarki można zamaskować łatwo, przesuwając jeden z dwóch kuchennych kredensów. Z szafy wymontuje się plecy, rozbierze kawałek ściany i w ten sposób będziemy mogli w szafie przebywać dłużej, z większymi wygodami.

Tak właśnie powiedziała, z większymi wygodami.

Kryjówkę przygotowali razem z Jakubem, ja nie przyłożyłam do tego ręki. Wycięli plecy w szafie, rozebrali kawał ściany, Anna wynosiła cegły, które ze ściany wydłubywał Jakub. W efekcie z szafy do zamaskowanej spiżarki prowadziło niewielkie przejście, a w spiżarce było miejsce akurat na posłanie dla dwóch osób, chociaż Jakub musiał podkurczać nogi, był bowiem zbyt wysoki. Pociągnęli do środka nawet prąd, zawiesili żarówkę, więc nie musieliśmy już siedzieć w ciemnościach.

W kryjówce tej spędzaliśmy coraz więcej czasu, coraz mniej na zewnątrz. Ziembińska gości miała coraz częściej i teraz wyraźniej słyszeliśmy ich głosy. Mówili zwykle po niemiecku, czasem po polsku. O polityce nie rozmawiali, przynajmniej nie w kuchni. Pili, puszczali muzykę z patefonu, bawili się, a od wschodu powoli nadchodzili Sowieci. Jedzenia nam nie brakowało, brakowało nam za to nadziei.

Jakub wrócił powoli do apatii, w jakiej pogrążył się wcześniej, w szopie Többensa. Ziembińska nie zapraszała go już do swojej sypialni. Wódki też już razem nie pijaliśmy, nie było okazji, nie bywała w mieszkaniu sama. Kiedy wypuszczała nas z kryjówki, zawsze z przeprosinami, że tak długo to trwało, czasem sama wychodziła z mieszkania, nie było jej dzień czy dwa, my mogliśmy opróżnić nocniki i wiadra z pokrywami, które podczas tych klaustrofobicznych dni służyły nam za ustępy, mogliśmy się wykąpać, rozprostować kości, po czym Anna wracała, ponownie przepraszając, kryła nas z powrotem do szafy i spiżarni za szafą, po czym znowu pojawiali się goście.

Rozumiałam doskonale, dlaczego straciła zainteresowanie Szapirą. Rozumiałam też, dlaczego na początku naszego pobytu w mieszkaniu na Solcu zachciało jej się go sobie wziąć. Rozumiałam również, dlaczego kiedyś się w nim zakochała.

Kiedy go poznała, w 1937 roku, Szapiro był wilkiem, był lwem, był królem Warszawy, był machabejskim wojownikiem. Był czystą siłą i wolą, jego gniew był straszny, jego miłość najsłodsza. Nawet w chwilach załamania pozostawał wojownikiem, wielkim wojownikiem, jak pokonani Indianie w powieściach Karola Maya, nawet przegrany nie tracił męstwa i godności.

Potem jednak stał się kimś podobnym raczej do prawdziwych pokonanych Indian, nie tych w powieściach, złamanym, rozpitym, pozbawionym ducha i woli życia; Apacz pozbawiony wolności, Komancz zamknięty w rezerwacie…

Dlaczego więc wzięła go sobie ponownie po sześciu latach, pokonanego i złamanego?

Wzięła go sobie, aby mi pokazać, że może. To ja byłam celem i powodem odnowienia tej miłości. Kiedy już udowodniła mi, co było do udowodnienia, to do niczego nie był jej potrzebny ten wielki, pusty w środku mężczyzna.

Jednak nadal trzymała nas w swoim domu, coraz mniej nami zainteresowana, mimo to podtrzymywała nas przy życiu. Nie rozumiałam wtedy dlaczego, wteraz rozumiem.

W końcu któregoś dnia, wtedy nie wiedziałam którego, bo straciłam kalendarzową rachubę czasu, wteraz wiem, że był to 31 lipca 1944 roku, do

tego poniedziałek, co od dawna nie miało dla nas żadnego znaczenia, bo nie różniły się dla nas od dni powszednich ani chrześcijańskie niedziele, ani żydowskie szabasy, w końcu coś się jednak stało.

Siedzieliśmy w schowku czwartą dobę z rzędu, byliśmy głodni i spragnieni, przepełniony nocnik śmierdział, w schowku było też potwornie gorąco. Ziembińska przebywała w mieszkaniu z jakimś Niemcem o imieniu Simon, czasem zostawiała go nawet na trochę samego z niewidzialnymi nami, niewidzialnymi i niesłyszalnymi. Wyglądało to tak, jakby Niemiec praktycznie u niej zamieszkał.

W poniedziałek późnym wieczorem weszli do kuchni, Anna Ziembińska parzyła prawdziwą kawę, którą musiał jej Niemiec przynieść, bo była wtedy wielką rzadkością, jej zapach docierał do naszej skrytki i drażnił mnie niezwykle. Rozmawiali po niemiecku, Ziembińska mówiła zupełnie swobodnie, jakby o nas zapomniała, jakby nas nie było za drzwiami zasłoniętymi wielkim kredensem, w naszej czarnej spiżarni z posłaniami. Słychać było, że są już pijani, kawa pewnie miała postawić ich na nogi, a my wszystko rozumieliśmy, bo kiedy się mówi po żydowsku, to niemiecki można zrozumieć, poza tym w getcie się człowiek z niemieckim, chcąc nie chcąc, osłuchał.

W kuchni Anna opowiadała Niemcowi o jakiejś Akcji „Burza", o polskim legionie Waffen-SS, o tym, że jej rodzina zawsze walczyła z bolszewizmem i już czas, by Polacy i Niemcy stanęli ramię w ramię, szeregi zwarte i postawili tamę bolszewickiej powodzi. Niemiec przytakiwał. Potem powiedział, że ubolewa nad tym, że na drodze polsko-niemieckiego porozumienia stanęły te wszystkie niepotrzebne niemieckie okrucieństwa, które spadły na Polaków, i że on jest temu przeciwny, jak również nie zgadza się z tym, aby Polaków i w ogóle Słowian uważać za rasę niższą od Germanów, bo w końcu Słowianie są tak samo Indoeuropejczykami (po niemiecku używał słowa „Indogermanen") jak ludy germańskie. Problemem jest semicki, żydowski bolszewizm, wobec którego Polska i Polacy zawsze byli wrodzy. Anna słuchała, potakiwała, sama nie dodawała nic.

Rozmawiali, pili wódkę, potem wyszli z kuchni, poszli do sypialni.

Pomyślałam, poczułam, że mam tego dość, że nie zniosę dłużej tej kryjówki, że nie zniosę też tego, iż Anna Ziembińska prosperuje,

romansuje z Niemcami, pije wódkę, pierdoli się i żyje, po prostu żyje, podczas kiedy my egzystujemy zaledwie w sensie biologicznym, i uczucie to stało się nagle nieodparte, wykluczające wszystko inne, każdą inną myśl, obezwładniające świadomość tak, jak obezwładniająca potrafi być potrzeba opróżnienia jelit, kiedy parcie staje się już nie do wytrzymania.

Czy planowałam, co dalej? Nawet wteraz nie jestem pewna, czy były to tylko emocje, czy może decyzja podświadomie racjonalna, czy kierowała mną czysta nienawiść, czy był w tym element racjonalnej, chociaż podświadomej woli przetrwania.

Wiele złożyło się na moją decyzję. Owszem, trwała wojna, a nasze biologiczne przetrwanie było zagrożone, jednak decyzja, którą wtedy podjęłam, nie należała do porządku wojennego. Była przede wszystkim decyzją z porządku miłości.

Wybaczyłam mu, że porzucił mnie dla kobiety, która dała mu synów. Uznałam swoją niezawinioną, ale słabość. Chciał mieć dzieci, ja nie mogłam mu dać dzieci, nie winiłam go więc za to, że wziął sobie tę, która mogła. Wybaczyłam mu to, bo rozumiałam jego decyzję i jakoś, w perwersyjnie wrogi samej sobie sposób uważałam, że była to decyzja właściwa.

Wybaczyłam więc Jakubowi i wybaczyłam matce jego dzieci, ale sobie nie mogłam wybaczyć, że Ziembińskiej nie zastrzeliłam, kiedy powinnam była ją zastrzelić, kiedy jeszcze mogłam, że się nią wtedy zaopiekowałam tylko dlatego, że była kimś od niego, zaopiekowałam się nią tak samo, jak zaopiekowałabym się jego dzieckiem, gdyby przyszło do mnie.

A ona przecież nie była jego dzieckiem i powinnam była ją po prostu zastrzelić wtedy, w 1937 roku, kiedy był na to czas. Nie wyciągnęłaby nas wtedy z getta, jasne, ale znalazłabym inny sposób.

Gdybym ją wtedy zastrzeliła, czy wyjechałby do Palestyny? Może ja z nim? To pozostaje przede mną zakryte, jest tylko jeden świat, w którym żyję i który myślę, jedna linia czasu, nie ma żadnego „a gdyby".

Mogłam ją przecież zastrzelić albo zadźgać nożem, kiedy pierdoliła się z Jakubem. Mogłam, ale tego nie zrobiłam, bo łatwo potrafiłam znieść to, że Jakub pierdoli się z inną kobietą, znosiłam to prawie całe moje dorosłe

życie, nie umiałam tylko znieść, że Jakuba, którego ja chciałam bardziej niż czegokolwiek na świecie, jakaś kobieta porzuca.

I wreszcie ten Niemiec. Z którym ona gada w kuchni o wspólnej walce przeciwko bolszewizmowi. Za takie gadanie jest kula w łeb nawet w polskiej konspiracji.

Kolaborantka, słowo jak kula.

Oczywiście, nawet wtedy zdawałam sobie z tego jakoś podskórnie sprawę, a wteraz wiem to na pewno, że oszukiwałam się, bez reszty się oszukiwałam. Owszem, brzydziłam się Niemcami i nienawidziłam Niemców, ale Polakami brzydziłam się i nienawidziłam ich tak samo. Za coś innego i inaczej, ale te ich spory, oskarżenia o to, na ile dobrym Polakom wolno było z Niemcami współpracować, w jakich dziedzinach życia wypadało, a w jakich nie wypadało, w ogóle mnie nie obchodziły.

W każdym razie nie dlatego chciałam jej śmierci, że kolaborowała z Niemcami. To było mi obojętne. Wtedy nawet nie byłam pewna do końca, czy akurat kolaborowała, czy może raczej to był jakiś fortel, jakiś podstęp, uwodzenie niemieckiego oficera na rozkaz i dla dobra Armii Krajowej.

To wszystko było mi obojętne. Jej śmierci chciałam, bo wzgardziła mężczyzną, który wolał ją ode mnie. Chciałam, żeby umarła, bo śmierci życzyłam każdemu, kto mną pogardzał.

I zabiłam.

– On ją tam pierdoli, wiesz? – wyszeptałam w tej ukrytej za szafą spiżarce do Jakuba, leżącego obok mnie bez ruchu.

Nie odpowiedział, ale wiedział to przecież doskonale.

– Mężczyzna, którego pokochałam, mężczyzna, którym kiedyś byłeś, wiedziałby, co zrobić – dodałam jeszcze i była to nieprawda.

Była to nieprawda, ponieważ wszystko, czym się stał, tkwiło w nim już wcześniej, sam uczynił się tym, kim się uczynił. Nic się w nim nie zmieniło, w schowku za szafą był takim samym Jakubem Szapiro, jakim był, gdy w 1938 roku zajeżdżał czerwonym chryslerem Kuma pod Adrię albo pod Bristol, kiedy wchodził tam wielki, świeżo ogolony, cały odszyty w angielskiej flaneli, w płaszczu z wielbłądziej wełny z kołnierzem z karakułów, pachnący, wybrylantynowany, ciężki i groźny jak stary tygrys.

Kiedy rzucał płaszcz szatniarzowi, kiedy kłaniali mu się kelnerzy, kiedy zamawiał homara, który jeszcze tego samego ranka pływał w Adriatyku, kiedy na złość mieszczanom siadał u Simona i Steckiego z żydowskimi kurwami i sobie z tymi kurwami głośno i ostentacyjnie rozmawiał w jidysz, pił, śmiał się tubalnie, a kto spojrzał na niego krzywo, temu potrafił twarz wcisnąć w talerz z rosołem, był wtedy dokładnie taki sam, jak ten złamany własną pychą i głupotą człowiek, kryjący w schowku w szafie własne tchórzostwo przed niemieckim okrucieństwem i polską podłością.

Wszystko to było w nim od zawsze. Jego dzika pycha nie zmalała tam, za szafą, bo wyrastała z samej osnowy jego charakteru, tego, kim był i jaki był. Pycha Jakuba Szapiry wynikała z jego strachu, z przerażenia, że ktoś mógłby mieć go za kogoś gorszego, jej efektem zaś była nieustanna konieczność udowadniania wszystkim swojego znaczenia.

Z sypialni, w której Ziembińska oddawała się jakiś czas temu Jakubowi, dobiegały odległe dźwięki świadczące o tym, że oddaje się tam teraz komuś innemu, Niemcowi, z którym wcześniej po niemiecku rozmawiała w kuchni.

– Daj mi pistolet – wyszeptał Jakub.

Dałam mu broń, a on leżał przez chwilę na posłaniu bez ruchu z moim parabellum w dłoni, a potem nagle zerwał się, przecisnął do szafy, chciał wykopać drzwi, ale go powstrzymałam, lepiej przecież Niemca zaskoczyć. Podważył więc delikatnie skuwkę zamka i otworzył szafę.

Drzwi do naszej sypialni były otwarte, wypadł na korytarz, potem ruszył do jej sypialni.

Ziembińska klęczała na łóżku naga, twarzą do drzwi i z wypiętym tyłkiem, a potężny Niemiec o szerokich ramionach, wielkim brzuchu i nalanej mordzie rzeźnika stał za łóżkiem i pierdolił ją od tyłu, był ciągle w wysokich butach, spodnie zielonego munduru miał spuszczone do kolan, na krześle obok wisiała policyjna kurtka.

Niemiec sapał, Ziembińska popiskiwała, Jakuba zobaczyła dopiero po sekundzie czy dwóch, szarpnęła się, Niemiec zapatrzony w jej pośladki nie zauważył Jakuba w ogóle, wygiął się w spazmie rozkoszy, wtedy Jakub strzelił z mojego pistoletu i trafił Niemca w pierś, w mostek, na wysokości

serca, ten upadł na plecy, wierzgnął parę razy i tak już został, półnagi i martwy, umarł, nie wiedząc, że umiera ani kto go zabił.

Ziembińska, naga, zastygła w pozycji, w której ją zastaliśmy. Patrzyła prosto w lufę pistoletu w dłoni Jakuba i nie ośmieliła się nawet drgnąć.

– Uratowałam was, ukrywałam… – wyszeptała, nie odrywając wzroku od broni.

Na stoliku nocnym leżała brązowa kabura, najwyraźniej Niemca. Obok stał oparty o ścianę pistolet maszynowy z drewnianą kolbą i bocznym magazynkiem, taki sam, jaki w getcie nosił Blösche. Anna na sekundę zerknęła w stronę broni.

– Strzelaj! – syknęłam.

I strzelił. Nie trafił pierwszą kulą, Ziembińska rzuciła się w stronę pistoletu maszynowego swojego kochanka, Jakub strzelił po raz drugi i tym razem trafił ją w ramię, a ona spadła z łóżka, w wąską przestrzeń między jego krawędzią a ścianą. Jakub podszedł do niej, nogą odsunął należący do Niemca pistolet maszynowy.

– Spitfire to jest jednoosobowy myśliwiec – powiedział głucho.

– Co? – nie zrozumiała Ziembińska i ja też nie zrozumiałam.

– Myśliwiec. Jednoosobowy. Czytałem w „Skrzydlatej Polsce", mój syn prenumerował przed wojną.

– No ale co z tego? – dalej nie rozumiała, a może przerażona udawała tylko, że nie rozumie.

– Skoczkowie spadochronowi nie skaczą ze spitfire'ów. Skoczkowie skaczą z samolotów łącznikowych, transportowych albo nawet z bombowców, ale nie ze spitfire'ów. Nie przyjechałaś tu z żadnego Londynu, niemiecka kurwo – powiedział Jakub.

Ja oczywiście zapomniałam już dawno, że kiedyś mówiła coś o jakimś samolocie, którego nazwy ani nie znałam, ani mnie to nie interesowało, Jakub tymczasem z tego kłamstwa uczynił dla oszukania siebie uzasadnienie, aby Ziembińską zastrzelić. Oto strzelam do faszystowskiej kolaborantki, co przecież nie dziwi, zważywszy, z jakiej jest rodziny – nazywając ją jednak niemiecką kurwą, sam zapomniał o czapce i opasce, jakie nie tak dawno nosił.

– Jesteś idiotą, Szapiro – parsknęła Ziembińska, Szapiro zaś strzelił i trafił Ziembińską w czoło, oszukując sam siebie, że to on zrobił, że to on podjął decyzję i to on ją zabił, co prawdą nie było, bo to ja zdecydowałam, że ona ma umrzeć, nie on. Nie on. To ja ją zabiłam.

– No i gotowe – powiedziałam.

– Należało się jej, z Niemcami się kumała… – powiedział Szapiro.

Odwróciłam się nagle do niego, jakby poraził mnie prąd.

– A ty, kiedyś byle wachmanowi salutował posłusznie i na wyprzódki do tej cyrkowej czapki, toś się z Niemcami nie kumał, tłusty łajdaku? – krzyknęłam prawie. – Nagle ci się polskich honorów zachciało? Tylko świnie siedzą w kinie? Śmierć kolaborantom? A że ciebie Partia chciała rozwalić za to samo, toś już zapomniał?

Zeszło z niego powietrze, sflaczał nagle, osłabł.

– Oddaj mi pistolet – zażądałam, wyciągając rękę.

Oddał po chwili wahania.

Nie, nie podobało mi się, kiedy tak gadała z tym Niemcem o bolszewikach, bo bolszewicy, ich nadejście to była jedyna nasza nadzieja na życie. Ale poza tym nie zamierzałam akceptować jego wymówek. Jej śmierć była karą, owszem, ale nie za jakieś polskiej wyobraźni przynależne zbrodnie kolaboracji. Ukarałam ją za coś innego.

Za to, że sądziła, że jest ode mnie lepsza we wszystkim. Lepiej urodzona. To jej sądzenie nie było nawet jakimś świadomie wypracowanym przekonaniem, pielęgnowanym czy roztrząsanym, to było wpisane, wdrukowane w nią, sądziła, że jest lepsza ode mnie tak samo, jak sądziła, że wieczorem zajdzie słońce. Za to chciałam ukarać ją i w zasadzie każdą jej podobną, i ukarałam.

– Co teraz? – zapytał Jakub. Ciężko oparł się plecami o ścianę i osunął po niej na podłogę.

Zatęskniłam bardzo za czasami, w których nie zadawał tego rodzaju pytań, bo cały był działaniem i zawsze wiedział „co teraz”, za czasami, w których jego „teraz” było esencją jego życia, za czasami, w których wrzały w nim wola, głód życia, energia.

Te czasy jednak się skończyły, a teraz mieliśmy dwa trupy w mieszkaniu, z którego ze względu na wygląd nie mogliśmy wyjść, mieliśmy pistolet

maszynowy, o którym wteraz wiem, że nazywał się MP 28, a który wtedy powszechnie i mylnie nazywaliśmy bergmannem, jak każdy pistolet maszynowy o drewnianej kolbie, w odróżnieniu od rzadko przed polskim powstaniem widywanego w Warszawie i bardzo pożądanego, frontowego szmajsera o bakelitowym chwycie i metalowej, składanej kolbie.

Mieliśmy więc dwa trupy, pistolet maszynowy i trzy magazynki, jeden dwudziestonabojowy i dwa trzydziestonabojowe, co dawało łącznie osiemdziesiąt nabojów pasujących również do mojej parabelki, do tego osobisty pistolet Niemca w kaburze na stoliku nocnym obok łóżka, jak się potem okazało, nie za bardzo do czegokolwiek zdatną, małą siódemkę, do tego jeszcze – jak sprawdziłam – prowiantu na tydzień jedzenia do syta i dwa tygodnie nie do syta. I musieliśmy zdecydować co dalej.

Ja musiałam zdecydować. Jakub siedział pod ścianą i patrzył na trupa Ziembińskiej, i widziałam, widziałam wyraźnie, jak znów się rozpada, rozlatuje, jak wraca w ciemność tak szybko, jak z jej martwego, nagiego ciała wypływała ciemna, czarna prawie krew.

Nie rozumiałam wtedy tej dziwacznej konfiguracji, ona Polka, my Żydzi w kryjówce za szafą, Niemiec w kuchni, w sypialni i w niej, rozmowy o wspólnej walce z bolszewikami, jakby jedna polska kurwa i szwabski wachtmeister Ordnungspolizei mieli cokolwiek do gadania w kwestii wspólnej wojny z bolszewikami.

Wtedy więc nie rozumiałam, wteraz rozumiem, ale nawet wtedy, mimo że zdecydowałam się ukarać ją śmiercią, nie osądzałam jej. Tak, miała się za kogoś z natury rzeczy pod każdym względem lepszego od kogoś takiego jak ja, ale czy było to jej winą, czy raczej winą środowiska i klasy, w jakich się pojawiła na świecie, w jakich się ukształtowała i została sobą?

Tego nauczyłam się dużo wcześniej, jeszcze w żoliborskim baraku, od madame von Regel. Stałym refrenem wszystkich jej nauk było to, by nie oceniać nikogo, kogo nie znamy najintymniej, bo nie wiemy nigdy, z jakimi przeciwnościami się zmaga, jaką wewnętrzną wojnę toczy.

Skąd madame von Regel wzięła to nietypowe w jej środowisku przekonanie? Z cierpienia. Mnie samą wiele lat później zarządzanie moim burdelikiem tylko utwierdziło w tej postawie. Dlatego może byłam tak powszechnie lubiana i szanowana przez moich klientów, bo niezależnie od

tego, ile pieniędzy gotowi byli u mnie zostawić, na jedno mogli liczyć zawsze, na to, że nie będę ich osądzała.

Dla wielu przyjście do burdelu było czymś tak oczywistym, jak wzięcie dorożki, z tą różnicą, że więcej mieli szacunku do dorożkarza niż do kobiety, której ciała używali, ale nawet tych nie oceniałam, jeśli tylko nie psuli mi dziewczyn, bo skoro tak ich wychowano, tak ukształtowano, skoro do burdelu prowadził ich ojciec albo wuj, żeby stracili cnotę i przed ożenkiem nauczyli się, jak się te sprawy załatwia, to jak mieli widzieć w kurwie człowieka? Skoro w najbardziej podstawową osnowę ich charakterów wpisane było, że w kobiecie najważniejsza jest jej cześć, ta przez mężczyzn wymyślona i męskim interesom służąca wyimaginowana czystość, której strzec musi kobieta sama oraz opiekujący się nią mężczyźni, to skąd mieli w sobie znaleźć szacunek dla kobiet oddających swoje ciała za pieniądze? Nie należały dla nich one nawet do tego samego rodzaju ludzkiego co ich żony czy córki, były nieludźmi w ludzkich ciałach, tak samo zresztą jak ich służące czy chłopki w majątku, jeśli jakiś poza miastem posiadali. I jednocześnie nawet wśród tych, dla których moje dziewczyny niewiele różniły się od zwierząt domowych, nawet wśród tych wyrosłych na krzywdzie ubogich bogaczy, wśród upasionych przez pokolenia chłopów ziemian albo wśród nuworyszy, polskich czy żydowskich kapitalistów, pasących się na tym, co w ich rozdętych do rozmiarów fabryk geszeftach wypracowali proletariusze, nawet wśród takich zdarzali się ludzie dobrzy. Będący, owszem, produktami swojej klasy i swojej epoki, ale dobrzy, na jakiś sposób szlachetni i niektórym nawet, tym najinteligentniejszym, udawało się ograniczenia formacji, w której zostali wychowani, przełamać.

Byli też jednak tacy, którzy przychodzili do mojego przybytku bez tej triumfalnej pewności siebie panów świata, niższego szczebla urzędnicy, czeladnicy, studenci z biednych rodzin, subiekci, tacy, którzy po wejściu rozglądali się nieco przestraszeni, ściskając kapelusz w dłoniach i przyciskając go do piersi, zamiast podawać cylinder, laskę i rękawiczki w przestrzeń gestem, który wyrażał nieme założenie, iż oczywistym jest to, że w tej przestrzeni musi znajdować się jakaś usłużna ręka, która ten cylinder, rękawiczki i laskę przyjmie, podczas kiedy dwie inne, należące do ludzi nieomalże niewidzialnych, zajmą się ściąganiem płaszcza z ramion

jaśnie pana. Ci, którzy swoje kapelusze miętosili w dłoniach, na wszelką usłużność reagując jakimś nieśmiałym „ależ nie trzeba", do płatnych dziewcząt zwracali się per „córeczko" i gdyby one same nie przejmowały inicjatywy, to pewnie nie zdjęliby nawet spodni i w całym opłaconym czasie siedzieli speszeni na krześle.

Ci przywiązywali się do dziewczyn, nawet zakochiwali się w nich czasem, czemu z myślą o dobru dziewcząt starałam się przeciwdziałać, nie zawsze skutecznie, wracali do nich regularnie, na ile pozwalał im budżet, często do tego przygnieceni poczuciem winy, że oto zostawiają u mnie pieniądze, które odejmują od ust swoim dziateczkom. Często też byli ludźmi autentycznie wierzącymi i przekonanymi, że grzeszą tutaj i skazują się na piekło, w czym tylko doraźnie pomagało im skorzystanie z sakramentu pokuty, czasem też prawdziwie kochali odmawiające im łoża żony i zżerała ich wina, że łamią przysięgę i tak dalej, i jeśli akurat był spokojny dzień i części barowej nie wypełniali ludzie Kuma i Szapiry albo ci podający cylindry w przestrzeń, to zapraszałam ich niekiedy do baru, gdzie, jeśli akurat ruchu nie było, siedzieli czasem i godzinę, wypijali trzy piwa albo kilka kieliszków, czasem nawet tym najsympatyczniejszym stawiałam, i najczęściej milczeli, a jeśli czuli się akurat bezpiecznie, to zaczynali się zwierzać, bywało, że nawet płakali, a ja słuchałam, kiwałam głową, czasem pogładziłam nawet jakiegoś po włosach i jeśli akurat wtargnęli Kaplica z Szapirą, naturalnie natychmiast automatycznie pogardzający takim byle kim, zapłakanym studenciakiem czy pociągającym nosem młodszym subiektem, to ich przed nimi broniłam, i to broniłam tak, aby nie poczuli się upokorzeni tym, że czyni to kobieta, aby nawet o tym nie wiedzieli.

Tak było i tak samo, jak nie oceniałam tych zapłakanych studenciaków, nerwowych żydowskich prawników, bankierów i kupców, nadętych polskich ziemian czy niemieckich przemysłowców, tak samo nie oceniałam i nie potępiałam Anny Ziembińskiej, na którą wyrok wydałam w porządku miłości, zarówno mojej miłości własnej, jak i mojej miłości do tego wielkiego, złamanego mężczyzny, który siedział wtedy pod ścianą i płakał, patrząc na jej trupa.

– Co teraz? – zapytał po raz drugi przez łzy, a ja wiem wteraz, że płacząc, bezradny, pokonany, wcale nie był słabszy niż wtedy, gdy frunął przez

miasto i rozrzucał w Adrii, w Cristalu albo w Oazie stuzłotowe banknoty specjalnie na okazję rozrzucania zgromadzone, rozrzucał je z pogardą dla każdego, kto swoje stuzłotówki odziedziczył, prawdziwy bohater organizujący wyobraźnię stołecznego proletariatu. Był taki sam. Była w nim ta sama siła co wtedy, a wtedy była w nim ta sama słabość, która wyszła na wierzch w mieszkaniu Ziembińskiej na Powiślu, jak dwie strony jednej monety, awers i rewers Jakuba Szapiry, jedynego mężczyzny, którego kochałam.

– Nie wiem, co teraz, Jakub – odpowiedziałam.

Mieliśmy dwa trupy, trochę broni, mieliśmy nadzieję i strach, bo przecież padły trzy strzały, sąsiedzi na pewno słyszeli, ktoś mógł pobiec po szwabów albo po granatową policję, jednak nikt nie pobiegł.

A ona? Było mi jej już wtedy żal, chociaż właśnie ją zabiłam ręką Jakuba, a wteraz mogłabym nawet jej śmierci żałować, gdyby takie sentymenty miały jakikolwiek sens.

Mogłabym jej śmierci żałować, bo wteraz wiem, jak wyglądało ostatnie sześć lat jej życia, teraz mam w jej życie wgląd, jakiego wtedy nie miałam.

Po tym, jak Jakub z jej pomocą upokorzył i skompromitował jej ojca, prokuratora Ziembińskiego, który popełnił samobójstwo, Anna stała naprzeciwko brata, ten celował do niej z pistoletu, a Ziembińska śmiała się z tej wycelowanej w nią lufy, bo ani nie bała się umrzeć, ani nie wierzyła, że Andrzej Ziembiński byłby w stanie ją zastrzelić.

I nie był. Z bezradnej wściekłości strzelił w ścianę obok niej i wyszedł, i nigdy się więcej nie spotkali.

Anna też wyszła, zabrawszy ze sobą znaczną sumę pieniędzy i złotych rubli z biurka swojego ojca, po czym wyjechała do Paryża, zdawała sobie bowiem sprawę, że śmieszność, która hańbi bardziej niż hańba, a która spadła na jej ojca, spada poniekąd również na nią. W Paryżu podawała się dla żartu za polską hrabiankę, cokolwiek miało to znaczyć, i przedstawiała jako comtesse Ziembinska de Sas. Dzięki urodzie, pieniądzom i oczytaniu łatwo weszła w środowisko pisarzy i intelektualistów z Action Française, łamiąc kilka serc. Próbowała uwieść Roberta Brasillacha, co jej się nie udało, ponieważ Brasillach nie był raczej zainteresowany kobietami, uwiodła jednak jednego z jego przyjaciół albo to on ją uwiódł, na pewno

w każdym razie poślubił, a potem okradł i wyjechał w nieznane, konkretnie zaś do Ameryki, unosząc ze sobą cały majątek hrabiny Ziembinskiej de Sas. Pozbawiona środków do życia wróciła wiosną 1939 roku do Warszawy, gdzie aby się utrzymać, znalazła sobie zamożnego kochanka, ziemianina z Radomskiego, który często wpadał do Warszawy w interesach i zakochał się w udającej uczucie Ziembińskiej do szaleństwa. To on opłacił jej mieszkanie w przyzwoitej kamienicy na Solcu, w którym spędziliśmy tych kilkanaście dusznych miesięcy.

Ziembińska zamierzała podjąć studia na wydziale malarstwa Akademii Sztuk Pięknych, ale nie podjęła, ponieważ rozpoczęła się wojna. Ziemianin przestał bywać w Warszawie, Ziembińska zaś, aby przetrwać, zbliżyła się do środowiska tworzącego konspiracyjną organizację Miecz i Pług i tak trwała, egzystowała przez te pięć lat w szarym obszarze pomiędzy niemieckim aparatem bezpieczeństwa w całej jego organizacyjnej złożoności a polską nacjonalistyczną konspiracją. Balansowała gdzieś między sentymentem antykomunistycznym a antyniemieckim, brała udział w rozmowach scaleniowych z AK, utrzymując jednocześnie towarzyskie i czasem erotyczne stosunki z oficerami i podoficerami Gestapo i Orpo, między walczącymi ze sobą, a rzadziej współpracującymi mężczyznami wykrawała dla siebie miejsce, żonglując umiejętnie uzyskaną od nich wiedzą, czasem szczuła delikatnie jednych na drugich, dawała Niemcom cynk o takim czy innym konspiratorze albo wystawiała niższego rangą funkcjonariusza polskim konspiratorom, albo pomagała kogoś wyciągnąć z czeluści gmachu na Szucha, albo ostrzegała kogoś przed planowanym zamachem. Była inteligentna, sprawna i bezwzględna, dumna z tego, że zdołała przetrwać, a nawet nieźle prosperować w tym trudnym mieście. Podziwiałabym ją wtedy, gdybym tylko o tym wiedziała. Motywy, dla których za pomocą kontaktów z polską konspiracją wyciągnęła nas z getta, były zaś złożone.

Do mojego Jakuba czuła jakiś sentyment, to jedna sprawa. Druga – to, że Ziembińska nie była głupia i na przełomie 1942 i 1943 roku wiedziała już bardzo dobrze, że Niemcy wojnę przegrają, uznała więc, że schowani w jednym z jej trzech mieszkań Żydzi będą niezłą polisą ubezpieczeniową na przyszłość, jakakolwiek miałaby ona być. Sama nie była też antysemitką i uważała antysemicki sentyment za objaw intelektualnej niewydolności,

jak każde zresztą ideologiczne zaangażowanie. Jedyne, w co wierzyła, to substancja życia samego, przetrwanie i zasada przyjemności. Umarła bez żalu.

My zaś zostaliśmy żywi, przynajmniej ja, bo Jakub balansował na krawędzi życia i śmierci i po tym, jak zastrzelił Ziembińską, wyraźnie przechylił się w tym balansie na stronę śmierci, nie biologicznej, lecz wewnętrznej.

Dniało. Uznałam, że mieszkanie musimy opuścić, ale nie możemy zrobić tego za dnia z powodu naszego niearyjskiego wyglądu. Wyjdziemy wieczorem, spróbujemy przedostać się na drugą stronę Wisły, a potem zaszyć gdzieś w lesie i doczekać Sowietów, tak mi się wydawało, jednak po południu zaczęło się polskie powstanie i postanowiłam, że się z mieszkania na razie nie ruszamy. Spróbujemy przeczekać. Po Polakach niczego dobrego spodziewać się nie mogłam.

Siedzieliśmy więc w mieszkaniu. Pierwszego dnia polskiego powstania słychać było trochę strzałów, drugiego potężna strzelanina wzmogła się od strony elektrowni. Nie ruszaliśmy się z mieszkania. Nawet nie wyglądaliśmy przez okna, Jakuba zresztą ani trochę całe to powstanie nie interesowało. Myślałam tęsknie o czasach, w których Jakub drżałby z podniecenia na myśl o tym, że na ulicy jest strzelane, że można rzucić się w to tango, w te gonitwy i wymiany ognia, które przed wojną nigdy nie przestały go podniecać i podniecały go nawet jeszcze we wrześniu 1939 roku, kiedy bił się z Niemcami na Grochowie.

Teraz leżał na łóżku, a przy głośniejszym huku zakrywał uszy dłońmi.

Trzeciego dnia trupy Ziembińskiej i jej kochanka, wachmana Orpo, zaczęły mocno śmierdzieć. Na szczęście nie było upalnie i od paru dni padało, więc po prostu nie wchodziliśmy do ich sypialni, drzwi zamknęliśmy, pod drzwiami położyłam zwinięty koc, żeby smród się nie przesączał. Niemcy zaczęli bombardować miasto, słyszałam wycie stukasów i huk bomb, Solcem zaś przeszedł powstańczy patrol megafonowy; z zamontowanych na biedce megafonów rozbrzmiewał polski hymn, a potem jakaś odezwa, wzywająca ludność Warszawy do pomocy powstańcom. Strzały słychać było zewsząd, to narastały, to gasły.

Jakub głównie leżał w łóżku w naszej sypialni, nie umiałam go przekonać, że bezpieczniej będzie ukryć się w naszym schronie za szafą,

gdzie spałam ja, nie rozstając się z moją parabelką i pistoletem maszynowym, którego obsługę przećwiczyłam kilkakrotnie, nie było w tym zresztą nic trudnego. Zdołałam go przekonać przynajmniej do tego, by wziął siódemkę z kabury wachmana, ale wątpiłam, czy znajdzie w sobie siłę, by w razie potrzeby jej użyć, i wątpiłam słusznie, ponieważ w nocy z 7 na 8 sierpnia, a więc siódmego dnia polskiego powstania do naszej kryjówki, do mieszkania Ziembińskiej przyszła polska powstańcza żandarmeria.

Ja spałam wtedy w schowku, Jakub zaś w łóżku w sypialni. Nie wiedziałam, kto z hukiem wyważonych drzwi wdarł się do mieszkania, nie wiedziałabym nawet, gdybym widziała ich żółte chusty, bo nie miałam pojęcia, że oznaczają powstańczych żandarmów.

Było ich dwóch, wteraz wiem, że jeden z nich był eneszetowcem, drugi zaś granatowym policjantem, wtedy nic o nich nie wiedziałam.

Najpierw znaleźli Jakuba, nie stawił im oporu. Od razu zidentyfikowali go jako Żyda, nie rozpoznali jednak w nim przedwojennej gwiazdy, boksera i bandyty Jakuba Szapiry. Postawili go przy ścianie w korytarzu, jeden z powstańczych żandarmów go zrewidował, odebrał pistolet, który mu dałam, i trzymał na muszce rewolweru.

Potem znaleźli opuchnięte, gnijące trupy.

Do mieszkania przyszli aresztować kolaborantkę Ziembińską, kiedy zaś znaleźli ją martwą i razem z jej podobnie martwym niemieckim kochankiem już rozdętą tak, że ledwie dało się ją poznać, zaczęli przesłuchiwać Jakuba.

Zażądali papierów. Nie dał, bo nie miał.

Zapytali go o imię i nazwisko, nie odpowiedział.

Zapytali, kto zabił Ziembińską i Niemca, nie odpowiedział.

Zapytali, co tu robi, skąd jest, czy był w getcie, nie odpowiedział ani słowem.

Naradzili się wtedy ze sobą krótko.

Kto to jest, nie wiadomo. Broń miał. Może szpieg. Komunista. Bolszewik. Sabotażysta. Może gołębiarz nawet? No co ty, Mietek, Żyd-gołębiarz? No to gołębiarz nie. Ale komunista może to być. Może. Zostawić go tu nie można. Brać ze sobą kłopot. To chyba rozwalić trzeba.

– Słyszałeś, parchu? – zapytał jeden z nich, ten, który wcześniej służył w granatowej policji. – Gadaj, ktoś jest, gadaj albo będziem cię strzelać.

Kiedy go przesłuchiwali, bardzo cicho przeszłam ze schowka w dawnej spiżarce do szafy. Wzięłam ze sobą pistolet maszynowy Niemca, odciągnęłam zamek już wcześniej, licząc, że cichego szczęknięcia, kiedy w tylnym położeniu zahaczał o zaczep spustu, nie usłyszą – i nie usłyszeli rzeczywiście. Rozważałam przez chwilę, co robić, po czym zdecydowałam nie rozważać dalej, bo wiedziałam, że jeśli nie podejmę działania, to Jakub niedługo będzie martwy, a ja nie po to wyciągnęłam go z getta, żeby dać go zabić jakimś zasranym Polaczkom.

Zarzuciłam na ramię plecak, który zawsze miałam spakowany, zawierający wszystko, co potrzebne do tego, aby dwójka ukrywających się Żydów mogła jeszcze trochę pożyć, jedzenie, cukier, butelkę nafty, zapalniczkę i tym podobne rzeczy, potem kopnęłam drzwi, wyskoczyłam z szafy, przez otwarte drzwi zobaczyłam powstańczych żandarmów, a oni zobaczyli mnie. Mogłam ich zastrzelić, ale nie chciałam. Nie dlatego, że nie chciałam zabijać, nie miałam nic przeciwko zabijaniu łajdaków, którzy nie mieli nic przeciwko zabijaniu nas, po prostu nie chciałam ryzykować.

– Nie ruszać się! – krzyknęłam z nadzieją, że zabrzmię wystarczająco pewnie, oni zaś oczywiście właśnie się poruszyli i mój los, a więc jednocześnie los Jakuba decydowały się wtedy w ułamku sekundy, powstańczy żandarmi musieli ocenić swoją sytuację, opierając ten osąd na ulotnych szczegółach. Gdybym miała się z nimi strzelać, to raczej jeden z nich by mnie zabił, a ja zabiłabym najwyżej właśnie jednego z nich. Musiałam podjąć to ryzyko. Mimo że nigdy wcześniej ani później nie strzelałam z pistoletu maszynowego.

Tej nocy z 7 na 8 sierpnia 1944 roku też zresztą nie strzelałam, jednak to pistolet maszynowy zdecydował o tym, że przeżyliśmy.

Po pierwsze, gdybym wycelowała do nich z pistoletu, to jeden z nich, zapewne eneszetowiec, prawdopodobnie podjąłby ryzyko. Gruba, perforowana osłona lufy bergmanna w tym ułamku sekundy, w jakim decydowali, przeważyła: nie zdecydowali się strzelić i zastygliśmy w trójkę, celując do siebie wzajemnie, żywy obraz irracjonalności i strachu człowieczego. Bo przecież najrozsądniejsze, co można zrobić, celując do siebie wzajemnie z bliska, to wycelować w głowę i nacisnąć spust.

Naddźwiękowa kula uderzy w czaszkę szybciej, niż ktokolwiek zdąży zauważyć ruch palca na spuście, szybciej niż mózg przyswoi tę informację i sam zareaguje. Jednak nieczęsto ktoś tak strzela, tylko ludzie celują do siebie i teraz też tak było, bo niewiele z tego, co wiem wteraz, wiedziałam wtedy.

Wiedziałam jednak, że to ja muszę tę sytuację rozwiązać.

– Przyszliście tu aresztować Ziembińską, a ona nie żyje – powiedziałam. – Więc nic tu po was. Po prostu stąd idźcie. Zostawcie nas.

– Bolszewickich sabotażystów? Żebyście tu wrażą robotę robili? – zaperzył się były policjant, którego służby w granatowej policji mogłam się domyślać i się domyślałam, bo opaskę biało-czerwoną nosił na rękawie granatowego munduru, chociaż zamiast policyjnej czapki miał przyrdzewiały, polski hełm z przykręconym z przodu najwyraźniej niedawno, bo błyszczącym, wielkim polskim orłem.

– Nie jesteśmy bolszewikami. Ukrywamy się. Chcemy po prostu przeżyć. Idźcie stąd.

– A broń u was skąd? – warknął eneszetowiec, którego z kolei przynależności do NSZ nie miałam jak się domyślić, ale mieczyk Chrobrego w klapie cywilnej marynarki nie wróżył zbyt dobrze.

– Znaleźliśmy. Idźcie stąd, to wam oddam ten rozpylacz. Wam się przyda bardziej niż nam. Do Niemców sobie postrzelacie.

Zamilkli. Obaj popatrzyli na bergmanna łakomie, ciągle celując do mnie ze swoich pistoletów.

– Panowie, opuśćcie broń, proszę. Nie ma się co strzelać. Wychodzicie, dostaniecie rozpylacz, idziecie w swoją stronę, my w swoją. Znikniemy i nigdy więcej nas nie zobaczycie.

Opuścili. Ja też. Popatrzyli po sobie. Nie ufali mi, rzecz jasna, ale interes zdawał im się dobry, korzystny dla obu stron. Obawiali się jedynie, czy na przykład nie spróbuję ich zastrzelić podczas dobijania targu, i oczywiście kalkulowali, czy nie potraktować swojego zaangażowania w ten układ zdradziecko i nie zastrzelić mnie, kiedy już im ten rozpylacz oddam.

– Postawię tego bergmanna tutaj pod ścianą – zaproponowałam. – Potem zejdziemy na dół i pójdziemy w swoją stronę. Wy sobie spokojnie przeszukacie mieszkanie. Ona może mieć jakieś ważne dla was

dokumenty. Ten jej szwabski kochaś też. Weźmiecie rozpylacz. A my znikniemy.

Wahali się.

– Ze strzelaniny nie wyniknie nic dobrego. Po prostu nie może – perswadowałam dalej. – Nie warto.

Myślę, że szalę przeważyło to, że byłam wtedy kobietą. I głupio było im bać się kobiety, nawet uzbrojonej.

Czy wteraz, w szarości, jestem dalej kobietą? Jestem samą myślą, nie dotykam wteraz tą myślą ciała, które wtedy miałam, a jednak jestem, bo coś łączy moje myśli wteraz ze mną wtedy, z trzydziestosześcioletnią Ryfką Kij stojącą z rozpylaczem w dłoniach w mieszkaniu w kamienicy na Solcu, ubraną w męską marynarkę spiętą paskiem, z plecakiem z zapasami na plecach. Więc jakoś jestem.

Powstańczy żandarm w mundurze policjanta schował swój pistolet do kabury. Eneszetowiec chwilę się wahał, po czym poszedł w jego ślady. Ja wyjęłam magazynek z gniazda, zwolniłam zamek, naciskając spust, szczęknął, odłożyłam nieszkodliwy rozpylacz pod ścianę. Dłoń włożyłam do kieszeni męskiej marynarki i zacisnęłam na kolbie pistoletu, bo tylko tak umiałam uspokoić rozedrgane nerwy, zimną stalą kolby pistoletu. Oto pokój między Żydami a Polakami. Harmonia.

– No i gdzie pójdziecie? – zapytał policjant.

– Do getta.

– Nie ma już getta.

Wiedziałam, że getta już nie ma. Nie wiedziałam, co to dokładnie oznacza, nie wiedziałam, bo nie widziałam na własne oczy tego, że „zrównać z ziemią" można miasto nie tylko metaforycznie, ale dosłownie.

– Jednak tam pójdziemy – powiedziałam.

– Dzisiaj Niemcy odcięli Stare Miasto i getto od Śródmieścia. Nie ma już przejścia – odparł policjant.

– Dam sobie radę. Nie wasze zmartwienie.

Popatrzyli po sobie.

– To idźcie już – powiedział policjant. – Ale jakby co, tośmy was nie widzieli.

– Jakby co. Rzecz jasna. Chodź, Jakub – powiedziałam i po prostu poszłam, a on poszedł za mną, posłusznie, jakby pozbawiony własnej woli. Powstańczy żandarmi nie zapytali o magazynki do peemu, więc ich ostatecznie nie oddałam, miałam dzięki temu sześćdziesiąt nabojów, pasujących też do mojego parabellum. Poszliśmy w noc, w ciemne, nieoświetlone miasto, a ciemność nam sprzyjała.

Szliśmy na zachód, powoli, uważając na powstańcze patrole, najpierw Tamką aż do Kopernika, czarnym, nieoświetlonym miastem, kryjąc się po bramach przed każdą ludzką postacią. Na ulicach wisiały biało-czerwone flagi, a ja musiałam wrócić do getta, bo tylko tam mogłam się ukryć. Liczyłam na to, że pod gruzami znajdę wejście do któregoś z sześciu bunkrów, o których istnieniu wiedziałam.

Musiałam wrócić i wróciłam. Przeszliśmy przez barykady, ominęliśmy Polaków, ominęliśmy Niemców i znowu Polaków, i wróciliśmy do getta, które chwilowo znajdowało się w polskich rękach. Pod gruzami znalazłam bunkier, trzeci z tych, których lokalizację i wejście pamiętałam, był opuszczony, więc wślizgnęliśmy się pod ziemię, niczym robaki, z dala od polskich i niemieckich oczu.

Niemcy odbili gruzy po getcie trzy dni później, a ja stałam się tym zwierzęciem nocnym, którym jestem wtedy, gdy jestem najbardziej, w grudniu 1944 roku, gdy czuwam w naszej nowej, niedoskonałej kryjówce w piwnicy przy Koszykowej, podczas kiedy niedaleko śpią dwaj mężczyźni, Jakub i mały niemiecki dezerter Jorg Konopka.

Bardzo chce, chciało mi się wtedy spać.

Wtedy bardzo chciało mi się spać i chciałabym spać wteraz, ale wteraz jest wiecznym czuwaniem, od którego nie ma ucieczki.

Bardzo chce mi się spać, ale czuwam, kiedy oni śpią. Muszę czuwać.

W końcu zasypiam. Nie chcę zasnąć, ale moje ciało jest słabsze, niżbym chciała, wycieńczone, wychudzone, głodne i zmęczone ucieczką, więc zasypiam. I śpię.

Budzi mnie delikatny dotyk. Jest już jasno. Musiałam długo spać. Za długo.

Otwieram oczy, odwracam się z boku na plecy. Nade mną niewielka, ciemna postać.

W końcu przegrałam – to moja pierwsza po przebudzeniu myśl. Mojego czoła dotyka lufa karabinu.

DAWID

Na Umschlag zgarnęli całą naszą trójkę, to jest mamę, Daniela i mnie, trzynastego dnia Wielkiej Akcji.

Gdzie wtedy byłeś, łajdaku?

Gdzie byłeś, kiedy do naszego mieszkania przyszedł facet noszący taką samą czapkę jak twoja, może nawet twój podwładny, i kazał nam natychmiast wyjść i dołączyć do partii, którą on wraz z niemieckimi żandarmami zaprowadzi na Umschlag, i wyszliśmy z mieszkania, i poszliśmy na Umschlag, gdzie staliśmy długo, a ty nie przyszedłeś nas wyciągnąć, nie przyszedłeś nas uratować, dlaczego?

Gdzie byłeś? Przecież mogłeś nas uratować. Umschlag to jeszcze nie był koniec, nie jeśli chodziło o ludzi dla kogoś wartościowych, ktoś dysponujący środkami mógł jeszcze z Umschlagu wyciągnąć, a ty dysponowałeś środkami, miałeś pieniądze i miałeś wpływy, a jednak nie przyszedłeś, nie wyciągnąłeś nas. Chociaż czekaliśmy.

Kiedy zgarnęli nas na Umschlag, nie mieszkaliśmy już na Nalewkach 40. Gdybyśmy tam mieszkali, to mielibyśmy szczęście, mielibyśmy takie samo niepotrzebne szczęście jak wtedy, kiedy przeprowadziliśmy się na Nalewki z Mokotowa przed ogłoszeniem getta, mielibyśmy szczęście, bo akurat z Nalewek wtedy jeszcze nie brali, ale nie mieliśmy, tyle że to przecież żadna różnica, szczęście czy brak szczęścia, kilka dni albo kilka tygodni, czy to jest wartość?

Dla niektórych była, owszem. Przeżyć jeszcze jeden dzień. A potem drugi. Nawet dla mnie była. Każdy dzień życia wart był wszystkich bogactw

świata. Nawet tamtego życia. Ale teraz już tak nie myślę, teraz już wiem więcej.

Mama więc najpierw wyrzuciła ojca z domu, a potem, po niedługim czasie przenieśliśmy się na Pawią 50. Wyrzuciwszy ojca z domu, odcięła się od niego całkowicie, a to oznaczało odcięcie się również od ojcowskich dochodów. Sama miała trochę własnego złota i dolarów, ale nie ruszała ich, przypuszczając, że kiedyś mogą uratować nam życie.

No cóż, nie uratowały.

Skoro więc z dnia na dzień z bogaczy, a właściwie z rodziny bogacza staliśmy się raczej biedakami, to zbędne nam się stało to wielkie mieszkanie, zajmujące całe piętro kamienicy, które ojciec wykupił zaraz po moich i Daniela narodzinach. Biedacy nie mieszkają w takich mieszkaniach. Biedacy gnieżdżą się w pokoikach, zwłaszcza w przeludnionym getcie. Na Pawiej zamieszkaliśmy więc w trójkę w jednym pokoju.

Przenieśliśmy się, nie zabierając ze sobą prawie nic, pokoik na Pawiej był skromnie, ale umeblowany. Wzięliśmy tylko trochę ubrań.

Ojca z domu mama wyrzuciła na długo przed tym, jak zabrali nas na Umschlag.

Przyszedł do domu pijany, w czapce z niebieskim otokiem, w wysokich butach i w jasnym palcie skróconym do pół uda i spiętym wojskowym pasem na jego pękatym brzuchu, z policyjną opaską na ramieniu i z numerkiem, którego jako funkcyjny nie musiał nosić na ubraniu, nosił więc w kieszeni.

Pokłócili się wtedy strasznie.

Mama mówiła mu mądre rzeczy i trochę głupich, ojciec na początku milczał. Mama nie znosiła przewodniczącego Judenratu, Czerniakowa, uważała go za wielokrotnego zdrajcę, asymilanta wysługującego się Niemcom, i tłumaczyła ojcu, że wstępując do tej Służby Porządkowej, tak naprawdę staje się jednym z tych, którzy nas tu w tym getcie zamknęli, staje się jak Czerniaków prześladowcą swoich braci, co nie było wobec Czerniakowa sprawiedliwe ani prawdziwe, ale wcale tych słów Czerniaków nie słyszał, więc w sumie cóż z tego? Potem jeszcze wykrzyczała ojcu na

dokładkę, że w sumie dlaczego ją to dziwi, skoro tak naprawdę to całe życie był prześladowcą swoich braci.

Ojciec w odpowiedzi warknął, że jakoś przez kilkanaście lat, od kiedy są razem, wcale jej nie przeszkadzało, póki za jego pieniądze z prześladowania braci mogła prowadzić życie na poziomie, do którego przywykła w swoim domu rodzinnym.

Mama wtedy dała mu w twarz i powiedziała, że te jego pieniądze to może sobie w dupę włożyć.

Ojciec ani nie włożył sobie pieniędzy w dupę, ani jej nie oddał policzka, bo w ogóle nigdy jej nie uderzył, odpowiedział jej tylko, że to dzięki jego pieniądzom i poświęceniu będą mogli przeżyć, doczekać końca wojny, wyjechać.

Mama odparła, że dzięki jego pieniądzom już siedzieli w samolocie, którym mogli polecieć do Palestyny i żyć normalnie, a tymczasem zdechną tutaj przez jego głupotę i pychę, do których teraz dorzuca zdradę i ten cyrkowy mundurek, bo jakżeby wielki Jakub Szapiro miał chodzić po ulicy jako zwykły Żyd, nieotoczony nimbem władzy i siły?

Na to ojciec nic nie powiedział, więc mama mówiła dalej, że szanowała go zawsze i kochała, mimo wszystkich podłości, jakich się dopuszczał, bo miała poczucie, że jest w nim jakiś honor, jakaś dziwaczna, perwersyjna prawość – i tak, wie, jak idiotycznie brzmi słowo „prawość" w odniesieniu do bandyty mającego na rękach i sumieniu krew niewinnych – a jednak prawość. Szanowała go zawsze, bo wierzyła, że jest jakiś kodeks, inny od tych oficjalnych, a jednak kodeks, którego on, Jakub Szapiro, zawsze przestrzega. I to nic, że ten kodeks jest tylko jemu znany. Ona, Emilia, wiedziała, że ten kodeks istniał. Jednak bycie żydowskim hintą na usługach Niemców na pewno się w tym kodeksie nie mieści.

Ojciec zaczął wtedy warczeć na mamę, pytał, czy kiedykolwiek wcześniej widziała, żeby gdzieś był żydowski policjant, prawdziwy żydowski policjant. Z gwiazdą Dawida na czapce. Że Polska nigdy tego Żydom nie dała, żadnej formy samorządności.

Mama odparła mu, że żydowska samorządność to może być w Palestynie, a nie w getcie, za którego opuszczenie grozi kara śmierci. I że na ramieniu też nosi gwiazdę Dawida, więc trudno, żeby jednej się miał

wstydzić, a z drugiej być dumny. Chyba że jest idiotą. A chyba jest, skoro uwierzył w to, że Judenrat jest żydowskim samorządem, a nie tylko sposobem na to, żeby Żydzi pomogli Niemcom samych siebie wysłać gdzieś na śmierć.

Ojciec wtedy zaczął krzyczeć, że na jaką śmierć, co ona mówi, skąd takie pomysły, skąd w ogóle pomysł, że Niemcy mieliby wysyłać Żydów na śmierć, są, owszem, okrutni, owszem, czasem kogoś rozstrzelają, ale czy i Polacy nie rozstrzeliwali? Albo Rosjanie? Albo Austriacy? Nie mówiąc o bolszewikach? Jak jest wojna, to są i rozstrzeliwania. I pogromy. Zawsze były pogromy, kogoś pomęczono, kogoś zabito, ale nikt przecież nie zabił wszystkich. I po to on idzie do policji, żeby przed takim pogromem Żydów bronić, tak jak bronił w czasie wielkanocnych zamieszek i jak przez całe życie bronił. Przed Polakami, Niemcami, co za różnica. I że getto to jedno, opaski, kartki żywnościowe osobne, jasne, ale gdzież stąd do wysyłania na śmierć, w Warszawie jest czterysta tysięcy Żydów i co, całe czterysta tysięcy mieliby pozabijać? I niby jak? Co za bzdury! Że we łbie jej się poprzewracało od tej polityki.

Mama powiedziała mu wtedy, że to koniec i że ma się wynosić, a wcześniej nigdy mu tak nie mówiła, bo mama w ogóle nie była skłonna do retorycznej przesady.

Ojciec nagle zrozumiał powagę sytuacji, przestraszył się i zrobił się cały przepraszający, zdjął tę idiotyczną czapkę i powiedział niezbyt inteligentnie, żeby dała spokój. Że przeprasza.

W mamie jednak coś się przelało, coś się w niej złamało nagle, ale ostatecznie.

Nagle, w jedną sekundę skończyła się jej miłość.

Tak, widziała i wiedziała więcej, niż widział chyba i wiedział ktokolwiek inny w całym getcie. Wiedziała więcej od samego Czerniakowa, nawet jeśli w swojej niechęci doń nie była sprawiedliwa. Była to wiedza wynikająca z miłości do nas, do mnie i do Daniela. Ta miłość coś mamie podpowiadała. Dzięki tej miłości mama coś przeczuwała i tak, była wobec tego, co przeczuwała, bezradna tak samo, jak parę miesięcy temu ojciec był bezradny, kiedy wyrzucano nas z willi na Mokotowie. Jednak w swojej relacji z ojcem bezradna nie była nigdy, postanowiła więc zagłuszyć tę bezradność i strach o naszą przyszłość i działać tam, gdzie działać mogła.

To, co się złamało w niej wtedy, kiedy ojciec wrócił do domu w idiotycznej czapce żydowskiego policjanta, nie złamałoby się tylko od tej czapki.

Czapka żydowskiego policjanta na głowie mojego ojca, wieńcząc jego wielką, ociężałą postać, zwieńczyła również wszystko, co wyprawiał przez kilkanaście lat ich małżeństwa.

Mama wybaczyła mu kurwy, do których chadzał, bo wiedziała, kogo sobie bierze za męża, i wiedziała, że będąc o nie zazdrosna, ośmieszałaby tylko samą siebie.

Mama wybaczyła mu krew, którą miał na rękach, bo wiedziała, kogo sobie bierze za męża. Wybaczyła mu krew niewinnych, haracze pobierane od ubogich sklepikarzy, handlarzy z Kercelaka, wybaczyła mu luksus, którym lubił się otaczać, garnitury i samochody, bo trochę z tego luksusu korzystała, bardziej niż miała ochotę sama przed sobą przyznać. Wybaczyła mu to również dlatego, że jego siła, nie tylko fizyczna, imponowała jej i pociągała ją także bardziej, niż sama była gotowa przed sobą przyznać.

Wybaczyła mu picie i kokainę, bo wiedziała, kogo sobie bierze za męża, i dlatego również, że najbardziej nawet pijany nigdy nie podniósł ręki ani na nią, ani na nas. To był ważny wątek jej miłości do niego, ta absolutna pewność, że nigdy nie dostanie od niego w twarz. I wtedy, kiedy wyrzuciła go z domu, być może zadała sobie pytanie: Czy to naprawdę wystarczy? Czy wystarczy to, że jej nie bije? Ani nikomu innemu nie pozwoli?

Wybaczyła mu to, że nigdy nie zerwał tej cienkiej, a jednak łączącej go z Ryfką nici, wybaczyła mu, że to Ryfka była jego pierwszą, wielką miłością i że to o niej śpiewali piosenki warszawscy apasze, i że jej, Emilii, nigdy tak jak Ryfki nie kochał, to też mu wybaczyła i pocieszała się, że kochał ją po prostu inaczej, może nawet lepiej. Nie bardziej, ale lepiej. Dojrzalej. Mądrzej.

Wybaczyła mu to, jak wyglądało ich, a potem również nasze życie, pozbawione jakiejkolwiek regularności i jakiejkolwiek pewności; wybaczyła mu to, że rzadko bywał ojcem i że tak zachłannie nim był, kiedy już był.

Wybaczyła mu to, że każdego wieczora, którego nie było go w domu, zastanawiała się, czy rano przeczyta na pierwszej stronie „Naszego

Przeglądu” nagłówek: *Jakub Szapiro zastrzelony*.

Wybaczyła mu wreszcie nawet to, że zawrócił ten przeklęty samolot, który mógł nas zabrać daleko od tego wszystkiego, do świata, jaki zaraz przed wybuchem wojny widziała w kinie, w krótkim filmie dokumentalnym Romualda Gantkowskiego, my siedzieliśmy obok, a mama płakała, patrząc na wyświetlane na ekranie widoki, plac Ziny Dizengoff w Tel Awiwie, na białe, modernistyczne kamienice i na fontannę pośrodku.

Wszystko to mu wybaczyła i tak samo wybaczyłaby mu tę cyrkową czapkę żydowskiego policjanta ze srebrnym sznurkiem dookoła niebieskiego otoku i srebrną gwiazdkę na tej czapce, którą posiadał, wstępując bowiem do policji żydowskiej, ojciec mój awansował od razu na oficera. Wybaczyłaby mu tę dodatkową, oprócz hańbiącej biało-niebieskiej, żółtą opaskę na rękawie, noszoną tak, jakby część tej hańby opaski zwykłej, żydowskiej, znosiła, jakby pośród pohańbionych pohańbionym był dzięki tej opasce nieco mniej.

A przecież hańby opaski białej opaska żółta nie znosiła wcale, a w oczach mojej mamy nawet tę hańbę powiększała, bo ktoś zakładający te utensylia według niej jakby swojemu pohańbieniu przyklaskiwał, nie był tylko tego niesprawiedliwego pohańbienia niewinną ofiarą, ale również sam się do niego przyczyniał.

Jednak wybaczyłaby mu to, wybaczyłaby mu opaskę i czapkę, gdyby z całego tego długiego zbioru spraw do wybaczenia mogła odjąć chociaż jedną. Ale nie mogła. O tę jedną czapkę z niebieskim otokiem było jej za wiele. Kiedy więc ojciec zdjął czapkę i poprosił, żeby mama dała spokój, to mama wcale nie dała spokoju.

– To koniec, Jakub. To już za wiele. To koniec. Wyjdź. Nie chcę cię więcej widzieć – powtórzyła i nie powiedziała do niego ani słowa więcej, już nigdy w życiu, a ojciec, chociaż nie wiedział jeszcze, że mama nie odezwie się doń już nigdy ani słowem, zrozumiał, że to naprawdę koniec, i nagle poczuł, co traci, i poczuł, że natychmiast musi się napić, aby zagłuszyć to, co zaczyna w jego głowie wyć tak, jak wyje syrena ogłaszająca alarm lotniczy, wyciem nachalnym, bolesnym, przerażającym. Musi się napić, aby zagłuszyć to, co w jego głowie zaczyna wrzeszczeć jak tysiąc radioodbiorników trzeszczących statycznym trzaskiem, więc odwrócił się

na pięcie i wybiegł z mieszkania, i znalazł sobie pocieszenie, i uciszył to straszne wycie, najpierw na trochę, a potem na dobre, na zawsze.

Nas, Daniela i mnie, ogarnęło przerażenie. Wtedy jeszcze nie byłem tym, kim stałem się kilka miesięcy później, z dziecka przeistaczając się w starca. Póki byłem dzieckiem, to mundur ojca całkiem mi się podobał, szczególnie czapka i wysokie buty. Wyglądał dostojnie. Prawie jak prawdziwy policjant. Lepiej niż w polskim, wojskowym mundurze. Jeszcze nie wiedziałem, co ten mundur znaczył.

Ojciec wiedział, kiedy mama żartuje, a kiedy nie, i nie próbował wracać ani jej odzyskać. Wtedy go za to nienawidziliśmy, ale teraz wiem, że tak się stało nie dlatego, że mu nie zależało, jak Daniel i ja wówczas sądziliśmy, lecz dlatego, że wiedział, iż nie ma na to szans, żadnych szans.

Kiedy po getcie rozeszła się wiadomość, że od wielkiego Jakuba Szapiry odeszła żona, wszyscy pukali się w czoło. Odejść od policjanta – coś takiego nie mieściło się nikomu w głowie, i to nawet bardziej niż odejść od samego wielkiego Jakuba Szapiry. Jakub Szapiro to jedno; ale policjant z aryjskimi kartkami na jedzenie, z pieniędzmi niczym prawie oficjalny podatek pobieranymi ze szmuglu, z pewnością, że nie trafi z łapanki do obozu pracy, policjant jakikolwiek, najniższego stopnia, najbrzydszy, najgłupszy, najwstrętniejszy, to była partia, jakiej się nie odrzucało w getcie, i nie miało to w sobie nic z kurewstwa, decydowała tu po prostu wola życia, chęć przetrwania. Bycie żoną policjanta oznaczało bezpieczeństwo i pełny brzuch, aż do końca Wielkiej Akcji. W getcie każdy kapitał mógł pomóc w przetrwaniu, również erotyczny, chociaż nie używano tego określenia. Każdy mężczyzna, który nie spuchł, który nie słaniał się na nogach w kolejce do którejś z próbujących dokarmiać mieszkańców getta ludowych kuchni, każdy w wysokich butach mógł przebierać w kobietach i wielu z tego korzystało.

Potem, po Wielkiej Akcji to się zmieniło, tak jak wypłaszczyła się społeczna struktura w getcie. Po Wielkiej Akcji, po tym, jak zabrali nas na Umschlag, pomiędzy tymi, którzy na dziko albo dzięki numerkom zostali w getcie, nie było już prawie klas, wszyscy byli po prostu niewolnikami i nagle wśród niewolników zaczęła kwitnąć miłość, ale to zupełnie inna historia. Nie jest przecież też tak, że to wielkie powodzenie, jakim cieszyli się policjanci albo szmuglerzy w getcie, było jakoś bardziej nieczyste od

tego, że ogólnie kobiety wolą mężczyzn bogatszych od biedniejszych, mężczyźni zaś ładniejsze od brzydszych kobiety. Tak po prostu jest.

I tkwi w tym coś niesprawiedliwego i niegodnego, w tym, jak ludzie wybierają się wzajemnie spośród innych, każdy człowiek, mężczyzna i kobieta, wybierając sobie kogoś do kochania, wyborem tym obraża całą resztę ludzkości, każda miłość jest obelgą dla wszystkich tą miłością niekochanych.

Mama jednak nie wybierała nikogo, nie zastąpiła ojca nikim innym.

Mama uznała, że przetrwa sama, i przetrwała, nie sama, ale dzięki mnie i mojemu szmuglowi, i całemu mojemu życiu, które wydarzyło się w ciągu tych kilkunastu miesięcy dzielących naszą drugą przeprowadzkę do pokoiku na Pawiej, przetrwała do momentu, w którym zabrali nas na Umschlag, trzynastego dnia Wielkiej Akcji.

Okrążyli cały kwartał między Gęsią, Pawią, Smoczą i Lubeckiego. Do mieszkań wchodzili żydowscy policjanci, wyprowadzali nas na ulicę, tam przejmowali nas na czarno odziani askarysi, Ukraińcy i Łotysze, i prowadzili w długim, zawodzącym korowodzie, prowadzili na Umschlag.

Na Umschlagu przyjmował nas ciepło Szmerling, wielki, okrutny, przedwojenny bokser w mundurze takim jak twój, chociaż niższy stopniem.

Gdzie wtedy byłeś, łajdaku?

Gdzie byłeś, gdy szliśmy Lubeckiego i Niską i gdy staliśmy na Umschlagu, wśród porzuconych walizek i ubrań? Dlaczego nie przyszedłeś nas wyciągnąć? Dlatego że cię odrzuciła? Że cię odepchnęła, a nie odpycha się Jakuba Szapiry?

Gdzie byłeś, gdy wepchnęli nas do wagonu, w sposób, który sprawił, że i ja, i mama od razu wiedzieliśmy, że jedziemy na zatracenie, tylko Daniel zdawał się jakoś wierzyć, że ciągle spotkać nas może coś dobrego, a my wiedzieliśmy, że nie, bo wepchnęli nas jak mięso, jak towar, jak rzeczy i upychali, aż wagon był pełen, jakby słowo „człowiek" nie oznaczało niczego innego, niż oznacza słowo „kamień" czy „bydlę", i kiedy było pełno, tak pełno, że prawie nie oddychaliśmy, zatrzasnęli za nami drzwi, zaryglowali.

Gdzie byłeś?

Otóż, ojcze mój, ja wiem, gdzie byłeś.

Nie, nie byłeś już w żydowskiej policji. Rzuciłeś czapkę wcześniej, a nawet nie tyle rzuciłeś jak Miecznicki, nie był to odruch moralny, co po prostu przestałeś stawiać się do służby i w końcu skreślili cię z listy policjantów. Byłeś w ciemnościach. Byłeś z tą inną kobietą, z Ryfką, zagrzebany w jej pokoiku, pęknięty i słaby.

Wycia syren i statycznego szumu tysiąca radioodbiorników, które usłyszałeś w głowie, gdy mama powiedziała ci, że to koniec, nie dało się zagłuszyć. Nie zagłuszyły go chude ciała kobiet, zlewające ci się w jedną masę cycków, pośladków i cip, nie zagłuszyły go pijaństwa w Nowoczesnej, kurwy w Britanii czy interesy z dorosłymi szmuglerami, które prowadziłeś w Wesołym Marynarzu, gdzie cię wtedy nawet widziałem, samemu pozostając niezauważonym. Wycie rosło, rozwijało się, stawało coraz głośniejsze, szum statyczny tysiąca radioodbiorników zagłuszał twój własny, wewnętrzny głos, ten głos, który prowadząc narrację naszego życia, jest tak naprawdę najgłębszym jądrem człowieczeństwa, jest bardziej „człowiekiem" i „osobą" niż cokolwiek innego, i ten głos stał się dla ciebie, a więc dla samego siebie niesłyszalny, słowa wypowiadane w głuchej ciemności; i nic nie pomagało, alkohol nie pomagał, nie pomagało opium i w końcu cały byłeś tylko tym wyciem i szumem, i nieprzebijającym się już przez nie twoim własnym, głuchym i niemym czarnym krzykiem.

Za nami zatrzaśnięto zaś drzwi i pociąg ruszył. Wagon wypełnił się wrzaskiem i nigdy wcześniej takiego wrzasku nie słyszałem, nie słyszałem nigdy wcześniej, jak kilkaset ust wrzeszczy jednocześnie ryk nieartykułowany i słowa, błagania i przekleństwa, wrzeszczy ze strachu i z gniewu, w ciasnej, ciemnej przestrzeni, w smrodzie, z którym do wagonu już weszliśmy i który w wagonie tylko się wzmagał, w miarę, jak brakować w nim zaczynało tlenu.

Były w wagonie cztery maleńkie okienka, wysoko pod dachem, okratowane. Nie mogły zapewnić wentylacji wystarczającej do tego, by kilkuset ludzi upakowanych jak towar, jak rzeczy, mogło oddychać, bo też nie po to, byśmy oddychali, zapakowano nas do tego wagonu.

Przejechaliśmy Wisłę. „Jeśli będzie Otwock, to jedziemy do Majdanka, niech Bóg broni, żeby nie Treblinki, tylko Majdanek, w Majdanku się żyje,

Majdanek to jest całkiem nieźle, więc daj Boże, żebyśmy pojechali na Otwock, nie na Wołomin, jeśli będzie Otwock, to wtedy Majdanek, życie, nie Treblinki" – szeptali ludzie.

Jednak nie przejechaliśmy przez Otwock.

– Och, to Zielonka, jedziemy na Wołomin, na Wołomin – ktoś krzyknął i już wiadomo było, że znajdujemy się na linii kolejowej nr 6, prowadzącej do Białegostoku, a więc ku śmierci.

Jednak Bóg nie dał. Jednak Bóg nie obronił. Jednak nie zlitował się nad swymi dziećmi, wiadomo dlaczego.

Jednak Treblinki.

To bardzo dziwne, jak zaciera mi się ten fragment tamtego mojego trwania. Nic innego się nie zaciera, a to się zaciera. Nie znika, ale trwa zatarte, za mleczną szybą jakby. Wszystko inne widzę przejrzyście i jasno, nie jak wspomnienia, które z natury są fałszywe, dalekie odbicia rzeczywistości; tu wszystko widzę tak przejrzyście, jak przejrzyście odbijało się to wszystko we mnie – czymkolwiek jest „ja", bo tego pewnym być nie mogę teraz, chociaż wtedy, gdy żyłem, wydawało mi się jasne i zrozumiałe samo przez się, więc nie zadawałem sobie tego pytania. Zadaję je jednak teraz i nie znajduję odpowiedzi, ponieważ teraz wiem, że było kilku mnie, i przekonanie, że tych kilku mnie składało się na jednego człowieka, wydaje mi się teraz przesądem, właściwym tamtej dziwnej, ulotnej formie trwania, jaką nazywaliśmy życiem.

Więc może było nas więcej, więcej mnie niż jeden.

A więc siedmiolatek przyglądający się samolotom na lotnisku, z wujkiem Morycem i z bratem, ten siedmiolatek był innym człowiekiem niż dziesięciolatek patrzący na samoloty zrzucające bomby na Warszawę. Już oni byli inni, zaś trzynastolatek, który stoi w nieludzkim, bo z ludzi złożonym tłumie w pociągu do Treblinek, obok swojej matki i brata, jest już inny tak, że w niczym tamtych nie przypomina. Jest dojrzały, wręcz stary, zmęczony i cyniczny. Okrucieństwo przychodzi mu z łatwością, okrucieństwo nie w czynach, lecz w obojętności. Nie wzrusza go nic a nic cierpienie bliźnich, bo przestał ludzi w ogóle za bliźnich uważać, bliźnimi są dlań już tylko jego brat bliźniak i mama. Umie się bawić, jak kiedyś

bawili się tylko dorośli, poznał przyjemności ciała, nie nauczywszy się innej niż synowska i braterska miłości.

I to ja? To mam być ja? Siedmiolatek na lotnisku z wujkiem Morycem i ten dobrze wyrośnięty jak na swój wiek, odważny, bezwzględny chłopak w pociągu to mam być ja? I ja wteraz, ja, który przyglądam się sobie wtedy, to też mam być ja? W końcu ludzie odpowiadają zwykle za decyzje albo wybory, jakie podjęli kiedyś, dwadzieścia albo więcej lat wcześniej, ale czy to są ci sami ludzie? Sami niejako zakładają, że bycie człowiekiem w roku 1937, 1939 i 1942 oznacza ich tożsamość, że to ten sam człowiek, ale czy nie jest to założenie zbyt odważne, oparte na fałszywej intuicji, na fałszywym przeżyciu czasu?

Im bardziej patrzę na siebie wtedy z szarości, tym wyraźniej widzę, że „człowiek" to złudzenie. Coś jest, jakieś serie fenomenów, które same siebie myślą i próbują zrozumieć, same siebie sobie wyobrazić, ale forma, jaką sobie te fenomeny w myślach swych nadają, nie jest formą, jaką mają w rzeczywistości.

Świat jest inny, niż się ludzkim fenomenom wydaje.

Wteraz to wiem, kiedy przyglądam się sobie (na ile ja to ja) trzynastoletniemu w pociągu do Treblinek.

Jedziemy i wiemy, gdzie jedziemy.

Mama trzyma nas za ręce. Mama zabrała ze sobą wodę i trochę jedzenia i mama karmi nas i poi. Bardzo chce mi się sikać, podobno na drugim końcu wagonu jest wiadro na nieczystości, ale nie ma szans, żeby je tu przekazać ani żeby się przepchnąć między ludźmi, sikam więc po prostu pod nogi; Daniel też chce sikać, ale się oczywiście wstydzi.

Widzę, że mama przedsięwzięła jakiś plan. Nie puszcza naszych dłoni. Nie puściła, nawet gdy sikałem, więc sikałem jednorącz. Przez całe dziewiętnaście miesięcy getta nie jedliśmy źle, przede wszystkim dzięki mojej pracy, więc obaj z Danielem wyrośliśmy bardzo i wzrostem mamie już prawie dorównujemy, i jest to nasze wielkie szczęście, bo stoimy w wielkim ścisku i nie wiem tego jeszcze wtedy, ale w naszym wagonie, kiedy sikałem, po tym jak przekroczyliśmy Wisłę, udusiło się już czworo dzieci, trzy dziewczynki i jeden chłopiec, którzy będąc niższymi ode mnie i od Daniela, umarli, bo nie mieli jak oddychać, z twarzami wgniecionymi

w jakieś kościste plecy albo wzdęte z głodu brzuchy. My jednak, Daniel i ja, jesteśmy dość wysocy, by oddychać ponad ramionami ściśniętych ludzi. Dlatego żyjemy.

Mama zaś ma plan. Po chwili wiem już, co robi. Przesuwamy się. Trzy centymetry. Pięć. Między ściśniętymi przemocą, jakby dopchniętymi ludźmi, jest to trudne, ale jeśli być cierpliwym – możliwe, a moja mama jest cierpliwa. Więc tak się właśnie przepychamy, przeciskamy, powoli, ale nieustępliwie, najpierw mama przesuwa stopę o pięć centymetrów, potem przenosi ciężar ciała, dostawia drugą. Nikt nie protestuje, bo nikt protestować nie ma siły, wszyscy czują nacisk z każdej strony, każdy każdego uciska, a moja mama jest silna, też dobrze odżywiona, mojej mamy mięśnie nie straciły sprężystości, mama w mięśniach ma zapasy glikogenu, silniejsza jest od innych, dzięki mojemu jedzeniu, temu, które ja przynosiłem do naszego pokoiku na Pawiej, i dlatego właśnie teraz utrzymuje napięcie mięśniowe i sprężystość całej sylwetki lepiej niż inni, dzięki temu przesuwa się, powoli, powoli, trzydzieści centymetrów na kwadrans, przecież wcale nam się nie spieszy, i w końcu po dwóch godzinach jesteśmy przy ścianie, zaraz pod okienkiem.

To niebezpieczne stać przy ścianie. Niebezpieczne, bo między ludźmi, przyciśnięci falowaniem tłumu, damy radę się przesunąć, nacisnąć na tych, którzy stoją obok, ściana zaś nie podda się jak ludzie i można zostać zgniecionym, wprasowanym w surowe, wilgotne deski wagonu. Więc niebezpiecznie tu, ale też pod okienkiem jest więcej tlenu, łatwiej oddychać. Nie o tlen jednak mamie chodziło.

– Masz scyzoryk? – zapytała i usłyszałem jej głos wśród hałasu, wśród jęków i wrzasków, wśród stukotu kół i sapania lokomotywy.

Miałem, ten sam co zawsze, scyzoryk, który kiedyś należał do wujka Kaplicy, a potem tato podarował go mnie, kiedy wyruszał na wojnę, mały scyzoryk Gerlach z perłowymi okładzinami i dwoma ostrzami, dłuższym i krótszym, i z napisem „Socyalizm albo śmierć" wygrawerowanym na tym dłuższym. Strzegłem go bardzo, mimo że był prezentem od ojca, którego wtedy, w pociągu do Treblinek, nienawidziłem już od dawna.

Scyzoryka jednak nie wyrzuciłem ani nie wymieniłem na inny.

Podałem go mamie, ona zaś spróbowała dosięgnąć zakratowanego okienka blisko dachu. Zrozumiałem wtedy, dlaczego przepychaliśmy się

pod ścianę. Jednak okienko było zbyt wysoko.

– Dawid, chodź, wejdziesz mi na ramiona, wtedy dosięgniesz, chodź, spróbujesz wydłubać scyzorykiem drewno wokół ramy tej kratki – powiedziała mama i pomogła mi wspiąć się na jej ramiona, jak kiedyś, gdy tata nosił mnie na barana, i tak mnie trzymała, ja zaś jedną ręką chwyciłem się kraty, drugą zacząłem scyzorykiem wydłubywać spod niej miękkie, miejscami nawet trochę zbutwiałe drewno.

Niedługo trwało, zanim zgromadzeni dookoła Żydzi zauważyli, co robię. Natychmiast zaczęły się ożywione dyskusje. Niektórzy mnie gorąco popierali: „Tak, tak, niech chłopiec dłubie, niech wyważy kratki". Inni krzyczeli: „Niech chłopiec przestanie, co chłopiec robi, jeszcze się Niemcy zdenerwują! Po co wagon niszczyć!". Na co ci pierwsi: „Przecież na śmierć jedziemy, do Treblinek, co nam gorszego zdenerwowani Niemcy zrobią, niż nam zrobić mogą spokojni!". Na co ci z kolei: „Wcale nie na śmierć! Nie na śmierć! Do pracy jedziemy! Jakbyśmy na śmierć mieli jechać, to po co by obiecywali ochotnikom chleb i marmoladę?".

Nie zwracałem na nich uwagi. Dłubałem, dłubałem zajadle, aż w końcu dłuższe ostrze się złamało i z „Socyalizm albo śmierć" został sam „socyalizm". Otwarłem więc krótsze i dłubałem dalej, aż w końcu, po dwóch godzinach pracy, podczas których pociąg to ruszał i jechał chwilę, to stał, przepuszczając zapewne wojskowe transporty wiozące na wschód wszystko, co potrzebne wysiłkowi zbrojnemu III Rzeszy, wydłubałem tyle drewna, że krata, szarpnięta, wyskoczyła ze ściany wagonu.

Żydzi krzyczeli, że dzielny chłopiec albo że przeze mnie wszyscy zginą, mama ściągnęła mnie ze swoich ramion, nachyliła się ku nam, ku mnie i Danielowi, i powiedziała:

– Musicie się ratować, obaj. Kiedy będziemy jechać przez jakiś las, musicie skakać.

– A ty? – zapytał Daniel.

– Mama się nie zmieści w okienku, człowieku – odpowiedziałem za nią.

– Ja już się nażyłam, chłopcy. Dużo i długo. Miałam w życiu wszystko. Wy już nie potrzebujecie mojej opieki ani pomocy. Wy możecie jeszcze żyć. Możecie przeżyć. Ta wojna kiedyś się skończy. A wy przetrwacie. Wyjedziecie z tego przeklętego, złego, strasznego kraju. Pojedziecie do

Palestyny, do kraju, który będzie wasz i dla was. I będziecie żyć, i będziecie Żydami.

Już wtedy wiedziałem: widzę ją ostatni raz.

Nie chciałem widzieć jej ostatni raz. To prawda, już dawno nie potrzebowałem jej opieki, to raczej ja opiekowałem się nimi obojgiem. Potrzebowałem jednak jej miłości.

– Bez ciebie nie idziemy, mama. Musisz spróbować. Najwyżej wyrwiemy więcej desek, żebyś też mogła wyskoczyć – powiedziałem.

– Nie ma czasu na to, Dawid. Nie ma czasu. Musicie wyskoczyć przy pierwszej okazji.

– Idź, Dawid – powiedział cicho Daniel. – Ja zostanę z mamą. Dla ciebie byłbym tylko brzemieniem. Nie dałbym sobie tam rady. Wracaj do swoich przyjaciół, do Lejba i do Heli.

To prawda. Byłby dla mnie tylko brzemieniem.

Różniliśmy się bardzo, on i ja. Daniel był za delikatny, za dobry na getto. Nie przeżyłby beze mnie, ale miał mnie, a ja chętnie oddałbym swoje życie za to, żeby on i mama mogli żyć, bo uważałem, że to właśnie oni ze wszystkich ludzi na świecie godni są żyć najbardziej.

– Nie idę bez was – powiedziałem, wiedząc już, że kłamię.

– Idź. We dwóch nie damy rady. Sam możesz przeżyć. A ja zostanę z mamą.

– Nie chcę przeżyć bez was – odpowiedziałem znów i to była prawda.

Nie chciałem przeżyć bez nich. Ale wiedziałem też, że kiedy oboje będą mnie o to prosić, to nie będę im potrafił odmówić. I spróbuję przeżyć. Wbrew sobie. Dla Lejba i dla Heli, którzy czekali na mnie w getcie, taką miałem przynajmniej nadzieję, że czekali.

– Idź, Dawid – powiedziała cicho mama, na tyle cicho, na ile dało się cicho mówić w tym pociągu. – Idź. Daniel zostanie ze mną.

Czy czuła ulgę, że Daniel będzie z nią? Czy raczej przerażenie na myśl o tym, że i jego, jej ukochanego, lepszego syna czeka taki sam los jak wszystkich?

– Idź, Dawid. Idź – powtórzyła, podając mi zawiniątko z jedzeniem. Pieniądze miałem swoje, ale mama dała mi też wszystko, co sama miała.

– Nam na nic się już nie przydadzą, Dawid. Weź. Weź, kotku. Idź, wracaj do swoich przyjaciół.

Podsadzili mnie oboje. Najpierw na zewnątrz znalazły się moje nogi, potem tułów, na końcu ręce z zawiniątkiem zawierającym jedzenie, którymi jednocześnie przytrzymywałem się krawędzi okienka, i głowa – odepchnąłem się i poleciałem w ciemność i już mnie nie było w pociągu, już nie jechałem do Treblinek, tylko powoli, bardzo powoli leciałem przez powietrze ze spadającą prędkością, począwszy od pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, bo tak szybko jechał pociąg, potem zaś coraz wolniej, długim łukiem w dół, aż w końcu uderzyłem o kamienie nasypu, na którym ułożone były tory, uderzyłem o nie plecami i głową, tracąc przytomność i wypuszczając zawiniątko, następnie potoczyłem się do zarosłego wysoką trawą rowu, gdzie nieprzytomny, ale żywy zaległem pod czarnym, rozgwieżdżonym niebem, w lesie, w dawnym powiecie ostrowskim, w dawnym województwie białostockim, w aktualnym Generalnym Gubernatorstwie, a co najgorsze, ciągle w przeklętej, przeklętej, po trzykroć przeklętej Polsce, najgorszym miejscu, w jakim można być.

Nieprzytomny, ale żywy zaległem więc w ciemnościach, z rozciętej skóry na głowie sączyła mi się krew, Bóg na mnie nie patrzył, bo go nie ma, i nie patrzyli na mnie ludzie, bo ludzi też nie ma, i ani śmierć, ani życie nie mają sensu, mają tylko bieg.

Mama i Daniel zostali w pociągu i pojechali dalej, ku śmierci i na śmierć, a ja żyłem i bez czucia leżałem pod czarnym niebem, pod gwiazdami, w trawie, i byłem nadal nieprzytomny, kiedy stanęło nade mną dwóch ludzi: mężczyzna i chłopiec.

Mężczyzna miał wysokie buty i wpuszczone w nie spodnie, kamizelkę na koszuli i czapkę z daszkiem, za paskiem spodni zaś zatknięty miał obrzyn, stary karabin Mosin z uciętą kolbą i skróconą do minimum lufą. Chłopiec był boso, w połatanych spodniach i koszuli, ale wcale tego nie widziałem, bo na skutek uderzenia o kamienie mój mózg pozostawał uśpiony.

– Żydek – powiedział chłopiec.

– No Żydek, a kto ma być, przecież nie Turek – odpowiedział mężczyzna i wyciągnął obrzyn zza paska, przeładował, bardziej dla nadania sytuacji

odpowiedniej powagi niż z obawy przed jednym małym Żydkiem, który wyskoczył z pociągu do śmierci. – Żyje?

Chłopiec uklęknął nade mną, dotknął mojej szyi, wyczuł puls, a ja się nie przebudziłem.

– Żyje. Bez przytomności.

– Przeszukaj.

Chłopiec z fachową wprawą zaczął przetrząsać mi kieszenie, starannie sprawdzając szwy i wymacując pozaszywane w ubraniu kosztowności, a ja się nie przebudziłem.

– Ma pieniądze. Sporo. Złoto też. Ubranie też porządne – powiedział.

– Musi jakiś lepszy Żydek być. To nam się trafiło – odparł mężczyzna, a ja się nie przebudziłem.

– Co z nim zrobimy? – zapytał chłopiec.

Mężczyzna zastanowił się chwilę, a ja się nie przebudziłem. Mężczyzna zamierzał mnie ograbić i zastanawiał się tylko nad tym, czy warto oddać mnie Niemcom, licząc na nagrodę. Musiałby najpierw ukryć obrzyn, a więc wrócić do swojej chałupy, szkoda drogi. Gdyby trafił mu się Żydek nędzarz, to może warto by było, ale w obliczu zacnego chyba łupu szkoda czasu.

– Zabieramy, co mu się już nie należy, i idziem dalej.

– Tak go żywego zostawimy?

Mężczyzna znowu zastanowił się chwilę, a ja się nie przebudziłem. Zawsze bezpieczniej nie zostawiać świadków. Mógłby mnie zastrzelić z obrzyna, ale to z kolei oznaczałoby huk wystrzału, zawsze ryzyko jakieś. Skręcić mi głowę jak kocięciu albo rozbić ją kolbą, brzydził się. Zostawić czy zastrzelić?

– Zabieraj, co nasze, strzelę go na odchodnym – zdecydował i wtedy się obudziłem, nagle wynurzyłem się z ciemności, ale nie dałem tego po sobie poznać, mój mózg już wcześniej pompował do krwi adrenalinę, jakby poniżej mojego świadomego ja świadomy tego, co się dzieje. – I sprawdź, czy złotych zębów nie ma, to by się wyrwało też.

Chłopiec wyciągnął zapałki, zapalił jedną i otworzył mi usta, na co pozwoliłem, gdy jednak poczułem jego palce na moich wargach, zębach i dziąsłach, zacisnąłem szczęki z całej siły, wtedy on szarpnął rękę

i wrzasnął, tymczasem moje zęby rozdzieliły tkanki i dwa kawałki palców zostały mi w ustach. Chłopak wrzeszczał, a ja, nie myśląc ani nie analizując niczego, chwyciłem go za ramiona i przycisnąłem do siebie. Wtedy mężczyzna strzelił. Poczułem potężne uderzenie, kiedy pocisk z obrzyna trafił w plecy leżącego na mnie chłopca. Natychmiast zepchnąłem go już martwego z siebie, zerwałem się i pobiegłem w ciemność. Mężczyzna z obrzynem zaklął, chciał mnie gonić, ale potknął się o ciało – usłyszałem jego wycie: zawył, bo zrozumiał, że zastrzelił własne dziecko. Usłyszałem też jeszcze, jak bezsilnie strzela w ciemność, mnie jednak ciemności przyjęły chętniej i głębiej.

Biegłem przez las, gałęzie siekły mnie po twarzy, ale biegłem, aż w końcu upadłem na ściółkę, upadłem bez tchu i wiedziałem już, że uciekłem, następna moja myśl jednak była taka, że podobnych ludzi spotkam jeszcze wielu, bardzo wielu. I że muszę wrócić do Warszawy, muszę wrócić do piekła, które znam dobrze, do piekła, w którym potrafię się poruszać, muszę wrócić, żeby przeżyć, skoro oni umrą, to ja muszę żyć.

Postanowiłem iść wzdłuż torów, aż dojdę do miasta, potem jakoś przeprawić się przez Wisłę, chociażbym miał wpław przepłynąć, ciepło jest, a potem ukryć się gdzieś w getcie i doczekać końca wojny.

Wiedziałem to wtedy, chociaż miałem tylko trzynaście lat, jednak wiedziałem, bo byłem mimo tych trzynastu lat dorosły, gdybyśmy byli wierzący, to miałbym już bar micwę, i prawie nie pamiętałem życia przed wojną, życie przed wojną wydawało mi się nie bardziej realne niż sen. Wojna, getto, zabijający nas Niemcy, wydający nas Niemcom Polacy to było całe moje życie, całe życie, jakie znałem. Ale z drugiej strony wiele myślałem, czytałem gazety i książki i nie wątpiłem, że Hitler przegra z całą potęgą Związku Radzieckiego i wojna się skończy. Nawet przed Stalingradem to wiedziałem. Chciałem końca tej wojny doczekać i wiedziałem, że Warszawa to jedyne miejsce, w którym może mi się to udać. Tylko w Warszawie znałem paru Polaków gotowych mi pomóc; tutaj, po wsiach i po miasteczkach, każdy, byłem pewien, albo mnie zabije, albo wyda Niemcom. Oczywiście wszędzie zdarzali się tacy, którzy z tajemniczych porywów serca albo sumienia nagle decydowali się ratować nas, nieludzi, ale liczyć na to było czymś równie nierozsądnym, co liczyć na

szczęście w rosyjskiej ruletce, kiedy zamiast jednej z nabojem i sześciu pustych komór jest dokładnie na odwrót.

Tylko w Warszawie miałem własne drogi i ścieżki między ludźmi i budynkami, własne miejsca i schronienia. Tylko w Warszawie mogłem liczyć na to, że wyłącznie w jednej z siedmiu komór w bębenku rewolweru będzie nabój.

Musiałem wrócić do piekła, ukryć się, nie dać się więcej zaprowadzić na Umschlag i żyć, bo winien to byłem mamie i Danielowi, którzy nie wyskoczyli z pociągu.

Jedyną prowadzącą tam drogą, jaką znałem, były tory. Dwutorowa linia kolejowa nr 6 tworzyła jedyną ścieżkę, która mogła mnie doprowadzić do Warszawy, była też jednak ścieżką niebezpieczną, bo wzdłuż torów oprócz stacji znajdowało się niemało strażników, a przede wszystkim ludzi czatujących na takich Żydów jak ja, na Żydów, którzy wyskoczyli z pociągu do śmierci.

Ale wróciłem do Warszawy, szedłem przez tydzień, nocami, nad ranem szukałem kryjówki, najczęściej w zaroślach, i dzień spędzałem tam bez ruchu. Piłem wodę z kałuż i strumieni, jak polne zwierzę, jadłem skradzione w sadach zielone owoce, aż w końcu dotarłem do Wisły i przepłynąłem ją nocą, rozebrawszy się uprzednio. Tłumok z butami i ubraniem w końcu namókł tak, że musiałem go porzucić i na drugim brzegu rzeki stanąłem prawie nagi, tylko w mokrych kalesonach. Nocą przemknąłem się do tego, co zostało z getta, i w szopie Többensa odszukałem ludzi, którzy mogli mi pomóc, ludzi, z którymi po tym, jak przeprowadziliśmy się na Pawią, chodziłem na szmugiel, ludzi, którzy byli mi najdrożsi na świecie, to znaczy odszukałem najpierw czternastoletniego syna wybitnego żydowskiego chirurga, Lejba Passensteina, który dawno zapomniał, że jest synem wybitnego żydowskiego chirurga, bo mu ojca rozstrzelali jeszcze przed zamknięciem getta.

Odszukawszy Lejba, odszukałem też nierozłączną z nim i wcześniej ze mną Helę Warm, i bardzo ucieszyłem się, kiedy okazało się, że oboje żyją, z numerkami u Többensa właśnie, bo byli to ostatni bliscy ludzie, jacy zostali mi na świecie.

Teraz o nich opowiem, o Heli i Lejbie. Dopiero teraz, chociaż wteraz, w szarości, nie przestaję o nich myśleć, nie tylko dlatego że wteraz, w szarości myślę nieustannie i myślę jednocześnie całe moje życie, wszystkich występujących w nim ludzi. Ich, Helę i Lejba, myślę bardziej niż innych, nie bardziej niż Daniela i mamę, ale bardziej niż całą resztę.

Poznałem ich, kiedy przenieśliśmy się z Nalewek na Pawią, zwyczajnie, na ulicy. Daniel został z mamą, ja wyszedłem, żeby się rozejrzeć za czymś do jedzenia. Miałem jeszcze trochę pieniędzy, ale wiedziałem, jak szybko pieniądze w getcie się kończą, kiedy człowiek chce jeść.

Lejb był rok ode mnie starszy – gdy uciekłem z pociągu do Treblinek i wróciłem do Warszawy, miał czternaście lat, poznaliśmy się zaś, gdy miał lat dwanaście. Miał też świetny, aryjski wygląd, był wysoki jak na swój wiek i był niebieskooki, włosy miał ciemne, skórę bardzo bladą, ale wyglądał zupełnie nieżydowsko, raczej jak polski chłopiec z dobrego domu.

Hela była w moim wieku, wyglądała bardziej semicko niż Lejb, ale jeszcze nie na poziomie dyskwalifikującym ją na aryjskiej ulicy, miała wielkie, brązowe oczy i ciemne, chociaż nie kruczoczarne włosy zaplecione w dwa ciasne warkoczyki.

Stali oboje na rogu Pawiej i Smoczej, tacy podobni do siebie, że początkowo sądziłem, iż są rodzeństwem, dopiero potem Lejb objaśnił, że Hela to jego kuzynka. Byli oboje dobrze ubrani, zbyt dobrze jak na dzieci przestające na ulicy w getcie, Lejb miał na sobie zupełnie dorosłe palto, garnitur z grubej flaneli i wysokie, sznurowane trzewiki, na głowie kraciastą cyklistówkę, Hela była w kożuszku i kozakach, bo było to, jeszcze zanim kazali Żydom oddać wszystkie futra i kożuchy.

Ja też byłem zbyt dobrze ubrany jak na dziecko przestające na ulicy w getcie, ale byłem ubrany jeszcze jak dziecko i też nigdy wcześniej na ulicy nie przestawałem, to był mój pierwszy raz. Dlatego zapewne zwrócili na mnie uwagę, ja zaś podszedłem do nich, bo zauważyłem ich spojrzenia natarczywe dosyć, byłem zaś chłopcem odważnym.

– Nowy tutaj? – zapytała Hela, a mnie natychmiast zgubiły się wszystkie słowa, polskie, żydowskie czy hebrajskie. Nie mogłem znaleźć ani jednego, nic nie umiałem wykrztusić.

– No? – ponagliła.

Patrzyłem na nią i dalej milczałem, nie dysponując słowami w obliczu nie tylko jej samej, lecz również w obliczu rzeczywistości, jakiej wcześniej nie znałem, dziwnych dla mnie wtedy prądów przebiegających przez moje ciało i jeżących mi włoski na przedramionach. Hela wydawała mi się nieludzka w swoim pięknie, niepodobna ani do dziecka, ani do dorosłych kobiet i w tym pięknie również niezwykle, magnetycznie interesująca.

– Za mur chodzisz? – zapytał Lejb. – Mógłbyś, bo wygląd masz.

Pokręciłem tylko głową, on zaś na to głową pokiwał rozumiejąco i wszystko w tym kiwaniu było, potem to pojąłem, a wteraz rozumiem to najlepiej: z mojej polszczyzny, z mojego ubrania, z manier wywnioskowali mniej więcej, że jestem z tak zwanego dobrego domu, jakby nie odcisnął się na mnie żaden ślad mojego ojca, jakby za moje wychowanie odpowiedzialna była wyłącznie moja mama. Jednocześnie z samej mojej obecności na ulicy słusznie przyjęli, że prosperity tego dobrego domu właśnie się skończyło, bo gdyby się nie skończyło, to pewnie nikt by mnie na ulicę bez wyraźnego celu, sprawunku do załatwienia nie wypuścił.

Spojrzał na Helę, jakby pytał. Hela uśmiechnęła się aprobująco.

– Pójdziemy cię spróbować – powiedział tonem, który nie był tonem rozkazującym, a jednak nie dopuszczał odmowy. – Chodź. Przez sąd pójdziemy. Jestem Lejb. A to Hela.

Poszedłem więc z Lejbem i Helą, bo w zasadzie i tak nie miałem nic lepszego do roboty, poszliśmy Smoczą w dół, potem, żeby nie iść do Karmelickiej, przeszliśmy przez kamienice i podwórka i wyszliśmy na Lesznie, zaraz przed budynkiem sądu grodzkiego, który oficjalnie znajdował się już w części aryjskiej, jednak Żydzi mogli z niego również korzystać. Aryjczycy dochodzili doń wąskim przesmykiem, oddzielającym duże getto od małego, od placu Żelaznej Bramy przez plac Mirowski i Chłodną, od której przy zbiegu z Elektoralną odchodziła ulica Biała.

Przed wejściem do sądu stał polski, granatowy policjant. Przeszliśmy obok niego jak niewidzialni dzięki spotkaniu jego dłoni z dłonią Heli, spojrzeniami się nie spotkali, ale dziesięć złotych z jej dłoni zostało w dłoni policjanta. W środku Lejb pozdrowił chłopca może dziesięcioletniego, w każdym razie bez opaski jeszcze, po wojskowemu prawie przykładając dłoń do daszka cyklistówki, później dowiedziałem się, że chłopiec ten pełnił funkcję obserwatora sprawdzającego, czy można przez korytarze

sądu przejść bezpiecznie, po czym weszliśmy na trzecie piętro, tam pięć złotych dostał mężczyzna będący odźwiernym przy pokoju służącym za szatnię. Weszliśmy do środka.

– Opaski – zakomenderował Lejb.

Oboje zdjęli je, ja też, po czym bocznymi schodami zeszliśmy ponownie na parter i z parteru wyszliśmy na aryjską stronę, na ulicę Białą, wyszliśmy bez opasek, dobrze ubrani, wystarczająco dobrze wyglądający, by na ulicy ujść za chrześcijańskie dzieci.

– Idziemy do Hali Mirowskiej – zakomenderował Lejb. – To znaczy tramwajem podjedziemy.

– A Polacy nie wydadzą nas? – odważyłem się w końcu odezwać.

– Tych łebków tutaj mamy opłaconych – Hela wskazała wystających nieopodal wyrostków. – A dalej po to jedziemy tramwajem. Bo Żydzi nie jeżdżą tramwajami. Więc żadnego kulenia się w sobie, żadnego patrzenia w podłogę, patrzysz prosto i mocno, jakbyś się nie miał czego bać.

– A mam?

– Zawsze masz się czego bać – uśmiechnęła się.

Pojechaliśmy więc tramwajem numer 21 i wysiedliśmy już pod Halą Mirowską przez tramwaj ze swojego żydostwa obmyci, po czym weszliśmy do środka.

– Masz pieniądze? – zapytał.

– Mam dwadzieścia złotych.

– Kup za to osiem kilo chleba i plecak, żeby to przenieść. U nas dostaniesz za chleb jakieś sto dwadzieścia. Dwadzieścia oddasz nam, drugie dwadzieścia na łapówki w sądzie, zostaje ci osiemdziesiąt.

– A ryzyko...?

– Ryzyko jest takie, że cię mogą zastrzelić – uśmiechnął się. – Ale bez tego to i tak żadne życie, więc warto.

Lejb i Hela robili zakupy o wiele większe. W płaszczach mieli od środka ponaszywane kieszenie, wzięli na siebie każdy po piętnaście kilogramów jedzenia, po czym również tramwajem podjechaliśmy na skrzyżowanie z Białą i opłacając się komu trzeba, wróciliśmy do getta.

– Teraz musisz to wszystko wydać. Inaczej pech cię będzie prześladował. Taka jest zasada. Że pierwszy zarobek ze szmuglu trzeba przepić – oświadczyła Hela.

– Ja nigdy alkoholu nie piłem – jęknąłem. – Poza tym pieniądze muszę dać mamie.

– Dasz jej następne. Zarobisz jeszcze. Chodź z nami.

Poszedłem z nimi, bo jej głos nie dopuszczał sprzeciwu tak samo jak głos Lejba. Tak samo, jednak inaczej. Poszedłem z nimi, bo chciałem. Poszliśmy zaś do Café Hirschfeld na rogu Siennej i Sosnowej przy samej południowej granicy małego getta.

Nigdy wcześniej nie byłem w takim miejscu.

Potem bywałem w takich miejscach wiele razy, ale nigdy wcześniej. Potem u Hirschfelda widziałem nawet z daleka mojego ojca, a on mnie nie widział, nie chciał widzieć albo nie poznał, bo zafarbowałem włosy na płowy, słowiański blond, żeby wygląd, i tak niezły, mieć jeszcze lepszy, a on był pijany. Oprócz Café Hirschfeld chadzaliśmy później do hotelu Britania wraz z przynależnym mu dancingiem Casanova, z barami nocnymi Arizoną i Colombiną, gdzie przesiadywała cała Trzynastka i najgorsza swołocz getta, latem chodziliśmy do kawiarni Bajka, którą założono na pustym placu po zbombardowanej we wrześniu kamienicy – przebierało się tam w stroje plażowe i za dwa złote można się było wylegiwać na leżaku, prawie jakbyśmy zajechali nad morze. Chodziliśmy do Odeonu na Tłomackim i do szemranej kawiarni na Nowiniarskiej, gdzie był telefon, przez który załatwiało się różne interesy z aryjską stroną, gdzie umawiało się grajków, regulowało łapówki, gdzie przesiadywali agenci, u których można było wykupić ubezpieczenie jakiegoś wyjątkowo dużego szmuglu, i gdzie funkcjonowała nieformalna giełda, zarówno szmuglerska, jak i dotycząca instrumentów pochodnych od szmuglu, na przykład ubezpieczeń właśnie. W żadnym z tych miejsc nie traktowano nas jak dzieci, bo też nigdzie nie byliśmy dziećmi, byliśmy po prostu mniejszymi dorosłymi, a dla przemytu gettowego my, dwunasto-, trzynastolatkowie okazywaliśmy się bardzo ważni, kluczowi wręcz, zaś bez przemytu getto wymarłoby z głodu w miesiąc, bo oficjalne zaopatrzenie nie zaspokajało nawet jednej dziesiątej kalorycznego zapotrzebowania zgromadzonych w getcie kilkuset tysięcy ludzi. Graliśmy więc rolę partnerów dla starych

żydowskich urków, wielu z nich to byli dawni znajomi mojego ojca, którzy jednak nie rozpoznali we mnie nigdy syna legendarnego Szapiry, bo też legendarny Szapiro, czyli mój ojciec, wyglądał już zaledwie jak cień własnej legendy i wszyscy o tym wiedzieli. Będąc, kim był, ważniakiem w żydowskiej policji i człowiekiem z przedwojennymi koneksjami, mógł również stać się królem getta, kimś potężniejszym od prezesa Czerniakowa, od policjantów Szeryńskiego i Lejkina, od wysługującego się Gestapo Gancwajcha, od Kohna i Hellera razem wziętych, ale nie stał się. Był tylko policjantem w pierwszym rejonie, nikim więcej. Tyle było jego ambicji.

Może zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby był królem getta potężniejszym od tych wszystkich gettowych kacyków, to i tak ciągle byle Niemiec mógłby go w chwili irytacji zastrzelić albo co gorsza dać mu w pysk, albo stłuc pejczem czy szpicrutą. Może dlatego nie chciał być królem getta, skoro byle wachman byłby i tak ponad nim.

Na pewno dlatego nie chciał być królem getta. Zamiast tego miał swój mundur, miał swój rewir, na którym brał pieniądze od szmuglu, i ja na tym rewirze właśnie dlatego nigdy nie pracowałem, unikałem placu Grzybowskiego, omijałem ulice, po których on chadzał.

To wszystko było potem, ale wtedy ten najważniejszy pierwszy raz był właśnie w Café Hirschfeld. Lokal był przestronny, udekorowany bogato i niegustownie, było pianino, na którym grał może nie Szpilman, ale ktoś niewiele techniką gry mu ustępujący, młoda dziewczyna, piękna mimo przebiegającej przez całą twarz blizny śpiewała po polsku i angielsku, towarzystwo było szemrane, bogate, dobrze ubrane i odkarmione, powietrze zaś ciężkie od dymu, potu, strachu, chciwości i nadziei.

Chleb udało mi się sprzedać nawet drożej, niż obiecywał Lejb, po opłaceniu wszystkiego zostało mi prawie sto złotych, pięćdziesiąt odłożyłem wbrew namowom Heli i Lejba dla mamy, a za resztę, za czterdzieści złotych zamówiłem u eleganckiego kelnera talerz wspaniałego krupniku. Lejb machnął na to w końcu ręką i zamówił do tego jeszcze drugie danie, sznycle cielęce z ziemniakami, i butelkę wina, którą nam bez wybrzydzania podano i którą w trójkę wypiliśmy.

– Zatańcz ze mną – zaproponowała Hela.

Nie odmówiłem i tańczyliśmy niezgrabnie, o głowę niżsi od innych tańczących par, ale nikomu nasz wzrost i nasze dziecięctwo nie przeszkadzały.

Potem wróciłem do domu i powiedziałem mamie i Danielowi, że mają się nie martwić, że ja o nich zadbam, i dałem mamie pięćdziesiąt złotych i bochenek chleba, które dla niej zachowałem. Daniel mnie uściskał, mama płakała, ale nie płakała wcale ze szczęścia ani z dumy.

Tak zostałem szmuglerem i tak zostałem jednym z nas trojga, bo szybko Hela, Lejb i ja staliśmy się nami właśnie.

Przez czas dzielący dzień, w którym się poznaliśmy, od Wielkiej Akcji staliśmy się sobie niezwykle bliscy i przeżyliśmy razem więcej, niż wielu ludzi przeżyło przez całe życie.

Na szmugiel chodziliśmy aż do samego końca, do Wielkiej Akcji. Na początku zajmowaliśmy się często szmuglem, korzystając z tramwaju 10, który jeszcze jeździł przez getto. Wychodziliśmy najpierw na aryjską stronę, tam opłacaliśmy zamówienie, potem umówieni telefonicznie aryjscy kontrahenci wsiadali po swojej stronie, przed Miłą tramwaj trochę zwalniał, motorniczy nawet dzwonił specjalnie, opłaceni polscy policjanci patrzyli w inną stronę i z okien leciały paczki, my wysyłaliśmy wtedy czekających już w gotowości łebków, którzy dla nas te paczki zbierali i zanosili na naszą metę, gdzie towar rozpakowywaliśmy i znowu z pomocą łebków rozdysponowywaliśmy dalej.

Potem jednak tramwaje zlikwidowano i szmuglowaliśmy znowu przez sądy, przez metę na Koźlej, czasem dachami, przez gmach dawnego Ministerstwa Skarbu na Elektoralnej, przez cmentarz na Okopowej, przez pałac Mostowskich i przez wiele innych miejsc. Nie chodziliśmy pod murem, to było zadanie dla małych dzieci, szmuglerskich szeregowych, siedmio- i ośmiolatków, przemycających po trzy bułki i po funcie kartofli, aby nakarmić głodujących rodziców i rodzeństwo. Do takich często strzelali żandarmi, my staraliśmy się nie bywać w sytuacji, w której Frankenstein mógłby wziąć nas na muszkę, i strzelano do nas tylko parę razy, celnie zaś raz, kiedy kula drasnęła Lejba w ramię, niegroźnie na szczęście.

Wiosną i latem 1941 zarabialiśmy już krocie. Czasem tysiąc złotych dziennie na głowę, czasem więcej. Trzymaliśmy się razem, we trójkę, i jako

nierozłącznych nas postrzegano, dwóch eleganckich wyrostków i jedna panienka, my zaś tworzyliśmy jedno.

Zaprzyjaźniliśmy się z Helą i Lejbem tak szybko i zbliżyliśmy się do siebie tak bardzo, że czułem wyrzuty sumienia wobec Daniela, bo nagle odsunęliśmy się od siebie, nie z niechęci jakiejś, ale dlatego że nagle miałem życie, którego on nie był częścią, życie, w którym Daniela nie było i być nie mogło, nie tylko dlatego, że ze swoją semicką urodą nie przetrwałby kwadransa po aryjskiej stronie.

Lejb był przywódcą naszej trójki, ale jego autorytet był miękki, a my pozwalaliśmy mu przewodzić jak pierwszemu między równymi, bo też każde z nas miało pewne obszary kompetencji, w które pozostała dwójka nie wkraczała.

Latem 1941 roku, kiedy Hitler postanowił, że Stalin już nie jest jego kolegą, a na przykład w Radziłowie na Podlasiu po wejściu Niemców Polacy spalili w stodole koło pięciuset Żydów, którzy mieli się tam, w tej płonącej stodole, o wiele gorzej niż my w Warszawie, dużo gorzej niż każdy warszawski Żyd, a już tym bardziej niż my, trójka swobodnie dzięki swojemu wyglądowi wychodzących na aryjską stronę wyrostków, wtedy właśnie Lejb, Hela i ja założyliśmy wspólny bank, ponieważ ustaliliśmy, że zbyt wiele czasu tracimy na rozliczanie się między sobą. Byłem wtedy już ich równoprawnym partnerem. Z banku wydzielaliśmy sobie kwoty na utrzymanie naszych bliskich: ja miałem mamę i Daniela, Hela miała dwie stare ciotki, u których mieszkała, bo rodziców Niemcy rozstrzelali jej w tej samej egzekucji zakładników, w której rozstrzelali rodziców Lejba, jeszcze przed zamknięciem getta, Lejb zaś nie miał nikogo, to znaczy miał tylko nas. Nie dzieliliśmy się po równo, Lejb nie pobierał z naszej wspólnej kasy ekwiwalentu tego, co my z Helą braliśmy na utrzymanie tych, których na utrzymaniu mieliśmy.

W końcu nawet pomieszkiwaliśmy razem, co było dla mnie wiecznym wyrzutem sumienia wobec mamy i Daniela, więc mieszkałem tak naprawdę na dwa domy, w pokoju z Helą i Lejbem i w pokoju z mamą i Danielem. Daniel przekonywał mnie, że nie muszę się tym martwić, że potrzebuję przebywać z moimi przyjaciółmi, że przecież utrzymuję ich oboje, jego i mamę, dzięki czemu mama nie musi pracować. A on się mamą zajmie.

Mama rzeczywiście nie musiała pracować. Powiedziała mi to. Powiedziała, że przyjmuje pieniądze ode mnie, bo przyjmowała gorsze, skrwawione pieniądze od mojego ojca, za co teraz wszyscy ponosimy karę i czego ona nigdy sobie nie wybaczy. Dzięki temu, że ja utrzymuję ją i Daniela, ona może zrobić coś dobrego dla innych. I robiła. Pracowała za darmo w kuchni środowiskowej Poalej Syjon Lewicy na Zamenhofa 9, której celem, jak każdej kuchni tego rodzaju, było fizyczne, biologiczne przetrwanie działaczy. Swoje kuchnie miały więc Bund, Haszomer Hacair, Dror, swoje kuchnie mieli ortodoksi, literaci i dziennikarze, mama zaś od zawsze związana była z lewicowymi syjonistami, więc gotowała, sprzątała, wydawała te cienkie zupki chudnącym w oczach młodym i starym działaczom i ich rodzinom, Daniel zwykle chodził tam razem z nią i pomagał, jak mógł, zajmował się dziećmi działaczy, organizował dla nich odczyty książek przygodowych, pogadanki i lekcje hebrajskiego i takie miejsce było dlań idealne, w takim miejscu jego dobroć, szlachetność i skłonność do poświęceń realizowały się najlepiej.

– To dzięki tobie, Dawid, możemy tam z mamą pomagać – mówił. – Dzięki tobie nie musimy zabiegać o nasz byt, bo ty go nam zapewniasz. Więc o nic się nie martw. Idź do swoich przyjaciół. To dobrzy ludzie.

Tak, Lejb i Hela byli dobrymi ludźmi, byli też jednak kimś o wiele więcej niż tylko moimi przyjaciółmi.

Nie wiem, jak mam nazwać naszą relację, jak ją określić. W językach, jakie znałem wtedy, nie było na nią nazwy. Kochaliśmy się bez wątpienia wszyscy troje. Ja kochałem Lejba i kochałem Helę. Hela kochała Lejba i mnie, Lejb kochał i mnie, i Helę.

Jak to możliwe, że w takiej trójkątnej konstelacji nie pojawiła się zazdrość, chęć posiadania kogoś na własność?

Byliśmy na to zbyt młodzi i czasy były zbyt straszne. Codziennie ryzykowaliśmy życie i miłość była jedynym, co dawało nam wytchnienie. Szybko, jeszcze latem 1941 roku, kiedy mieliśmy już wspólne pieniądze, zaczęliśmy również dzielić się swoimi ciałami.

Zaczęło się od pieszczot, pocałunków, od tulenia się nocą, potem sięgnęliśmy dalej.

Ciała mieliśmy wszyscy piękne, mimo wojny i głodu dobrze odżywione, wyćwiczone w biegach i skokach przez dachy i mury, dwunasto- i trzynastoletnie, jakby przedwcześnie dojrzałe, porastające już pierwszymi, dorosłymi włosami na podbrzuszach i pod pachami. Lejbowi i mnie rozrosły się trochę barki, Hela miała już piersi.

Płeć dla nas nie istniała, istniała tylko miłość. Lejb i Hela często zostawali sami, kiedy ja byłem z mamą i Danielem, ja zaś nie czułem żadnej zazdrości, nie bałem się tego, co sami mogą do siebie szeptać, ponieważ wiedziałem, że oboje do mnie tęsknią i beze mnie są niepełni. Tak samo było, kiedy zostawałem sam z Lejbem, bo Hela spędzała czas ze swoimi ciotkami, albo sam z Helą, w tych rzadkich sytuacjach, w których Lejb musiał sam dopilnować jakiejś sprawy na mieście. Nasz dotyk był wtedy niepełny, nasze pieszczoty niecałkowite, nawet rozkosz nie taka, jaka była, kiedy byliśmy razem w trójkę, spleceni w konstelacjach każdej nocy udoskonalanych; czasem z namaszczeniem i powagą studiowaliśmy własne ciała i drogi rozkoszy, czasem całowaliśmy się wśród żartów i śmiechu.

Na szmuglu zarabialiśmy więc krocie. Byliśmy bogaci i odważni. Tak odważni, tak pewni wyglądu i czystej polszczyzny, że czasem zostawaliśmy na dłużej po aryjskiej stronie, chodziliśmy do kina i nad Wisłę, chociaż Hela martwiła się nieustannie, że ona sama być może jest bezpieczna, ale mnie i Lejba każda banda polskich wyrostków może zdemaskować w najprostszy sposób, jeśli tylko coś w naszym zachowaniu wyda im się podejrzane, mianowicie mogą kazać nam ściągnąć spodnie. Nauczyliśmy się jednak przez te półtora roku bardzo dobrze wtapiać się w polski tłum, jeździliśmy tramwajami, zdarzało nam się nawet załatwiać sprawy w getcie w Otwocku.

Zarobionymi na szmuglu pieniędzmi dzieliliśmy się najhojniej, jak potrafiliśmy. Nie było to coś, co wynikałoby z nauk mojego ojca bandyty, który wiedział, że tylko gdy hojnie szafuje się skrupulatnie wcześniej egzekwowaną od swoich podwładnych i z ochranianych interesów gotówką, można zapewnić sobie poparcie społecznych dołów, przekazując majątek w dół w zastępstwie nie dość socjalistycznego państwa. Wynikało to raczej z tego, czego uczyli mnie mama i Daniel. Dopłacaliśmy więc do kuchni Poalej Syjon Lewicy, jak również do bundowskiej, bo nieżyjący

rodzice Lejba i rodzice Heli byli bundystami, z tego co coraz odleglej o nich Hela i Lejb pamiętali, najwięcej jednak dawaliśmy na kuchnie Centosu dla bezdomnych, głodujących dzieci. Nie byliśmy więc tacy jak ci bogacze, którzy w drodze do Britanii, L'Ours czy Azazela przekraczali na ulicach trupy zmarłych z głodu albo na tyfus tak, jakby przekraczali kałuże.

Ustrzegliśmy się więc kul niemieckich żandarmów, ustrzegliśmy się polskich donosów, ustrzegliśmy się pałek żydowskich policjantów i intryg skurwysynów od Gancwajcha, żyliśmy, żywiliśmy getto, zarabiając na tym, a wieczorami, jeśli akurat nie bawiliśmy się w którymś z lokali albo w teatrze, albo nawet w aryjskim kinie i jeśli akurat nie byłem u mamy i Daniela, to leżeliśmy nadzy i szczęśliwi w wielkim małżeńskim łóżku, które zajmowało większą część naszego pokoju, paliliśmy papierosy, popijaliśmy wino, słuchaliśmy muzyki z patefonu, kochaliśmy się i byliśmy szczęśliwi. Nic na zewnątrz, nic poza nami nie było dla nas wtedy ważne, zapominałem wówczas nawet na chwilę o Danielu i mamie, bo Daniel i mama byli dla mnie tą rodziną, którą człowiek zostawia, od której uwalnia się, wchodząc w dorosłość i zakładając rodzinę nową, własną, a ja byłem już dorosły, zaś Lejb i Hela byli moimi mężem i żoną i byliśmy dla siebie całym, kompletnym światem. Nie mieliśmy marzeń ani ideałów. Owszem, oczywiście, nienawidziliśmy Niemców, Polaków i żydowskiej policji, ale żyliśmy tak, jakby to życie, getto, szmugiel miały być już na zawsze. Prowadziliśmy długie dyskusje, na przykład: dlaczego są biedacy, skoro pieniądze zarabiać tak łatwo? Po co ludzie wierzą w Boga? Ile najwięcej pieniędzy można mieć? Na co można pieniądze wydawać? Czy lepsze jest wino białe, czy czerwone?

Nie zadawaliśmy sobie za to pytań o to, kiedy skończy się wojna, czy przeżyjemy, co będziemy robić po wojnie, dlaczego Niemcy traktują nas tak, jak nas traktują, dlaczego Polacy nas nienawidzą. To były sprawy, które składały się na nasz świat tak, jak składały się nań nieubłagane wschody i zachody słońca. Przyszłość dla nas nie istniała, przeszłości nie było, było tylko teraz, miłość i adrenalina, gdy przechodziliśmy na aryjską stronę i wracaliśmy wedle woli, mali półbogowie nocy.

Potem zaś wszystko się skończyło, bo Niemcy uznali, że czas zakończyć to słodkie, wspaniałe i wieczne „teraz" Heli Warm, Lejba Passensteina i Dawida Szapiry i zaczęła się Wielka Akcja i wywieźli mnie, mamę

i Daniela, i uciekłem z pociągu, uciekłem Polakom i wróciłem do Warszawy, wróciłem do Többensa, odnalazłem Helę i Lejba i jeszcze trochę żyliśmy, trochę inaczej, ale razem, w trójkę, już bez szmuglu na taką skalę jak kiedyś, ale ciągle bogaci, ciągle młodzi, niespuchnięci, bez tyfusu i nawet bez wszy, ciągle piękni i absolutnie w sobie nawzajem zakochani.

Zmieniło się to, że wiedzieliśmy już, iż żadne teraz nie jest wieczne. Nie wiedzieliśmy, że wieczne będzie wteraz, wieczna będzie szarość, ale wiedzieliśmy już, że świat, w którym tak szybko nauczyliśmy się żyć, zginął, zmienił się, a więc byliśmy też pewni, że zginie i zmieni się świat szczątkowego getta, szopu Többensa, szycia mundurów i całej tej niewolniczej egzystencji.

Z tego powodu zaczęła nas interesować polityka, partie i walka. Lejb i Hela skłaniali się ku Bundowi, ja, pamiętając o mamie, ku Poalej Syjon Lewicy, ale w przeciwieństwie do tego, jak podziały te przeżywali dorośli, dla nas nie miały one aż tak wielkiego znaczenia. Chcieliśmy walczyć, zdobyć broń i zginąć z tą bronią w ręku albo przedrzeć się gdzieś poza miasto, przyłączyć do jakichś żydowskich partyzantów, nie bać się niemieckiego okrucieństwa ani polskiej podłości, takimi siebie widzieliśmy.

Chcieliśmy walczyć i wiedzieliśmy, że są w getcie po likwidacji ludzie, którzy myślą tak jak my. Po zamachu na komendanta żydowskiej policji Szeryńskiego, w którym ten został tylko ranny, wszyscy mówili, że to na pewno jacyś Polacy, może z PPS-u, bo nikt nie mógł uwierzyć, że Żydzi mogliby walczyć z bronią w ręku, my jednak wiedzieliśmy, że to Partia strzelała do Szeryńskiego. Chcieliśmy walczyć i chcieliśmy żyć, dlatego wykupiliśmy miejsca w bunkrze, w którym potem przeżyłem.

Kiedy wybuchło pierwsze, małe powstanie, potem zwane powstaniem styczniowym, kiedy Anielewicz i inni strzelali do Niemców i do polskich policjantów, nie mogliśmy się już cieszyć z tego razem i razem marzyć o walce, ponieważ którejś nocy do naszego pokoju wszedł niemiecki żandarm i zabrał Helę i Lejba, i tyle było naszej miłości. Pokazywali mu papiery, dobre papiery, mocne papiery, podarł je, rzucił na ziemię i zabrał Helę i Lejba.

Mnie nie zabrał.

Nie zabrał mnie dlatego, że akurat siedziałem w wychodku, tylko dlatego.

A ich zabrał.

Potem więc kupiłem rewolwer, płacąc zań fiolką cyjankali, potem przeszedłem na dzikie tereny, znalazłem bunkier, spotkałem w nim Miecznickiego, który zdradził mi położenie skrytki z bronią, potem próbowałem obciąć mu nogę, a on umarł, potem żyłem w bunkrze z trupem przez miesiąc, aż w końcu uznałem, że nie zniosę tego dłużej, i go w końcu z bunkra wyniosłem, i pochowałem nieopodal, pod gruzami, i żyłem w bunkrze sam przez kilkanaście miesięcy.

Obok, niedaleko, wybuchło i zgasło nasze powstanie. Potem wybuchło, rozpaliło się i zgasło powstanie Polaków, ja zaś trwałem, wydzielając sobie jedzenie, oszczędzając je, chudłem, ale żyłem. Żyłem, owszem, na krawędzi szaleństwa, ale żyłem.

Nie miałem ze sobą ani jednej książki, niczego, by zabić czas, po prostu trwałem w ciemnościach, nie licząc dni. Z bunkra prawie nie wychodziłem, mając sporo zapasów, przygotowanych w końcu dla pięciu osób. Myślałem dużo o tym, że jem jedzenie Heli i Lejba. Oraz mecenasa Miecznickiego i tej piątej, nieznanej mi osoby.

Zapasy zaczęły mi się kończyć po polskim powstaniu, wtedy też, w październiku, wydobyłem broń, o której Miecznicki mi opowiedział, a w zasadzie jej część, bo do niczego nie były mi potrzebne erkaemy czy niemiecki elkaem. Wziąłem sobie ze skrzyni dwa polskie visy z kaburami i zapasowymi magazynkami, wziąłem niemiecki pistolet maszynowy, taki typu szmajser, rzadko przed polskim powstaniem widywany w Warszawie, wziąłem jeden krótki karabinek, trochę zardzewiały, ale w najlepszym stanie ze wszystkich, i wziąłem dużo amunicji, i wróciłem do bunkra, i postanowiłem, że teraz będę wychodził i że będę zabijał Niemców i każdego, kto spróbuje mnie powstrzymać, bo przecież nie boję się zginąć i nie mam po co żyć.

Przypomniałem sobie kapitana Nemo, samotnego mściciela w okręcie podwodnym, i zrozumiałem, że ktoś taki jak ja, ktoś, kto chce pomścić wszystko, co jest na świecie do pomszczenia, nie może nazywać się po prostu Dawid Szapiro. Muszę mieć jakiś wojenny pseudonim. Najpierw pomyślałem o Machabeuszu, ale potem zaraz uznałem, że to zbyt

wyeksploatowany termin, poza tym mój ojciec był kiedyś, tysiąc lat wcześniej, zawodnikiem Makabi Warszawa.

Następne, co przyszło mi do głowy, to imię greckiego boga wojny.

Postanowiłem, że od teraz będę nazywał się Ares.

RYFKA

Poznałam go.

Nie od razu, ale po chwili go poznałam, mimo że chudą twarz porastał już rzadki puch młodzieńczego zarostu, zaś spod wełnianej czapki i pomalowanego na biało niemieckiego hełmu wystawały długie do ramion, skudłacone loki.

Poznałam go. Widywałam go czasem na ulicy w getcie albo w którymś z lokali, zawsze był z dwójką przyjaciół, trudnili się w trójkę szmuglem, byli pięknie ubrani i pewni siebie, bo z pieniędzmi w kieszeni. Radził sobie więc doskonale i jednocześnie miałam wrażenie, że mimo tego, jak doskonale sobie radził, zdołał się nie zepsuć jak inni, którzy doskonale sobie radzili, jak my. Nie mówiłam o nim z Jakubem, w ogóle niewiele rozmawialiśmy o jego dawnej rodzinie, o życiu dawnym zaś nigdy.

Kiedy stał nade mną w mojej zapasowej kryjówce, w piwnicy oficyny kamienicy przy Koszykowej, miał na sobie strój maskujący, sporządzony ze ściągniętego sznurkiem w pasie białego prześcieradła, na nogach porządne, wiązane trzewiki z wojskowymi owijkami, na plecach zawieszony pistolet maszynowy, w rękach zaś karabinek, którego lufą nierozważnie dotykał mojego czoła. Nierozważnie, bo szachując kogoś bronią, należy to robić z pewnej odległości, aby zawsze być pewnym tego, że zdąży się strzelić, zanim ktoś szachowany zdoła nam broń odebrać.

Rozważałam to sekundę. Szarpnąć się, odbić lufę, przewrócić go nogami, sięgnąć po swój pistolet, strzelać. Jednak zdecydowałam się nie

ryzykować – palcem ściągał spust, poza pierwszy opór, wystarczyłoby drgnięcie, a odstrzeliłby mi głowę.

– Dawid, to ty, prawda? – zapytałam, bo trudniej jest strzelić do człowieka, który zwraca się do ciebie po imieniu, a nie chciałam, żeby do mnie strzelił.

– Nie – odpowiedział.

– Przecież widzę, że to ty – próbowałam się uśmiechnąć. – Jak ominąłeś granat?

Byłam pewna, że to on. Nawet w półmroku, w hełmie, z długimi do ramion włosami, starszy i chudszy niż wtedy, kiedy ostatni raz go widziałam w getcie, na tydzień przed tym, jak wyszliśmy na aryjską stronę.

– Jestem Ares – powiedział. – A granat sobie wziąłem. Przyda mi się.

– Jesteś Ares?

– Jestem bogiem wojny – objaśnił i zrozumiałam, że nie żartuje. Zrozumiałam też, że zapewne nie jest tu przez przypadek.

– Ten Ares, o którym mówią, że zabija Niemców i ich krwią wypisuje swoje imię na murach? Słyszałam historie, ale nigdy nie widziałam takiego napisu – powiedziałam.

Ściągnął palec ze spustu, opuścił lufę karabinu i od razu mądrze zrobił dwa kroki do tyłu i znowu podniósł karabin, mierząc mi w pierś. Tylko dlatego nie rzuciłam się na niego, dlatego że się odsunął. Milczał, więc tak trwaliśmy chwilę w tym milczeniu, bo ja przecież nie miałam mu nic szczególnego do powiedzenia, nawet nie czułam do niego nienawiści.

Kiedyś nienawidziłam tych dzieci Jakuba, dawno temu, kiedy mnie dla nich porzucił. Nienawidziłam ich nienawiścią głęboką i cichą. W ogóle nie znosiłam dzieci, dzieci wydawały mi się wstrętne, irytujące i nieznośne, może dlatego, że sama nigdy nie mogłam być dzieckiem. Nie byłam już dzieckiem, kiedy dziesięcioletnia, zaraz po zakończeniu wielkiej wojny, żebrałam pod fabrykami, licząc na grosze od biedaków, bo nigdy od bogatych, tylko biedni dawali grosze takim stworzeniom mniej wartym od bezdomnego kota jak ja dziesięcioletnia, więc nie byłam dzieckiem, kiedy zrywałam się na dźwięk fabrycznej syreny oznajmiającej koniec dniówki, tłum prządek wychodził z fabryk, ja wyciągałam rękę i patrzyłam błagalnie na te kobiety, patrzyłam, nic nie mówiąc, prosząc tylko oczami, i czasem

na rękę spadały jakieś grosze, a ja wtedy uważałam, że być prządką, pracować, i to pracować nie za miskę strawy, ale za gotówkę, regularnie wypłacaną gotówkę, pracować tylko osiem godzin, więc mieć pieniądze, to najlepsze, co może przydarzyć się człowiekowi, i o niczym innym nie marzyłam, codziennie też przyglądałam się swoim brudnym dłoniom, czy moje palce będą dość długie, aby przyjęli mnie do fabryki? Bo tak wtedy mówiono: że trzeba mieć długie palce, by być prządką, że kiedy majster przyjmuje kobiety do pracy, to każe pokazać dłonie, te o długich palcach do roboty, te o palcach krótkich wypierdalać, zdychać z głodu.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że każdy miesiąc na ulicy oddala mnie od tej wymarzonej wtedy szansy na to, bym została prządką. Do pracy przy krosnach chętnie przyjmowano biedne dziewczyny ze wsi, które uciekały z rodzinnych gospodarstw do miasta w poszukiwaniu wolności i które nawet w tej ciężkiej pracy i w zamieszkiwanych przez nie wieloosobowych izbach w drewnianych barakach znajdowały większą przestrzeń wolności właśnie niż u siebie na wsi. Na wsi praca była tak samo ciężka, a nikt za nią nie płacił, na wsi nigdy nie wychodziło się z pracy, bo coś było zawsze do zrobienia. Owszem, tam, w Łodzi, dziewczęta były na łasce i niełasce majstrów, ale i tak były na lepszej pozycji wobec nich, niż były u siebie względem ojców, stryjów, braci, a potem mężów. I takich do roboty szukano, silnych, dobrze odkarmionych dziewczyn ze wsi, nie zaś wychudzonych nieletnich ulicznic, jak ja wtedy.

Wiem, jak skończyłabym, gdyby Kum nie zabrał mnie z ulicy. Wiem, że nie byłam jak inne dzieci, w których stadzie przemierzałam łódzkie ulice: dlatego przetrwałam dwie wojny, przetrwałam pierwszą, przetrwałam bolszewicką już na ulicy, bo matka zmarła mi na hiszpankę, przetrwałam więc potem Kuma, baraki, Serbię, Jakuba i jego utratę, i odzyskanie go, i getto, powstanie i pustkę po powstaniu, i wszystko. Wszystko to przetrwałam, bo wbijam się w życie zębami i pazurami, jak szczur, bo jak szczur, jak nocne zwierzę jestem inteligentna, przebiegła, jak zwierzę bezwzględna, a jednak gdyby Kum nie zabrał mnie wtedy z ulicy, z głupiego kaprysu, dla swojej zabawki, to nie starczyłoby mojej woli przetrwania, nie starczyłoby inteligencji, przebiegłości i bezwzględności, żeby zwyciężyć ze światem, i skończyłabym jak inne, zdechłabym z głodu i zimna, na tyfus, na grypę, na syfilis, nie dożyłabym dwudziestych urodzin

i nie, nigdy nie zostałabym prządką, bo takie jak ja prządkami nie zostawały.

Może więc dlatego nienawidziłam tych dwóch bliźniaków, Danielka i Dawidka, ich drogich marynarskich ubranek, czystych buź i rączek, ochronki, bundowskiej szkoły i drugich śniadań starannie zapakowanych, więc kiedyś ich nienawidziłam, ale potem przecież nie mogłam ich już nienawidzić, bo dostali swoją porcję cierpienia, tak samo jak ja ją dostałam.

A ja na dodatek przyzwyczajona byłam do bólu od zawsze i z tego powodu moje cierpienie wydawało mi się mniej warte niż ich cierpienie, bo głód, strach i śmierć towarzyszyły mi, od kiedy pamiętam, a oni nie byli na to wszystko przygotowani.

Więc nawet nie czułam do niego nienawiści, kiedy tak stał nade mną, a potem przede mną w milczeniu i w półmroku, z karabinem, w hełmie, który nie pasował do jego postaci tak samo, jak żadnemu dziecku nie pasuje na głowę hełm stalowy.

– Nie udało mi się zabić ani jednego – powiedział po chwili. – Ale kiedy kogoś spotykałem, to opowiadałem mu o Aresie. Wymyśliłem Aresa. Chciałem być Aresem, ale mi się nie udało. Więc tylko o nim opowiadałem.

– Ja kilku zabiłam albo zraniłam przynajmniej – powiedziałam.

– Jak?

– Złapali się w moją pułapkę. Wysadziłam ich granatem. Ale nie wiem, czy któregoś zabiłam. Przestań do mnie mierzyć. Nie jestem twoim wrogiem.

Opuścił karabin.

– Widziałem ich, widziałem tę pułapkę. Dlatego domyśliłem się, że tutaj też założysz. Śledzę cię od kilku dni. Co do tych Niemców, to jeden z nich nie żyje, inni są ranni. To ty jesteś Aresem, nie ja.

– Ja tylko chcę żyć. Z twoim ojcem.

– Kim jest ten drugi, ten, który pomógł ci go nieść? – zapytał.

– Nikt. Niemiec. Dezerter. Skąd wiedziałeś, że to twój ojciec?

– Byłem w twojej poprzedniej kryjówce, na Politechnice, kiedy wyszłaś. Przyjrzałem mu się. Poznałem go. Przyszedłem go zabić. Niemca w takim

razie też zabiję – powiedział, a ja wiedziałam, że nie kłamie.

Konopka poruszył się na swoim posłaniu, obudził się, podniósł.

– Wer ist es? – zapytał, zaspany jeszcze.

Dawid Szapiro milczał. Stał z karabinem gotowym do strzału i milczał. Konopka patrzył na niego, przerażony. Widząc broń, biały hełm i prześcieradło, mały szkop wziął w pierwszej chwili Dawida za niemieckiego żołnierza, więc zastygł bez słowa i ruchu.

– Nie musisz go zabijać, Dawid. To nie ma sensu. Życie jest dla niego karą, gorszą niż śmierć, nawet z twojej ręki. On nawet nie będzie wiedział, że umiera.

Rozumiałam jednak, dlaczego chce go zabić. Przypomniałam sobie te wszystkie chwile, w których myślałam o tym, że kiedy jest ze mną, to nie jest z nimi, i nie miało przy tym żadnego znaczenia, że to ona go porzuciła, nie on ją. Że to ona go już nie chciała.

Jakub stał się wszystkim, co złe w getcie.

Nie skończyłam. Dawid Szapiro podrzucił karabin do ramienia i wycelował w swojego pogrążonego w stuporze, śpiącego ojca. W tym samym momencie mały Niemiec, Jorg Konopka rzucił się w jego stronę. Dawid strzelił, ale choć chciał trafić w Jakuba, kula uderzyła w pierś Konopki. Młody Szapiro szarpnął rączkę zamka, próbował przeładować, ale pordzewiały zamek nie chciał ustąpić, ja zaś byłam szybsza.

Nie chciałam go zabić. Nie miałam do niego nawet żalu o to, że zabił Konopkę, mimo że nie wiedziałam wtedy o kobiecie w chabrowej sukience na krawędzi wykopu w stepie, a wteraz też nie mam żalu, jednak nie uważam, by ta kula, wystrzelona przez Dawida z karabinu, z którego w 1939 strzelał jeden z żołnierzy dwudziestego pierwszego pułku piechoty, była kulą wystrzeloną w imię nieświadomej sprawiedliwości, bo wteraz wiem, że nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość.

Nie chciałam go zabić, ale nie mogłam mu pozwolić zastrzelić jedynego mężczyzny, jakiego kochałam, sięgnęłam więc po swój pistolet, wycelowałam starannie i strzeliłam, i trafiłam go w ramię, kula tylko go drasnęła, ale wypuścił karabin, ja doskoczyłam do niego, obaliłam go i obezwładniłam.

– Nie chcę cię zabijać. Ale tobie też nie pozwolę go zabić, rozumiesz? – wyszeptałam i pomyślałam, że trzeba uciekać, bo padły dwa strzały, a jest dzień i zaraz ktoś może zechcieć sprawdzić, kto to strzelał i dlaczego.

– Dlaczego? – zapytał, nagle jakby bez emocji. – Dla ciebie był jeszcze gorszy niż dla mamy i dla nas. To zły człowiek.

Siedziałam na nim, przyciskając kolanami jego chude ręce do ziemi.

Obok umierał Jorg Konopka i tyle było jego uciekania przed wojną. Uświadomiłam sobie, że ten mały, dziwny Niemiec ze Śląska uratował Jakubowi życie, i pomyślałam wtedy, nie wiedząc o kobiecie w chabrowej sukience i o innych, że jeśli miał jakieś winy, to je odkupił, a wteraz wiem, że żadnej winy odkupić się nie da żadnym, najszlachetniejszym nawet czynem, tak jak dłutem nie da się skleić kamienia, który się wcześniej młotem i dłutem rozbiło. Wina pozostaje na nas zaciągnięta i śmieszni i naiwni wydają mi się wteraz chrześcijanie, którzy myślą, że to, co zrobili, to, jak postąpili, nie wypala się w tkance rzeczywistości na wieki wieków, że czyny i słowa, i myśli można zetrzeć.

Nie można. Każdy czyn jest wieczny, nic nie znika, nic się nie unieważnia, nic nie zostaje wybaczone, bo nawet gdy znajdzie się ktoś, kto zapomni albo nie zapominając wybaczy, to nie sprawi, że zmieni się chociaż jedno ziarnko piasku w tym, co już nastąpiło, co się już wydarzyło, w tym niczego zmienić się nie da największym nawet, najszlachetniejszym sercem. Matka wybaczająca mordercy własnego dziecka nie zmienia tego, że dziecko zostało zamordowane.

Jorg Konopka umarł, bo chciał uratować człowieka, z którym nigdy nie zamienił ani słowa. Wteraz wiem, że nie chciał oddać za niego swojego życia, a przynajmniej nie rozważał tego w ten sposób, nie rzucił się na Dawida z taką intencją. Zrobił to, bo uznał, że należy do mnie i musi mnie i wszystkiego, co moje, bronić. Zrobił to, bo okazałam mu dobroć. Zrobił to, bo poszłam z nim do łóżka wbrew światu, wbrew wojnie, wbrew Hitlerowi i Stalinowi, wbrew Borowi-Komorowskiemu, wbrew Roli-Żymierskiemu i wbrew Wandzie Wasilewskiej, wbrew jego ojcu i jego matce i wbrew proboszczom Kubisowi i Kolarczykowi z Pilchowitz, zrobił to z miłości do tego cienia kobiety, którym byłam, a który poznał, i tyle go było, zaś rodzice jego, stary Konopka i stara Konopczyno nigdy nie dowiedzieli się, gdzie i jak zginął ich syn, nie dowiedzieli się też o żydowskiej dziewczynie

w chabrowej sukience, którą zabił, ani o tym złamanym, martwym wewnętrznie żydowskim bokserze, któremu uratował ten ochłap, mający się w jego historii dalej nazywać życiem.

– To zły człowiek – powiedział o swoim ojcu Dawid Szapiro raz jeszcze, a ja wiedziałam, że ma rację, ale to nie zmieniało niczego. Nie pozwolę mu go zabić, nie mogłam pozwolić mu go zabić.

– Jaki by nie był dla kogokolwiek, kochałam go i będę go kochać. Ty zaś jesteś taki sam jak on, Dawid – wyszeptałam prawie, ciągle przyciskając go do ziemi.

– Nie jestem! – krzyknął, szarpnął się, ale nie puściłam.

Uśmiechnęłam się blado.

– W ogóle nie jestem jak on – powiedział już ciszej i zobaczyłam, że oczy podeszły mu łzami.

– Zamknij się. Nie krzycz. Zaraz musimy uciekać.

– Nie jestem jak on – powtórzył.

– Nie? To gdzie teraz jest twój brat? Gdzie jest twoja matka?

Zamilkł.

– Tacy jak ty, jak twój ojciec, zawsze przeżywają. Widzę to w tobie teraz i widziałam to w tobie wtedy, w getcie, jak się woziłeś z tymi swoimi przyjaciółmi. Gdzie są twoi przyjaciele, Dawid? Jesteś krew z jego krwi i tak samo wrze i będzie wrzała w tobie krew, jak w nim kiedyś wrzała, i kiedyś pewnie umrzesz tak samo, jak on umrze.

Płakał, już nie kryjąc się z tym, płakał jak dziecko, nagle zupełnie jak dziecko. Zeszłam z niego, odkopnęłam nogą karabin. Podeszłam do Konopki, dotknęłam jego szyi, nie miał już pulsu, na jego piersi rozlała się wielka plama krwi. Odciągnęłam go na bok, na jego posłanie, był lekki jak na mężczyznę. Zamknęłam mu oczy i nakryłam twarz szmatą.

Jakub leżał na swoim posłaniu bez ruchu. Zaczęłam się zastanawiać, czy żyje, podeszłam więc, sprawdziłam, żył.

Zaczęłam też się zastanawiać, czy w swojej otchłani jakoś się przynajmniej trochę przebudził, czy przebudziła się jakaś najmniejsza chociaż część jego świadomości, padły w końcu dwa strzały, czy więc zorientował się, że tutaj, obok, siedzi jego syn?

Nie obudził się i nie wiedział, że jego syn był tak blisko niego, na wyciągnięcie ręki, o tym wiem wteraz z tą całkowitą pewnością, z jaką wteraz wiem wszystko, ale i wtedy tak sądziłam, że nie przebudził się, że się nie dowiedział.

Dawid przyczołgał się w moją stronę i wtulił się we mnie tak, jakby tulił się do matki, której już nie miał. Przygarnęłam go, jakbym przygarniała dziecko, którego nie miałam nigdy.

– Możesz go ukarać, bo on zasługuje na karę. I nie zasługuje na śmierć.

– Jak? – zapytał, połykając łzy.

– Żyj. Wojna niedługo się skończy. Dożyj końca wojny, wyjedź do Palestyny i żyj. Żyj normalne życie, jeśli cokolwiek takiego jest jeszcze możliwe. A ja mu nigdy nie powiem, że żyjesz. I nie dam nikomu go zabić.

Płakał, płakał jeszcze długo, wtulony we mnie, a ja pozwoliłam mu płakać, mimo że powinniśmy byli uciekać, bo ktoś mógł słyszeć strzały i krzyki, wiedziałam jednak, że muszę mu na to pozwolić. Potem przestał płakać.

– Nie powiesz mu? – upewnił się.

– Nie powiem.

– Przepraszam, że zabiłem twojego Niemca. To był przypadek.

– Rozumiem – powiedziałam, bo co innego miałam powiedzieć.

Śmierć Konopki mnie nie zasmuciła ani nie ucieszyła, pozostałam idealnie obojętna. Przyjęłam ją do wiadomości. Z jednej strony źle, bo przydałby mi się do pomocy przy Jakubie i w ogóle. Z drugiej dobrze, będzie mniej gęb do wyżywienia, więcej jedzenia dla mnie i dla Jakuba. Nie przywiązałam się do Konopki i zbyt wiele śmierci widziałam już w życiu, żeby przejąć się akurat tą jedną. Dlaczego miałam się przejmować tym, że w ruinach Warszawy umarł jeden Niemiec, nawet jeśli dotykał mnie jak mężczyzna, nawet jeśli mnie kochał przez chwilę? Mojej miłości starczyło tylko dla Jakuba, a poza tym dla nikogo na świecie.

– Mogłem ich zabić więcej, nie tylko tego twojego – powiedział.

– Niemców?

– Tak. Chciałem być jak kapitan Nemo. Podchodziłem ich jak myśliwy. Umiałem ich podchodzić. Albo z zasiadki. Wielu trzymałem na muszce. Ale

nie umiałem strzelić. Albo się bałem. Nie wiem. Nawet mimo że tak bardzo pragnąłem zemsty. Nie bałem się strzelić, nie bałem się, że mnie znajdą i zastrzelą, zbyt dużo tego widziałem, ale jakoś bałem się zabijania. Nie chciałem nikogo zabijać. Nie jestem jak mój ojciec.

– Może nie jesteś – zgodziłam się. – Może nie będziesz musiał nikogo zabijać.

Wteraz wiem, że musiał zabić i zabił jeszcze wielu ludzi w swoim drugim, długim życiu. Ale wtedy tego nie wiedziałam. Opatrzyłam mu ranę. Pomyślałam, że skoro nikt jeszcze nie przyszedł, to znaczy, że nikt nie słyszał strzałów i kryjówka jest bezpieczna. Wzięłam konserwę z zapasów Konopki, otwarłam ją, siadłam obok Dawida, podałam mu łyżkę i zjedliśmy razem tę konserwę i potem dalej tak siedzieliśmy, potem go przytuliłam, a on płakał i tak przeczekaliśmy ten krótki, zimowy dzień.

– Idź już – poprosiłam, kiedy zrobiło się ciemno.

Pociągnął nosem. Zdjęłam z nadgarstka zegarek Jakuba, przedwojenny Glashütte z fosforyzującymi wskazówkami.

– Weź go. Był twojego ojca. Nie trzeba go nakręcać, jest automatyczny. Tylko uważaj, żeby go nie zamoczyć, bo przestanie iść.

Wahał się.

– Weź. Po prostu, żebyś pamiętał, jaki nie chcesz być.

Wziął, zapiął na nadgarstku.

– Idź.

Nie wahał się dłużej, poszedł, zniknął w ciemnościach.

Ja zaś zostałam z nieprzytomnym Jakubem i martwym Jorgiem Konopką i zastanawiałam się, czy i jak przetrwam do końca wojny.

Przetrwałam jeszcze miesiąc, dwa tygodnie i trzy dni i utrzymałam Jakuba przy życiu, i do Warszawy wlała się wielka fala ludzi w zielonych płaszczach, maszyn, koni, wozów, czołgów, samochodów, dział, ciągników, moździerzy i wtedy mogliśmy w końcu wyjść z ukrycia, potem przyjechali Bierut, Osóbka-Morawski, Rola-Żymierski, była defilada, kamery Polskiej Kroniki Filmowej i było wszystko, co potem i później.

Przetrwałam – i on przetrwał.

Zachowałam go przy życiu, odkarmiłam, odżywiony zaś wybudził się ze swoich ciemności, żył, chociaż nigdy już nie był do końca żywy. Ja zaś żyłam przy nim. Wyjechaliśmy z tego cmentarza, Warszawy, bo nic już nas nie łączyło z tym martwym miastem.

Dawida już nigdy nie spotkałam, ale wiedziałam, że przeżył, i wtedy to wiedziałem i wteraz wiem, Jakub jednak nie zasłużył, aby o tym wiedzieć.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym spotkaniu. Jakub nigdy nie powiedział ani słowa o nich, o Emilii ani o synach.

Miewał potem dni, miesiące i lata zupełnie jasne, na powierzchni, znów silny i, zdawałoby się, głodny życia, jednak ciemność wbiła weń swój hak z zadziorem zbyt głęboko, by już kiedykolwiek mógł być od niej wolny. Ciemność była milczeniem, które przykryło los jego dzieci, a moja wiedza o tym, że nie wszyscy zginęli, była karą, jaką mu wymierzyłam.

Pamiętam i nigdy już nie zapomnę, jak przyszedł do mnie, kiedy wyrzuciła go z domu, jak przyszedł i już został. Mieszkałam wtedy w małym pokoiku na Sochaczewskiej, niedaleko cmentarza, a on przyszedł, wszedł z klatki schodowej do mieszkania, nie pukając, przeszedł przez całe mieszkanie, nie zauważając jego pozostałych lokatorów, jak gdyby już wtedy byli pyłem, duchami, powietrzem, niczym.

Był oczywiście pijany, nie przyszedł do mnie prosto od niej, z ich domu, najpierw poszedł pić, jak zawsze, kiedy wycie i szum, które słyszał w głowie, stawały się nie do zniesienia, jedno tylko znał na to lekarstwo. Prosto z ich przedwojennego jeszcze mieszkania, prosto od niej i od swoich dzieci poszedł do Bagateli na Nowolipiu. Akurat występowała Chana Lerner, ale to go wcale nie obchodziło, nie słuchał występu, siadł przy stoliku, zażyczył sobie wódki, przyniesiono mu więc wódki, a on pił, pił, nie ściągając nawet policyjnej czapki, nie rozpinając płaszcza, nie jedząc, pił niezbyt szybko, małymi łykami, aż butelka była pusta, a wycie w czaszce ścichło. Wtedy wstał od stolika i wyszedł, nie płacąc, a wtedy jeszcze bano się go na tyle, że nikt nie zażądał pieniędzy.

I przyszedł do mnie, do mojego pokoiku na Sochaczewskiej, a ja zdziwiłam się, że wie, gdzie mieszkam, a jednak wiedział. Moje drzwi były pierwszymi, do których zapukał, pierwszymi, których nie otworzył jak własnych. Otwarłam mu więc, skoro zapukał.

Milczał, stał z czapką w dłoni, opierając się o framugę, nie patrzył na mnie, tylko gdzieś w przestrzeń za moimi plecami, jak gdyby stał tam ktoś jeszcze. Ostatni raz widzieliśmy się jeszcze przed wojną, jednak żadne z nas nie miało nic specjalnego do powiedzenia, bo tyle już razy powiedzieliśmy sobie wszystko, więc milczeliśmy.

Odsunęłam się, pozwoliłam mu wejść. Usiadł na łóżku, po czym powoli, jak walące się drzewo złożył swój ciężki łeb na poduszce, nogi w wysokich butach pozostawiając na ziemi. Usiadłam obok, na krześle.

– Już zostaniesz, prawda...? – wyszeptałam, nie słyszał mnie, bo spał pijackim, głuchym snem, ale został, został ze mną już na zawsze i tak się zaczęło jego życie ze mną, jego wieczne życie ze mną.

Nie spałam tej nocy ani nie zgasiłam światła. Zdjęłam mu oficerki i czapkę, i płaszcz, uniosłam nogi, przykryłam kocem, siedziałam obok i całą noc patrzyłam na niego, na tego wielkiego mężczyznę, który był moją miłością, moim przekleństwem i towarzyszem wszystkich nielicznych momentów szczęścia, jakie życie i świat mi dały. Od kiedy go poznałam, od kiedy po raz pierwszy wypełnił moje ciało, od tego momentu wypełnił też moje życie i myśli, moje światło i moją ciemność. Nikt go tak nie kochał, jak ja go kochałam, wiem to wteraz i wiedziałam wtedy. Nie było w moim życiu kwadransa na jawie, w którym nie myślałabym o nim. Moje oddanie dla niego nie miało granic, mojej miłości nie zabiły gniew, wstręt ani litość, a z tej trójki najgroźniejsza jest litość, i mimo że czułam to wszystko, gniew, wstręt i litość, to mojej miłości do Jakuba Szapiry nie umniejszyły w niczym. Kochałam złego człowieka, bo był mój, bo byliśmy tacy sami, bo byliśmy jednym i ani kawałka naszej jedności nie naruszyła żadna z jego kobiet, i wtedy, siedząc całą noc i słuchając, jak chrapał pijany, powiedziałam sobie, że przetrwamy, że będziemy żyli, bo skoro już go mam, to głupio byłoby go oddać śmierci.

Więc bardzo długo nie oddałam. Więc żyliśmy.

Taką wymierzyłam mu karę. Przetrwałam i on przetrwał.

DAWID

Noc była ciepła i księżycowa, motor naszego niewielkiego statku pracował równo i cicho, na niskich obrotach. Nie zmrużyłem oka ani na chwilę. Od kolacji leżałem w milczeniu, moi towarzysze spali spokojnie w swoich kojach, ja zaś słuchałem, jak fale spokojnego morza cicho uderzają o stalowy kadłub. Mrowiła mnie blizna na ramieniu. Spojrzałem na zegarek, fosforyzujące wskazówki pokazały, że jest kwadrans po północy.

„Już czas" – pomyślałem i wygrzebałem się ze swojej koi, cicho stanąłem na śmierdzących pleśnią gretingach.

Odpiąłem pasek zegarka, który nosiłem, i położyłem go na koi. Było mi go jakoś żal, ale lepiej, żeby ktoś jeszcze z niego skorzystał, bo po tym, co zamierzałem zrobić, będzie przecież do wyrzucenia. Poza tym pragnąłem go zostawić za sobą jak wszystko. Nie chciałem go ze sobą zabierać. Założyłem lekkie, płócienne spodnie i gimnastyczną koszulkę. Butów ani dokumentów nie brałem, wiedziałem, że nie będą mi potrzebne.

Musiałem mocno się pochylić, przekraczając ciasne, stalowe, zamykane na szerokie pokrętło drzwi prowadzące z naszej kajuty na korytarz. Stromymi stalowymi schodami wyszedłem na pokład. W sterówce paliło się blade, bursztynowe światło, ale szyper mnie nie zauważył. Szliśmy na południe i na lewej burcie ujrzałem światła i czarny zarys lądu na tle nieco jaśniejszego nieba.

Nie ma na co czekać.

Skoczyłem, jakbym skakał na zawodach pływackich, na główkę, z rękami nad głową, wślizgnąłem się w wodę, przepłynąłem parę metrów pod jej

powierzchnią, po czym wynurzyłem się, zaczerpnąłem powietrza, uregulowałem oddech i popłynąłem nieśpiesznym kraulem. Byłem spokojny i pewny, nie bałem się. Po minucie spojrzałem za siebie. Nasz stateczek szedł, nie zmieniwszy kursu, a zatem sternik nie zauważył, że wyskoczyłem. Płynąłem więc dalej, spokojnie, na zmianę kraulem i na plecach, aby trochę odpocząć. Po chwili poczułem, że przeszkadzają mi mokre spodnie i koszulka, więc zsunąłem je z siebie bez żalu i płynąłem dalej. Po dwóch kwadransach poczułem pod dłońmi i brzuchem piasek.

Wstałem i mokry, nagi i zmęczony wyszedłem na plażę, niedaleko świateł, które były światłami osady Netanja na równinie Szaron, jakieś trzydzieści, trzydzieści parę kilometrów na północ od Tel Awiwu. Odwróciłem się ku morzu. Przyjazny statek, na którego pokładzie znajdowałem się jeszcze przed chwilą, szedł spokojnie dalej na południe, do portu w Jaffie, gdzie ja akurat wysiąść nie mogłem ze względu na Brytyjczyków. Księżyc był prawie w pełni, wyraźnie widziałem więc nie tylko migoczące, czerwone i białe światła pozycyjne, ale również sylwetkę mojego statku, po czym nagle, całkiem niedaleko, wśród łagodnych fal ujrzałem czarny, przewalający się kształt kaszalociego cielska, fragment kwadratowego łba, z którego ze świstem wytrysnął strumień wody, następnie grzbiet z niewielkim trójkątem grzbietowej płetwy, po czym na tle nieba ukazał się szeroki ogon, potem znów zarys kwadratowej głowy i łuk grzbietu, po czym nagle morze zamknęło się nad wielkim cielskiem w zupełnej ciszy i kaszalot zniknął w głębinach tak, jakby nigdy go tam nie było.

Odwróciłem się od morza i od mojego życia i nagi, bez żadnego wstydu poszedłem w stronę zabudowań Netanji. Nigdy nie zawróciłem, nie odwróciłem się. Nigdy więcej nie powiedziałem ani słowa po polsku, nie powiedziałem też nikomu, jak i gdzie spędziłem wojnę, nikt zresztą nie chciał słuchać, bo były inne, ważniejsze sprawy niż pociąg jadący z Umschlag nie na Otwock, lecz na Wołomin, i mój brat, i moja mama. Rok i sześć dni później powstało państwo Izrael i wydarzyło się całe moje długie, drugie życie.

EMILIA

Masz, napij się, kotku mój. Pij. Nie, ja nie muszę. Wiem, że tu gorąco jest i straszny tłok, wiem i wiem, że bolą cię już nóżki, ale mój chłopczyk jest bardzo dzielny i da radę. Wiem, kotku, że ci wszyscy ludzie tacy niemili, ale nie bój się, ta podróż się skończy, skończy się niedługo, dojedziemy i wszystko będzie dobrze, kotku. Mama jest z tobą, twoja mała rączka w mojej dłoni, kotku, kochanie, nic się nie bój.

Wszystko będzie dobrze, kotku mój. Nie masz się czego bać. To nic takiego, kochanie. Nic takiego. Wszystko będzie dobrze. Przeżyliśmy tę podróż, więc już wszystko będzie dobrze. Musisz zdjąć buciki, daj, pomogę ci. O, widzisz. Jeden, drugi, hop, gotowe. Teraz buciki musisz związać razem, jeden z drugim. Dobrze? Zwiąż je ładnie, na kokardkę, ale mocno, żeby się trzymało. Bardzo ładnie. Chodzi o to, żeby się nie zgubiły, wiesz? Żebyś je potem oba znalazł, bo po co ci jeden bucik. To nic takiego. Mój dzielny chłopczyk.

Nie wstydź się, kotku mój, kochanie. To nic takiego. Wszyscy się tu rozbierają. Nie ma się czego wstydzić. Jak cię urodziłam, to też nie miałeś na sobie ubranka. Więc się nie wstydź. Jesteś pięknym chłopcem. Ja się też rozbieram. Idziemy do łaźni, kotku, wymyjemy się tam po tej strasznej podróży, wszystkim nam to dobrze zrobi. Nic się nie martw. Poskładaj ubranka ładnie, żeby nie leżały pomięte, tylko w kostkę, na to buciki, tak. Ja się też rozbiorę, ale nie musisz się wstydzić za mnie, jestem twoją mamą,

tu są same kobiety, to nic takiego, to tylko ciało, nie trzeba wstydzić się ciała. Każdy ma ciało, każdy ma ciało takie samo.

Nie płacz, kotku mój, nie płacz, to nic, włosy mi odrosną. Wiem, że lubiłeś moje długie włosy, ale trzeba było je ściąć, naprawdę, bo kto wie, cośmy w tym pociągu nałapali, więc żeby nie zachorować, dla zdrowia, to dobrze, że ścięli, wszystko będzie dobrze, idziemy teraz do kąpieli, kotku. Daj mamie rękę i nie odstępuj mnie ani na krok, chodźmy, kochanie, chłopczyku mój kochany, chodźmy. Idziemy, kotku.

Wiem, że wszyscy krzyczą, kotku mój, wiem, ale to nic, wszyscy się trochę boją, lecz my się wcale nie boimy, nie ma czego. Czego tu się bać? Jestem z tobą, kochanie, mama jest z tobą. Chodź, mama cię przytuli, kochanie, weźmie cię na ręce, jeszcze dam radę, chociaż już taki duży urosłeś, taki duży chłopak, mój synek, taki duży, chwyć mnie za szyję, otocz moją szyję tymi chudymi rączkami i trzymaj mocno, główkę połóż, o, tutaj i nie patrz w ogóle, tu nie ma na co patrzeć.

Tu się schowaj, kotku mój, tutaj, wewnątrz mnie, w moich ramionach, schowaj się pod moją skórą, wejdź w moje ciało, mam tu dla ciebie w środku miejsce, skurcz się we mnie, zwiń, schowaj w moim brzuchu, w mojej macicy, bądź jak najmniejszy, kotku mój, malutki, i tak schowany pozostań, moje ciało będzie twoim bunkrem, kotku mój, twoją osłoną przed wszystkim, we mnie się schowasz i nic ci się nie stanie, schowany we mnie będziesz sobie żył, kotku mój, nawet kiedy ja nie będę żyła. Wszystko inne to tylko cienie, długie cienie zaraz przed zachodem słońca. Było jakieś miasto, jacyś ludzie, mężczyzna, którego kochałam i który mnie zdradził, były inne kobiety, były wojny i spadały bomby, miałeś brata, dom, lotnisko, samoloty, był ciepły kraj za morzem, nasz kraj, ale to tylko długie cienie, od których odwracam wzrok, jesteś teraz tylko ty, kotku mój, nagi, w moich ramionach, we mnie, ukryty, bezpieczny, dookoła dzieją się straszne rzeczy, ale ty jesteś bezpieczny, bo jesteś ze mną, do końca jesteś ze mną, kotku mój, i już na zawsze pozostaniesz ze mną, bezpieczny i spokojny, nic ci się nie stanie, bo jesteś z mamą, mama jest przy tobie, kotku mój.

Wteraz, kotku mój, na zawsze zostaniemy już razem.

Pilchowice–Warszawa,
2017–2018